



KRZYŻACY

101 458

KRZYŻACY

JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

KRZYŻACY

WYDAWNICTWO J. KUBICKIEGO
WARSZAWA



Mw/M 778

B-08273

Drukarnia Krakowska W. Grzelak i Sp. w Warszawie

Zachodzące słońce jaskrawo oświecało czerwone mury malborskiego zamku, a raczej trzech zamków rozłożonych na wzgórzu, z którego na błonia nad Nogatem widok się szeroki rozlegał. Godzina była, gdy się wszystko ku spoczynkowi zbiera; ludzie z pól, podróżni z gościńca do gospód, bydło i konie z paszy, ptactwo z żeru do gniazd przylata. W ulicy, do starego zamku wiodącej, pełno też było ludu rozmaitego, cisnącego się ku wnińsciu i wychodzącego z grodu na miasto.

Szum i wrzawa wielka panowała w ciasnej izbie pełnej wszelakich postaci, między którymi najświeczniejsze rycerskie i najuboższe żebracze o siebie się ocierały. Słychać było wrzask knechtów, torujących rycerzom drogę, i parskanie koni, i wart wołanie, i piśkliwe głosy żebrzących nad drogą.

Nieopodał pod murem, nad którym się wznosiła ściana kościoła Panny Marii, z olbrzymim wizerunkiem Matki Boskiej na tle złotem wysadzonym, siedziało rzędem żebractwo, zawodząc pieśni wieczorne. Dzwony odzywały się po kościołach na modlitwę, po zakonnych murach na godziny, na służbę, na braci i rycerzy.

Każdy z tych dzwonów miał swój głos, po którym go poznawali swoi, i mówił co innego, a inaczej. Jedne śpiewały przeciągle i długo, drugie urywanymi dźwiękami rozkazująco wołały, inne się modliły, zwolna rozkolysane, rozmarzone jakby pieśnią wieczor-

na. W słonecznych promieniach pomarańczowych krasne mury Malborga, ex lutho, z bloła zbudowanego, rubinowymi barwy, szatą purpurową okryte jaśniały. Zdawało się, jakby cegła, z której je wzniesiono, ze krwią była mieszana, w krwi maczana i krwią oblana. Ostre szczyty z wąskimi oknami pięły się do góry, a na gzymsach ich ślizgały się błyski światła, jak sznury złote, i w błonach okien, w olów oprawnych, odbijało się słońce, jakby z nich były płomienie.

Wspaniały to był a straszny widok tego zameczyska, o wieczornej porze, z tymi krwawymi ścianami, na pół w cieniach, pół w płomieniach, i kto nań spojrzal, zadrzeć musiał nad potęgą Zakonu, który z namiotu dorósł do takiego grodu i z obozu rozlał się na państwo zdobyte.

Czuć tu było wielką potęgę i siłę.

Wszystko olbrzymio wyglądało: mury ciągnące się i piętrzące ogromnymi ścianami, obraz Marii, całą zajmujący kościół połać w zlocistej niszy, baszty, bramy, ganki, kościoły porosły wysoko, a sam lud, co zapełniał gmachy, potężny też był i doborny. Rycerze na koniach, cali okuci w żelazo, dobrani z rodu, co w puszczach germańskich wychodził się do walki z dzikimi zwierzęty. Konie pod nimi ciężkie i roztyłe, blachami przyodziane, do nich też były podobierane. Knechty, co jechali za panami, równali im miarą, psy, co za nimi biegły, do wilków były podobne siłą, sierścią i wzrostem.

Pieszcy lud też z zamku i do zamku płynący, wszystek co po sukniach białych z półkrzyżami poznać go było można za pół-braci, rosły i silny, a butny i rozbujany, rozpędzał ubogą czeladź na ziemi tej zrodzoną, na niewolnika wyglądającą. Ustępowano im z drogi prędko, bo knecht każdy lacno sobie radził pięścią i kijem. Ani krzyknąć było wolno obitemu, kiedy go pan

chłostał. A roilo się tymi pańskimi piaszczami białymi dokola zamku, bo z różnych stron do nowego mistrza przybywali posłańcy i rycerze, i komturowie konwentów, i miejskie gromady, i książęcy posłowie, i goście Niemiecy z nad Renu, z Szwabii, Frankonii, Luzacji, Saksonii, Bawarii i całego germańskiego mrowiska.

Ale dla wszystkich było dosyć miejsca na zamkach, w górnym i średnim i po wszech tych gmachach, piętrzących się na górze, nie licząc lochów i podziemi drugie tyle, w których też nie jeden gość się mieścił pod kłoda.

I nigdy oddawna nie było na malborskim zamku tak ludno, bo nikomu tajno nie było, że się na wojnę zabierało. Jagiello upominał się ziemi dobrzyńskiej, a Witold Żmudzi, i choć Witolda zakon prawie był pewien, przecież tyle razy się na nim zawiódł, iż ostrożność zachować musiano; choć krzyżacy mieli wszech książąt niemieckich pomoc i zasiłki kupione i obiecane; choć króla Zygmunta też zapłacić przyrzekli; choć król polski i brat jego sami niemal stali przeciw nim, nikogo z sobą nie mając: trzeba było sposobić się, by ich pokonać, z niemalym trudem i zachodem. Po całej więc przestrzeni ziem zakonu szli gońce, aby zamki oprowiać, zewsząd przynoszono wieści, co nad granicami słyhać, żywność, prochy, konie, zbroje i działa ściągano. Szły o pokój rokowania, ale go nikt nie był pewien.

Nowy mistrz po Konradzie obrany, brat jego, Ulryk, starym był wojakiem, choć człowiekiem młodym, bo poczał wcześniej za Konrada Wallenroda wyprawy swe i u boku jego walczył nieustannie; walczył komturem w Baldze, gdzie nigdy spokoju nie miał, a marszałkował potem zakonowi, aż do zgonu brata.

Żołnierz był to więcej, niż wódz, prędko, gorączka, butny, do gniewu i porywu skory, a potęgą zakonu

nakarmiony tak, iż w nim duma płomieniami wzbierała. Nieprzyjaciela takiego naprzeciw siebie mieć, za konem trzęsącego i miłością jego uzbrojonego, z Niemiec jako ze spiżarni ciągnącego ludzi i żelazo, niebezpiecznym było.

Co dzień szły listy z Malborga i kursory na zachód, aż nad Ren, i nawoływały po zamkach rycerstwo niemieckie na spokojne Słowian ziemie, które się z garści zakonu wymykały; — co dzień też z gdańskiej wieży widać było nowych przybyszów, pocztami ciągnących na łowy krzyżackie przeciw Litwie, Rusi i Polsce.

Dlatego i w tej godzinie wieczornej gorącego dnia lipcowego gwarno tak było w bramach i około murów, a na zamku ino rzenie koni było słychać i chrzęst zbroi i brzęk żelezców u boku rycerzy... i rzucanie zbrojami, które, padając, chrzeszczwały. Właśnie komtur z Tucholi na zamek jechał, Henryk von Schwelborn i drogę torować kazał knechtom, bo ludu przy sobie nie lubił, a o lada kogo otrzeć się nie ścierpiał. Siedział na bachmacie ogromnym, we zbroi i płaszczu na ramię zarzuconym, w szyszaku, którego przyłbice podniósł, a twarz mu z niego marsowa patrzała, z czarnym wąsem i brodą jak wiecha, z brwiami rozbudującymi krzaczasto, — z czerwonymi i wydatnymi usty, jakby krwią niestartą nabrzmiętymi. — I odgadnąć było łatwo, po co z Tucholi do mistrza śpieszył, bo go wszyscy znali, że Jagiełły i jego narodu nie cierpiał, a mawiał, odgrazając się, iż krewby jego pił ze smakiem i — mówiąc to — śmiał się białymi zębami, jak wilcze ostrymi. Chciał też wojny i na nią namawiał i cieszył się, że ją mieć będzie, bo zdawała się nieuchronną.

A gdy w bramę wjeżdżał ze czterema rycerzami za sobą i dziesiątkiem knechtów, z drugiej strony chciał się w nią wcisnąć ubogi jakiś człowiek, nie młody.

o kiju, którego z czarnej długiej sukni trudno poznać było, co za jeden miał być: pątnik, ksiądz, żebrak, czy sługa pański. A że, wchodząc, stary nie ustąpił komturowi, bo go nie widział, pechnięto go tak i przyparto do muru, że koń komtura nogą mu przygniótł stopę, aż krzyknął, za co płazem miecza po karku od samego Schwelborna dostał.

I podniósł nań oczy stary, aż się źrenice ich spotkały z sobą, a było wejście starca, mimo boleści, tak promieniste i potężne, że się komtur zachnął i namarszczył, zdziwiony, by ubogi człek śmiał tak patrzeć na niego. Starzec się przecie i marsa tego nie uląkł, oko w oko mierzył Henryka, który go zwolna mijał, a ręką jedną, jakby z szyderstwa raczej niż z pokory, czarną czapeczkę, przystającą mu do głowy, podniósł i ukazał wśród siwych włosów okrągłe znamie tonsury, dając znać, iż kapłanem był.

Przez ramię nań patrząc, komtur dojrzał tego znaku i butno się roześmiał, jakby rzec chciał: — Cóż mi to, żeś ty kapłanem, jam rycerzem zakonnikiem najmłodszego w świecie bractwa i szydę sobie z twej tonsury i kapłaństwa!

Starzec zwolna czapeczkę nałożył, a ręką chudą za stopę zranioną się uchwycił i postawszy chwilę, kulejąc, zwolna pociągnął w głąb zamku, który zdawał się znać dobrze, bo się do infirmerii o drogę nie pytał.

Leć, żeby tam dojść, dziedzińce górne przebywać było potrzeba i bramy wewnętrzne, a tu też ścisł gorzszy niż w ulicy, zgiełk straszniejszy panował.

Stały przez knechtów trzymane konie z pozwieszanymi łbami, czekając, aż im stajnie ukażą. Zjawili się posługacze i czeladź klasztorna, wyładowywano wozy, staczano beczki, przejść było nielato nawet jednemu człowiekowi, bo gawiedź popychała i rzucała, jak pił-

ka, tym, co jej wpadł w drogę, szczególnie, gdy płaszcza na sobie białego nie miał.

Staruszek z nogą zranioną tak ubogo wyglądał z kijem białym, który niósł w rękę, i torebką skórzaną przez plecy, że go ciury nawet poszanować nie chcieli: popychano biedaka, lecz dał sobą pomiatać z pokorą i słówka nie rzekł, i ręki nie podniósł. Komtur zsiadał z konia właśnie, gdy, kulejąc nadciągnął stary, spojrzawszy nań z ukosa i jednemu z braci powołać go do siebie kazał.

Młody zakonnik podbiegł parę kroków ku podróżnemu, słowa nie mówiąc, za ramiona go chwyciwszy, nie opierającego się popchnął przed sobą do komtura, który stał na stopniu u wehodu, dobywając z kalety pieniądza, jaki chciał jako jałmużnę dać skrzywdzonemu.

Gdy go postawiono przed komturem, starzec powtórnie odkrył głowę i nakrył ją zaraz, a oczy podniósłszy, ciekawie patrzył. Znać ta twarz na Schwelbornie uczyniła wrażenie, bo pieniądza już trzymając w palcach, stał, a wpatrzył się w nią z podziwem jakimś, jakby jej zrozumieć nie mógł. W istocie też owemu pięknemu obliczu staruszka zdziwić się było można, tak ono od wyszarzanej podróżnej sukni ubogiej odbijało dziwnie, taki święty spokój błogi rozlany był w pięknych rysach bladej jego twarzy. Srebrnym włosem okolona, biała, jasna, uśmiechała się łagodnie, z oczu mu były jakby promienie do głębi sięgające, i stał jak gołąb przed jastrzębiem obok komtura, z pychą nań patrzącego z góry.

— Mości księżę, na mszę świętą za powodzenie oręża komtura z Tucholi!

— Bóg zapłać! — cicho odpowiedział ksiądz — będą się modlił.

— Skądże idziecie? z daleka?

Ksiądz się trochę zawahał.

— Tak; z daleka, z daleka — ze Śląska idę.

— A dokąd?

— Do cudownego obrazu Najświętszej Marii Malborskiej! — I wskazał ręką ku kościolowi, na którego ścianie jaśniała olbrzymia owa postać Marii — przy kaplicy świętej Anny.

Komtur popatrzał nań: nie nie rzekł, odwrócił się i w krużganku się puścił do wielkiego mistrza.

Starzec, potrzymawszy na dłoni pieniądza, schował go, nie śpiesząc, a raczej wsunął niedbale do torebki; potem, że mu zboląła noga więcej dolegała, ciężiej jeszcze o kiju począł iść ku zamkowi dolnemu, gdzie była infirmeria i gospoda dla podróżnych. Tu już dalej puściejsze były dziedzińce, acz i tu się kręciła czeladź, bo się do wieczery w wielkim refektarzu miało, a gości było dosyć, których wielki mistrz u swojego stołu też przyjmował poczętniej. Wiece baryłki z miodem i piwem gdańskim czarnym toczono, a gąsiory zielone z winem nieśli drudzy oburącz i misy cynowe, które ledwie dwóch dźwignęło. I śmiała się służba do zakazanego owocu, bo sama się szklanką cienkusz obchodzić była zmuszona. Staruszek zwolna sunął w dół ku infirmerii, aby się szpitalnikowi stawić i o nocleg go prosić — ale i do tego dostęp nie był łatwy. Pacholkowicie stali u drzwi, przez których o posłuchanie musiało się zgłaszać, ci brali imiona podróżnych i nieśli je do niego, a odpowiedź przynosili.

Dwóch tam o framugę opartych ziewało, gdy się ksiądz zbliżył i poklonił.

— Ksiądz jestem — rzekł — pielgrzym z ziemi śląskiej, do Panny Marii, pobożny, stary, skaleczony, o nocleg proszę.

Jeden z barezystych knechtów przypatrzył się starcowi i, milcząc, niechętnie odszedł. Słychać było nie-

kiedy podwoi stuknięcie i milczenie po nim. W chwili wyszedł pacholek i ręką księdzu wskazał, aby za nim ciągnął.

Po kilku schodach, na każdym z chora nogą odpoczywając, zwłókl się stary w korytarz sklepiony i wgłębieniem w murze, wpuszczono go przez drzwi do malej izdebki, a z niej do obszernej, jasnej, sklepionej izby, w której na wygodnym krześle z poręczami, o poduszkach i podnóżku, siedział niemłody, bardzo otyły mężczyzna, z twarzą obrzękłą i czerwoną. Drzymał może niedawno, bo jeszcze miał półspiącą postawę i ręce splecione trzymał przed sobą wygodnie.

Ksiądz się od progu sklonił.

— Skąd? co? jak? po co? — odezwał się, jakby bez myśli, siedzący w białej sukni szpitalnik.

— Ksiądz, pielgrzym, Ślązak, do cudownego malborskiego obrazu: proszę o gościnę.

Szpitalnik jedną ręką potarł się po głowie.

— W sam czas, bo wieczere podadzą, prosimy. Nikomu, w imię Marii i świętego Jana żądajacemu, nie odmawia się odpoczynku.

Wtem spojrzał na posadzkę, na której stał gość. Miejsce to, gdzie jego noga spoczęła, oznaczała plama ciemna, noga stała w kałuźce krwi, która z niej płynęła.

— A to co? — zawołał zdziwiony szpitalnik.

— Przypadek! Niech będzie na chwałę Bożą, że cierpię i że mi dozwolił choć kropelkę krwi wylać.

— Cóż ci się, ojcze, stało? — rzekł szpitalnik, widocznie krwią zaniepokojony, a może więcej plamą na jasnej posadzce.

— Moja wina... pośpieszyłem się we wrota, gdy rycerze jechali... Konie ich nawykły tratować nieprzyjaciół, więc się i swoim od nich dostać może.

— A idź-że ojcze, idź, niech ci w szpitalu najprzód nogę obejrzą i obwiążą.

Klasnął w dłonie, gruby pachół, ocieźale sunąc się, przybył.

— Zaprowadź ojca do szpitala, niech mu nogę opatrzą, do wieczery posadzą i nocleg naznaczą...

Pokloniwszy się nisko szpitalnikowi, poszedł za przewodnikiem ksiądz w milczeniu. Niedaleko też miał do drzwi szpitala, w których kilku braci widać było stojących. Tym go oddał posłany. Nie pozdrowiwszy go nawet, pokazali mu drzwi do izby. Jeden z posługaczy, któremu pacholek rozkaz oddał, zbliżył się do siadającego na ławie. Milcząc, do nogi się schylił, a gdy ją już w ręce miał wziąć, spojrzał staremu w oczy i z cicha krzyknął.

Stary na ustach palec położył. Obejrzał się i dał znak, aby milczał.

Trzymając w rękach drżących nogę starca, przykleknawszy, z wlepionymi w niego oczyma braciszek szpitalny zdawał się osłupiały. Ksiądz mu się uśmiechał dobroliwie i łagodnie.

Krew tymczasem na podłogę ciekła. Ujrawszy ją, dopiero żywo wziął się do rozwiązywania staruszkowi nogi braciszek. Skórzane obuwie, proste, sznurami przywiązane, łatwo zdjąć było, i szmaty, którymi stopa obwinięta, były całe krwią zbroczone.

Pytające oczy zwrócił braciszek, obaczywszy zduszone palce, z których podkowa końska krwi dobyła.

— Koń nastąpił, bo Pan Bóg chciał, abym pocierpiał. Przyłóżcie, bracie, wody, a przeżegnajcie ranę, nie będzie.

— Mój ojcze, wy tutaj? pieszo? a toć oczom nie wierzę...

— Pątnikiem idę, ślub uczyniwszy, do Malborskiej N. Panny: co za dziw.

— Sam jeden?
— Z Bogiem!... z Aniołem Stróżem...
— W waszym wieku?
— Najbezpieczniej: ubogiego starca chyba koń zaczepi, ludzie mu złego nie robią, pominą...

Westchnął ksiądz, braciszek spuścił głowę, rozwiązał nogę i tuż do wielkiej dębowej skoczył szafy, której oba skrzydła otworzył. Zapach z niej wyszedł od ziół suchych i mocnych korzeni a leków, orzeźwiający i miły. Na półkach stały słoje i flaszki, leżała bielizna i plachty.

Prędko się uwinął braciszek i, wody utoczywszy z dzioba sterczącego w ścianie na wielką misę glinianą, począł nogę ostrożnie obmywać, ocierać, potem ją z lekka hubą leśną obłożył, aby krew zatamować i plachtą starannie okrył. Znalazł się sukna kawał, by ją okryć po wierzchu.

— Bóg-że ci zapłaci, mój Franku! — odezwał się ksiądz — a gdy do domu powrócę, powiem waszym, żeście tu zdrowi i w świętej służbie.

Stary westchnął, a braciszek mu przerwał:

— Nie mówcie o mnie ni słowa nikomu, ani gdzieś jest, ani co czynię, niech o mnie pamięć zaginie. Zamilkł smutno.

— Świętej służby nie macie się co wstydzić, — dodał kapłan — lepsza ona pewnie, niż owa na koniu i we zbroi, z pychą w sercu i krwią na rękach. Ta krew, którą ty swoje ręce zmazał dla miłości mojej, nie plami cię przynajmniej i na duszę nie spadnie.

Braciszek popatrzył nań i drugie westchnienie z piersi mu się wyrwało.

— Mój ojcze, w infirmerii dzwonią do stołu, ja was poprowadzę, rękę podam, posadzę: potrzebujecie pokrzepienia.

— Dzień cały w ustach nie oprócz wody nie miałem, — rzekł kapłan — alem wigilię chciał pościć.

— Toć już i słońce zaszło — dodał, rękę podając, Franek. — Chodźmy.

Wyszli tak z izby szpitalnej Nieopodal znowu o kilkanaście kroków był refektarz infirmerii.

Stół zakonny rycerzy i braci, wedle reguły ich, nader był skromnym, w infirmerii tylko więcej i lepiej, chorym, gościom, pielgrzymom, przybyszom, stareom i tym, co wygody lubili, dać było wolno. Tu się często i zdrowy wprosił, aby zjeść smaczniej i więcej, bo w infirmerii nie zbywało na niczym: króle i książęta jeść tu mogli...

Refektarz był długi, jak wszystkie izby sklepione, a ogromny stół, wzdłuż ustawiony, na nogach krzywych, środek jego zajmował.

Z jednej strony oświecały go wąskie okna od dziedzińca, z drugiej stały szafy, stoły do naczyń i okiennicami opatrzone otwór, którym misy z kuchni obok podawano.

Na ścianie wnijsciu przeciwnej, na podstawie, z muru wystającej, stał posążek drewniany N. Panny Marii, malowany i złocony, a poniżej podobny św. Jana. Złocene też wstęgi około nich się wijące, zawierały napisy stosowne.

W lewo, pomiędzy oknami, mała ambonka dawniej służyła lektorowi który czasu obiadu Pismo Święte i legendy czytywał. Teraz już w infirmerii, oprócz błogosławieństwa i modlitwy, więcej nie czytać było we zwyczaju. Lichtarze u ścian, nie pozapalane jeszcze, z rogów jelenich miały przygotowane świece, które w nich tkwiły.

Gdy staruszek na próg wszedł, refektarz już był pełen, a zwijało się w nim tyle i tak różnych ludzi, że się zrazu, jakby nieco wylekły, u drzwi zatrzymał. Do

jedzenia jeszcze czas nie był przyszedł, a że stary stać nie mógł, braciszek go na ławie posadził, nieopodal ode drzwi, bo dalej iść namówić, nie mógł. Oczy wszystkich zwróciły się zaraz ciekawie na ubogiego patnika.

U stołu już siedziało kilku rycerzy zakonnych, stary jeden i zgrzybiały, kaleka drugi bez ręki, — trzeci, któremu otyłość bezmierna chorobą się stała i odpoczynek nakazywała. Było jeszcze dwóch, co się może chorymi czynili, aby lepiej zjeść za oczyma. Oprócz zakonników, siła było podróżnych, znać z rycerskich órszaków przybyłych książąt i baronów; byli i klerycy, a pisarkowie różni, i posłańce z Niemiec, i mieszczanie. Więc choć z cicha niby rozmowy się wiodły, a gwar był, jakby woda szumiała w strumieniu. Wśród tego szumu prysnął czasem śmieszek, jak kiedy się fala o kamień rozbije.

Ów otyły rycerz, choć nikt jeszcze nie jadł, z za pasa noża dobył i z bochenka chleba leżącego przed sobą krajał sztuki grube, smarował je masłem i chciwie pożerał. I tak był zajęty tą sprawą, że nie widział, jak na niego ze wszech stron patrzano, bo już był połowie bochna podolał i mógł śmiało cały pochłonać, sądząc z łapczywości, z jaką się raczył.

Księżyna z nogą chorą, nie mieszając się z gośćmi innymi, sparty na białym kiju, z boku na ławie siadłszy, czekał, ażby misy przyniesiono.

Braciszek szpitalny stał przy nim, ażeby mu rękę podać. Wtem jeden z rycerzy słusznej postaci, chudy, blade, zbliżył się do siedzącego i coś pomówiwszy z braciszkiem, a nie dowiedziawszy się może, co chciał, zwrócił się do starca.

— Skąd Bóg prowadzi?

— Ze śląskiej ziemi.

— Dobra ziemia — odparł rycerz — rodzi ona mężnych szlachciców, których tu dosyć mamy, ino ją polskie plemię zachwasciło, bo tam tego jeszcze dość...

Starzec głowę podniósł.

— Po Bożemu, jedno plemię nielepsze od drugiego, wszyscyśmy chrześcijanie, krwią Zbawiciela odkupieni.

Rycerz ramionami ruszył.

— Czy chrześcijanami są, i o tym wątpię — dodał, — a że tu na polskiej ziemi swej króla poganina plugawego mają, to pewna. Ale niedługo mu rogów przytrzemy.

Nie mówił nic ksiądz.

— Cóż po drodze słyszeliście? boście to przez kraje jego iść musieli.

— A coż mogłem słyszeć, od kościoła do kościoła idąc i po drodze się modląc? — rzekł staruszek — po kościołach dzwony, a po drodze słońce, pył i burze spotykałem.

— Przecież tam, słyszę, na gwałt się do wojny z nami sposobia?

— Mnie o pokoju mówiono — odparł ksiądz.

— Niech nas Bóg od niego uchowa — porywczo zawołał rycerz — stokroć lepsza wojna, niż taki pokój, jaki my mamy, w czasie którego w zbroi musimy stać, a dzień i noc czuwać... Raz z tymi rozbójnikami skończyć potrzeba.

I tymi wyrazy nie skłonił staruszek do rozmowy; wtem się wszyscy ruszyli, bo misy z rybami niesiono, i zapach imbiru a szafranu po izbie się rozniósł. Zajmowano tedy miejsca skwapliwie, a kto mógł, co najbliższej misy. W pośród gwaru odczytano benedyktję. Staruszek się w szarym końcu pokornie umiescił.

Szpitalny braciszek pozostał, przysiadłszy na ławie, aby księdza odprowadzić, gdy się posili. Jedli zrazu wszyscy w milezeniu, potem się po sobie rozglądali zaczęli. Jeden ze starych rycerzy, który ręką, przeciętą w boju, nie władnął, przysiadł się później do pielgrzyma, ciekawie mu się przyglądając. Był to człek chudej, pociągłej twarzy, z policzkami zapadłymi, oczu wysadzistych, ze skąpym zarostem na brodzie, a że zęby zjadł, szczęki mu zapadły dziwnie, co wyraz nadawało rysom szyderski i niemily.

Przyglądał się staruszkowi bardzo pilnie, a gdy ryby zjedli i drugie danie przyniesiono, trącił go, wpatrując się, i spytał:

— Gdzieś jam was widział?

— Być może — odparł stary — dużo po świecie się chadzało, w różnych miejscach bywało; a no, nie pomnę...

— I ja nie — mówił zakonnik, trąc czoło, — a przysiągłbym, że kiedyś spotykaliśmy się, i to nie tu na naszej ziemi, ale na obcej.

— Bywaliście gdzie dawniej? — zapytał stary spokojnie.

— Wiele — po Niemczech, Czechach, Łużycach, Śląsku, Polsce, Litwie i Rusi, ba i nad Renem, u Szwabów i Frankonów.

— Na Śląsku moja ojcowizna — odpowiedział kapłan.

Zakonnik ciągle się wpatrywał i dumal podparty na łokciu, w pamięci szukał widocznie czegoś.

— Nie bywaliście kiedy z Witoldem u nas?

— Nie — rzekł ksiądz — na jegom dworze nigdy nie gościł.

— A na Jagiellowym? — podchwycił zakonnik.

Ksiądz chwilę zamlezał.

— Młodszym będąc, lat temu wiele, pisarzem bywałem przy biskupie krakowskim, gdy innego brakło.

Rycerz wargę zagryzł.

— Widzicie, tośmy pewnie na jakim zjeździe dla rokowania spotykać się musieli. Ależ teraz w ich służbie nie jesteście?

— Bogu służę, a nikomu więcej — rzekł staruszek.

Zakonnik zamyślony w misę począł patrzeć i milczał czas jakiś, ale chwilami staruszkowi się przypatrywał.

— To dziw, żeście właśnie pod te czasy, gdy my się na wojnę zbieramy z Jagiellą, przybyli tutaj...

— Cóż mnie wojna obchodzi? — mówił stary — nie żołnierz jestem... prócz Chrystusów.

— Boćby was posadzić łacno, żeście tu podpatrywać nas przyszli? — mruknął zakonnik.

Stary spojrział zdziwiony i rozśmiał się.

— Ksiądz jestem...

— My sami zakonnicy jesteśmy — odparł ze śmiechem także krzyżak, — przecież, gdy trzeba, na zwiady się puszczaemy. Jam też nieraz przebrany na dworze królewskim z Czechami gościł!

— Wasz zakon wolny jest, — rzekł ksiądz — więcej dziś żołnierzami, niż mnichami nazwać się możecie.

— Jakto dziś? — podchwycił krzyżak — alboż się u nas co zmieniło?

Ostatnie słowa urażony rzekł wyzywająco. Staruszek oczy spuścił, namyslać się zdawał.

— Udercie się w piersi, pamiętacie czasy dawniejsze... Zaprawdę, zaprawdę, urósł Zakon w potęgę, ale potęga niesie z sobą pychę, a pycha wszystko zle.

Zakonnik się podparł łokciem i nasrożył.

— Ostre słowa, a w żywe oczy! — zawołał.

— Za oczymabyś ich nie mówił, lecz owszem broń was — łagodnie ciągnął stary. — Widzieliście siwe

włosy moje i choć ubogą, ale duchowną odzież. Nie godzi mi się kłamać, gdy wyzywacie, abym mówił.

— A no, milezę.

Czas jakiś potem trwało w istocie milezenie. Przy stole wila się rozmowa pomiędzy wszystkimi, otyły zakonnik kufle wypróżniał, sapał a pot ocierał.

— Wojna więc — rzekł ktoś z drugiego końca — a jeśli wybuchnie, znamy mistrza naszego, nie poprowadzi on jej miękką ręką i na żarty: walka być musi o życie lub śmierć. Z jednej strony Król Rzymski, Węgrowie, my z drugiej... Kto wie, po jakiej książce Witold stanie... Jagiello gardło dać musi, w Krakowie pokój zawrzemy!

— Amen — dołożył drugi.

— Myśmy zawsze grzeszyli tym, żeśmy się za rękaw komuś ciągnąć dali, a nieprzyjaciela szczydźli. Wyprosił papież, król, cesarz — układaliśmy się i cierpieli, a buta tego poganina rosła...

— Za pozwoleniem miłości waszej — przerwał powolnie stary ksiądz, na którego wszyseć oczy zwrócili. — Nie sądzę ja, kto praw a kto winien, bo to nie moja rzecz, ale co do króla Jagielly, prawda każe powiedzieć, że chrześcijanin jest gorliwy. Nie ma dnia, by choć późno, mszy świętej, a czasem dwóch i trzech nie słuchał, na łowy nawet z sobą duchownych wozi. piątki suszy i modli się na kolanach.

Niektórzy się śmiać poczęli, inni wybuchli gniewem.

— Jako żywo, nie jest to prawda — wyrwał się któryś z za stoła. — Z nieboszczykiem Konradem w. mistrzem, kilka razy jeździliśmy na granicę z królem na rozmowę. Widziałem go z bliska. Obyczaje ma pogańskie, a wiecie dlaczego? w lesie nade wszystko siedzieć lubi, aby się węzom modlił i pod starymi dębami zabobony swoje odprawiał. Samem widział, jak,

wychodząc z rana z namiotu, słomki łamał, rzucał i wkoło się okręcał, czyniąc gusła jakieś.

— A no tak! taki jest! — potwierdzali drudzy, patrząc w księdza, który milezał.

— Cóż wy na to? — podchwycił sąsiad.

— Przy swoim stoję — rzekł stary — chrześcijaninem jest.

— A myśmy chyba u was poganie! — zaśmiał się jeden ze starych.

— Nie wiem — odparł spokojnie pielgrzym. — Krzyż przecie na piersiach nosicie, a wierzę, iż go i w sercu macie.

Zamruczano za stołem.

— Co za jeden ten przybłęda? skąd?

— Pielgrzym, kapłan ze Śląska.

— Coś mu z ust źle słychać — szepnął jeden z braci. — Jagielly broni...

Wstał cichaczem któryś z za stołu i bocznymi drzwiami się wysunął.

Rozmowa ciągnęła się dalej, a oczyma mileżącego starca mierzono. Mrok się robić poczynął i świece w lichtarzach rogowych pozapalano. Niektórzy kuflami się zabawiali.

Staruszek więc wstał, ręce złożył i nie czekając benedykcyi a modlitwy, sam po cichu stojąc, modlić się zaczął.

Spojrzano nań z ukosa, jakby mu za złe wzięto, iż pobożnością swoją drugim chciał dawać naukę.

Z końca stołu starszy się ozwał:

— Należało poczekać z drugimi na modlitwę.

— Słaby, stary i skaleczony jestem. — zawołał kapłan — proszę o pozwolenie, bym na spoczynek mógł odejść.

Chciał się z ławy wysunąć, gdy sąsiad go po ramieniu ręką uderzył — stary zachwiał się i usiadł.

— Czekaaj, ojeza wielebny — dodał śmiejąc się — nim pójdziecie stąd, musicie mieć z kimś chwilę rozmowy...

Szyderski uśmiech słowom tym towarzyszył. Staruszek, nie odpowiadając nic, pozostał w miejscu: oczy wszystkich zwrócone były na niego. Spozierali niektórzy na drzwi, gdy te się otwarły, a w nich dwóch ukazało się knechtów z halabardami w rękach.

Siedzący obok księdza, uśmiechając się, wskazał starcowi na nich.

— Pójdziecie z nimi. — rzekł klepiąc go po ramieniu — a nie zapomnijcie co ciekawego powiedzieć o królu Jagielle.

Szpitalny braciszek, zobaczywszy knechtów wielkiego mistrza, pobladał nieco, popatrzył na księdza, który już kija postawionego w kącie szukał, i wysunął się z refektarza.

Kulejąc, szedł w milczeniu staruszek pomiędzy knechtami przez podwórze, nazad do średniego zamku, gdzie były izby dostojnych rycerzy i kapituły zakonu. U ganku wchodowego przez pacholka zameldowano do w. mistrza, że przyprowadzono nakazanego pielgrzyma.

Wyszedł w białym habicie mnich z twarzą ogoloną, duchowny, i pokazał drogę przez krużganki i korytarze do wnętrza.

Po sklepionej komnacie niewielkiej przechadzał się w ubiorze rycerskim mężczyzna słusznego wzrostu, pięknej twarzy, z oczyma czarnymi bystrzymi, gdy księdza wpuszczono. Stał, zobaczywszy go i mocno wpatrywać się w niego zaczął.

Postawy był pańskiej, a choć oznak na sobie żadnych dostojenstwa nie miał oprócz łańcucha złotego na piersiach, a na palcu pierścienia, poznać było łatwo, iż wysoki urząd w zakonie musiał piastować. Z dumą patrzył, z wysoka i z wielką wrokością potęgą.

— Nie doniesiono mi fałszywie — odezwał się po chwili — i ja sobie przypominam żeś was przy królu, albo Witoldzie widywał?

— Przy pierwszym raz tylko pisarski urząd czasowo sprawował — odparł ksiądz — a drugiemu nigdy nie służyłem.

— Nie zapierasz więc? — żywo podstępując, rzekł mężczyzna.

— Prawdy zapierać się nie mogę.

— Więc i reszty jej dopowiedzieć powinienieś — dodał zakonnik. — Kto cię tu posłał?

— Mnie? posłał? — spytał stary — mnie? A któż i po co by mnie miał tu posyłać?

Uśmiechnął się wzgardliwie rycerz.

— Wiecie, kto jestem? — spytał.

— Domyślam się w was najwyższego mistrza Zakonu...

— Nim też jestem.. w moim ręku życie wasze.. Mówcie prawdę całą, kto was tu szpiegiem posyła?

Ksiądz położył znak krzyża na piersiach.

— O, panie mój! — zawołał — suknia moja kapłańska za mnie świadczyć powinna. Dlaczego posadzacie mnie?

Wielki mistrz rozśmiał się, ręką potrzásając, jakby nakazywał milczenie.

— Macież nas za tak prostodusznych, abyśmy uwierzyli? Wojna się zbliża... wy do orszaku króla należcie, a pewnie należycie, potajemnie przybywacie na zamek, wkradacie się do niego i ja mam uwierzyć, że to z nabożeństwa, lub dla zabawy czynicie?

Począł się śmiać. Starzec zamilkł.

— I ja mam was wypuścić na swobodę, abyście im zanieśli o nas wieści, a może i o innych zamkach i wojskach naszych. W istocie chytry król dobrze sobie

wybrał posła. Któż na starca i kapłana zważa? Ale my mamy dobre oczy i podejść się nie dajemy.

— Mistrzu, — rzekł stary — nie będę mówił nic na moją obronę. Stoi oto krzyż Chrystusów z wizerunkiem Zbawiciela podle was, złożę wam nań przysięgę, żem niewinny.

— Po co mi przysięga i krzywoprzysięstwo, gdzie wina jawna, a występny schwycony na uczynku? Przyznajcie się lepiej, powiedzcie, kto was posyła, powiedzcie, gdzie król i wojska jego... skrucą się wykupicie.

— Ja idę ze Śląska, a modłę się przez drogę, nie wiem nic — jęknął staruszek. — Za świadka niewinności mej biore N. Pannę Marię, do której obrazu ciągnąłem.

Spuścił głowę staruszek, sparł się na kiju i dokończył, jakby sam do siebie:

— Stań się wola Twoja...

— Jeśli po dobrej nie zeznacie woli — rzekł mistrz — znajdzie się u nas kat i łoże, i cęgi, i sznury, i ruszt... nie czekajcie, abym ich użył.

— W ręku Boskim życie i zdrowie moje, czynicie co wola wasza, a pomniście, że Bóg jest na niebie, co pomści niewinnego.

— Na sąd Boży mnie wyzywacie? — zaśmiał się mistrz — wy... robak jeden.

— Kapłan... — przerwał stary z godnością.

Mistrz Uryk począł się przypatrywać starcowi, który pod groźbą nabierał powagi i majestatu.

Nie był to już ów przed chwilą zgity i pokorny starowina, przed powagą mistrza schylający głowę: czoło podniósł i oczy wlepił śmiało w Uryka.

— Słę cię do więzienia i na męki — odezwał się mistrz.

— Panem jesteś, — rzekł kapłan — czyn.

Stali oba milczący, mierząc się oczyma; przez chwilę mistrz się zdawał zachwianym.

— Przebaczę wam, jeśli mi powiecie, co czyni król, gdzie obóz, gdzie Witold? Idą-li Ślązacy i Czechowie a Morawianie na pomoc? Ile chorągwi zaciężnych?

Oburzył się stary i poruszył.

— Mistrzu! — zawołał, podnosząc rękę do góry — czyn ze słabym, co chcesz... Nie króla Jagielly i jego chorągwi, nie księcia Witolda z jego Rusinami i Tary obawiać się masz. Ja ci powiem o innych nieprzyjaciolach daleko niebezpieczniejszych, którzy zakon zwyciężą i obalą.

Mistrz stanął osłupiały.

— Nie wojska te, ale niebieskie zastępy wyjdą przeciw wam, z Archaniołem Michałem, jak niegdyś przeciw zbuntowanym aniołom. Zabiją was nie strzały nieprzyjaciela, ale grzechy wasze...

Uryk, nie otwierając ust, słuchał zdumiony.

— Tak — ciągnął staruszek, poruszając się coraz więcej. — Chrześcijańskim zowiecie się zakonem, a ducha Chrystusowego nie macie... a pychę szatańską. Nie pogany wojujecie, ale potęgi się dobijacie i bogactw dla siebie; nie w pokorze i posłuszeństwie żyjecie, ale w zbytkach i zniewieścianości, nie w miłości, ale w nienawiści i zatargach. Grzechy wasze są wrogami, co was pobiją.

Nie mówiąc nic, mistrz w dłonie uderzył, zakonnik ukazał się w progu.

— Oddać tego kaznodzieję knechtom! — zawołał. — Trzeba poszanować suknię kapłańską. Ptaszek to drogi i niepospolitym duchem zagrany, nie można go wrzucać do ładu ciemnicy... należy uciec, jak należy. Wszak wolny sklep Witoldowy? Tam, gdzie siedział pan jego, niech sobie staruszek odpocznie. Wygodnie mu tam będzie i bezpiecznie...

Mówił z szyderskim wyrazem, gdy knechty pokazywali się już w progu, a za nimi oczekujący wcześniej klucznik z trzosem u pasa.

— Dać mu sklep Witoldów — dodał mistrz — wszak to nieopodal kościoła, będzie się mógł modlić, dzwonnów słuchając.

— Bóg zapłać — rzekł staruszek, kijem się podparł i wyszedł.

Knechty go z dwóch stron między siebie wzięli, szedząc przodem klucznik stapał, oglądając się niekiedy. Wyszli w podwórze, w którym ciemno już było i pusto. Gmachy stały czarne i wszędzie prawie ognie były pogaszone, gdzie nigdzie tylko z poza błon błyskało mdle lampy światelko. Na czarnym sklepieniu niebios spokojnie gwiazdy polyskiwały.

Z nogą okaleczoną starzec ledwie się powoli mógł poruszać, więc knechty popychali go i ciągnęli, bo ich klucznik wyprzedzał. Tak się zbliżyli nieopodal od gdańskiej wieży, kiedy było do lochów wnijsie, piekarni i kuchni i spuścili się kilka schodów w głąb. Klucznik wprzód lampkę zapalił w izbie u strażnika. Mury podziemia grube i nie okryte niczym, ponuro wyglądały... straszniej jeszcze okowane, ciężkie drzwi żelazne, drągiem zaparte, w których za kratą małe na zawiaskach widać było okienko.

Klucznik, choć ogromną dłonią jedną i drugą, pochyliwszy się i naparłszy sobą, cisnął je — nie mógł poruszyć, aż knecht pomógł i na wrzeciadrach zarzewiałych odchyliły się drzwi, a za nimi ukazało się wnijsie wąskie, w prawo i lewo dwie komórki ciasne, pewnie dla straży. Tuż naprzeciw drugie drzwi blachą okute otwierał już stróż i sam poprzeciwił pielgrzyma, rozpatrując się w zatęchłym sklepie.

Była to izba na pół w ziemi, o jednym oknie, ze wsząd grubymi drewnianymi balami obita, które że-

lazne pasy do muru przyciśnięte trzymały... "Z takichże balów łożo usłane, nagie, ceglana posadzka zimna, kurzawa i ziemią zasypiana, nie było więcej nic.

Klucznik się obejrzał, bo ani dzbana z wodą, ani słomy na posłanie nie było.

— Na noc i tak dobrze — mruknął.

Ksiądz znużony, już był na łożo przypadł, nie prosząc o nic, nie mówiąc nic, spuściwszy oczy, modlił się. Knechty popatrzeni nań ciekawie, spojrzali nań i stary klucznik, po czym do drzwi powrócili wszyscy: ostatni wyszedł stróż i na rygle drzwi spuścił jedne i drugie. Ciemności otoczyły starca i nierychło trochę nocnego mroku dojrzał u góry w oknie kraciatym.

— Bogu niech za wszystko będą dzięki — szepnął, składając znużone członki na deskach.

Gdy z pokorą więzień szedł na spoczynek, w izbie wielkiego mistrza gwar jeszcze panował i powiększył się po uprowadzeniu staruszka.

Oprócz Ulryka Jungingen, znajdował się tu komtur z Tucholi przybyły, Schwelborn, w. szpitalnik, który pielgrzyma przyjmował, i wielki komtur, Kuno von Lichtenstein. Na stole widać było kubki srebrne i szklane ponalewane winem i misę pełną migdałów, rodzynek i fig. Wielki mistrz siedział zamyślony, inni się przechadzali, a rozmowa była żywą.

— Zaraz z oczów tego chytrego węża wyczytałem, — mówił w. szpitalnik — że nie pobożność go tu przyprowadziła.

— Aleć to jawna, że darmo się nie włókl; — gwałtownie dodał Schwelborn — koń mój też czuł w nim wroga, gdy mu nogę zdusił w bramie.

— Jagiellę trzeba znać — rzekł Ulryk — i cały ten ród litewskich kunigasów, którym nigdy wierzyć nie można. Dawnoż to Witold, gdyśmy gródek nad

Dubissą wznosili, drzewo nam ze swych puszczy wozieć kazał i własnych cieśłów przysyłał w pomoc?

— Może dlatego, aby mu oni donieśli, kiedy do gródka wniście będzie łatwiejsze — szydersko dorzucił Schwelborn. — Jadowite żmije.

— Starego szpiega jutro na łożo wziąć, a pociągnąć go sznurami dobrze, żeby mu stawy powyskakiwały: wyśpiewa wszystko.

— Szpieg, to jawna! — mówił Lichtenstein, w komtur — czy się przyzna, czy nie, wątpić o tym nie można. Pełne ich są gródki nasze i miasta, tak, że żebraków, nie pytając nawet, wieszać każę, bo w ich łachmanach zdrada chodzi...

— Lada dzień wybuchnie wojna — i to są znaki, co ją poprzedzają zawsze. — przerwał w. mistrz — zatem w gotowości być musimy na pierwsze hasło do boju. Z Czech i Orawy do Polski pociągnęły pulki zaciężne. Na Mazowszu trzebią dla wojsk drogi po lasach Król z Witoldem i mazowieckimi panami nieustannie zjadają mają.

— Bogu niech będzie chwała! Bogu chwała! — wybuchnął Schwelborn — przynajmniej moje miecze raz się krwią ochrzcą, co je dla nich dawno chowam! Wojna! tośmy też gotowi... Komturowie wszyscy na zawołanie czekają, w chełmińskiej ziemi po zamkach patrzą tylko na blankach i czatują, rychło pierwsza luna się ukaże: skoczmy do boju weselej, niż chłopcy do tańca!!

— Daj to Boże — rzekł w. mistrz — bo o pokoju mówić już nie ma co... ani się go spodziewać. Miecz musi rozstrzygnąć.

— I krew — dodał Schwelborn. — Niech się to raz skończy i niech nas rozgrodzą pustynie.

Mistrz Ulryk westchnął.

— Wszystko kładziemy na szalę — rzekł — ważym wiele!

— Bóg z nami! — wołał Lichtenstein — Bóg Zastępów z nami. Myśmy tu przodownicy wiary i światła... barbarzyństwo to raz wytepić potrzeba i ziemię, przez papieży i cesarzy nam daną, do nas należącą, krwią naszą zbroszoną, zająć powrotnie. Z ludu tego nie ma co się dobra spodziewać. Uparty jest i dziki, wyniszczyć go; niech przyjdą nasi z Niemiec i zaludnią na nowo kraj., lepiej nam tu będzie niż gdzie indziej na piaskach i wydmach; tu ziemia obiecana, mlekiem i miodem płynąca, Niemców jej tylko potrzeba, a zakwitnie. Ta dzieć na wieki dzieć pozostanie.

Ulryk westchnął znowu.

— Prawdą jest, co mówicie — dodał — a przecież tyle jest żalob i skarg na nas, że zamiast chrześć, tępimy ludzi, iż do nowych powodów dawać nie należy.

— Cóż nam te krzyki szkodzą, co one nas obchodzą? — zawołał Schwelborn. — *Ego te baptiso in gladio* najbezpieczniejsza rzecz, bo już apostazja niemożliwa, a duszyczka zbawiona.

Roześmiali się wszyscy, oprócz mistrza.

— Losy wojny niepewne — szepnął.

— Byle wojna! byle raz wojny doczekać, — krzyknął Schwelborn, wyciągając ręce do góry — byle wyjechać w pole, reszta się dokona. — Mogaż oni przeciwko nam się utrzymać? Cóżto to Witoldowe wojsko: dzieć z pałkami, na pół naga, Tatarzy i Ruś, u których żelaza brak nie już na piersi, ale w ręku nawet... Lepiej zbrojne wojsko Jagielly, lecz i tego się nie zlekniemy... Są na nie sposoby!

Lichtenstein zbliżył się do w. mistrza.

— Pewnie, że żadnymi gardzić nie można — rzekł cicho. — Do Czechów i Morawian posłać trzeba; choć językiem mówią podobnym do Polaków, ale z Niem-

cami żyją i braca się. Są między nimi tacy, których zyskać można... Niech się zaciągają dają... Owszem, Przyjdzie do boju, niech stają do szeregu, a jak wal-ka się rozpocznie na dobre, będą wiedzieli, co czynić.

Wszyscy potakująco głowami ruszyli.

— Toć rzecz właśnie spełniona — rzekł mistrz pół-głosem. — Do Jana Sarnowskiego, który zaciągnął cho-ragiew Czechów i Morawian prowadzi, posłano i zgo-da z nim stanęła: albo przeciw nim się obróci, lub wcale bić się nie będzie.

Cichym mruczeniem objawili wszyscy, że się do-brze stało.

— Przeciw takiemu nieprzyjacielowi, jak Jagiello, wszystkie środki dobre — mówił mistrz — bo i on nie innych używa. Przeciwno poganom też dopuszczono jest szukać wszelkich sposobów, aby z tego pluga-stwa ziemię oczyścić, a co są innego ci ludzie, co prze-ciw krzyżowi śmia walczyć, jeśli nie poganie?

— Od pogan gorsi — zawrzeszczał Schwelborn — bo się przybierają w szaty chrześcijan, aby im szkodzili. Z poganina chrześcijanin być może, z tych ludzi nie nigdy dobrego.

Tak gwałtownie się unosząc i wykrzykując, sie-dzieli długo, aż mistrz wstał. Godzina była późna, żegnać się więc poczęli, i mistrz pozostał sam, pachol-ków wołając, aby mu do snu łożę przygotowano.

Obok komnaty, w której się narada i owa gwarna odbywała rozmowa, była sypialnia mistrza, niby cela zakonna, ale po książęcemu strojna i w zbytkowne opatrzona wygody. Tu szaty zwierzechnie ściągawszy, Ulryk miał już odprawić służbę, gdy pacholę szepnęło mu słowo jakieś i mistrz się płaszczem narzucił, choć z twarzy widać było, że nierad to czynił.

W progu pierwszej izby, którą tylko co opuścił, stał w sukni zakonnej człowiek wstrętliwej twarzy,

z kosym wejrzeniem, zacierając ręce i wcześniej schy-lając głowę pokornie.

Sposób, w jaki mistrza witał, nie byłby się dozwalał domyślać w nim jednego z dostojników zakonu. Był to wszakże podskarbi Thome von Merheim, słynący z przebiegłości mąż, niewiele mówny, skryty, lecz wpływu nie małego u wszystkich używający. Nie lubił go w. mistrz, bo się ich charaktery nie godziły z sobą, bo rycerskim był pierwszy, drugi wężowym; lecz ule-gać musiał, doświadczywszy owocu rad jego.

Merheim łysy był, brodę miał rzadką, zęby żółte i popsute, cerę oszpeconą czerwonymi plamami.

Cała jego postać odrazę budziła.

— Słowo mam rzec — szepnął, zbliżając się, — a miłość wasza wysłuchać mnie musisz, bo sądzę, że nie bez wagi będzie i nie bez pożytku.

— Późna godzina — rzekł mistrz.

— Innej nie mamy — mówił z naciskiem Merheim — we dnie was ludzie odrywają i po dniu jawne sprawy załatwiać należy, a nocą tajemne. Wiem, że wy wo-licie na nieprzyjaciela do rycerskiego brać się oręża, że w was wstręt budzi, gdy się do podstępu uciekać trzeba, ale my nie opuścić nie możemy. Ze słabości nie-przyjaciela korzystać, to rozum cały.

Mistrz zdawał się znudzony, siadł, obwijając się płaszczem.

— Mówcie — rzekł cicho — Sarnowskiego wedle rady waszej kupiono. Czegóż więcej chcecie?

— Toć nie jeszcze, — mówił, trąc ręce, Merheim — mały zysk i niepewny. Lepszą wam radę daję. Mamy naszych u dworu Jagielly: znać go trzeba. Ciągnie on, królową Annę zostawiwszy w Nowym Korczyniu, nie z wielką pono ochotą, ale party przez swoich i wi-dząc, że nie uniknie wojny. Podejrzliwy jest i zazdros-

ny, do miłostek skłonny, zabobonów pelen, czemu nie korzystać z tego?

— Cóż nam po tym? — spytał mistrz niechętny.

— Wiecie, że ową świątobliwą niewiastę Jadwigę, pierwszą żonę swą, przecież podejrzewał! Anna Cylijska niepiękną jest, ale jeszcze młodą, czemu by na nią podejrzenie zręcznie rzucone być nie miało?

— Ale cóż nam po tym? co nam po tym? powtarzam — odezwał się Ulryk.

— Jakto? Zarzewiem go piec będzie głupia za zdrósć, — mówił, rozogniając się, Merheim — porzuci obóz, wojsko, wojnę, a poleci pilnować małżeńskiego łóża.

— A jakże podejrzenie to zrodzić się ma? — spytał Ulryk.

— Trzeba kogoś, co by je rzucić umiał, a nikt lepiej tego nie dokaże nad kobietę.. Cóż powiecie, gdyby mu czar zadała, albo i napój jaki.., a myśmy się pozbyli nieprzyjaciela, aby na chwałę Bożą pracować spokojnie?

Ze wzgardą popatrzył mistrz na śmiejącego się podskarbięgo.

— Ciemno mi to jakoś i, powiem prawdę, brudno i czarno wygląda; — odparł mistrz — z orężem w rękę walczyć, a życie i gardło dać, to rozumiem, ale tak..

— Boć to nie wasza sprawa, — pośpieszył podskarbi — ani wam się godzi mieszać do tego. Idzie o to, abyście przyzwolenie dali: podejmie się tego za grzechy swe kto inny...

— Czego? — zapytał Mistrz.

— Całej roboty... wyboru ludzi, bez których się nie obejdzie, pokierowania siecią, aby ryba wpadła, wyciąganiem na brzeg i reszty.

Zamachnął ręką.

— A cóż mi po tym, choćby go nawet nie stało? — zawołał mistrz niechętnie — ażali tam nie ma wojownika Witolda i mazowieckich książąt, i rycerstwa, i wojewodów?

— Lecz wodza odjąć w chwili walki, albo go spoić i głowę mu zawrócić, małaż to rzecz? — mówił Merheim. — Tu o losy zakonu idzie! Miłość wasza znasz jedno: w pole iść i bić się, ale w polu różnie bywa. Obiecują się nam wszyscy, a wielu z nich dostoi? Król rzymski, Zygmunt, na dwóch stołkach siedzi; Węgrzy wojnę zapowiedzą, a nie wyjdą, ani się pochowają. Ma Zakon siły, lecz czy równe tym, z którymi walczyć będzie? ja nie wiem. A to wiem, że gdy szala nie doważa, rzucić na nią czy flaszkę z napojem, czy kobietę, czy szatana, byle na naszą przechyliła się stronę, powinność każe zakonna.

Zamyślony głęboko siedział mistrz, jakby ważył słyszane słowa.

Czemużeście tu nie byli przed godzinami kilku — ozwał się, — a nie słuchali, co mi tu jakiś starzec rzucał na głowę? Burzyła się dusza moja, słuchając, i kazałem go zamknąć do sklepu, a słów jego zapomnieć nie mogę, bo czy Bóg przezeń mówił, czy on sam, słowa to były wielkie i jak ołów a kamienie na duszę padały. Mówił — tu mistrz wstał poruszony — mówił, że zakon ginie grzechami własnymi, bo krzyż ma na piersi, nie w sercu... Któż wie, czy nie wojują przeciw nam winy nasze?

Ironicznie począł się uśmiechać podskarbi.

— Dla zakonu — zawołał — grzech chętnie wezmę na duszę moją! Zakon... dla mnie i dla waszej miłości winien być wszystkim. Grzeszny dziś, jutro może stać się czystym, a przy życiu go utrzymać zmusza obowiązki i przysięga. Co po tym, gdy zginiemy święci?

Ja grzech na duszę biorę, powtarzam, będę gorzał w piekle, ale zakon ocalić trzeba.

— Któż wam mówi, że zakon zginać może? — zapytał mistrz zdumiony.

— Nie ludźmy się — zniżywszy głos, dodał podskarbi, — niech drudzy potęgę Jagielly a Witoldową umniejszają i w nią nie wierzą, my między sobą obliczmy się. Ściągnawszy do ostatniego komtura i knechta, przeciwko Mazurom, Litwie, Żmudzi, Smoleńszczanom, Rusinom i ich sprzymierzeńcom jest nas za mało. Mówią, słomiane to rycerstwo, a nasze żelazne; ale dwudziestu słomianych żelaznego obalą. Zakonowi grozi zguba, ja go ratować chcę, choćby dusze zatracić.

— W zgubę nie wierzę! — przerwał mistrz.

— Wiercie w niebezpieczeństwo, a dozwólcie mi ratować się, jak umiem. Co szkodzi, jeśli garstką lez strumień krwi można oszczędzić.

— Byle nie błotem! — rzekł Ulryk.

— Choćby kalem — sprzeciwiał się podskarbi. — Chcecie czterdzieści tysięcy złotych dać Zygmuntowi, aby im wojnę zapowiedział? Weźmie on je, ale wojny nie zrobi. Dacie Sarnowskiemu za zdradę, weźmie i was zdradzi, a ja mu szatana podeślę i ten mi się lepiej sprawi, niż króle i wodze. Zwinie się Jagiello ukaszony, zamęt mu u łóżnicy, w namiocie, w obozie zgotują, nie licząc tego, że nam donosić będą o każdym jęku królewskim.

Mistrz kilka kroków odstąpił milezący. Podskarbi śmiał się.

— Już od was nie proszę nic, prócz kiwnięcia głową, możecie o niczym nie wiedzieć, od wszystkiego ręce umyć i brzydzić się nawet tym, byłem ja wiedział, że nie samowolnie postąpił.

winnej zaciąży na szali Bożej, ja się zań ofiaruję na próbę, na mękę, na przysięgę gotów.

Mówił, jakby na pół przytomny, z pośpiechem gorączkowym, wciąż się oglądając na księdza, to na trybunał i drżąc ze strachu.

— Człowiek to Bogu i modlitwie oddany cały, jakżeby mógł myśleć o zdradzie, służyć mocarzom ziemskim!

— Przecie służył im! — zawołał podskarbi — sam to zeznał.

— I to, co zeznał, prawdą jest — mówił braciszek — ale niewinna, a co rzekł, to święte, bo nigdy w życiu ust kłamstwem nie skalał.

Złożywszy ręce, jak do modlitwy, braciszek klęczał. Z dolnej sali starzec nań patrzył, jeszcze będąc w rękach katów, i lzy mu ciekły, podniósł nieco palce, błogosławiąc z dala swojego obrońcę.

Z twarzy Merheima i zasiadających u trybunału widać było, że im niemal w niesmak i nie w czas przyszło to świadectwo. Naradzali się.

Skinął podskarbi na pacholków, ażeby księdza puścili. Jeden z nich podniósł z ziemi zrzuconą suknię, którą staruszek, drżąc, wdziewał na powrót.

— Do jutra! — zawołał sędzia uroczyście. — Odprowadzić go do więzienia.

— Pozwolicie mi, abym z nim szedł? — rzekł braciszek.

Żądanie zdało się dziwnym. Nie nie odpowiadając, skinął podskarbi na braciszka, aby do drzwi się cofnął.

Wypuszczony z rąk oprawców, ksiądz z trudnością się po schodach wdrapał do górnej sali i przykląkł, aby podnieść kij na podłodze leżący. Dwaj knechci mieli go odprowadzać, gdy Merheim zbliżył się ku niemu.

— Macie czas... Zakon miłościwy jest, jak na zakonników przystało... winniście mu wdzięczność.

Wzruszony starzec nie mógł, czy nie chciał odpowiedzieć nic. Wiedziono go już do drzwi, wtem podskarbi knechtów ręki skinieniem odprawił.

— Chodźcie ze mną — rzekł — nie do więzienia, lecz abyście spoczęli. Chcemy wierzyć, żeście niewinni, a ufamy, że nam sprzyjać będziecie. Siostrę macie w Toruniu, pojedziecie do niej pod strażą. Czegóż więcej pragnąć możecie?

Ksiądz głowę uchylił.

We drzwiach stojącemu jeszcze braciszкови, obrońcy, oddał go podskarbi, poszeptawszy mu na ucho. Uradowany chłopak podał staremu rękę i z synowską czcią a miłością powoli z nim korytarzami wyszedł na światło dzienne.

Dziedzińce, jak wczoraj, pełne były, a może gwarniejsze jeszcze. Posiodlane konie czekały na zakonników i rycerzy, odjeżdżających do Święcian, Tucholi, Balgi, Torunia i Elbląga. Tłum sług związał się koło nich. Wyprowadzano działa i z wozów zsypywano kule kamienne. Z kościoła słychać było śpiewy pobożne, dzwony były na wieżach, a słońce letnie w całym blasku oświeślało obraz ten ożywiony.

Okolo infirmerii wstrzymał się braciszek, aby do stać klucz od osobnej celi, do której miał zaprowadzić staruszkę.

Weszli znowu w korytarze sklepione, a z nich do izby, z której się widok na szeroką, zieloną okolicę nad Nogatem otwierał. Cella była przestronna i opatrzona we wszystko, co pielgrzymowi potrzebnym być mogło. Chłopak okno otworzył, biegając prędko, stolki poprzysuwał, dzban porwał, by wody przynieść, księdza posadził i, uśmiechając mu się radośnie, wybiegł dla dalszej posługi. Stary dziękował mu ręką i wzro-

kiem; pomimo mocy duszy przybitym był i znękanym, mówić mu było ciężko. Oslabł też, nie nie jedząc od wczoraj i pierwszą kroplą wody tu dopiero zwilżywszy usta. Zwrócił przez okno wzrok na wesoły kraj, na żyzne łąki, na dalekie osady... pomyślał może, co z nich uczyni wojna i pożoga, i oczy mu się łzami zwilżyły.

Po tej nocy niegościnnej nastąpiło przyjęcie inne, jakby dla zatarcia jej pamięci. Braciszek szpitalny śpieszył z polewką, niósł potrawy, znalazł kubek wina, aby starca posiłkiem odżywić. Na to do skromnego życia nawykłemu niewiele było potrzeba.

Jeszcze miski stały na stoliku przed nim, gdy wszedł podskarbi z twarzą weselszą.

— Ojcie mój — rzekł — do siostry chcieliście jechać do Torunia. Wóz dla was przygotowany, ja też tam jadę, wszystko więc po waszej woli. Nie miejcie do nas żalu, czasy są ciężkie, losy zakonu zawisły od tych godzin, w których się waży przygotowania wojenne; my nie dla korzyści swej, ale w sprawie chrześcijaństwa pracujemy i troskamy się.

— Bóg dobrej sprawie pomoże — odparł stary — a wam politowanie wasze nad wiekiem i nieszczęściem zapłaci.

— Więc w drogę! — dodał podskarbi — ja na koń niebawem siadam, wy na wóz.

Nagła ta zmiana w usposobieniach z trudnościaby się wytłumaczyć dała, gdyby nie dziwny zbieg okoliczności, który staruszkę potrzebnym czynił dla zakonu.

Merheim, już na pół odziany do podróży, zapukał do celi mistrza. Wpuszczono go natychmiast.

Ulryk właśnie odprawiał komtura grudziądzkiego, który na gród powracał, gdy podskarbi stanął w progu.

Po wyjściu jego zostali sami. mistrz posepnie spoglądał na uśmiechniętego Merheima.

— Jąde do Torunia — rzekł z pośpiechem podskarbi. — Patronowie zakonu czuwają nad nim, wszystko się składa jak najpomyślniej, nawet to, co nam się groźnym zdawało. Stary ksiądz, co nam się podejrzanym wydał, niewinnym się być zdaje. Co dziwniej, jest bratem osoby — dodał Merheim, — którą mam na myśli podesłać ku królowi, aby mu słabą głowę zawróciła do reszty. Ksiądz mi się przyda, aby jej towarzyszył w podróży i od napaści ochronił. Nie zdradzi nas, bo o Bogu i niebie myśli, włosienicę nosi i paskiem koleczastym się opina. On też nie wiedzieć nie będzie. Niewiasta wybrana nie jego siostrą, ale szatana byćby mogła... Tym lepiej.

Śmiał się Merheim, mistrz nie dobrze zdawał rozumieć nawet... ruszył ramionami.

— Wasze to sprawy, bracie, — rzekł — pomnijcie tylko, że zbytńia przebiegłość często zawodzi.

— Gdy jej Bóg nie pobłogosławi — dodał podskarbi — a na Jego pomoc rachuję.

— I ja też! — westchnął mistrz — a ta jest najpewniejsza obrona i puklerz nasz! Gdybyście niewiast nie używali, stokroćby było lepszym — szepnął Ulryk.

— I trucizna lekarstwem stać się może — dokończył, skłaniając głowę, podskarbi.

— Amen — zamknął mistrz. — Jedźcie z Bogiem.

— Z Bogiem zostańcie.

Wkrótce potem orszak złożony z kilku zakonników, towarzyszących Merheimowi, wyruszył z bramy malborskiego zamku, a wśród niego szedł wóz, na którym siedział staruszek, odmawiając pacierze.

W początkach już XV wieku Toruń liczył się do najpiękniejszych miast w Prusach szczęśliwym i wdzięcznym położeniem swoim. Piętrzące się mury

— Pochwalam wielce gorliwość waszą, buduję się nią — odezwał się mistrz — lecz, bracie mój, ten zakon, który ocalić chcecie, płamę na białym płaszczu mieć będzie.

— Sprawimy mu płaszcze nowe — zawołał Merheim szydersko.

Wyciągnął ręce obie ku Ulrykowi, który się ku sy-pialni cofał i na progu stanął zamyślony.

— Byliście kiedy na łowach? — zapytał powoli.

— Jakto?

— Bywaliście na łowach? — ciągnął mistrz. — Trafia się często na nich, że niedźwiedź czleka weźmie pod siebie, nadbiegną strzelcy ratować, pali niezręczny obrońca, lub puszcza pocisk i ubija człowieka miasto niedźwiedzia. Bracie mój, bodajecie owym kusznikiem nie byli.

— Gdybym nim był, — chłodno rzekł podskarbi — nie strzelałbym, a na swe miejsce zręczniejszego posłał.

— Stoicie przy swoim? — spytał Ulryk.

— Z żelazną wolą.

— Macież owe narzędzia, których chcecie, w gotowości?

Merheim pokorną przybrał postawę.

— Znajdą się — rzekł cicho.

— Jakto? i.. niewiasta?

— Choćby i niewiasta — przelknął, błyskając oczyma, podskarbi.

— A pomocnicy?

— Ci już w miejscu, na dworze, przy królu; tych pewien jestem: płacę ich i trzymam cyrografami na uwięzi.

Zdumiał się mistrz Ulryk, ramiona mu się poruszyły.

— Jeszcze jedno powiedzieć wam muszę — rzekł eicho. — Jeśli się powiedzie, wiedzieć nie chcę; jeśli się noga powinie, a rozgłosi, zaprę, przeklnę, ukarzę..

— Jak najsurowiej: więzieniem, sądem, śmiercią — dokończył Merheim. — Ja inaczej tego nie rozumiem. I skłonił głowę z pokorą wielką.

— Zakon przede wszystkim, sława zakonu, dobro jego, całość. W ogień zaś pójdę, a jak widzicie, i w błoto.

— W błoto! — machinalnie powtarzał Jungingen — aby rzeczono: *ex lutho Marienburg*. — I głowę spuścił na piersi.

Podskarbi skłonił się, wpół zginając, chciał odejść już i cofał się w tył, schylony, ręce złożwszy na piersiach, gdy mistrz go odwołał raz jeszcze.

— Król w podróży? gdzie i jak możecie znaleźć środki?

— To są moje tajemnice, — uśmiechnął się Merheim — wasza rzecz walczyć, moja kopać dolki pod ziemią. Nie chcieliście o niczym wiedzieć i lepiej, żebyście nie wiedzieli. Zrzućcie brud wszelki na mnie, a zasługi na siebie weźmiecie.

Mistrz ruszył ramionami i zamilkł, lecz z twarzy widać mu było, że niebardzo chętnie i jakby zmuszony przystawał.

— Miłość wasza — rzekł Merheim pocichu, zbliżając się do niego — mieliście dowody mojej miłości i poświęcenia dla zakonu; uwierzcie, że i teraz dla miłości jego wszystko poświęcę. Walczyć w polu piękna i wielka rzecz, ale trzeba, by ktoś w domu i poza obozem posiłkował. Z nimi wojna nie jednym żelazem prowadzić się powinna: musimy chytrąść przeciw przebiegłości ich postawić. To moja rzecz. Wy tym sobie rąk nie kalajcie..

Bił się w piersi, nalegając a patrząc w oczy mistrzowi, jakby zezwolenia jego tylko czekał i dopraszał się.

— Dobrze — rzekł Ulryk zamyślony — czyńcie, co należy, co widzicie potrzebnym, zdaję na was odpowiedzialność i zasługę. Zwolnijcie mnie też od przykrek sprawy, którą także wam powierzyć potrzebuje. Doniesiono mi o szpiegu na zamku... kazałem go uwięzić i w Witoldowym sklepie osadzić.

— Dobrzeście uczynili.

— Sumienie mnie gryzie, duchowny jest i na krzyż chciał przysięgać, że złych nie miał myśli.

— Znamy się na przysięgach! — pochwycił podskarbi.

— Zdaję indagacją i los więźnia na was. Rozumiecie mnie!! Czyńcie z nim co zechcecie. Nie powiem nie, gdy go uwolnicie, ani zaprzeczę, gdy go na czas wojny zamknąć każecie.

— W „Witoldzie“ kazaliście go osadzić? — zapytał podskarbi — honor wielki dlań i za dobry loch dla starego łotra. Wezmę go jutro na męki: musi wyznać wszystko.

— Z mękami nie śpieszcie, — przerwał Ulryk — człek mi się zda niebardzo winnym, choć i ja go sam i drudzy na dworze Jagielly pisarzem widzieli, czego się nie zapiera.

— Trzebaż lepszego dowodu, z czym tu i od kogo przyszedł? — zaśmiał się podskarbi. — Powiesić i rzecz skończona.

— Książd jest!

— Choćby biskupem był! — gorąco odparł podskarbi. — Najniebezpieczniejsi to ludzie, którzy tę suknię noszą, co im bezkarność zapewnia. Lecz bądźcie spokojni, że z niego dobędę co potrzeba i jak należy się obejść.

— Po ludzku i jako zakonnik postąpcie — odezwał się Ulryk poważnie — proszę was. Człowiek ten poruszył mnie śmiałą mową swoją. Niekzemni ludzie pelzają się i modlą się, on gromił i nie dawał się złać: szanuję go...

— A! — przerwał podskarbi — zuchwałstwo też niewinności nie dowodzi; zostawcie go mnie: dam rady i znajdę środek dobytca z niego złym lub dobrym sposobem prawdy.

To mówiąc kłaniał się pokornie Merheim, a mistrz ku sypialni dążył. Lampka dogasała wieczorna przy kłęczniku, gdy Ulryk wszedł, westchnął, rzucił się przed obrazem na kolana, ręce złożył i, głowę na nich oparłszy, dumal czy modlił się, Bogu tylko było wiadomo...

Nazajutrz rano, w kościele Panny Marii na jutrznię dzwoniono, a z braci zakonnej mało kto ciągnął do chóru, w którym kilku mnichów stało do godzin, gdy podskarbi, otulony płaszczem, klucznikowi kazał iść z sobą do „Witolda“.

Blady był, pogrążony w myślach i pozór przybrał dobrotliwego człowieka. Klucznik wziął z sobą knechta, aby pierwsze drzwi z zawias poruszyć i poszedł posłuszny.

Gdy i te, i drugie się otwały, a podskarbi krokiem cichym wszedł do sklepu, rozpatrując się w ciemnościach, znalazł staruszka na modlitwie kłęczącego. Wkrótce jednak powstał, ręką się opierając o ziemię, bo na nodze dobrze jeszcze oprzeć się nie mógł, i, na wchodzącego nie patrząc prawie, usiadł na swym twardym łożu. Twarz jego zdradzała ból i wielkie znużenie po nocy spędzonej na łożu jak kamień twardym, bez garści nawet słomy pod głową.

Po chwili podskarbi się zbliżył doń z politowaniem i współczuciem, ręce złożywszy i głowę chyląc na piersi, odezwał się głosem łagodnym:

— Cóż to za nieludzkie obejście! nawet posłania żadnego nie przyniesiono!!

Ksiądz nie mówił nic.

— Jestem jednym z braci zakonnej... dodał — szanuję wiele duchownych. Przypadkiem dowiedziałem się, że waszą wielebność tu zamknięto, pewnie przez jakąś omyłkę. Wyprosiłem u klucznika pozwolenie widzenia się, może w czym pomocnym być potrafię.

To mówiąc, przysiadł także na drewnianym siedzeniu.

— Dziękuję wam — odparł staruszek — będę czekał na los, jaki mi zgotowano.

— Ale cóż za powód, że was tu zamknięto? — przerwał podskarbi. — Nasz wielki mistrz, mąż szlachetny, ale prędki i gorący jako żołnierz. Omyłka zapewne zaszła.

— Sądzę, że omyłka, bo mnie zamknięto jako szpiega, a tym nie byłem nigdy — odezwał się ksiądz, skracając rozmowę.

— Ale cóż w takie czasy burzliwe zmusiło waszą wielebność tu przybywać, i to jeszcze od polskiej granicy?

— Idę ze Śląska; celem moim ślub dokonać, który uczyniłem: pomodlić się u obrazu Marii i rodzinę odzukać.

— Czasy są ciężkie! — westchnął podskarbi — wszyscy się podejrzanymi stają.

— Miałem i drugi cel, którego nie zapieram — dokończył ksiądz — szukałem śladu zagubionego od dawna—siostry, która przed laty za mąż poszedłszy, mówiła, że się do Prus wyniosła. O tym nie wspomniałem mistrzowi, bo to dla mnie cel był poboczny.

— A ta siostra? — badał Merheim.

— Właśnie o nią dopytywać się chciałem. Z mężem swym, który Nosek się zwał, do Prus się wyniosła.

— A! Noskowa! — mruknął zakonnik, uśmiechając się.

— Wiedzielibyście co o niej?

— Znają Noskową w Toruniu wszyscy, zna ją i mistrz — rzekł podskarbi — to wam jednak niewiele pomoże. Brat za siostrę nie odpowiada, siostra bratu za porękę niewinności służyć nie może.

— Mianożby istotnie mnie podejrzewać tak ciężko? — mówił stary.

— Cóż chcecie? Są to czasy takie, czasy, w których się my własnych ludzi obawiamy, a cóż dopiero obcych?

Zamilkł nieco i wtrącił:

— A dawnożście ze dworu Jagielly uwolnieni?

— Lata upłynęły, jakem go nie widział — rzekł stary.

— Ale go znacie?

— Nie zapieram się.

— Nieprawda, że poganin i gadzina jest zła? — dodał Merheim.

Była chwila milezenia, uśmiechnął się stary.

— Król a pan chrześcijański jest — rzekł — pobożny, dobroczynny i miłosierny. Nie wiercie baśniom. Zachował może pamięć pierwszej wiary i gusła jakie, ale w Chrystusa wierzy i innego Boga nie zna.

— U nas mówią inaczej.

— Ani dziw: i nieprzyjaciół jest, i wy zdala go tylko widzicie, albo raczej słyszycie o nim.

— To prawda — odparł podskarbi szydersko — i tak samo nie dziw, gdy my was, nie znając, bierzemy za szpiega.

— Nie mówię też nic, kapłańską się suknią składam.

— A cóż świadczy, że i ona nie jest wdzianą dla niepoznaki tylko?

Obruszył się ksiądz.

— Któżby śmiał ją sobie przywłaszczać? — zawołał — chybaży Boga w sercu nie miał?

— Są w świecie i tacy, co Go nie mają — dołożył Merheim. — Dlatego, wielbny ojcze, na oczyszczenie was z tego cośby potrzeba więcej nad gołe słowo.

— Słowo kapłańskie, więcej nie mam nic — cicho szepnął stary.

Milczeli. Twarz Merheima powoli coraz surowszego nabierała wyrazu.

— Dawnoście tę siostrę widzieli? — zapytał.

— Tak dawno, — uśmiechając się, smutnie odezwał stary — że ona mnie może nie poznać, a ja jej.

Podskarbi głową pokręcił.

— Dziwnie się źle rzeczy dla was składają — rzekł — żał mi bardzo. Radbym wam pomógł, a nie ma sposobu! Lecz posłuchajcie, cóżby zresztą w tym tak złego było, gdybyście królowi waszemu usłużyć chcieli? do tego się przyznać można... a zarazem... usłużyć Królowi Niebieskiemu, który jest Panem nas wszystkich... tamtą służbę porzuciwszy...

Popatrzyli na się, staruszek zdawał się nie rozumieć wykrętnej mowy, lub nie chciał pojąć, czego od niego żądano.

— Nigdy nie kłamał — odezwał się po namyśle — i nigdy Chrystusowi Panu naszemu służyć nie przestawałem. Królowi zaś Jagielle do niczego się nie zdał, stary jestem, modłę się i rodziny szukam, abym ją przed śmiercią pożegnał.

Podskarbi się zawahał, wstał, powiodł ręką po czole, potem zatarł dłonie.

— Ojciez wielbny, bolałoby mnie bardzo, gdybym się od was nie w dobry sposób dowiedzieć nie mógł. W. mistrz człowiek sprawiedliwy, ale groźny i surowy, nuż cię na męki wydać każe? Wy ich nie wytrzymacie.

— To pewna! — westchnął stary i zamilkł.

— Lepiej więc wyznać prawdę i zakonowi służyć, który sługi swe po królewsku opłacać umie.

— Prawdę mówilem i mówię ją, służby zaś moje chyba Bogu się przydadzą ludziom one niewiele warte. Przechadzał się ciągle podskarbi.

— Więc pani Noskowa siostra wasza? siostra? — spytał.

— Jeśli Barbara jej imię i ze Śląska ona rodem jest... Gdzież mieszka? w Toruniu?

— W Toruniu, i wiedzie się jej wcale szczęśliwie, ale do was, mój ojciez, wcale niepodobna, bo zakonowi duszą oddana.

— Poświadczy więc za mną — rzekł ksiądz.

— A jak ona, co was lat tyle nie widziała, świadczyć może? Nie mogliście się odmienić od tego czasu? Wy nie wiecie, jak ją znajdziecie, ona też nie wie, czemeście się wy stali.

— Ludzie się tak nie zmieniają.

— Gorzej księżycu! — zaśmiał się Merheim. — Nie macie innego środka, ojciez, trzeba lub wyznać wszystko, albo... bardzo mi was żal.

Wsparty na rękę, nie odpowiedział stary ani słowa; zdawał się modlić.

— Przebaczcie mi — mruknął podskarbi — prowadzić was muszę, gdzie mi kazano...

Stary poszukał kija opartego o ścianę, nałożył swą torebkę na plecy, czapeczkę na głowę i stanął w gotowości do wyjścia. Ręce jego białe, wychudłe, drżały

ze znużenia, oparte na kiju. Z ukosa zmierzył go okiem podskarbi i do drzwi kroczył.

Dwóch knechtów stało w korytarzu, pomiędzy dwójgiem drzwi żelaznych, do sklepu Witolda wiodących, z halabardami w rękę, z mieczykami u pasa, w płaszczykach z półkrzyżem.

Nie mówiąc nic do nich, spojrział tylko i ręką wskazał podskarbi przejście na lewo, którym sam poszedł przodem. Wychodzącego staruszka dwaj pacholcowie wzięli pomiędzy siebie. Zamiast wyniść z gmachu po schodach, Merheim puścił się długim gankiem podziemnym, sklepionym, gdzie niegdzie z lewej strony oświetlonym małymi okienkami kraciastymi. Kilka razy zwrócił się on i za nim idący w prawo i lewo, ciemnymi przejściami, aż doszli do drzwi okutych, od których żelazny drąg odwalony leżał przy murze. Zagłębione w grubej ścianie, miały zawieszony krzyż czarny na sobie.

Zbliżał się do nich podskarbi, gdy się otwarły, i przed nimi ukazała się izba sklepiona ogromna, na dwóch potężnych słupach wsparta, które ją na dwie części dzieliły. Naprzeciw wnijsia ogromny długi stół pokryty suknem czarnym, jak katafalk wyglądał. Na nim stał krucyfiks wielki, a dokoła siedziało w sukniach zakonnych kilku ludzi. Jeden bez brody, ducho w n y, służył im za pisarza i książkę długą a wąską miał przed sobą.

W lewo, po dwóch schodach schodziło się w drugą część sali, niżej położoną i słupami oddzieloną, między którymi balasy stały czarne.

Ksiądz nie zwrócił nawet wejrzenia w tę stronę, patrząc na ów trybunał, który miał przed sobą, a byłby mógł strwożyć się w duszy, gdyby tam padło jego oko... Za rozsuniętą zasłoną widać było poniżej ogień rozpalony na szerokim kominie, w którym cegi i szta-

by żelazne się piekły. Przy nich stało ludzi kilku z zakasnymi rękawami, barczystych, silnych, dzikiej twarzy. Na ziemi leżały grube liny i sznury, dalej stało jakby łoże drewniane z dziwnie powprawianymi śruby i siedzenie naksztalt drewnianego konia. Od sklepienia zwieszały się liny z kółkami. Sprzęt różny, niepodobien do opisanego, zalegał wszystkie kąty tej izby strasznej, zadymionej, ciemnej, wystawiającej jakby piekielną jakąś komorę.

Pachołkowie w istocie szatanów mieli twarze: niskie czoła, oczy wbite w głowę głęboko, i uśmiechy stworzeń, które się cieszą, gdy męczyć mogą a nagrawać się.

Nie potrzeba było patrzeć długo, ażeby w tych przygotowaniach domyślić się tortury, bez której żaden ówczesny nie obszedł się trybunał.

Podskarbi zasiadł na ławie z boku, jakby świadek obojętny. Główne miejsce zajmował człowiek stary, przygarbiony, w czapeczce na uszy naciśniętej, z usty zapadłymi. Przyłożył rękę do oczu i nim się odezwał, długo wpatrywał się w starca. Poprawił potem stojący krucyfiks i zwrócił go Chrystusowemu obliczem do przybyłego, który stał na kiju oparty.

W tej chwili duchowny cichym i słodczym pełnym głosem poczynął badanie. Stary odpowiadał spokojnie, ciągle na kiju sparty i nogę chorą wyciągając niekiedy. Nazwisko, wiek, stan, powód podróży opowiedział tak samo jak przed innymi. Cisza panowała w sali i oprócz jego głosu i pryskania ognia w komnacie, a szelestu szat, gdy się ludzie poruszali, nie słychać nie było.

— Czego chcecie ode mnie? — odezwał się wreszcie — dlaczego podejrzewacie kapłana i starca? Oto wizerunek Zbawiciela, na niego wam przysięgać mogę,

że jestem niewinnym. Niczym szpiegiem nie byłem, nikt mnie nie słał, z modlitwą szedłem tylko.

Sędziowie spoglądali po sobie.

— Na kim podejrzenie ciąży, iż źle czyni, ten i źle przysięga może — odezwał się stary sędzia. — Zaklinam was, mówcie prawdę, a nie zmuszajcie nas do tego, co was na ciebie, a nas na duszy boleć będzie.

Ręką wskazał na niższą salę. Kapłan zwrócił oczy na nią powoli, lecz nie zdawał się ułęknięty: wlepił je w ludzi i narzędzia męczarni długo.

Pachołkowie ruszyli się nieco, żelazo jakby dla postrachu zatrzeszczało; starszy z nich wyjął sztabę rozpaloną z ognia i rzucił ją na kamienie, aż iskrami wkoło sypnęła. Milczeli wszyscy.

— Mówcie — rzekł sędzia.

— Nie do powiedzenia na moją obronę nie mam.

Sędzia ręką skinął ku pachołkom i ruszyli się po schodkach ku górnej sali, jak gdyby zabierając się do staruszka przystąpić: on stał nieruchomy.

Podskarbi podniósł się z ławy.

— Proszę za nim — rzekł — dajcie mu czas do rozważenia i namysłu lepszego.

— Chyba do modlitwy i spowiedzi — dodał ksiądz.

Pachołkowie zatrzymali się na schodach.

Obwiniony zwrócił się do siedzącego duchownego, który pióro trzymał:

— O spowiedź proszę.

Ten głową potrząsnął. Sędziowie spoglądali po sobie zdziwieni wielkim starca spokojem. Zdawał się modlić i myśleć tylko o duszy.

— Chwila wam dana upływa — przebaknął sędzia stary, ręką drżącą wskazując klepsydrę stojącą na stole, z której piasek zsypywał się powoli.

Nie było odpowiedzi. Merheim przystąpił do księdza i żywo poczał mu coś szeptać na ucho. Stary miał oczy w ziemię wlepione i nie odpowiadał już nic.

Czekano jeszcze. Jeden z siedzących przewrócił klepsydre. Sędziowie zdawali się wahający i niepewni. Starszy z nich spoglądał na Merheima, który, ramionami ruszając, na swoje miejsce powracał.

— Raz ostatni, w imię Chrystusa, wzywam was do wyznania prawdy — odezwał się stary z za stołu.

— Jużem ją rzekł — obojętnie wyjąknął ksiądz.

Była jeszcze chwilka oczekiwania, po czym wskazał ręką z za stołu ku pacholkom sędziego. Ruszyli się oni wszyscy z pośpiechem groźnym ku obwinionemu, który czekał na nich nieporuszony. Pochwyconego za ręce, z których kij upadł mu na podłogę, wleczono ku schodkom. Nie opierał się wcale, nie obejrzał ku sądownym i nie prosił o litość.

Ściągnięto go w dół i tu starszy poczał z niego zdzierać suknię wierzchnią. Pod nią ukazała się na ciele włosienica i pasek kolezasty, który go w pół obejmował, cisnąc i tak już wycieńczonego wiekiem i znużeniem. Na widok tych dobrowolnych narzędzi męczarni pacholkiwie zatrzymali się; sędziowie szeptać zaczęli: jakaś obawa ich ogarnęła. Podskarbi żywo coś w ucho mówił sędziemu. Wtym przez drzwi wchodowe wpadł prędko w zakonnej sukni chłopak, który wczoraj w szpitalu posługiwał podróżnemu. Cały zdawał się w ogniu i przejęty obawą; oczyma naprzód rzucił ku lewej stronie, gdzie księdza rozbierano, a upewniony, iż męka nie poczęła się jeszcze, rzucił się przed sędzią na kolana.

— Przychodzę na świadectwo — zawołał nagle. — Ja znam od dzieciństwa ojca Jana, jam patrzył nań i na jego życie... święty człowiek jest! Nie dopuszczajcie się na nim gwałtu... jedna kropla tej krwi nie-

zamku jego, mnóstwo ceglanych domków czerwonych, co doń przylegały i otaczały go, okrywały piękny brzeg rzeki, już naówczas winnicami z Niemiec srowadzonymi i ogrodami wesołymi zasadzony. Z pomiedzy nich wyglądały dworki mieszczan, a sam gród warowny z wieżami kościołów przedstawiał się wspaniale. Stara ta polska osada pod panowaniem niemieckiego zakonu przybrała wprawdzie fizjonomię niemiecką, lecz część jej ludności i mieszczaństwa nawet charakteru swego pierwotnego nie straciła.

Na ówczesnym zamku, który do najważniejszych obronnych grodów się liczył, przebywali często i wielcy mistrzowie i wielcy dostojnicy zakonu. Tu się odbywały wojenne narady, tu skupiały siły ku obronie zagrożonej więcej od innych ziemi chełmińskiej.

Handel też i rzemiosła kwitły, a niemieckich przybyszów ze wszech stron siła ciągnęło i osiadało. Lubili tu rycerze zakonni na zamku przebywać dla czasu, bo choć poufalsze obcowanie z ludźmi, a zwłaszcza piękniejszą połową rodzaju ludzkiego, najostrzej było regułą zakonną wzbronione, tak że rozmowa nawet z kobietą za występki liczyć się była powinna: już naówczas nie rachowano się tak ściśle z dawną regułą zakonną, a po folwarkach i szpitalach krzyżackich pełno było tak zwanych pół-siostr zakonnych. w białych habitach z półkrzyżem (T) na ramieniu, których bytność była niezupełnie między pół-bracią i bracią usprawiedliwioną. Po miastach zaś nie pilnowano ściśle stosunków zwłaszcza starszyny, która czyniła, co chciała. Pozwalało sobie czasem duchowieństwo krzyżackie sarkać na skażone obyczaje, ale to się raczej stosowało do knechtów i służby, niż do rycerzy, którzy tu byli panami, a księżom w ogóle mało swobody dawali i niewiele okazywali uszanowania.

Choć sami zakonnikami się zwali, krzyżacy obchodzili się ze swym duchowieństwem surowo. Księża skromne bardzo mieli stanowisko ojców duchownych, rzadko ich do narad przypuszczano, rzadziej do tajemnic i ważniejszych czynności zakonu. Klasztorom zaś innej reguły wcale się pod panowaniem krzyżackim nie wiodło: podejrzliwie na nie patrzano. Zwłaszcza dóbr i posiadłości nabywać i przyjmować zapisy wcale było zakazaniem. Kilka domów dominikanów i franciszkanów, dosyć ubogich, naliczyć zaledwie było można w ziemiach podbitych: tulili się one po miastach z pokorą.

Reguła zakonna, w początkach bardzo ścisła, w czasie wypraw i wojen ciągłych, przy napływie świeckich gości, zupełnie się była rozprzegła. Po domach, czasu pokoju, wydzwaniano do chóru; ale mało kto na modlitwy wspólne chodził, każdy się miał czymś złożyć, byle od obowiązku uchylić.

Przez szpary na to patrzano, gdy rycerz konia dobrze trzymał, rynsztunek miał w porządku, a na wyprawach zalecał się męstwem i przebiegłością. Przez szpary też i na uczęszczających do domów panów mieszczań, choćby w wieczornych godzinach, patrzano. Trudno bo było z dobrego żołnierza mieć razem dobrego zakonnika.

Rynek miasta Torunia wyglądał już bardzo pocześnie, a przyczółki jego kamienie, z pięknej cegły foremnie powznoszone, jak kościółki gotyckie niemal wyglądały. Jedną z najprzedniejszych była naówczas kamienica zwana „Pod jeleniem“, bo miała nade drzwiami, w futrynach z szarego kamienia wyrzeźbioną dosyć nieforemnie głowę o dwóch rogach. Mieszkała w niej i handel swój prowadziła wdowa, pani Noskowa, kupcowa bogata, z córką jedynaczką — obie

niewiasty piękne i wzięte u ludzi, choć obcy różnie o nich mawiali.

Sama pani Barbara mogła mieć naówczas lat do czterdziestu, ale gdy w zlocistym czółku naszywanym perłami, w bindach i manelach, w półszubku z popielic lub kun szła do kościoła, niktby jej więcej nad trzydzieści nie dał, tak wyglądała świeżo i powabnie. Trochę otyłości nie jej nie wadziło, bo białą była jak alabaster, a rumianą jak róża i z twarzy nawet świeży puszek młodości zdawał się jeszcze nie starty. Ząbki jak perełki, nosek maluśki, trochę zadarty, włos złotawy bujny, rączka pulchna, biała, czyniły ją dziwnie powabną dla męskiego oka. Gdy przez rynek szła, od najmłodszego do najstarszego wszyscy ją oczyma gonili. A choć była tylko kupcową i mieszczańką, nosiła się górami, gdyby wielka pani, z głową podniesioną, wejrzeniem śmiałym i nie dała się lada komu zbić z tropu, bo i w głowie nieźle było.

Nie śmiał jej nikt nawet dopytywać, gdzie i za kim była? i dlaczego się wdową zwała? choć tego męża nikt nie zapamiętał, ani mógł co o nim powiedzieć. Zapewne i ten nieboszczyk musiał mieć u ludzi zachowanie, które żona wzięła w spadku, bo się wysokimi protekcjami cieszyła.

Raz przed laty dziesiątkiem, gdy niejaki Szpot, sąsiad jej o mur, powadził się był z panią Noskową, a poszło aż do magistratu i prawa, musiał ją potem jak niepyszny przeproszać, bo go omal z miasta nie wyświecono.

Znano też wdowę, że była bardzo majątną i na złocie siedziała, a co o jej dostatkach opowiadano, wiare niemal przechodziło. Nie było domu zamożniejszego i lepiej nad ten urządzonego.

Choć sama pani Noskowa była jeszcze wcale piękną, a gdyby palcem tylko kiwnęła, swatałoby się do

niej ludzi bez miary, kupeców, burmistrzów i ławników, niczym wszakże była jej piękność przy córce, która dosyć naówczas pospolite, spieszczone imię Ofki nosiła. Podobna do pani matki jak dwie krople wody, przechodziła ją stokroć świeżością, urokiem i ptaszcym weselem. Taż sama białość pści i rumieniec, ten sam nosek miała odrobinę zadarty, usteczka z koralu i ząbki perłowe, ale jak laleczka z pudelka wyglądała wiosennie i jasno. Matka, choć wesołość lubiła, umiała powagę zachować; Ofka o tym nie myślała, żywą była, wietrzną, zepsutą pieścizotami i psotnicą ze zbytku.

Matka rady sobie z nią dać nie mogła, a że ją jedną miała i kochała mocno, nie bardzo znać karcila i dziewczę na urwisa wyrosło. Wszystkie plotki miejskie ona pierwsza wiedziała, znała wszystkich i znali ją wszyscy; nie wahała się zaczepić nikogo, a ostrego jej języka obawiały się nawet kumoszki starsze i poważni ludzie. Wszystko jej przecie dla mateczynych kufrów i dla jej piękności błyszczącej uchodziło bezkarnie.

Dziewczę na miejscu nigdy usiedzieć nie umiało i chwili. Jeśli nie stała we drzwiach, a nie było jej w sieni, pewnie wyglądała oknem, a gdyby je matka przed nią zamknęła, znalazłaby sposób choć na dach się wdrapać, lub z poza muru ogrodowego na ludzi patrzeć i zaczepiać ich. Matka była może zbyt zrazu pobłażającą, ale potem nieraz z płaczem niemal mawiała, że jużby ją i przykuwać darmo, bo by się urwała i postawiła na swoim.

Płochę to było, wietrzne, śmiejące się, zalotne, śpiewające, ruchliwe, a niezmiernie przebiegłe. Umiała daleko więcej niż pani matka, która, jak inne kobiety naówczas, nigdy się czytać nie uczyła, a choć i ona z papierem do czynienia nie miała nigdy, mówiła po niemiecku jak Niemka i to wszystkimi mowami, jakie się na krzyżackiej ziemi spotykały; mówiła po polsku.

od niańki wyuczyla się po litewsku, a byli tacy, co utrzymywali, że gdy umyślnie po łacinie mówić zaczęli, aby się przed nią ukryć, ona i łacinę zrozumiała.

W jej główce co raz posłyszala, to na wieki uwieźło. Bystrość też miała wielką w poznawaniu ludzi, tak że w oczy człowiekowi popatrzywszy, wiedziała wnet, jak do niego mówić i jak się z nim obchodzić. W początkach się młodzież do bogatej Noskówniej tłumnie zlatywała, przez matkę, przez znajomych stręczyli się jej nieustannie ludzie; ale dziecko kapryśne i zaufane w sobie, bawiło się z każdym jak kot z myszą, a w końcu każdego ząbkem lub pazurkiem drasnęło. Szli tedy precz gachy z uszami spuszczone, narzekając, a dziewczę się śmiało. Czysty to był szatan z tej dziewczyny.

Gdy kto poważny do domu się zjawił, sędziwy człek, baron, książę, o których nie było wówczas trudno, bo ich Niemcy w gościnę krzyżakom dostarczały, Ofka umiała się ułożyć, że poznać ją było trudno: minke nastroić, siedzieć spokojnie, mówić poważnie, śmiech w sobie wstrzymać, oczy spuszczać, tak że brano ją za trusię i niewiniątko.

Nie ją nie kosztowało w jednej godzinie czterokrotnie być i trzpiotem, i pobożną, i urwisem, i niewinną dziewczką.

Do domu pani Noskowej mnóstwo ludzi uczęszczało, już to z powodu handlu — bo trzymała zamorskie towary, wina, przyprawy, cukier i co do kuchni a piwnicy było potrzeba (od niej też zapasy do Malborka i innych domów czyniono), już dla jej gościnności wielkiej i stosunków z innymi krajami. A gdy kto chciał listy ślać, albo nakazać, lub pieniądze wyprawić, przez Noskową było najłatwiej i najbezpieczniej. Sam też w podskarbi zakonu często jej pośrednictwa używał. Wdowa się na piśmie i rachunkach nie rozu-

miała na pozór, ale pamięć miała osobiwą i rozum bystry. Ona sama kierowała wszystkim z pomocą jednego starego domownika, który się zwał Wolfem, a był człek siwy, przygarbiony i dla głowy nagiej czapki ciepłej nigdy nie zrzucił, nawet w kościele. Oprócz kamienicy od Rynku, mieli przypierające do niej składy wielkie, gdzie zawsze win, korzeni i wszelkiej zamorszczyzny pełno było, a beczki i baryły stały jak brogi. Tam szafran, co go gdzie indziej na szczypty ważono, kamieniami leżał na składzie.

A gdy przyjmowała u siebie Noskowa, to nie po mieszczańsku, ale niemal po książęcemu. Ptasiego tylko mleka brakło. Gdy zaprosiła gości, muzyka być musiała i najdowcipniejsi trefnisie z miasta a śmieszkowicie i błazny, by kompanię zabawili. Naówczas też obyczaj był taki i po dworach, że się uczta, biesiada, przyjęcie, wesele bez błaznów obejść nie mogło. Błażeńskie rzemiosło tak dobre było jak drugie. Każde miasto swoich trefnisiów miało, zamawiano ich na zebrania, pojono, karmiono i bez zapłaty nie odeszli, a często i datków wyludzili co od gości. Obiad bez trefnisia nie smakował i pełnym nie był, rychlej się bez pieczystego był obszedł.

Wprawdzie pani Barbara nie wyprawiała często takich szmausów kosztownych, ale gdy do tego przyszło — wiedzieli ludzie, co to u niej znaczyło. Występowały wówczas srebra zamiast cyny, weneckie szkła i najprzedniejsze gliniane misy — szafranu, imbiru, gwoździków nie żalowano, tak, że na ulicy je słysząc było. Wino pijano grzane z cukrem i korzeniami, że się dusza radowała.

Nie dziw, że na taką wdowę, która, za męża nie idąc, rady sobie dawać umiała i bez pomocy nieczyjej się obchodziła, pletli ludzie zazdrośni niestworzone bajki: ona o nich albo nie wiedziała, lub nie dbała o nie.

Mówiono też o Ofce rozmaicie: ani ona, ani matka głowy tym sobie nie suszyły.

Raz tylko, gdy przyjaciel pana Szpota zbyt poczał językiem szermować, niewiadomo z czyjej naprawy czterech pacholców z kijami, nocą w ulicy go napadli i na kwaśne jabłko stłukli, powtarzając: — „Trzymaj język za zębami, chcesz-li cały być“. — Tych, co bili, nikt nigdy potem wyśledzić nie mógł, a razy na grzbiecie owego przyjaciela przepadły. Musiał je parę tygodni smarować, póki się wylizał — i milczał odtąd ostrożny.

Gdy się zaczęło zbierać na wojnę, której końca zawsze trudno przewidzieć, ostrożna pani Noskowa wcześniej pono swe baryłki ze złotem i srebrem dała do lochu na zamku do przechowania, bo i u w. podskarbiego, pana Jana von Sayn, miała wielkie laski.

Chociaż komturowie na zamku odmieniali się często, wszyscy z kolei w wielkim mieli szacunku panią Noskową.

Inni też dostojnicy, przybywając do Torunia dla spraw zakonu, gościli często w jej domu i nie było w tym nic dziwnego, gdyż ona zapasy sprowadzała kuchenne i piwniczne, a przez nią też chadzały pieniądze zagranicę i mnogie były z w. podskarbis rachunki.

Wkrótce po przyjeździe swym na zamek podskarbi Merheim, wozy pozostawiwszy w murach, sam nad wieczorem udał się do kamienicy „Pod jeleniem“.

Niemiałą tę i niepiękną postać zdala zoczywszy, Ofka, która swym zwyczajem we drzwiach czatowała na przechodniów, klasnąwszy w dłonie, pobiegła do pani matki. Rzuciła jej tylko słowa:

— Podskarbi się wleczel!!

Sama zaś pobiegła się przybrać co prędzej. Choć krzyżak był stary i brzydki i wstrętliwy, a zakonnik

w dodatku, dziewczę nawet przed nim chciało wystąpić z całą swą krasą.

Matka, zerwawszy się z krzesła, poszła też do zwierciadła włożyć przeczesać, krezki poprawić i łańcuch dobywszy z szufladki, zarzuciła go sobie na szyję. Siadła potem w krześle z podnóżkiem i czekała nań w paradnej izbie.

Mogła się ona paradną nazwać, gdyż rzeczywiście była wspaniale przybrana. Sklepienie, malowane w gałęzie zielone, złoczone grona i figury świętych, unosiło się nad izbą w kształtne łuki pogiecie. Ściany okrywały opony wzorzyste, a gdzie ich nie było, stały szafy z drzewa misterną robotą, na nich konwie i naczynia srebrne, pozłociste, cynowe i kamienne. Stół w pośrodku okryty był kobiercem smyrneńskim, szkatułkami z bursztynu i hebanu i różnymi bawidelkami niewieściami, między którymi kołowrotek mały z różanego drzewa stał do zwijania jedwabiu, lub dla przypomnienia, że pokój był niewieści. Od sklepienia spuszczał się pajak mosiężny, świecący, wyginany, cały we floresach i gałęziach.

Gdzie było spojrzeć, coś pięknego i kosztownego znalazło oko dla zabawy. Przez otwarte napół drzwi widać też było sypialnię z łóżem a kotarami barwistymi, przy nim mosiężne misy do umywania i konewki, i kubki przedniej roboty.

Ledwie pani Noskowa siadła, pogłodziwszy włosy i poprawiwszy łańcucha, gdy drzwi się otwarły i podskarbi szedł, rozglądając się dokoła.

Na powitanie jego powstała z uszanowaniem wdowa i na swoje go siedzenie zaprosiwszy, sama na niższym stolku nie prędzej miejsce zabrała, aż on go jej wskazał. Uśmiechała się wdzięcznie do obrzydłego zakonnika, który też to się uśmiechał do niej, to marsz-

czył i zamyślał, jakby mu niełatwo do słowa przyjąć było.

Oczy jego biegały tymczasem dokoła.

— Cóż nam miłość wasza przynosisz? — ozwała się, wdzięcząc, wdowa — pokój, czy wojnę? Tu u nas ludzie codziennie mówią inaczej, a są tacy, co przysięgają, że król Jagiello już z wojskami na granicy stoi.

— Nie trzeba ludzi straszyć, ani popłochu siać, sławetna pani Barbaro, — odezwał się zakonnik — o królu, gdzie jest, nie wiemy, idzie ku nam to pewna, wojna za pasem nieunikniona, lecz zakon nie ma się czego lękać. Zakon potężny jest!

Noskowa w rączki uderzyła i głową z ramienia na ramię wahając, milczała chwilę.

— Dla nas wojna — rzekła — straszne słowo! dla żołnierza wesołe, kupcowi groźne. Co my pocniemy?!

Nie odpowiadając wprost na to, podskarbi oczyma powiódł po komnacie, zajrzał do sypialni i antykamery.

— A gdzie Ofka? — spytał cicho, przymrużając oczy. — Nie ma jej tu? bo to ciekawa wiewiórka, gotowa się gdzie w kącie zacząć, a mamy z sobą, moja pani, różnych rzeczy do mówienia wiele, o czym niekoniecznie jej wiedzieć potrzeba.

Usłyszawszy to, poszła pani Noskowa dosyć lekką stopą, mimo dobrej tuszy, obejrzeć sama wszystkie kąty, za córkę bowiem ręczyć nie śmiała, a raczej mogła chyba ręczyć, że gdy się sposobność nadarzy, figła spleta, a gdy szept usłyszysz, podkradnie się i podsłucha.

— Nie, jeszcze jej nie ma — odezwała się, uśmiechając i siadając na przeciw podskarbiego — ale tylko co nie widać: pewnie włosy trefi!

— Korzystajmy z tego i mówmy, moja jejmość — rzekł, schylając się, podskarbi. — Nie potrzebuje was

pytać, czy sprzyjacie zakonowi? jesteśmy pewni, że jako siostra służycie mu wiernie i służyć będziecie dalej.

— Wszakżem i przysięga i dobrodziejstwy związa-
na — zawołała Noskowa.

— Dlatego z wami tajemnic nie mamy, ufamy wam i gdy trzeba, idziemy do was wprost jako siostrze mówiąc: to uczynić potrzeba...

— Rozkazuje miłościwy panie! rozkazuje byle sił nie przeszło.

Spojrzała badawczo wdowa na strasznego zakonnika, który wciąż się uśmiechał do niej żółtymi zębami i sinyimi wargami.

Już miał rozpocząć dalszą mowę, gdy z drugich drzwi ukazała się Ofka, wystrojona jak do kościoła na święto: włosy rozpuszczone, od których woń damasceńskiego olejku różanego się rozchodziła, z wianuszkiem zielonym na skroni, w rękach białych niosąc srebrną misę, a na niej owoce świeże i suszone i wina flaszkę i kubek.

Szła piękna podczaszyna, wiedząc, że jej z tym do twarzy, przechylając główkę, usteczka składając, ręce wystawiając na okaz całe w pierścieniach i manelach, nóżkę z pod sukni okazując obutą w niebieski trzewiczek ze sznurówką i chwastami złotymi. Suknia na niej jedwabna składała się, pasem podpięta, w fałdy świecące, a na szyjce przesuwaly się łańcuszki i korale, i bursztyny. Potrząsała główką, jakby jej włosy zawadzały; lecz w istocie, ażeby szyjkę tę białą lepiej na podziw światu odsłonić. Korale, łańcuchy i bursztyny służyły tylko, aby kość słoniową tej toczzonej szyjki jaśniejszą czyniły.

Podskarbi, zobaczywszy ją, w niemym osłupieniu jakiś czas patrzył na dziewczę, oczu od niej oderwać nie mogąc. Przystąpiła do stołu, niziutki czyniąc po-

klon; wyprostowała się i owe dary zakonnikowi podała z uśmiechem. Matka tymczasem, mały stoliczek wzięwszy ze strony, sama go przed Merheimem ustawiła; na nim tacę umieścili bezpiecznie, aby krzyżak sobie gospodarzył, jak chciał. Wiedziano pewnie, iż lakocie lubił.

Zrazu jednak więcej się wpatrywał w Ofkę, niż w owoce i ręką sięgnawszy machinalnie do flaszki, trzymał ją nieporuszoną. Rozglądał się do zbytku ciekawie w tej świeżo rozkwitłej różyczce, która się czując na oku, z radości i dumy płonęła i uśmiechała się.

— Królewski kąsek! — szepnął niedosłyszalnym głosem, a raczej zamruczał podskarbi.

Wtem matka jej coś na ucho szepnęła: Ofka skłoniła się jeszcze raz wdzięcznie i, jak ptaszek, uleciała. Zakonnik siedział zadumany.

— Pani Barbaro! — odezwał się głośniejszym głosem — przyszedł godziną wreszcie, że zakonowi za opiekę wywdzięczyć możecie...

Noskowa się zarumieniła.

— Słucham was — rzekła.

— Co uczynicie dla zakonu, — ciągnął podskarbi — to zaskarbicie sobie u Boga i u niego. Czasy są niezwykłe i do sposobów się trzeba niezwykłych uciekać.

Pochylił się zakonnik niemal do ucha pięknej wdówki, która z natężoną uwagą i błyszczącymi oczyma słuchała.

— Pani siostro! — rzekł, zasłaniając się ręką — musimy do Polski śłać listy ważne... Nie mamy ich komu powierzyć, mężczyźni plondrują i wieszają, trudno się nawet żebrakowi tam przebrać... Kobiety nam do tego potrzeba. Rozumiecie?

— I mnie chcecie z listami śłać do Polski? — przerwała Noskowa, ręce mimowoli załamawszy.

— Nie ma się czym trwożyć — mówił Merheim, — najprzód glejć mieć będziecie, potem to, żeście niewiastą, dalej wasz wdzięk niepochlebiając, który ludzi rozbraja, potem zręczność waszą... w ostatku i... przewodnika dobrego, o którym wam powiem później.

Wdowa patrzała mu w oczy z natężeniem.

— Czy ja temu podołam?

— Któż, jeśli nie wy? Słuchajcie mnie, bo o wielkie rzeczy chodzi. Z chytrymi ludźmi chytrze poczynąć potrzeba. Oreż oreżem, a głowa więcej jeszcze od niego znaczy... Nam wiedzieć trzeba o obrotach nieprzyjaciela, mieć kogoś swego tam... Wasz wyjazd nikomu dziwnym się nie wyda: polskiego jesteście rodu, do swoich wracacie. Dlaczego teraz? spyta kto. — A no, rzecz jasna! Losy wojny niepewne, nuż wtargnie Witoldowa dziec pod Toruń, do Torunia... nie chcecie córki i siebie na łaskę tatarską oddawać, wolicie w Polsce przesiedzieć burzę spokojnie.

Uśmiechnął się.

— Nieprawdaż? Czy nie uwierzy tu każdy łatwo, że wy ową śliczną jagódkę chcecie w bezpiecznym miejscu mieć? Co dziwnego, że się tam przy jakim dworze przytulicie?

— Przy jakim-że dworze? — spytała ciekawie Noskowa.

— Przy książęcym, u mazowieckich pod opieką księżnej Aleksandry Olgierdówny — dodał, uśmiechając się, podskarbi. — Wszak miejsce dobre? Tam o wszystkim wiedzieć będziecie, a stamtąd nam donosić.

— Siebie to ja nie żałuję — rzekła Noskowa, — z Ofką bieda: o! z tym dziewczęciem i siedzieć trudno, i jechać niebezpiecznie. W oko to każdemu wpadnie, a samowolna, co jej do głowy przyjdzie, zbroić gotowa.

— Hm! hm! — mruknął podskarbi — a no, ją też

użyć można, byle umieć! Ona z pod serca każdemu dobedzie tajemnicy, przed nią wyśpiewałby człek grzech śmiertelny Jedna taka Ofka na świecie. A rozumu jej nie brak.

— Gdyby tyle statku miała! — westchnęła matka — ale to ogień i siarka!

— Drugich ona spali — począł, śmiejąc się, podskarbi, — a jej się nie nie stanie. Strachu o nią nie mam i wy mieć nie powinniście, raczej o tych, co się z nią spotkają.

Noskowa, sparszy się na dłoni, milcząc, rozmyślała.

— Ciężka sprawa, ciężka!

— A cóż lekkiego, gdy wiele jest warte. Złoto ciężkie też, bo drogie. Słuchajcie mnie dobrze. Listy są pilne, dla zakonu ważne: nikomu ich nie powierzymy, ino wam.

— Dalekoż je wieść?

— Na Mazowsze — dodał Merheim — do siostry Jagiellowej, która nam od całej rodziny więcej sprzyja, choć nie zawsze wyjawić to może. Jej listy oddacie, a sami pozostaniecie na dworze.

To mówiąc, wina sobie nalał w kubek i, podnosząc go, zawołał:

— Zdrowie wasze, pani Barbaro! zdrowie wasze i ślicznego kwiatka, któryście wyhodowali: niech kwitnie na waszą pociechę. Zdrowie wasze, pani siostro!

Noskowa schyliła się nisko, trochę zmieszana. Znać było, że odmówić nie śmiała, a podróż jej nie bardzo szła w smak. Cóż miała uczynić?

— Daj Boże tylko, aby się nam dało przerznąć szczęśliwie — rzekła — w taki czas wojenny, dwie baby same, gdzie żołnierstwa obcego stek, a ludzi co ni życia, ni czci nie poszanują.

— Nie będziecie sami! Zaraz o przewodniku, mężu duchownym... mówić będziemy, a na ochronę przecież dwudziestu zbrojnych pacholków przy glejcie, to aż nadto.

— Skądże ich wziąć? — zawołała Noskowa — teraz i o ludzi trudno.

— Znajdą się, znajdą! — mówił, śmiejąc się, Merheim. — Po zamkach u nas zbierze się takich niepozornych, a mądrych chłopaków łatwo, płaszcze pozrzucają, kubraki szare włożą, z polska po litewsku mówić będą, a na krzyżakach psy wieszać. I cóż po tym jejmość winna, gdy oni, lajdaki, po jednemu uciekać do nas zaczęli i przynosić od niej ciche słowo?

Począł się śmiać, patrząc na Noskowa.

— Wojna, moja siostrze, — mówił — ma swoje prawa, nam trzeba wiedzieć o wszystkim, nawet jak się król prześpi i czy mu się jego Perun nie przyśnił. Tymczasem na dworze księżnej Aleksandry będzie siostrze jako w raju, za to w. mistrz ręczy i ja... Któż wie jakiemu kniaziątku Ofka w oko wpaść może? Czemu nie? Nieprawdaż?

— A co mi po tym? choćbym za nią faskę złota dała, to jej nie weźmie do ołtarza — zawołała Noskowa.

— E! z faską złota... siostrze miła, biorą oni i nie takie różowe kwiatki, jak ona. Przez Ofkę jejmość wszystko wiedzieć możesz, co zechcesz, przez nią wnijść choćby do króla. A! gdyby poganinowi zawróciła głowę.

— Tego ani sobie, ani jej nie życzę — rzekła Noskowa — paść na ludzką zazdrość i języki!

— Wiecznie tam z nimi żyć nie będziecie, wojna się skończy, wróciecie do domu, a co było... w wodę!! Dla zakonu wy tam potrzebni i wiele uczynić możecie: takich oczów czworo za dziesięcioro męskich stanie.

Noskowa wahać się jeszcze zdawała.

— Musi się tak stać, jak mówimy — kończył podskarbi żywo — wiozę wam rozkaz w. mistrza, a nad bezpieczeństwem waszym czuwać będziemy, boście dla nas drogą. Listy ważne; jeśli posłowie króla Zygmunta nie nie uczynią, aby wojnę zwlec, nim nam posiłki nadejdą większe z Niemiec, może to wyrobić na bracie księżna Aleksandra. Ona niedaleko będzie drogi i obozu Jagielly, dojedzie do niego lub on do niej. Będziecie króla pewnie widzieli.

— Nie ciekawam go oglądać — odezwiała się Noskowa.

— Owszem, zobaczcie go i opiszcie nam przez posła każde słowo, każdy fald na jego czole. Niechby stary i Ofkę zobaczył, ma holofernesowskie pasje, a z niej byłaby Judyta!

Podniósł ręce do góry, potem popatrzał na zmieszaną kupcową i z kubka sączył wino powoli.

— Cicho! — oglądając się, zawołała Noskowa — a nuż dziewczyna to posłysz, gotowa oszaleć. Jej tylko tego trzeba, żeby się głowa zawróciła. W niej gasić trzeba ciągle, nie rozżarzać! nie chcecie nie-szczęścia mego!

— Szczęścia chyba — przerwał Merheim — całoby chrześcijaństwo za bohaterkę ją sławiło, gdyby od chytrego ocaliła je wroga.

Noskowa oglądała się niespokojnie, palce trzymając na ustach. Zakonnik śmiał się.

— Nie miejcie obawy — rzekł — tymczasem o listy idzie i o wieści.

Rozmowa cała toczyła się po cichu, a niedaleko od na pół przymkniętych drzwi sypialni. Ani Noskowa, ani Merheim nie spostrzegli, że dziewczę, które, podawszy wino i owoce, ustąpiło, potem się, suknię unosząc, podkradło za drzwi przymknięte i podsłuchiwało,

Nie wszystkie może słowa matki pochwycić mogło, ale to, co podskarbi mówił głośniejsze nieco, łatwo jej było podsłuchać. Noskowa i podskarbi milezeli, gdy szelest sukni dał się z za drzwi słyszeć i Ofka, śmiejąc się, a w ręce klaszcząc, nastraszyła matkę, wpadła do izby.

Stała naprzeciw niej, z kolei na zakonnika patrząc i na nią.

— Pani matko! — zawołała — wszystkom słyszała! Wiem wszystko i serce mi skacze. Pojedziemy, matuniu, pojedziemy.

Noskowa, strwożona i gniewna, z groźną twarzą obróciła się do córki, dawała jej znaki, by milezała. Podskarbi śmiał się pełen radości.

— Otóż to mi niewiasta! to mi Judyt! — krzyknął — to mi wierna służka zakonu! Nie lęka się niczego, gotowa w ogień i w wodę. Bóg ci to zapłaci!

— A! ja? choć jutro na koń i w drogę! — ozwała się wesoło. — Matus! w drogę! Ja dotąd nie byłam nigdzie, jak raz w Malborgu u Matki Boskiej i w Tucholi! Ja się tu już duszę w tych murach, za którymi świata nie widać! Pojedziemy wspaniale, po książęcemu, dwudziestu pacholków zbrojnych dokoła, po pańsku, i na dwór książęcy do sławnej księżnej, Jagiellowej siostry. Za to warto w mistrzowi nogi colować!

Poskoczyła, w ręce białe klaskając.

— Na koń! w drogę! Konia się nie boję, żołnierstwa nie lękam, a szeroki świat zobaczyć, to rozkosz! matuniu! Książąt, królów, księżne, baronów, dwory, zamki...

Z ukosa spoglądała na podziwiałego ją Merheima, który za nią gonił oczyma.

— O listy — szepnęła — nie macie się co obawiać, założę je za sukienkę, a nożyk zawsze u pasa noszę; gdyby mnie kto śmiał tknąć: zabije!

To mówiąc, ręką uczyniła ruch, jak gdyby istotnie w serce kogo ugodzić miała.

— Na głowę moją! to królowa ta dziewczyna! to delcie! — krzyknął, wstając, podskarbi — ona wszystko od pół słowa rozumie, a niczego się nie lęka. Nie ma lepszego posła nad nią.

Noskowa z pewną dumą podniosła się, zapomniawszy o niebezpieczeństwie, pochwyciła ją za głowę i pocałowała w czoło. Dziewczę całowało ją po rękach.

— Jedziemy, matusiu, jedziemy, a zobaczycie, że nas aniołowie poprowadzą bezpiecznie i koń w drodze nie utknie. Nikt nam nie uczynić nie będzie śmiało! Póki jesteśmy na ziemi zakonu, tośmy Niemkinie, wyjedziemy za granicę do Polski — Polki jesteśmy. Ja nawet umiem takie piękne polskie zawodzić pieśni, że się ich odsłuchać nie można.

Cała już nadzieją tej jazdy rozplamieniona, Ofka, niewiele zważając na dostojnego podskarbiego, latała po izbie, we wszystkich zwierciadłkach przypatrując się sobie.

— Widzicie, siostró Barbaro — rzekł w końcu Merheim — że dziewczę się podróży wcale nie zlekło, a wy byście jej obawiać się mieli? Zatem rzeczy ulóżmy wszystkie narazie, aby nie na jutro nie zostało. Dwudziestu pacholków wam przyślemy, za których ręczymy. Z tutejszych nie weźmiemy żadnego, aby się nie wydalo, że zrzucili habity. Sprowadzimy ich z Balgi, Elbląga, Grudziądza, a zwiążemy mocną przysięgą. Wy woźników i kolebkę znajdziecie w domu. Trzeba też szat i ochędóstwa białogłowskiego wziąć pod dostatkiem, aby mieć czym na dworze książęcym wystąpić. Glejt i listy wam przywiozę, lecz o listach dusza żywa wiedzieć nie powinna, a doręczyć ich nie można nikomu innemu, krom księżnie samej, i tak, by świadków przy tym nie było. Podarki dla niej mistrz przy-

sle; one nigdy sprawy nie psują: z gołymi rękami nawet chłop do sądu nie chodzi.

Podskarbi nalal sobie nowy kubek i oglądał się. Ofka cheiwie go słuchała.

— Dajcie-no drugi kubek dla pani matki — rzekł — niech kropelkę choć z cukrem wypije: to jej ducha pokrzepi.

Wnet zakręciła się Ofka i przybiegła ze szklaneczką wenecką przezroczystą, po której bokach, jak nici, białe żyłki szkła się kręciły.

Podskarbi nalal trochę wina, jejmość ze stojące miseczki cukru wzięła kawałek i z nim, zasłaniając się ręką, wina odrobinę wysączyła leniwo.

— Wszystko tedy dobrze — mówił krzyżak — a jeszcześmy jednej rzeczy nie tknęli: zaraz o niej pócnę. Bądźcie tylko dobrej myśli, bo wam niespodziankę jedną, a miłą nowinę przyniosę... zobaczycie.

Noskowa spojrzała jakoś zadumana i posepna, a Ofka, uprzedzając jej odpowiedź, ozwała się prędko:

— Niech wasza miłość nie zważa, że matusi tak zrazu smutno. Ona tak zawsze w początku na rozum bierze, ale potem i sama będzie rada! Jak na wóz siądziemy, a w pola wyjedziemy szerokie... w świat, rozraduje się jej dusza! Ona tego jeszcze nie widzi, a ja już mam wszystko przed oczyma. Lasy szumią, pola się zlocą, obłoki białe ciągną skrzydlate, rzeki wrą... konie rżą... a my lecim coraz dalej, w świat! w świat!

Krzyżak słuchał rozradowany, matce się też oczy zaśmiały.

— Teraz — rzekł — niech Ofka idzie sposobić się do podróży, my jeszcze mamy pomówić dwa słowa.

— Których mnie słyszeć nie wolno? — śmiejąc się, przerwało dziewczę. — Niech wasza miłość będzie pewna, że ja się ich domyśle, nie słysząc... więc ide.

Ukloniła się nisko i znikła.

— Jeszcze jedna sprawa. — rzekł podskarbi — a tej nie wiem, jak tknąć.

Obrócił się ku wdowie.

— Macie jaką rodzinę? myśmy nigdy o żadnej nie słyszeli?

Zdziwiona mocno, ruszyła się wdowa z siedzenia.

— Rodzinę? — powtórzyła, marszcząc czoło — rodzinę? Jam o niej, ona o mnie zapomniała! Nie wiem, wymarli może; nigdy się nikt nie zgłosił, jam też nie mogła... Miałam jednego przyrodniego brata, z jednego ojca, a nie jednej matki, ten młodo pono z domu wyszedł i zakonnikiem, albo księdzem został.

— Niewątpliwa więc rzecz, — rzekł podskarbi — iż go widzieć będziecie.

Noskowa poskoczyła przerażona niemal tą wiadomością.

— Skądżeby się u Boga wziął? tu? on? — powiedzcie, proszę. Nie wiedziałam, że żyje i gdzie się obraca.

— Ja go wam przywiozłem, — rzekł zakonnik — lecz posłuchajcie... Przybył z Polski, podejrzewano go, iż wysłanym został przez króla, u którego służywał. Zdaje się, człowiek światobliwy. Jego weźmiecie za towarzysza podróży, bezpieczniej z nim będzie. Pomnijcie jednak, że i brat nawet o tajemnicach zakonu wiedzieć nie ma: przestrzeżcie córkę, by mileżała.

Kupcowa słuchała coraz więcej zdziwiona i niema prawie, tak ją ta wiadomość wzruszyła.

— Gdzież jest? gdzie jest? — spytała niespokojna.

— Tu, na zamku!

— Tu? brat? Któż mówił, że on jest bratem moim?

— On sam.

Noskowa zamilkła.

— Dziwne zrządzenie Boże!

— Tak, dziwne i dla zakonu pomyślne. Dla bezpieczeństwa podróży waszej, jakby naumyślnie Bóg go zesłał. Jemu niech będą dzięki. Przyjmijcie starego jak brata, ale milćcie przed nim, jak przed obcym: on o nieczym wiedzieć nie ma, ani o listach, ani o poselstwie waszym. Ofce zamknijcie usta.

— Dziewczę ma rozum, dość dlań pół słowa: nie lękajcie się.

— Przyśle go tu, lecz czyńcie, jakbyście nawet nie wiedzieli o nim i nie mówili nic ze mną.

Podskarbi położył palec na ustach.

— Siostrą jego jesteście — dodał — ale i siostra w zakonie, a kto w naszą wszedł rodzinę, ten innej nie ma...

Noskowa skłoniła głowę. Niespokojna przeprowadziła do drzwi Merheima, który, szepnąwszy jeszcze słów kilka, w ciemnych schodach kamienicy zniknął.

Mrok już był w izbie i dwie służki przyszły ze świecami zapalonymi.

Noskowa, wróciwszy od drzwi, padła na siedzenie i nieruchoma siedziała na nim, podparwszy głowę na rękę.

Wspomnienie tego nieznanego prawie brata wywołało całe pasmo dawno grobową ziemią przysypanych pamiątek rodziny i domu.

Siedziała pogrążona w nich, gdy w korytarzu szelest i kroki oznajmiły czyjeś przybycie. Knecht zamkowy otworzył drzwi i wpuścił starca w wyszarzanej sukni, idącego o kiju. Ręka jego u wniścia zaraz szukała kropielnicy, której naówczas w żadnym nie brakło domu: przeżegnał się. Oczy jego zdziwione po wspaniałym toczyły się mieszkaniu, stapał z obawą,

czuł, że ubóstwo dziwnie na tle tych dóbr wydać się musiało.

Noskowa z wolna wyszła ku niemu i patrzyła milcząca. Twarz starca obudziła w niej dawno zatarte wspomnienie rysów ojcowskich. Wstrząsnęła się cała, jakby widmo ujrawszy z grobu powstałe.

Ksiądz oparł się na swym kiju i zdało się, że słowa wyrzec nie śmiał.

Wpatrzył się w twarz gospodyni.

— Barbaro! — rzekł stłumionym głosem — dzieckiem cię pamiętam... ty mnie nie możesz... brat Jan jestem z Zaboru. Pomnisz Zabór, dworek nasz... ojca?...

Głos mu osłabł. Noskowa, patrząc długo, coraz mocniej wzruszona, zaryczała wielkim płaczem niewieścim i do nóg mu się rzuciła. Ksiądz na ramionach jej ręce drżące położył i, całując w głowę, płakał także.

Na tę scenę niemą, śpiewając, weszła, a raczej wbiegła Ofka i ujrawszy matkę klęczącą przy nieznanym starcu, stanęła jak skamieniała. Nie mogła pojąć, ani co się stało, ani kim był ten człowiek, który zakonu sukni nie miał na sobie, a jak żebrak wyglądał.

Wtem matka przeczuła ją raczej, niż zobaczyła i zawołała:

— Ofka! stryj twój! brat mój! klęknij, niech cię pobłogosławi.

Staruszek się odwrócił nieco, a ujrawszy dziewczę śmiejące się jeszcze weselem, które nie miało czasu zniżyć z jej twarzy, uśmiechnął się do niego dobrotliwie i łagodnie.

— Bóg Abrahamów i Jakubów niech wam błogosławi i będzie z wami, na wieki wieków. Amen.

Urok głosu odbił się w sercu płochego dziewczęcia, z rozrzewnieniem przypadło rękę starca całować.

— Chodźcie, chodźcie — odezwała się, podnosząc, Noskowa i biorąc pod rękę księdza Jana — pewnie spoczynku potrzebujecie, widać to po waszej twarzy.

Uśmiechnął się staruszek.

— Piechotę do Malborka, do Matki Boskiej ide, z naszego Śląska... o jałmużnię—zaczął mówić, usiadłszy. — Aż do progów kościoła anioł mnie stróż prowadził. Przyjmowano po klasztorach, noclegowałem po plebaniach, ludzie karmili dobrzy, jałmużnę miałem nieproszoną. Takem się dowlókl aż do wrót. Tu mnie nieszczeście spotkało. Koń nogę mi zdusił, alem był gościnnie przyjęty...

— A! w Malborku — zawołała Noskowa — pielgrzymom tylko spoczywać a używać.

Staruszek nie zaprzeczył.

— Dobrzy byli, miłosierni — mówił dalej — póki żył duch im nie podszeptał, że z Polski szpiegiem być mogę.

Wdowa pobladła.

— Gdyby nie miłosierdzie Boże, byłbym wydany na męki.

Ofka krzyknęła z oburzenia i strachu.

— Czas wojny straszna na ludzi godzina — ciągnął staruszek spokojnie — oni niewinni, ja raczej, żem listu i świadectw nie miał..., jak gdyby czasu pokoju. Bóg jednak chciał obronić sługę swego, znalazł się w szpitalu chłopak, co poświadczył za mną; odwołałem się i na was, siostró kochana. Przysłano mnie tu, i dzięki im winienem tylko, że was widzieć mogę a pobłogosławić.

Opowiadanie księdza oniemiało kobiety.

— Wszystko to jak sen przed oczyma moimi — poczęła mówić Noskowa. — Jakież to szczęście dla mnie!

Staruszek z obawą spoglądał po mieszkaniu bogatym, a oczy jego padły potem na wyszarzaną suknię własną.

— Widzę, że Bóg wam w dobrach ziemskich szczęścił — rzekł powoli — jam się nie dobijał o nie. A mąż wasz?

— Owdowiałam już oddawna, — cicho odezwała się kobieta — sierotą zostałam z tym dzieckiem, ale Bóg się opiekował nami.

Tak rozpoczęła się rozmowa, której Ofka, ciekawa wszystkiego, przysłuchiwała się, zmarszczywszy czoło. Starzec ten, tak ubogi i wynędzniały, pociągał ją jak zagadka, której nie mogła zrozumieć. Wpatrywała się i wsłuchiwała w niego z podziwem i niepokojem. Płochę stworzenie czuło się pierwszy raz w życiu pokonanym, onieśmielonym jakąś siłą, której nie pojmowało. Chciała odejść i nie mogła. A gdy staruszek począł z cicha opowiadać o sobie i życiu swym, usiadła w nogach jego, by słowa nie stracić.

Tak zszedł wieczór. Przygotowano izbę wygodną po skromnej wieczery, bo innej przyjąć nie chciał, obie kobiety zaprowadziły go do gościnnej. Ksiądz Jan prosił o łożo twarde, o pokrycie proste — i nie więcej. Musiano zrzucić posłanie i zsunąć kotarę.

Ofka sama posługiwała milcząca, a matka wydziwić się nie mogła jej posłuszeństwu i skromności. Gdy kobiety wysuwały się z izdebki, ksiądz Jan na twardej podłodze klął do modlitwy.

— Matus! — szepnęła Ofka na ucho wdowie — mnie się tak zdaje, jakby święty Franciszek przyszedł do nas w gościnę. Ja mu nie dowierzam, on gotów w noce do nieba ulecieć! To człowiek święty, ale ja się go boję. Zimno mi, gdy nań patrzę; zdaje mi się, że czyta w mej duszy i wie wszystkie grzeszne myśli moje.

Trwały jeszcze pozorne rokowania około pokoju z krzyżakami. Jagiello ociągał się z rzuceniem ostatnich kości, trwając się nie tyle potęgą zakonu, jak intrygami jego i opieką króla Zygmunta, a zapowiedzią wojny od węgierskich granic. Wprawdzie Zygmunt mówił cicho, że wojnę wypowie, ale jej nie rozpocznie, a mimo to usiłował Witolda odciągnąć na swą stronę i oderwać od przymierza z Jagiellą. Możnaż było wierzyć tak dwoistej polityce? Nikt nie wątpił, że wojna, a wojna krwawa i stanowcza, wybuchnąć musi.

W całym kraju przysposabiano się do niej i ściągano pod chorągwie. Rycerstwo całe albo na koń już siadło, lub gotowało się wyruszyć z domów. Mnóstwo nawet tych, którzy poza granicami szczęścia, albo nauki rycerskiej szukali, i ci, którym się tam dobrze miało, rzucali przy dworach urzędy, nadane majątności, a z ludem do domu śpieszyli.

Wszędzie czuć było i widać nadchodzącą wojnę. Gościńcami i szlakami, drożynami leśnymi ciągnęli rycerze i zacieżne pulki, rotę i pocztę, wozy za sobą ciągnąc, ciurów i gawieź niezbędną. Po rzekach opatrywano brody, gotowano mosty, a po puszczach, kędy dróg nie bywało, tylko ścieżyny kręte a ciasne, spędzone gromady w pień stare waliły drzewa i zasiekami spychały je na boki, czyniąc nowe dla wojsk królewskich gościńce. Wszędzie ruszał się lud, gromadziła wrzaskliwie szlachta, a przed chatami i dworami stały smutne z założonymi rękami niewiasty, lub tuliły dzieci, myśląc, co wojna przyniesie, patrząc czy lasy, schronienie ostatnie, daleko.

Gdzie niegdzie z rozpoczętymi żniwami śpieszył lud rankami i nocami księżycowymi, aby się prędzej ze zbożem do brogów uprzątnąć; bo gdzie żołnierz i koń głodny nadszedł a chorągiew popasem lub noclegiem stanęła—już potem nie było czego szukać w polu. Kre-

eili się posłowie i kursorowie na zwiady wysyłani za językiem na rubież, a po grodach nad granicą u krzyżaków pilność była wielka, bo szpiegów co chwila łapano. I nie nowiną było w polu na dębie zobaczyć wiszącego człowieka, lub świeżą na rozdrożu gałęzią nalożoną mogiłę.

Z puszczy królewskich ogromne zapasy solonego mięsa, losiny, dziczyzny, rogaczów nabitych wcześniej puszczano z wodą, aby wojsku żywności dostarczyć; wozy też długimi sznury ciągnęły zapasy wojenne, wlokąc je do obozowisk królewskich.

Nad granicami zwłaszcza niepokój był najwidoczniejszy — tu się wszystko gromadziło i splayało: jedni, by wtargnąć, gdy godzina uderzy, drudzy, by odwetu nie dopuścić, bo nieprzyjaciół ogniem za ogień, a mieczem za miecz płacił. Tu każdy zameczek musiano opatrzyć i uzbroić, aby na przypadek i z małą garścią wielkim męstwem mógł się obronić.

Z miasteczek i wsi ludność na wozach ściagała mięsie swe do gródków, cisnęła się pod mury i za mury, wioski zostawując na łaskę Bożą, a nie spodziewając się chat swych zobaczyć, bo nieprzyjaciół szedł mieczem, a gdzie żelaza nie miał na kim stępić, głównie podrzucał. Kędy przeszedł, nie zostawało nic, tylko ziemia czarna i zgliszcza siwe.

Po wszystkich kościołach nakazane były modlitwy, duchowieństwo, ducha zagrzewając, przemawiało, niewiasty łamały dłonie, rycerstwo błogosławiono na wojnę. Dzieci patrzyły zdala i śmiały się zbrojom błyszczącym.

Choć wojna przeciwko niemieckim rycerzom nie była nowością dla Polski, zawsze ten krzyż czarny na mniszym a rycerskim płaszczu jakąś trwogę obudzał, aby, walcząc przeciw zakonnikom, z krzyżem Chrystusowym się nie wojowało.

Miał też zakon niemiecki w sąsiednich krajach przyjaciół mnogich i pół-braci i współ-bratów jawnych i tajemnych, którzy sieli, jak mogli, wątpliwości, a potęgą zakonu straszili i Bożą pomstą za rycerzy Marii.

Mówiono, że na hasło z całej Europy ściągnie się tam rycerstwo co najdzielniejsze, a Polska mu jedna nie sprostą. Rzym i cesarstwo było z zakonem i za zakonem. Cheiwe łupieży rittery z całych Niemiec wychylali się ze swych burgów, stojących na czatach nad gościńcami, śpiesząc na zawołanie wielkiego mistrza, a spodziewając się obfitej zdobyczy.

Nie ludzono się ani odpustami, ani świętością wojny krzyżowej, ale daleko ponętniejszymi honory i obietnicami łupów. Zakonu los obchodził Niemcy całe, bo nie było kątka w Germanii, któryby tam kogoś ze swoich nie wysłał: brata, stryja, krewniaka.

Wieściami o balwochwalstwie pogan litewskich, żmudzkich, ba! polskich karmiono Europę, która naówczas tyle wiedziała o tych krajach, co dzisiaj. Jagiellę wszędzie malowano jako poganina, a Witolda nie odróżniano od Tatarów, których zaciągi miał pod sobą.

Zakon zwlekał walkę stanowczą i możeby był ją odłożył do innej chwili, bo czuł, że ona o losach jego przyszych rozstrzygać może; lecz nie mniejsza obawa panowała w Jagielly obozie, bo i tu przegrana nie-obrachowane za sobą ciągnęła skutki.

Niemiecki świat, mieczem pracy ku wschodowi, miał się zetrzeć z obrońcami ziem słowiańskich od napływu germańskiego plemienia; wojna rozstrzygnąć miała, czy zaboreze hufce, poprzebierane za mnichów, zagarną ziemię aż do Herodotowych białych ciemności.

Świeżo ochrzczony poganin lękał się, by mu nie zadano, iż walczy przeciw chrześcijaństwu. Dlatego mo-

że i dla przejednania Boga, którego mniemane sługi miał wojować, Jagiello po drodze nabożnym był jak zawsze, albo nabożniejszym jeszcze.

Jechał król z Nowego Korczyna ze dworem na Stopnicę do Słupi, jak na wojnę przystało z niezbyt gromadnym, przecież królewskiemu dostojęństwu odpowiednim orszakiem. W Koronie już on naówczas nie królował, zdawszy namiestnictwo swojej władzy ks. Mikołajowi z Kurowa, arcybiskupowi gnieźnieńskiemu, sam zostawszy wodzem a żołnierzem tylko... Przeto i dwór bezmała składał się z samych ludzi rycerskich, z wyjątkiem panów pisarzów, kapelanów i duchownych, których do nabożeństwa, pism i listów potrzebowano, bo król sam, jak wiadomo, czytać ani pisać nie umiał. I służyło mu to dobrze, bo gdy mu co zarzucano, tłumaczył się skromnie, iż tyle tylko wie o sprawach, co mu ludzie powiedzą, choć wiedział o wszystkim lepiej od wszystkich.

W Słupi, u stóp góry, dwór, na noc stanawszy, rozłożył się po miasteczku i poza nim obozem, bo orszak królewski i chorągwie, ciągnące z nim, pomieścić się w domach nie mogły.

Wiedziano już w otoczeniu pańskim, że nazajutrz pieszo pójdzie Jagiello na Łysą górę, jak ślubował, i tam dzień na modlitwie spędzi. A nie dawniej jak czterdzieści lat temu też sama Litwa jeszcze klasztor i kościół ten splondrowała! Dziś przychodziła się modlić. Wysłano do mnichów, by z nabożeństwem byli gotowi.

Nazajutrz, że dzień obiecywał się upalny bardzo, o brzasku ruszyło się wszystko, co królowi towarzyszyć miało, a oprócz czeladzi przy obozie nikt nie został. Szli za panem wszyscy na Łysą górę. A był to widok uroczysty owego długiego orszaku duchownych i rycerzy, żołnierstwa i czeladzi, ciągnących pieszo, za

kapłanem, który drogę wskazywał, czytając modlitwy i zawodząc ze śpiewakami pieśni nabożne. Kto Jagiello nie widział wprzód i nie znał, nie byłby go pewnie za króla wziął, zobaczywszy skromnie idącego wśród daleko strojnniejszych panów, co mu towarzyszyli.

Jagiello, naówczas już niemłody, nie miał rysów twarzy, ani postawy majestatu uderzającej. Znać w nim było wszakże puszczy litewskich wychowanka, nawykłego do obozowania pod gołym niebem, spoczywającego w niepogodę pod dębami, a spędzania całych miesięcy w lesie, nie zajrzawszy pod dach i nie skosztowawszy miękkiego łóża.

Mąż był wzrostu średniego, tuszy niewielkiej, smukły i dość zręczny. Głowę miał małą, podługą, nieco już łysą, osadzoną na szyi długiej i żyłastej; twarz płci ciemnej uderzała najwięcej dwójgłosem oczu czarnych, małych, żywych, niespokojnych i biegających. Zdawały się one badać każdego i chcieć pochwycić wszystko.

Z ust trudno było coś czytać, oprócz łagodności i dobroduszości, która łatwo się mogła w gniew gwałtowny a krótki zmienić. Naówczas zaczynały się usta, oczy błyszczały, żyły wzdymały na skroniach i król strasznym się stawał. Takim bywał najczęściej na łowach i w gromadce dworskiej, a gdy do ludzi występował, hamował się i sypał chętną dłonią złoto, byle pokój okupić. Na ten dzień uroczysty król, który zimą w kożuchu prostym chadzał, a na posłuchania płaszcz brał szary, odział się swoją zwykłą szarą aksamitną suknią dostatnią, spod której jedwabny taftowy żupanik widać było, z pasem szerokim czarnym, obramowanym, jedwabnicą brunatną ujętym. Na nogach miał czechczery sukienne ciemne, a w ręku czapkę szytą złotem. Za nim na obronę od słońca No-

wek, sługa pański, niósł zapaśny kapelusz słomiany, jedwabiem podszyty, aby król włożył, gdy zechce.

Za nim długim szeregiem szli rycerze i panowie, dowódcy, marszałkowie, podskarbiowie, krajezowie i wielka siła dworzan, sług, urzędników, pacholąt, czeladzi.

Z obu stron drogi stał tłum pospolity, mieszczaństwo ze Słupi, włościanie ze wsi okolicznych, żebracy ze świata całego, z wyciągniętymi rękami. Królowi do kalety podawał garściami grosze podskarbi, a on ręką własną jałmużnę dzielił cisnącemu się ubóstwu. Cała góra roila się ludem.

Na pół rycersko pół książęco wyglądał dwór pański, bo w nim kleryków i duchownych dość było. Szlachta na ten dzień prawie cała zbroje ciężkie złożyła, przy szablach i mieczkach idąc, z czapkami zamiast hełmów w ręku, aby ramionom i głowom dać spocząć nieco. A szli wszyscy w porządku wielkim, z procesją, bo ksiądz przodem niósł krzyż srebrny i odziany był w komżę a stulę. Na kilkoro staj od kościoła wyszło duchowieństwo całe przeciwko królowi i we dzwony uderzono. Niesiono chorągwie kościelne i relikwie owa, której Litwa uwieźć nie mogła. Tę spotkawszy, król, przykleknawszy, ucałował i ciągnęły tłumy wprost do kościoła. Do zachodu słońca kłęcząc potem na wezglowiu, modląc się i ciągle rozdając jałmużny, a gmach, ledwie mogący pomieścić dwór pański, stał obleżony ludem do mroku.

Dwór też, naśladując pana, a skarbiąc sobie łaskę i błogosławieństwo Boże, o głodzie przetrwał dzień, późnym dopiero wieczorem nadażywszy do miasteczka, aby się przed snem posilić. Czekwały stoły niewykwintnie zastawne mięsami, rybami i warzywami a placzkami. Król, oprócz wody, innego nie używał napoju, dla rycerstwa stały kadzie i konwie z piwem: miód się

ledwie gdzie pokazał. Noże i łyżki mieli wszyscy przy sobie i z jednej misy jedli. Mięsiwo i ryba z lada jaką przyprawą starczyły na zabicie głodu. Po czym, jak kto stał, leżał gdzie mógł, nie szukając innego posłania nad wojłok, siodło i siano. Nieopodal konie rżały, co było najmiłą dla żołnierza muzyką. Nie wszyscy namioty mieli i nie każdy rozbijać je kazał.

Na niebie gwiazdy się posiały, gdy król z izby wyszedł, w której siedzieć nie lubił i na podsieniu na ławie przypadł, rozpatrując się po okolicy.

Wtem Zbyszek z Oleśnicy, jeden z pisarzy królewskich, wielce od niego lubiony, nadbiegł z pokłonem i zwiastował, iż panowie, którzy byli służbą króla rzymskiego i węgierskiego porzucili, aby do swojego pana powrócić—nocowali nie daleko i nazajutrz się Jagielle do boku stawić mieli. Wiedziano już, że ich król Zygmunta zatrzymać pragnął i łaskami ludził i groźbami straszył; przecież nie zламаł, ani znecił, bo porzuciwszy dobra i skarby, precz poszli przebojem do swoich, zasłyszawszy o gotującej się wojnie.

Rozradowała się twarz pańska i uśmiechnęła, a miała za wyraźny znak łaski Bożej i owoc modlitwy, że mu teraz o nich znać dano.

Inny z dworzan oznajmił też, iż księżna Aleksandra, siostra Jagielly, wielce mu ulubiona, drogę chce zabieć, aby go widzieć i mieć z nim rozmowę. Spodziewał się też książąt mazowieckich obu, Janusza i Semiszki (Ziemowita), którzy z ludźmi nadeiagnąć obiecywali ku Kozienicom pod Czerwieńsk, gdzie dla wojsk cieśle i budowniczo wie niewidziany most na łyżwach budowali, któremu, kto nie widział, wierzyć nie chciał.

Późną godziną król, na rozmowie spędziwszy czas, szedł do przygotowanej lożnicy, gdzie nań słudzy: Borowiec, Czochoł, Jurad i Nowek, dla ściągnięcia szat czekali. Izbę dla króla w domu burmistrza obrano

wprawdzie najlepszą, przecie mało co od tych, jakie po wieśniaczych bywają dworach, pokątniejszą. Podługę wysypano tatarakiem, łoże świeżem sianem i skórą łosiemi usłano. Tu miednice mosiężne i konwie do umywania stały, dalej leżały szaty i kożuch, co go nigdy nie odstępował i drobny sprzęt podróżny. Para świec woskowych w lichtarzach srebrnych, ciężkich, nieco izbę oświećlała, w progu legła czeladź na straży, a w sieniach pacholeta i słudzy.

Nazajutrz król, choć się obudził do dnia, bo w miasteczku wrzawa była od rycerstwa, które przychodziło i odjeżdżało, wywczasowywał się, poufalszych tylko przypuszczając do siebie, wedle zwyczaju.

Słońce się jeszcze nie było dobrze podniosło, gdy wesole okrzyki oznajmiły o przybywających: Zawiszech, Malskim, Puchale Brzozogłowie i innych. Wyszedł król sam na ich spotkanie. Orszak też był, na którym mile oko spocząć mogło i dusza mu się radowała. Jechali z pocztami świetnymi, wszyscy we zbrojach jasnych i pozłocistych, przepasywani wstęgami krasnymi, na koniach silnych, w rynsztunku pełnym, z mieczami kowanymi srebrem i złotem.

Gdy zatoczyli przed Jagiellą, co było rycerstwa i dworu, wybiegło im się przypatrywać. Zsiadli wszyscy z koni i, z Zawiszą na przedzie, przyszli się do kolan pańskich pokłonić, których Jagiello z niewymowną radością przyjmował, gości karmił i poić rozkazywał.

W Sulejowie król już miał około siebie mało nie wszystkie siły swe, oprócz Wielkopolanów i Mazurów, którzy się z nim mieli połączyć dopiero nad Wisłą. Tam też nadeiagnąć mieli Czesi z Morawianami, Sokół, Sarnowski i inni z zaciężnym żołnierzem, taborami, wozy, działami i żywnością, którą różnymi drogami wieziono ku Czerwieńskowi.

Wszystko dotąd składało się bardzo pomyślnie, Jagiello też był dobrej myśli, chociaż przypadły nań i dni posepne, w które mało mówił, a przystęp doń nie był bezpieczny. Rycerstwo szło duchem wielkim, pieśni zawodząc, mieczami brzękając, zbrojami świecąc, a rano i wieczorem gromadząc się na modlitwy. I gdzie obóz przystanął, kapliczny namiot rozbijano, aby służba Boża nie ustawała. Król mszy co dzień słuchał, nim na koń siadł.

Dziesięciodniowe zawieszenie broni dozwalało wojskom, nie śpiesząc, dociągać do samych granic krzyżackich.

Niepokojoono się nieco, wieści od Witolda oczekując, gdy goniec od niego do Jagielly przybył, że ze wszystkimi siłami swymi stoi nad Narwią, nie śmiąc się przeprawić przez nią, w obawie, aby go nieprzyjaciół nie zaskoczył z tyłu, lub z boku. Zaczem mu chorągwi kilka zaraz dla obrony posłano.

Ciągnęło tak wojsko dalej do Kozienic, gdzie ów sławny most dlań budowano, na owe czasy osobliwy i niewidziany. Był to pierwszy tego rodzaju do przeprawy użyty, a tak mocny, iż po nim nie tylko wojsko całe, ale działa i kule kamienne i wozy z żywnością bezpiecznie przeprawiać się mogły na przeciwny brzeg do obozu, kędy Czechowie kunsztem swym tabory ustawiali.

Tu dano znać królowi o Witoldzie, naprzeciw którego ze świetnym pocztem jechał Jagiello na powitanie i prowadził go do owego mostu, umocowanego kobylicami ogromnymi u brzegów i obwarowanego strażą.

Rycerstwo całe wysypało się niemal dla widzenia Witolda, który sam miał postawę pańską i orszak piękny, ale wojska jego, szczególnież Tatarowie, dziko wyglądali, szli niesfornie i uzbrojeni byli lichu.

Rycerstwo Jagiellowe, w żelazo okute, uzbrojenie miało przedziwne, kopie długie i daleko sięgające; u Tatarów i Litwy oręża i zbroi było za mało, kopie lekkie i krótkie, a lud szedł tłumnie, kupami i hałaśliwie. Dopiero się to miało później w chorągwie i szeregi, wedle wzrostu i siły, uporządkować i ustawić.

Tu tedy wraz wojska oba poczęły zwolna przez most przeciągać, chorągwie ze starszyzną na czele, lud jak na procesji w porządku... i zaraz na drugim brzegu namioty rozbijano. Tu też zaraz obok królewskiego pierwszy wielki namiot na kaplicę przeznaczony ustawiono, w którym chór był i wszystko, czego kościelny wymaga porządek.

Wojsko ciągnęło lasem i zaroślami, dzień był skwarny, król uznojony i posepny jechał z głową okrytą na powolnym koniu, który miał nogi zdrowe i chód lekki, co rzadko razem się łączy.

Opodał nieco, konno i pieszo, szli i jechali dworscy, rycerze i panowie, rozmawiając po cichu. Zdawało się, że było pieśni, które Witoldowi Rusini zawodzili, wytrwać bez nich długo nie mogąc w milczeniu. Las ledwie wolny wietrzyk poruszał, pogoda obiecywała się na dzień cały. Gdziekolwiek źródło lub studnia znalazła się na drodze, rzuciło się do niej co żyło i wysączało ją do dna. Nie jeden konia wprzód pojąc, sam potem kropli już nie dostał, ale koń był pierwszy u żołnierza. Niektórzy, po borze, przypominając lata młodsze, dojrzewających jagód szukali, by nimi zwilżyć usta spalone, inni grzybami napelniali helmy, aby je upiec na noclegu. Łamanymi gałęziami opędzano od much zmęczone rumaki.

Zdążano już ku granicom, gdy wśród gościńca, gdzie się drogi krzyżowały, a za pogańskich czasów stały bożyszcza na słupach, na których miejscu później powznoszono figury i krzyże, ujrzał Jagiello, podniósłszy oczy, widok szczególny, a że bojaźliwym był na białogłowskie czary, spotkania i wszelkie uroki, zrazu konia zatrzymał, zzymając się.

W dąbrowie u rozstaju widać było rozłożony dosyć szeroko obóz, zapalone ognie, rozstawione stoly, rozbity namiot, wyladowane wozy, około których zwiłają się więcej niewiast, niż mężczyzn. Na gałęziach kilku dębów rozpięta ogromna opona różnobarwna osłaniała proste z opilków zbite stoly i ławy na pieńkach wymoszczone. Niektóre z nich przysłaniały wschodnie kobierce.

Przedem przed tym gospodarstwem leśnym, z chlebem i solą na pozłocistej misie, stała kobieta średnich lat, słusznego wzrostu, silnej budowy, poważnej postawy, w ciemne szaty ubrana, z białą na głowie zasłoną.

Twarzy była już niepięknej i zmarszczkami wczesnymi zoranej, ale ślady piękności i siły w niej się zachowały. Uśmiechała się z dala do króla, który, konia wstrzymawszy, przeciwko czarom możliwym psiłował się na wszelki wypadek obwarować, spluwając dokoła i złamane słomki, które zawsze przy sobie nosił, przez głowę koniowi rzucając na gościńce.

Jechał tuż za królem dworzanin Waśko i szedł pieszo podkoniuszy Hanusz. Obrócił się Jagiello ku nim, wskazując ręką na obóz i pomrukując, aby się dowiedzieli, ktoby to był, co go chciał niespodzianą uczyć gościńca. Waśko konia spał, kilkanaście kroków pośpieszył na przód, i popatrzywszy tylko, nie pytając nikogo, do stojącego króla zwrócił nazad, z twarzą rozjaśnioną, wołając:

— Książna Aleksandra Olgierdówna Semiskowa (Ziemowitowa).

Im chmurniejszą zrazu twarz był uczynił Jagiello, tym się teraz rozśmiał weselej, koniowi popuścił ugli, ale nim do miejsca dojechał, zsiadł i z wielką czułością siostrę poszedł witać.

Grubym swym głosem, który im weselszy był, tym silniej brzmiał, poczał jej czynić wyrzuty, że go tą niespodzianką nastraszyła. Ale tuż, zrzuciwszy nakrycie z głowy, na ławie siadł i o wodę do swoich zawołał, bo jej nikomu, oprócz podezaszych, podawać mu nie było wolno. Nadjechał też i ks. Witold, który się witał i obok miejsce zabrał.

Książna z licznej rodziny dwóch tylko synów z sobą miała, ale kobiecy dwór bardzo liczny, który w tej chwili z za namiotów, drzew, krzaków i z za wozów stojących dokoła wyglądał, ciekawie się przypatrując przeciągającym rycerzom i stojącemu orszakowi pańskiemu. Szło bowiem wojsko chorągwiami dalej ku Żochowu, a ze dworu tylko i z przybocznej straży cokolwiek przedniejszych zostało przy królu i Witoldzie.

Rozchodząca się woń piezonego mięsiva i kuchennych przypraw nie jednemu wygłodniałemu wyrwała westchnienie. Król był, jak zawsze, siostrze niewymownie rad, mając do niej z lat młodych przywiązanie szczere.

Dwóch chłopaków księżnej, którzy mu do nóg upadli, król po głowach i policzkach poklepał, a oczywiście z ukosa, ostrożnie i ku białym paniom, w głębi stojącym, spozierał. Znano go z tego, że do niewiast miał słabość do najpóźniejszego wieku. Dwór księżnej krył się niby wstydliwie, naprawdę jednak radby się był pokazał i bliżej napatrzył rycerzy.

Szmer słychać było i śmieszki za oponami, a ciągnący żołnierz oczyma ścigał równie pożądanymi pie-

kacą się zwierzyne i chowające niewiasty. Jagiello jął stojącą księżną wypytwać o rodzinę jej liczną, każdego wymieniając po imieniu, śmiał się rad i czekał, aż mu co jeść podadzą. Wtem nagle oczy jego, biegające niespokojnie, zatrzymały się i utkwily w miejscu jednym, oderwać się od niego nie mogąc.

U wnijszcia do namiotu stało dziewczę, strojne, piękne, uśmiechnięte, z kwiatkami powtykanymi we włosy, śmiało patrząc w oczy królowi, jakby się nie majestatu jego nie ulękło. Wielka piękność i świeżość tej twarzy nie samego tylko króla uderzyła: ks. Witold, a dalej nieco stojący dwór, oczy w nią mieli wlepione. Było coś wyzywającego i niepokojącego w tym zjawisku leśnym, które jakąś boginię puszczy litewskich przypominało.

Król z cicha szeptał: „Ragana!“ i znowu rzucał słomki dokoła siebie, ale oczów oczarowanych oderwać od niej nie mógł.

Ks. Witold wreszcie, przystąpiwszy do księżnej Aleksandry, spytał, kogo by to z sobą przywiozła?

— Czarownicę jakąś macie, która ludzi oczyma pęta — rzekł, śmiejąc się.

Księżna odwróciła się i postrzegła dziewczę.

— Dowiedzie się co za jedna — odpowiedziała — nie należy ona do mojego dworu; w gościnie u mnie z matką i wujem, a spotkałam ich właśnie, gdym tu w drogę jechała.

Jagiello przysłuchiwał się ciekawie, patrzył i spluwał, coś szepejąc.

— Dziwnie piękna, — ciągnęła dalej księżna — a co więcej dziwnie śmiała, wesola i mądra, więcej niż na dziewczkę przystało. Od wczoraj mi cały mój dwór zbalamuciła.

Na tym się przerwała rozmowa, gdyż na stół właśnie przynoszono misy z polewką i mięsiwa dymiące parą,

a wkoło zwijały się kobiety księżnej i pacholkiwie, naprzód stół zastawiając w pośrodku przed królem.

Nie tknął jednak Jagiello nic, dopóki mu jego podezasy z podróżnej skrzynki nie dobył kubka, misy, noża, łyżki, do których nikomu się dotknąć nie było wolno, oprócz niego i nikomu królowi do stołu posługiwać, oprócz tych, co byli do osoby jego przywiązani.

Gdyby przypadkiem, czy umyślnie, ktokolwiek ruszył kubek pański, lub łyżkę, jużby ich król więcej nie użył, tak się czarów obawiał i złych ludzi. A kiedyż więcej mógł się ich lękać, jak przed tą wojną, której był głową, czując, żeby go krzyżacy zgładzić byli radzi?

Zasiadł ks. Witold opodal naprzeciw, księżna przy bracie, rycerstwo, kapelan i kilku duchownych w końcu przy drugim stole. Podezasy przyniósł miednicę, nalewkę i tuwalnię królewską, wszyscy dokoła ręce umywać zaczęli, aż wstał kapłan i błogosławieństwo odmawiał, którego wszyscy, stojąc, słuchali pobożnie. Siedli potem, ale nikt do misy nie sięgnął, póki król nie począł jeść i nasyciwszy głód, nie posunął jej od siebie.

Wszczęła tedy księżna Aleksandra cichą rozmowę, o czym, jeśli nie o wojnie a krzyżakach? Jagielle wiadomym było, że książęta mazowieccy, sąsiedztwem zmuszeni, w stosunkach byli z zakonem, a mistrzowie krzyżacy zawsze sobie laski i względy księżnej, jako siostry króla, skarbić starali. Szły często podarki z Malbarga do Płocka i Warszawy, posyłano je też stąd do Torunia i Malbarga wraz z przyjacielskimi listami. Mówiono, że księżna Aleksandra potajemnie zakonowi sprzyjała. W Płocku wiadano o krzyżakach i ich obrotach lepiej częstokroć niż w Krakowie i Wilnie.

Szli teraz książęta mazowieccy razem z królem na wojnę, bo inaczej pociąć nie mogli.

— Idziemy więc na tę wojnę — szeptał Jagiello — niechętni, przymuszeni, bo pokoju sprawiedliwego nie chcę i nie dadzą; idziemy, w Bogu ufając i w dobroci naszej sprawy.

Westchnął, a księżna powtórzyła za nim to westchnienie.

— Zawsze wojna jest nieszczęściem, — odpowiedziała — cóż dopiero z takim nieprzyjacielem, który ma stu jawnych, a dwustu potajemnych sprzymierzeńców i przyjaciół i tysiące kunsztów nam nieznanych. Sami się Panem Bogiem zasłaniają!

— Wiem-ci ja, co ta wojna znaczy, — rzekł Jagiello — albo trzeba ich wywieść precz, lub głową nałożyć. Nie chciałem jej i nie chcę. Czemuż nie przyjmą słuszných warunków? Ja tylko tego, co nasze, pragnę::: Któż wie, ażali, gdy panowie węgierscy nadejdą, nie ułoży się coś i daj Boże, aby się ułożyło, jeśli jeszcze czas po temu. Ale cóż słyhać z tamtej strony? co od nich?

— Właśnie mi wieści kobiety te z Torunia przywiozły, uciekając i szukając schronienia przed wojną.

— Jakie kobiety? — spytał król.

— Te, o które Witold pytał, a wy na nią patrzaliście, bo dziwnie piękna jest.

— Co mówią? co mówią? — począł król i Witold.

— Któż wie, czy one co wiedzą i czy nie rośnie im w oczach potęga zakonu? — mówiła księżna. — Przygotowania wielkie i straszne być mają, jakby nie na wyprawę szli, ale na zawojowanie krajów naszych. Z zagranicy, z Niemiec, z Anglii, płyną goście niepoliczeni z orszakami łuczników, kuszników, rycerzy. Ściągają działa, kule, prochy. Najemny żołnierz z nad Renu, ze wszystkich ziem niemieckich, z Czech i Morawy nieustannie przybywa.

— Czechów i Morawian i my mamy dosyć, — odparł król — dwom Bogom służyć.

— Byle obu nie zdradzili — wtrącił Witold — boję się najemników, co się na cudzej ziemi, za cudzą sprawę dla chleba biją: zły to żołnierz.

— Mówcie — rzekł Jagiello — co więcej? Gotowi oni tam?

— Wszystko w poruszeniu: na zamkach, po grodach, w powiatach osadzają załogi knechtami, mało co zostawując rycerzy: co żyje — ciągnie ku granicy zastępy ogromnymi. Najdzielniejsi komturowie i sam w. mistrz na czele.

— I nie trwożą? — spytał Witold.

— Odgrają się tylko — mówiła księżna.

— Mistrza tego znam zdawna — przerwał Witold — jeszcze za Wallenroda czynniejszym był od niego. Rycerz mężny, dzielnego serca, ale pycha wielka. Jeśli go co zgubić ma, to chyba gorączka i porywczosć.

— My Bogu ufamy! — dokończył król. — Nie tajna nam potęga zakonu, ale mężnych ludzi i u nas sporo, a z zagranic coś się też zebrało.

Westchnął król, pochmurniawszy, zawołał na podczaszego, aby wodę podano, ręce chciał myć, jedzenia mając dosyć.

Drudzy w końcu stołu dopiero byli mięsiwa rozbiierać zaczęli, pozostali dłużej nad nimi, noże odpasawszy i krając każdy sobie.

Wstał tedy Jagiello i uszedł z siostrą na stronę nieco, a tuż znowu z poza namiotu ukazała się twarz uśmiechnięta dziewczęcia i obok siwa głowa staruszka, na którą król popatrzawszy z uwagą, uderzył się w czoło.

— A ten kto jest? — zapytał, wskazując.

— Duchowny, który kobietom tym towarzyszył w drodze, krewny ich.

— Jam go znam, — żywo dodał Jagiello — jam go kiedyś widział? Był między pisarzami moimi. To ksiądz Jan!!

Skiął ręką, ksiądz poruszył się, ale przybliżyć jeszcze nie śmiał, sądząc, że nie jego wolano; powtórzył król wezwanie ręką, i dopiero się stary wychylił przedko, idąc do ucałowania ręki pańskiej.

Weselszą twarzą witał go król.

— A witajże, witajże! — zawołał — już was to dawno nie było? Coście czynili? gdzie bywali, co czynicie i jakieście się tu dostali?

— Sądzę, że mnie chyba Bóg tu wysłał, abym miał to szczęście jeszcze raz królewskie oglądać oblicze, bom się ani spodziewał tu być, ani nawet śmiało pragnąć.

— A no mów, księżu Janie — dodał król — skąd? jak?

— Wprost z Malbarga i Torunia jadę.

— Po dobrej woli? — rzekł król zdziwiony.

— Pielgrzymowałem do N. Panny pieszo, a razem siostry szukałem straconej. Wzięli mnie za szpiega krzyżacy i uwięzili, chcąc dać na męki. Cud Boży od śmierci uchronił, z siostrą razem uchodzimy z Torunia.

— A prawda to — wtrącił król żywo — że tam taka burza na nas się zbiera?

— Niewielem widział — odparł ks. Jan, — Kobiety moje, które tam mieszkają, więcej o tym wiedzą, ale jako niewiasty, tyle tylko, że się tam wszelka siła zbiera i gniew, a zaciętość wielka.

Popatrzał nań król.

— Cóż wy mówicie, księżu Janie? co wy nam wróżycie?

Twarz starca zadumana, jakby od lampy w pierśiach płonącej, ożywiać się i rozjaśniać zaczęła; mienił się natchniony, a w oczach rosła.

— Ziemskich spraw wiem niewiele, — zawołał — rozumiem je mało. Przeszedłem, pielgrzymując, znaczną część ziem zakonu, stawałem po ich zamkach, patrzałem na życie, dziwiłem się temu zakonowi, z krzyżem chodzącemu wszędzie, a pogańskiego ducha i pychy!! Nigdy Bóg dumnym, a ufającym sobie nie daje długiego zwycięstwa. Cieszyć się im dozwoli, aby ich więcej jeszcze poniżył i zgniół. Kto z Bogiem w sercu idzie, zwycięży. Oni się Bogiem posługują, a nie Jemu służą.

Księżna słuchając, pobladła nieco i spuściła głowę, zdawała się nierada tej mowie.

— Potęga zakonu wielka — odezwała się — a nie wszyscy w nim źli są i zepsuci: nie bronie ich, lecz się lękam. Za nimi papież rzymski, za nimi król Zygmunt, cesarstwo i Niemcy całe; za nimi skarbiec ich i nauka, jaką mają, i lud rycerski.

— A z nami będzie Bóg! — odparł ksiądz. — Na czyjejże ziemi siedzą, dlaczego sobie ją przywłaszczają? Nędza i niewola ludu podbitego, na którą patrzałem, wola o pomstę nad nimi.

— Mój ojciec, — przerwała księżna — nie podżegacie króla do wojny, lepiejbyście go ku pokojowi skłaniali.

— Bóg świadek, nie do wojny zaczepnej kuszę, bom kapłan Boga pokoju — odezwał się ksiądz Jan — ale do obrony ducha dodaje, a mówię, czym mnie sumienie natchnęło.

Spuścił głowę z pokorą i umilkł: na twarz księżnej wystąpił rumieniec.

— Posłuchajcie, co mówią te kobiety — odezwała się żywo — wszak-ci to siostra ks. Jana.

— Siostra wasza? — wtrącił król — rad posłyszę.

Zwrócili się ku namiotom. Ksiądz za królem szedł. Księżna skinęła na stojącą Noskową z córką i kazała jej przystąpić.

Rozkaz ten zrozumiała też Ofka, jako jej dotyczący i nie chcąc samej puścić matki, zdążyła za nią ku królowi, który na idące kobiety, strojne i bogato przybrane, ciekawym spozierał okiem. Obu piękność czyniła na nim widoczne wrażenie, jednakże, choć siostrze księdza Jana i jej córce, przystępu do siebie bliższego nierad był dozwolić i cofnął się kilka kroków, dając poznać, by z daleka stanęły.

Z równą ciekawością wdowa i córka jej w króla się wpatrywały. Noskowa pochyliła się niskim ukłonem, który Ofka powtórzyła za nią.

Piękne dziewczę przybrało poważny pozór na twarzyczkę niewinną, oczy jej tylko strzelały niepohamowane.

Stały tak milezące, nie śmiejąc przemówić pierwsze, gdy Jagiello zagadnął:

— Cóż się tam u krzyżaków dzieje? wielki wybór na wojnę?

— A! — łamiąc ręce, poczęła Noskowa — ludzie mówią, że nigdy jeszcze takiego nie pamiętają. Co żyje ciągnąć musi. Co dzień nowe poczty przybywają z Niemiec. Siła ogromna. Pola około zamczysk, jak mrowiem okryte orężnymi ludźmi, zbrojownie wszystkie otwarto i wypróżniono. Zaklinają się i przysięgają, że nie włożą do pochew mieczów, dopóki nie zwyciężą i w Krakowie nie zawrą pokoju.

— W. mistrz — dodała — pała gniewem wielkim, o pokoju i słyszeć nie chce.

Jagiello mileżał. Ofka przypatrywała się, ksiądz po chwili dodał:

— Bóg wielki, Bogu ufać i serca nie trwożyć.

— Tak się czyni — dodał Jagiello cicho.

— Ja do stóp w. królewskiej mości schylam się — dodał ks. Jan — o pozwolenie wolnego przejazdu i schronienie siostrze mojej.

— Pójdźcie do pisarzów, znacie ich, niech glejt wydadzą, niech jadą, kędy chcą.

Skloniła się Noskowa. Król, popatrzawszy długo, dał im znak, by odeszły. Ofka obejrzała się raz jeszcze za siebie i pobięła za matką.

— Dziewczyna osobliwa — szepnął Jagiello — coś nieczystej siły ma w oczach.

Ks. Aleksandra ramionami ruszyła.

— Dziecko to jest — zamknęła.

Sam na sam pozostawszy z bratem, księżna go dalej jeszcze uprowadziła pod drzewa, gdzie ich nikt podsłuchać nie mógł.

— Trwożę się — rzekła mu. — Nie można przed ludźmi pokazywać obawy, aby im serca nie odejmować, ale w moim jest przerażenie wielkie. Zewsząd dochodziły nas do Płocka wiadomości o przygotowaniach zakonu nadzwyczajnych. Nigdy tyle nie wysypali złota, nigdy tylu nie sprowadzili ludzi, tylu nie rozesłali szpiegów i posłów. Mają wszystko i wszystkich za sobą.

Jagiello, słuchając, westchnął.

— Wiem o tym — dodał — i niemniej od was się trwożę, ale ludowi memu własnej obawy wszczepiać nie chcę. Cóż począć? Panowie się na pokój nie godzą, krzyżacy sami go nie chcą.

— Owszem, oni go pragną — odezwiała się księżna, dobywając papier z pieczęcią z za sukni i oglądając się w koło. — W. mistrz pisze do mnie... nie chce przelew krwi chrześcijańskiej.

Oczyrna prawie przerażonymi spojrzał król na list i cofnął się.

— Kto go przyniósł? — spytał.

Księżna pomilczała nieco, wahała się powiedzieć prawdy, a kłamać nie chciała.

— Książdz nie o tym nie wie — rzekła cicho — kobiety te sekretnie mi go oddały.

Widać było, że król się wahał, chcąc list zabrać i tknąć się go obawiając; obrócił oczy, zdala stał Zbyszczek z Oleśnicy: skinął nań. Gdy nadszedł, pochylił mu się do ucha. — Weźcie list do siebie i nie okazujcie nikomu.

Zręcznie bardzo księżna papier podała przybyłemu, król znowu dał znak mu do odejścia. Jagiello był poruszony.

— Czemuż nie przyjmą warunków, jakie im panowie moi podają? — rzekł, zniżając głos — ja cofnąć się nie mogę! jam zmuszony, ja poniewoli idę, bo miary dopełnili. Chytry zakon wciągnął nas w tę wojnę, pewien zwycięstwa.

— Nakłaniajcie do pokoju, królewskie słowo wiele znaczy — mówiła księżna — jeszcze jest czas, jeszcze dla układów rozpoczęcie wojny przeciwną można.

— Wojna się już rozpoczęła pod Świeciem — odparł król cicho.

Księżna ręce załamała.

— Nasi zwyciężyli, — dodał Jagiello — lecz cóż znaczy jedna porażka i to pierwsza. Mówią, że to wróżba dobra, ja ją mam za nieszczęśliwą.

— Jestżeś pewnym Witolda?

Król z pod oka spojrzał, i nie odpowiedział nie.

— Nie jest-że on z nimi w zмовie?

— Będą czuwać nad nim — krótko dorzucił Jagiello.

— Wisi nad nami miecz, który nas wszystkich zgładzić może — mówiła księżna — zwycięzcy nie przebaczą nikomu, najadą Polskę, zniszczą Mazowsze, złupią Litwę, w perzynę obrócą wsie i miasta.

— Alem ja nie wyzwał i nie chcę wojny, ja pragnę pokoju, powtórzył król, oglądając się i ocierając pot z czoła — jam go dziś zawrzeć gotów. Czemuż odrzucają słuszne warunki?

— Więc zwlekać trzeba, zwlekać do ostatniej godziny.

Konie zaczęły rżeć, a rycerstwo siadać, ruch wszczywał się na rozstajach.

Król też spojrzał niespokojnie dokoła i wyciągnął rękę na pożegnanie.

— Losy wojny — rzekł głosem przejętym — nieodgadnione. — Kto wie, czy nie ostatni raz się widziemy. W duszy mam złe przecucia, nie mi ich odjąć nie może. Módlcie się za mną.

Księżnie Aleksandrze, niemniej poruszonej, łzy płynęły z oczów, schyliła się do ręki brata, który ją ścisnąć począł milezący. Wszystek dwór księżnej wysypał się z namiotów i obozowiska, patrzeć na rozstanie i odjazd dworu.

W gromadce kobiet stała Ofka z oczyma, jakby rozognionymi, którymi rzucała po wszystkich, drżała z jakiejś niecierpliwości.

— Co ci, szalona dziewczyno? — szepnęła matka, czując jej poruszenia.

— Co mi jest? — na ucho poczęła mówić Ofka. — Oto bym z nimi na koń siadła. Dałabym rok życia, dałabym dwa, żebym mogła pojechać w tym orszaku.

Noskowa odwróciła się aż strwożona i z lekka trąciła ją po twarzy.

— Mileżałabyś, nieszczęśliwa, — odezwała się niepokojna, aby kto nie usłyszał — co ci się po głowie roi?

— Siedzieć za piecem i nie wiedzieć co tam będzie! A! to nie do wytrzymania — powtarzała, tupiąc nogami, Ofka.

Właśnie królowi konia prowadzono. Koniuszy strze-
mie podawał, księżna szła aż do miejsca, skąd wyru-
szyć miano, to lży ocierając, to ręką śląc pożegnanie.
Witold już na koniu siedział. Zaledwie Jagiello spał
się na siodło, dwór pobiegł też do swych koni i każdy,
co najspieszniej cugle zgarnawszy, strzemięcia nogą
szukał, a drugi i bez niego na grzbiet koniowi skoczył.
Zawrzało i zatętniało w tym tłumie, bo niektóre konie
w las niosły, inne się spinały, kasały się dzikie i biły
między sobą, dopóki, silną ujęte dłonią, nie przyszły
do porządku.

Ruszył tedy cały dwór, ustawivszy się jak wprzód,
żegnając czapkami i głowami księżną i dwór jej, który
coraz dalej występował na drogę.

Już czoło kolumny ciągnęło lasem, a za nim Jagiello
z Witoldem, dworscy, wojewodowie, rycerstwo, dalej
konie, kolebki pańskie i wozy, i psy myśliwskie, i cze-
ladź, i ciury.

Księżna zadumana stała z chłopakami swymi nade
drogą, aż przeciągnęło wszystko i znikło w oddaleniu,
a ksiądz Jan, modląc się, żegnał ich długo krzyżem,
który trzymał w ręku.

Naostatek umilkło w lesie i wozy księżnej ładować
do powrotu zaczęto. Noskowa też z córką cofnęła się
na bok ku swoim ludziom i koniom, stojącym dalej
nieco w zaroślach. Tegoż wieczora zapowiedziany był
wyjazd do Płocka. Kazano się toruńskiemu orszakowi
Noskowej do niego gotować, gdy ks. Jan przyniósł
wiadomość nową, że księżna Aleksandra spocząć pra-
gnie i, noc w lesie spędziwszy, o brzasku dopiero w dal-
szą wyruszyć drogę.

Jakoż wkrótce potem zwolna mrok padać zaczął,
a ludzie się obwarowawszy od dzikiego zwierza
i wszelkiej napaści wozami, konie wzięwszy w środek,

spособili się do spoczynku. Małe ogniska zostały tylko
niedogaszzone.

Rozstawione straże pilnowały obozu noc całą.

Dzień się robił i ludzie koło koni chodzić zaczęli,
gdy od namiotu, w którym nocowała Noskowa, krzyk
się dał słyszeć i płacz niezmierny. Wszyscy pobiegli
dowiedzieć się, co się dzieje. Z rozpuszczonymi włosy,
ledwie obrzuciwszy się odzieżą, z lamentem wielkim
biegła wdowa do księżnej namiotu:

— Córki mojej nie ma! córkę mi porwano! — wo-
lała

Ruszyło się, co żyło, szukać śladów dokoła. Ksiądz
Jan osłupiały z załamanymi stał rękami; młodszy na
koń skoczyli, rozbiegając się na wszystkie strony. Nikt
nie mógł pojąć, w jaki sposób od matki, przy której
spoczywała, nie rozbudziwszy jej, mogła się dać por-
wać. Znikła, zabrawszy część odzieży, a co więcej,
znikła znaczna część złota, w które wdowa na podróż
opatrzoną była, i znikł sam dowódca straży z Toru-
nia dodanej, człek stary, siwy, ponury, milezący, ale
z wierności swej znany i ten, któremu najwięcej ufano.

Domyśleć się więc było już i matce samej łatwo, że
nie siłą pochwyconą została, ale po dobrej uszła woli.
Dlaczego? dokąd? niepodobna było odgadnąć, przy-
pomniała sobie tylko Noskowa wczorajszy jej wy-
krzyk, gdy dwór ruszał i rycerstwo, i padła na po-
słanie, zalewając się łzami.

Nie było już mowy o czym innym, tylko o pogoni;
ruszyli ludzie księżnej i kilku z toruńczyków, a obóz
zwinawszy, księżna rozkazała jechać do Płocka, dokąd
Noskowa i ksiądz Jan za nią dążyć musieli.

Im bardziej zbliżano się ku granicom, tym surowiej pilnowano porządku w ciągnięciu, a te tysiące ludu zbieranego po całym kraju i poza granicami utrzymać w karności i ładzie niełatwem było. Straże swoich własnych i od swych stawiać musiano, a karać bez litości niesfornych. Nie było noclegu prawie, na którymby mogła nie pozostała zamordowanego w waśni, lub na drzewie nie zawisł winowajca bez pogrzebu. Ludzie się między sobą nie znali i językiem a mową ledwie porozumieć mogli. Obce twarze w tym tłumie ukazywały się nieraz, a opowiadały, że zbląkały się od innych chorągwi. Zjawiali się ochotnicy zaciągający się na drodze, nadążali opóźnieni. Poza samym wojskiem wlokło się samopas idących ludzi wielu, niby doń należących, w istocie jak krucy czatujący na zdobycz jaką, lub złą sprawę.

Choć wojsko się trzymało chorągwiami i ziemiami, raz w nich nowe jawiły się twarze.

Rankiem w Żochowie, gdy hasło do zwijania namiotów otrąbiono, a w królewskiej kaplicy dzwonek się dał słyszeć, z którym zakrystian chodzi do mszy, wołając, właśnie pan Andrzej z Brochocina miał już zbroję wdziewać, którą mu pacholę podawało, gdy w otworze namiotu zjawila się postać zupełnie mu nieznajoma. Był to młodzieńcy chłopak, niepocześnie ubrany, ale bardzo pięknej twarzy, lekko zaledwie uzbrojony, który z panem Andrzejem mówić pragnął, trochę zakłopotany i jakby czymś strwożony.

Brochocki Prawdzie był mąż stateczny, nie pierwszej młodości, zawołany wojak, który więcej życia spędził w obozach, niż w domu, gdzie gościem bywał. Prawy żołnierz, choć we dworze żonę i dzieci zostawił na Bożej opiece, choć gospodarstwo całe też więcej Opatrzności zdał, niż włodarzowi, ducha był niezłomnego i wesołej twarzy. Śmiało mu się oblicze, bo czuł,

że się do granic zbliżali, gdzie się ciągnięcie owo ciężkie zakończyć, a wojna rozpocząć musi.

Cała szlachta z jego ziemi uważała go niemal za wodza, bo im wszystkim przodował doświadczeniem i męstwem a przebiegłością wielką. Postawy był prawie olbrzymiej, kościsty, silny, twarzy krągłej, bladawej, oczu i włosów czarnych, ust rumianych, nieco wydatnych, a zarosły jak żubr, że mu tylko z brody i wąsów czerwone wargi uśmiechnięte, a ponad nimi oczy wypukłe i ogniste świeciły. Rubaszny był jak żołnierz i do żartu ochoczy.

Obaczywszy chłopaka, który się kręcił w progu namiotu, zapytał go raźnie:

— A co ci to? czego chcesz?

— Mam poufne słówko do miłości waszej.

— Miłość moja zbroję wdziewa, — zawołał pan Andrzej — trąbią na konie, gdy masz mówić, mów a śpiesz.

Stojący w progu wskazał na pacholę, które pan Andrzej wypchnął z namiotu, w kaftanie, jak był, zbliżył się do młodego przybysza.

— Mów! — rzekł krótko.

— Uciekłem od matki, aby się do wojska zaciągnąć, — rzekł chłopiec, rumieniąc się — przyjmijcie mnie do pocztu waszego.

Rozśmiał się Brochocki, rozpatrując w przybyłym. Wziął go za ramiona i potrząsnął nim.

— Świerszcz jesteś! — zawołał — gdzie ci to zbroję nosić: zgniecie cię na miazgę. Tfu! podobniejszy do dziewczyny, niż do żołnierza. Wracaj do pani matki i gęsi paś: lepiej zrobisz.

Chłopak zakwitł jak wiśnia i do ręki Brochockiemu się rzucił.

— Mój panie! mój ojczel! ja muszę iść na wojnę.

— To cię znój, głód i niewczas zamorzy. Gdzieś musiałeś się chować w pierzynie, jeszcze ci nie czas. Próbuje konia i kopii doma, a na przyszlą wyprawę...

Chłopeu się aż lzy z oczów potoczyły, lecz raczej z gniewu, niż ze smutku. Poskoczył w głąb namiotu za Brochockim.

— Wy mnie musicie wziąć! — zawołał — to darmo.

— Cóż ty za jeden? skąd? utrapienie jakieś? — śmiejąc się, pytał pan Andrzej.

— Nie mogę powiedzieć — odezwał się przybyły. — Mam ochotę do wojny i rycerskiego rzemiosła. Imię mi Teodor, a jeśli chcecie nazwiska... to z Zaboru.

Ruszył ramionami napastowany.

— Cóż ty myślisz, jak stoisz, bez zbroiczki, z mieczykiem, jak na ptaszki w pole iść! A konia masz?

— Koń jest, zbroję kupię i co trzeba.

— Kupisz? toś u pani matki grosza szarpnął: widzisz, niegodziwce.

— A coż było począć? przecież to nie kradzież?

— Szalona palka! — rzekł, przypatrując mu się, pan Andrzej i obrócił go kilka razy we drzwiach namiotu. — Do czego się to zdalo? Siły żadnej, chrząszcz... w pierwszym lepszym ścisiku swoi cię zduszą: i na dziewczyne wyglądasz, jak Bóg miły.

Chłopiec się czerwieniał.

— Gdybym chciał ulitować się nad tobą, na coś ty się mi zdał? niańki jeszczeby dla waszeci potrzeba. Sam jeden jesteś? — dodał Brochocki.

— Mam starego sługę.

— Dwie gęby więcej? a tu i tak często nie ma co jeść!

— Ja się wyżywię sam.

— Matezynym groszem — śmiał się Brochocki — to mi zuch.

Wtem zatrąbiono po raz drugi. Pacholę nadbiegło, oznajmując, że obóz się ruszać zaczyna i że na chora-giew niedługo przyjdzie kolej.

Brochocki więc co żywiej poszedł zbroję wdziewać, lekką, jakiej do pochodu używano. Myślał, że chłopaka się pozbył, ale ten stał uparcie u namiotu.

— Mój ty Teodorku! — krzyknął — czy jak cię tam zowią, ruszaj skądś przyszedł, ja cię nie wezmę. Dlaczego chcesz do mnie przystać, kiedy tu tylu innych jest, co cię chętnie razem z pieniędzmi wezmą.

— Nie pójdę od was — rzekł chłopak — jak wola wasza, już ci mnie nie odpędzicie. Wlec się będę, choćbyście bili. Na pierwszym was trafił, Opatrzność Boża. Tak sobie rzekłem, że gdzie mnie oczy zaniosą — zostanę.

— Prawdziwe utrapienie! — zawołał Brochocki — idź-że ty mi!

— Nie pójdę! — krzyknął śmiało Teodor.

Brochocki już zbrojną ręką zamierzył się uderzyć go po plecach, ale mu się go żal zrobiło. Byłby mu niechybnie połamał kości, bo chłopię było mdłe i delikatnie.

Splunął więc.

— A więc na koń, do licha! — rzekł nagle — jedź za mną, ale pamiętaj, żem surowy, i to pomnij, że jeśli ci się co złego przytrafi, o co łatwo, sameś chciał.

— To wiem, — rzekł Teodor, całując go w rękę — niech się dzieje wola Boża: jadę za wami. Nie zważajcie, żem lichy wybrany, kupię sobie, napatrzwszy, co potrzeba.

Ponieważ namiot zbierać było potrzeba i czeladź się związała około reszty rzeczy, wyszli więc na pole. Tu gotowało się jak w garnku, roilo ludem, zamęt był zwyczajny przy wyruszaniu i zegnaniu obozu. Krzykliwe głosy i śmiechy, i kłatwy latały w powietrzu.

Brochocki postrzegł opodal stojące dwa konie. Odgadł, że należały do przybyłego i poszedł je zobaczyć. Przy jednym z nich stał z siwymi włosami stary sługa. Konie były tłuste, ciężkie i silne.

Pan Andrzej na starego począł gderać.

— A po coś to dziecku do ucieczki posilkował? he? — a godziło się to?

— Niech pan próżno doń słów nie szafuje — roześmiał się chłopak — ani jednego nie zrozumie: Żmudzin jest.

— Kukutis! — mruknał Brochocki — doskonale się do pary dobrali: jedno dziecko, a drugi niemy starzec. I na mnie to licho spaść musiało. Szczęście jeszcze, że ich karmić nie trzeba.

Na chłopaka, który konia dosiadał dosyć niezgrabnie, co stało dokoła patrzyło: tak dziecinna, a raczej kobiecą miał twarz.

Śmiali się niektórzy, markotno się zrobiło panu Brochockiemu i splunął.

— Jeszcze mnie kto oczernić gotów, że dziewczkę za pacholę przebrałem! — mruknał. — Tego by jeszcze trzeba, żeby o tym jejmości doniesiono, to by mnie z domu miotłą wygnała za powrotem.

Wojsko z obozowiska ruszało, siadł i Brochocki na koń, już się niebardzo troszcząc przybłądą: ani nań spojrzął do wieczora. Wieczorem nie spytał o niego, myślał, że się to albo gdzie zgubi, lub, nastraszywszy, drapnie do domu. Aliści nazajutrz rano chłopak się zjawił u namiotu. Wyglądał nieco inaczej, bo już i zbrojczkę miał, i helm lekki, i wszystko, co żołnierzowi mieć przystało, a twarz znać sobie czymś umył, że mu ściemniała znacznie i kobiecej tej białości nie miała.

Obejrzał go Brochocki wkoło i nie rzekł nic.

— Gdzieżeś to waszeć zdobył tak naprędee? — spytał później.

— Ludzi tu siła, — odparł chłopiec — każdy ma zbroi pod dostatkiem zapaśnej, a nie wszystkim grosza staje: kupić tu łatwiej, jak w mieście.

— Aby było za co! — wtrącił Brochocki, śmiejąc się.

Choć sam pan Andrzej na chłopaka niezbyt łaskawym patrzył okiem, w poczeie, do którego się tak trafunkowo przyczepił, przyjęli go towarzysze zrazu obojętnie, a drugiego, trzeciego dnia umiał się im podobać; młodość też jego jednala mu serca: słowem, że go polubiono bardzo i choć go zwano i prześmiewano dziewczyną, przyjaciół miał we wszystkich. Wesolością, dowcipem i chętną szczodroblivością najwięcej sobie ludzi przyciągnął. Sypał pieniądze garściami koło siebie, poił i karmił, tak, że mimo nieznanego nazwiska, mieli go za jakieś przebrane i utajone książętko.

Brochocki na to z dala patrzył, nie mówiąc: prawdę rzekłszy, nie było tam czasu lada czym się zajmować, bo wojna stała za pasem: wszystkim do niej serca były i wszyscy pytali się w duchu sami siebie, czym się ona skończy.

Na owe czasy, gdy z kilku tysiącami ludzi przedsiębrano wyprawy dalekie, przygotowania z obu stron były olbrzymie; lano było przewidzieć, że na malej utarczce skończyć się nie może.

Dwie potęgi zetrzeć się miały, na które cały świat zwracał oczy.

Żaden z sąsiednich krajów nie mógł wojska tak ogromnego wystawić, jakie z sobą Jagiello prowadził. Sześćdziesiąt tysięcy rycerstwa szło z Polski samej, czterdzieści i dwa wiódł Witold z sobą ze Żmudzinami i Rusią, na czterdzieści tysięcy liczone Tata-

rów, a zaciąg z Czech, Morawy, Węgier i Śląska przechodził dwadzieścia.

Prawie sto tysięcy było pieszego ludu, reszta lekkiej konnicy i ciężko uzbrojonego rycerstwa. Sześćdziesiąt ciężkich dział wlokło się za tą olbrzymią siłą.

Nie można było obrachować wojsk krzyżackich, nie dorównywały one jednak sprzymierzonym Jagiellom, chociaż przechodziły je niewątpliwie rynsztunkiem, wprawą i ładem. Trzydzieści i kilka tysięcy miał mistrz zaciężnego ludu z zagranicy, doskonałych wojsk niemieckich i pocztów gościennych; — ale potrzebował obsadzić wielką przestrzeń granic, pozostawić w zamkach załogi i czuwać nad ogromną rozległością, nie wiedząc zapewne, skąd nieprzyjaciel wtargnie. Dawniejsi sprzymierzeńcy, książęta mazowieccy i wielu innych, wypowiedzieli wojnę zakonowi; a groźba króla węgierskiego i Inflanctyków przeciwko Witoldowi niebardzo Jagielle była groźną.

Wojska z Żochowa ciągnęły zaraz dalej ku granicom, które były już blisko, pojedyncze oddziały wyskakiwały potajemnie na łupieże i pożogi. W wojsku, z wyjątkiem Tatarów i części Litwy, którą w karności utrzymać było trudno, panował porządek surowy i powaga wielka na duchu. Dzień każdy zaczynał się od nabożeństwa, każdy nim kończył; pobożne pieśni rozlegały się po obozie i osiwiałych rycerzy klękających po dniu znojmym ze swoim ludem do pacierzy widzieć było można wszędzie.

Zdawało się to niezmiernie dziwić młodemu przybyszowi, który inaczej sobie życie obozowe wystawiał. Często niedaleko od namiotu pana Andrzeja, przy którym się mieścił z pocztom jego, rozbijano drugi dla biskupa Wojciecha z Kraszewa Jastrzębca (poznńskiego). Poważny starzec gromadził zaraz lud, zagrzejając do modlitwy.

— Zaprawdę — mówił wesół chłopak do towarzyszy — u was w obozie, jak w klasztorze, a zakonne rycerstwo krzyżackie pewnie się tak nie modli i tak ściśle, jak wy, godzin nie pilnuje.

— Za to nas w czambuł poganami nazywają! — odpowiedzieli, śmiejąc się, towarzysze.

Trzeciego dnia stary sługa, którego z sobą ów młodzik przyprowadził, z noclegu zniknął. Nie można wiedzieć było, czy się gdzie zabłąkał i, zwadziwszy, został zabity, o co nie było trudno, czy, zateśniwszy, do domu uszedł. Chłopak nie zdawał się tym bardzo dotknięty, drugiego, sobie ciura najawszego, aby mu około konia chodził.

— Stary Zmudzin — rzekł do towarzyszy — zanudził znać, że nie miał się z kim rozmówić; może do domu drapnął, a innego mi w swe miejsce przyśle.

A że nie było komu już pieniędzy, które z domu zabrało pacholę, pilnować. Teodor zaniósł je Brochockiemu, prosząc, by je przechował. Trzosi był ciężki i pan Andrzej, poważwszy go na dłoni, rozśmiał się.

— Opatrzny z waszeci chłop, — rzekł — matusię dobrze skrobnałeś, ale tego na wyprawę nie będzie nadto, gdy konie zaczną zdychać.

Stanął obóz pod Jeżowem, gdy dano znać, że Węgrowie przybywają o pokój traktować. Rozeszła się wieść po wojsku błyskawicą, a że Teodor był ciekawy wszelkiej nowości, wyprosił się z drugimi popatrzeć ku królewskim namiotom.

Wojsko zalegało przestrzeń tak ogromną, że jej okiem objąć nie było można. Królewskie obozowisko stało na boku wzgórza, gdzie i kaplica, i Witoldów namiot, i pisarze pańscy, i co przedniejszego się zgromadziło.

Wjechali panowie węgierscy, wiedząc z sobą Ślązaka Jerzego Gersdorfa, który u krzyżaków gościł, a miał

polecenie rozpatrzeć się w wojskach i sile Jagielly.

Teodorek z towarzyszami poskoczył ku drodze, kiedy panowie jechali, ale Gersdorfa zoczywszy, cofnął się rychło i za innych skryć usiłował.

Poczęli zeń żartować, że się brody Sciborowej ulakł. A co dziwniejsza, Ślżak ów, zobaczywszy chłopaka, jak osłupiały stanął. Pomimo że się chłopię zasłonić starało, podjechał ku niemu, wpatrując się bacznie.

Z początku się to zdało dziwnym towarzyszom, lecz Teodorek im szepnął, że Gersdorf znał jego rodzinę i, zamyśliwszy się, postąpił odważnie na przeciw. Węgiersey panowie szli do namiotu króla, Ślżak pozostał z oczyma w chłopaka wlepionymi.

Naostatek zbliżył się ku niemu.

Skąd wy, z przeproszeniem? — spytał — i co za jedni?

— Z pocztu pana Andrzeja z Brochocina — rzekł chłopak, uśmiechając się — dlaczegoż to pan pyta?

— Twarz mi się waścina zbyt podobną do znajomej wydaje, ale małoż to do siebie podobnych?

— A pewnie — rzekł chłopak, podchodząc do Gersdorfa i przeprowadzając go ku namiotom. — Z pozwoleniem miłości waszej, do kogóż to we mnie widzicie podobieństwo?

Gersdorf się rozśmiał.

— Nie mogę wam tego powiedzieć, bo byście się, młody rycerzu, pogniewali na mnie.

Gersdorf był człek chytry i przebiegły, z oczów mu to patrzano; udawał towarzysza obojętnego panów węgierskich, a oczyma chciwie na wsze strony rzucił, więc też rad był może, iż chętnego młokosa złapał, aby z niego co wyciągnąć.

Chłopak równie zdawał się z tego zadowolony, jak to u młodzieży nie nowina, byle świeżą zabrać znajomość.

Rozmawiając, odeszli nieco od stojących kup, co się ciekawie przypatrywały wjazdowi posłów.

— W. miłość, panie Gersdorf — rzekł żwawo chłopiec, gdy dosłyszczanymi już być nie mogli.

— A skąd o mým nazwisku wiecie? — spytał zdumiony Ślżak.

Teodor się uśmiechnął figlarnie.

— Gdzieś tu w tłumie mi ktoś powiedział, w. miłość ciekawi pewnie jesteście naszej potęgi. Jak mrowia nas tu. Wszakci do króla nie pójdziecie, chodźcież za mną.

— Dokąd? — zapytał Ślżak.

— Niedaleko — rzekł chłopak, wskazując wzgórze — z wierchołka tej wyniosłości będziecie mogli, jeśli nie policzyć, to choć okiem objąć ten lud, który idzie z nami. Myślicie, że drugie tyle będą go mieli krzyżacy?

Gersdorf milczał niedowierzająco. Chłopak, który się już z obozem zapoznał, powiódł go między namiotami, sunąc się przez lud i konie, przeciskając zręcznie, aż na sam wzgórze wierchołek.

Widok, jaki się z góry przedstawiał, najbardziej oswojonego z rycerskimi pochody i wojnami mógł wprawić w zdumienie.

Było to jedyne miejsce może, z którego rozlane na niezmiernej płaszczyźnie obozy obejrzeć było można. Równina ku stojącym w dali lasom ciągnęła się jak okiem sięgnąć i jak wzrok sięgał, cała była ludem usłana. Gersdorf ręce załamał.

Widać stąd było tabor królewski, Mazurów, obozowisko Tatarów i Rusi; namioty, szalasy, ognie, pasące się konie, utkwione w ziemię spisy ze znakami, wiechy, złożone w kupy długie kopie polskiej jazdy, całe sznury wozów z kulami, żywnością i zapasami.

Gersdorf obrócił się w drugą stronę i zewsząd ujrzał to niezmierne mrowisko, okalające górę, z którego głuchy szmer, kiedy niekiedy okrzykami przerywany, się unosił.

W ogromnej dali widać było kupy konne, które się rozbiegały ku lasom i nikły w pyłu tumanach.

Kilka krzyżów błyszczących, wetkniętych nad namiotami, oznaczały kaplicę króla ogromną, Wojciecha z Kraszewa, biskupa poznańskiego, i innych chorągwi. Majestatyczny widok ten dwukroć stotysięcznego ludu, stojącego niemal już na granicy, dla obrony swej ziemi od najazdu, zamknął usta Gersdorfowi. Stał osłupiały.

Towarzyszący mu chłopak przerwał nagle milczenie głosem drżącym.

— Nie pytajcie mnie — zawołał — ani kto jestem, ani co tu robię, ani się domyślajcie nawet; dosyć wam wiedzieć, że życie i cześć stawiał, aby zakonowi służyć.

— Zakonowi! — zawołał Gersdorf, cofając się — co mówisz?

— To, co słyszycie: wy także mu służycie — dodał żywo chłopak. — Dlatego was tu pierwszego przywiódł, abym wam tę potęgę ukazał. Słyszałem, że w. mistrz lekko ją sobie waży, iż ją tłumem nędznym nazywa. Patrzcież dobrze, byście mu sprawę zdali.

Gersdorf podwójnie zdumiony, i widokiem, i mową, przyjsć do siebie nie mógł.

— To nie zwykła wojna, co się kończy grabieżą i spaleniem kilku wiosek — podchwycił Teodor — to szarańcza, co leci na ziemię zakonu i żdźbła na nich nie zostawi.

Gersdorf się wstrząsnął.

— Ale kto ty jesteś, chłopcze?

— Na co ci to wiedzieć? — smutnie się uśmiechając, dodało pachole — zanieś tam wieści, które już i z innych stron odebrać musiano? Ale czy im zakon uwierzy? Policz oczyma, ile tu tysięcy ludzi? jaka to nawala stoezy się na krzyżackie kraje. Macież wy tyle, aby stanąć przeciw nim murem?

Ślczak wciąż patrzył oczami chmurnymi.

— Naszych stu zakonnych braci — dodał — ponedzi tych tysiące: zbroi nie mają, żelaza im braknie i... serca!

Chłopak począł się śmiać, ręką wskazał na prawo, gdzie się związała i warczała dziec tatarska.

— Tam może — rzekł — to dziec, ale cheiwa ludu i mnoga, a tu — odwrócił się w lewo ku rycerstwu polskiemu, którego zbroie świeciły na słońcu — i serca, wierzaicie mi, są i koncerze, i zbroie...

Dziwna ta rozmowa pacholecia, któremu się coraz baczniej przypatrywał Gersdorf, byłaby się dłużej przeciągnęła, gdy na wzgórze nadbiegli ludzie z poczty Brochockiego i otoczyli Ślczaka i Teodora.

— Tam — rzekł jeden — szukają was, miłośnicy panie, na obiad do króla, do którego i panowie Węgrowie proszeni.

— A traktowanie? — spytał Gersdorf.

— W wojsku słyszał, że król je kilku słowy odprawił: więcej nie chce, jak zwrotu ziemi dobrzyńskiej i Żmudzi, a za ubytki, co Zygmunt przysadzi.

Zamilkł Gersdorf, skinął swojemu towarzyszkowi ręką i począł schodzić ku namiotom królewskim.

Młodzież na wzgórzach pozostała, ciesząc się wojskiem, w których ruch wielki panował. Szczególniej na prawym skrzydle u Witolda kreślił się ludzie, bo ich ze zmieszanych kup dobierano i ustawiano w szeregi, dzielniejszych na przodzie, słabszych za nimi. Rozdawano znaki, do których się kupić mieli

i z dala widać było na tykach rozwijające się różnobarwne chorągwie, malowane w bramy, pogonie i słupy. Każdą z nich witał lud okrzykiem, który się po obozie rozlegał.

Jeszcze stali na pagórku, wpatrując się w ten widok, gdy już obiad się znać w namiocie Jagielly skończył, i wszystko z niego ciągnęło na toż samo wzgórze. Chciał król, nie tając swej potęgi, pokazać ją panom węgierskim. Główny wódz tych sił szedł w szarym swym płaszczu i kapeluszu ze słomy, wydając się pośród orszaku jednym z ostatnich; ale na twarz jego, gdy wstąpił na wzgórze i objął oczyma okolice, wystąpił rumieniec i uśmiech.

Węgrowie oba i Ślązak w ponurym milczeniu stali.

Stał też nieco opodal miecznik krakowski, Zyndram Maszkowski, herbu Słońce, jeden z najdzielniejszych rycerzy i dowódców, który króla samego w dowództwie zastępował. A gdy obejrzeni wkoło obozowisko, skinął nań Jagiello, dając mu znak. Małego wzrostu, ale krzepki i wejrzenia bystrego człek, ledwie postrzegł rękę króla wzniesioną do góry, wnet z pagórka schodzić zaczął. Poniżej stali z różnych chorągwi ludzie, trębacze i oboźni. Zyndram powtórzyl ów znak i naraz ozwały się naprzód u stóp góry, a potem dalej i dalej po obozie całym, jakby głosy sobie podając, trąby i bębny na trwogę..

Wszystka ta fala głów ludzkich, jak morze wiatrem nagle wzdęte poruszyła się, zakipiała. Widać było kupy biegnące do koni i rozpierzchłe tłumy zbijające się w szeregi, w górę podniesiono znaki, co żyło skupiało się przy nich. Zagrzmiały hasła ziem i rodów, gwar ogromny rozniósł się po powietrzu.

Był to znak na trwogę dany, aby Węgrom pokazać, jak też to wojsko, które krzyżacy halastrą zwali, ład i porządku pilnować umiało. Jagiello stał i nie

upłynęło kilku pacierzy, gdy u stóp wzgórza poczęły przeciągać już w ściśnionych szeregach chorągwie, witając króla. Mogli Węgrowie napatrzeć się zbroi i helmów, i kopij i mieczów, rozlicznych znamion, i rosłego barczystego ludu, idącego z dzielnością wielką.

Przeciągały tak jedna po drugiej chorągwie i pułki, a posłowie milczeli.

Seibor miał w ręku długą brodę.

Gersdorf wyciągał palce, które mu w stawach trzeszczały.

— Najjaśniejszy Panie! — ozwał się wreszcie, skłaniając głowę przed Jagiellą — widzimy już, jak wielka jest twoja potęga i że jej się lekceważyć nie godzi; niechże ona ku chwale krzyża obróconą będzie, a nie przeciwko niemu! Godziż się ją słać na zakon Chrystusowy?

— A godziż się zakonowi Chrystusowemu zabierać cudze ziemie? — odparł król krótko. — Jam człowiek prosty, ale mi co dzień kapłani Ewangelią czytają; nigdzie w niej nie znalazłem, aby Zbawiciel nie tylko nakazywał, ale dozwalał najeżdzać spokojne kraje i krew niewinną rozlewać.

Zamilkł Gersdorf i inni. Słońce zapadające już jaskrawo oświecało najwspanialszy widok, który raz w ciągu wieków ziemia ogląda. W milczeniu uroczystym stał król posepny niemal.

Pomimo własnej jego potęgi, tajemnicza, nieobliczona krzyżaków moc trwożyła go jeszcze. Nie wierzył sobie, w świeżo nawróconym sercu budziła się trwoga, aby Bóg chrześcijan nie mścił się za tych, co się zwali dziećmi Jego.

Długo trwało wojska ciągnięcie, aż znużony król i dwór i posłowie poczęli schodzić ku namiotom.

Na całą noc, śpiesząc, puścili się posłowie, którym dano osłonę aż do granic.

Nazajutrz rano zwinięto obóz, który stać nie mógł, ani czekać i tabory sunęły ku Bedzinowi nad Wkrę. Tu się okazało, jak niezmiernie trudno jest tłumy utrzymać w karności, gdy je wojenny szal ogarnie. Witoldowi Tatarowie po swojemu rozpuścili zagony, mordując, paląc i niszcząc, bo im ktoś podszedł, iż te ziemie trzymali krzyżacy. Wgnane z wiosek pożarem i mordem kobiety wpadły z jękiem do obozu: poruszwały się serca.

Ks. mazowiec, do których owa ziemia należała, podnieśli krzyki i narzekania: poszedł do króla biskup Wojciech, zbiegło się rycerstwo oburzone, grożąc, że pójdzie precz do domów, jeśli dziec nie zostanie pohamowana. W obozie stał się rozruch groźny. Biskup Jastrzebiec dla zbiegłych niewiast i dzieci namiot swój odstąpił, inni nieśli im chleb i słowa pociechy, pognano zaraz z rozkazu Witolda za rabusiami, uwolniono jeńców i obdarzonych do domów odprawiono.

Tu biskup Wojciech, nie chcąc więcej patrzeć na obraz zniszczenia i mordów, jako mąż pokoiu, pożegnał króla i wojsko, któremu aż do granic towarzyszył i nazad ku domowi zawrócił.

Widok tłumów, zbiegłych ze wsi okolicznych, króla zaniepokoił. Spadła wina na Witolda i jego niesforne chorągwie, a w koronnym obozie nieprędko ukoilo się oburzenie.

Wojska wkroczyły za Bedzinem w ogromną puszcę, która granic broniła. Nietknięty ten las odwieczny cieniem swym przysłonił od upału i dał wytchnąć nieco. Tuż leżała rubież krzyżacka i gdy się deby rozstępować zaczęły, a pola i kraj ukazał nowy, król jadący z Witoldem, widocznie wzruszony, konia zatrzy-

mał. Jeszcze kroków niewiele, a rozpocząć się miała wojna z nieprzyjacielem chytrym, ostrożnym a wytrwałym.

Przed nimi rozwijała się równina wielka, zieleniąca pola, pokryte gdzie niegdzie zaroślami, i łąki.

Wodzowie i dwór skupił się cały przy Jagiellie: była to chwila uroczysta. Drożyna ledwie dostrzeżona dzieliła od nieprzyjacielskiego kraju. Rycerstwo helmy wznosiło do góry z okrzykiem. Stały w szykach chorągwie i tu dopiero podniosły się nad nimi rozwinięte godła i znaki.

Każdy z wodzów stawał na czele przy chorągwi, kapłani w komzach świecili je. Chorągwie wznosili je do góry, a rycerstwo klękało do modlitwy.

Królowi Jagiellie podano chorągiew wielką z orłem. Wzruszony lzy miał w oczach, powtarzając za kapłanem słowa, które razem z nim w tej chwili wojsko całę odmawiało.

„...W imię Twoję, Boże, w obronie sprawiedliwości i narodu mego, chorągiew tę podnoszę. Ty, litościwy Boże! racz być obrońcą i pomocą mnie i ludowi mojemu, a krwi chrześcijańskiej niewinnie przelanej nie na mnie racz poszukiwać, ale na tych, którzy obecna wojnę wzniesili i dotąd ją podniecają“.

Gdy po odmówionej modlitwie wstało rycerstwo, zanuciono Bogarodzie. Sto tysięcy ust śpiewało ją i zagrzemiała jak głuchy grom po dolinie, płynąc ku krzyżackiej ziemi.

Razem z innymi stanęło pacholę pana Brochockiego blade i wylekłe niemal. Spojrzeli nań towarzysze, A pan Andrzej, widząc twarz zmienioną i przypisując to znużeniu, ulitowawszy się chłopięciu, sam się zbliżył ku niemu.

— Co waszeci jest, młode rycerzátko? — zapytał — jeśli ci serca zabrakło, czas nazad do boru, dziecko mo-

je. Dotąd szliśmy krajem swoim, od dziś wchodzimy w nieprzyjacielski; nie ma tu już żartów, a kto siły nie czuje, albo męstwa, lepiej pod strzechę, niż na srom.

Teodorek się zarumienił i z bladego, jak mur, stał się czerwonym, jak wiśnia.

— Sromu nie uczynię — zawołał — ni sobie, ni wam, ale gdy zagrzmiało wojną i śmiercią, pomyślałem o krwi, która się łać będzie i serce mi się ścisnęło.

Dziko spojrzęło chłopię na pana Andrzeja, który niewiele na oczy jego zważał. Poklepał go po ramieniu.

— Słysz, że ci aż dwóch sług znowu przybyło? — zapytał — czy przywieźli ci dobre słowo od matki? Teodor milezał chwilę.

— Matka nie wie o mnie, — rzekł — ludzi mi nadesłał stary mój, co stąd uszedł.

I znowu, słyszę takich, co się z nikim rozmówić nie umieją, a do kata, na Niemców nie wyglądają.

Chłopak zamilkł.

Wojsko z tą pieśnią i okrzykami ciągnęło dalej, a tu już niczym niepowściągnięte, chciwe oczekiwanych łupów tłumy Witoldowe rozlały się znowu po kraju.

Na noc stanęły wojska pomiędzy dwoma jeziorami, na piaszczystym błoni pod Ludborzem, a gdy słońce zaszło i mrok gęsty osiadł na ziemi zdala na ciemnych niebiosach ze wszech stron poczęły się roztaczać luny krwawe. Wojna ślała przodem swe gońce: paliły się wie krzyżackie.

Niekiedy przygasaly te ognie, to unosiły się i kłębiły dymami czerwonymi ku górze i zdawało się wśród milezenia nocy słyszeć jęki i płacze.

Nocy tej młode pachole nie spało.

Siadłszy przed namiotem, z oczyma wlepionymi w pożarne luny, skamieniałe przetrwało do późna. Pan Andrzej obchodził swoją chorągiew, gdy dostrzegł chłopca, który zadumawszy się, nie widział swojego dowódcy. Brochocki stanął i wlepił w niego oczy długo, aż zbliżywszy się, po ramieniu uderzył. Przestraszony porwał się z iskrzącymi oczyma Teodor i poznawszy starszego, stanął w milezeniu.

— Co ci to dziś jest? — zapytał nadchodzący — wojna ci już nadojadła, widzę, nim się poczęła? Nie w swoją się rzecz wdaleś, dzieciaku. Spać do namiotu!

I chłopak zniknął, wsunawszy się szybko za płócienną ścianę.

Jeszcze leżało wojsko na granicy, król zdawał się ociagać; czuł, że wszystko ważył: koronę, życie, kraj.

Codziennie wysyłani szpiegowie donosili, że krzyżacki obóz stał w pogotowiu nad Drwęcą, że siła w nim była niepoliczona, że wszystkimi językami ziemi mówił z całego świata pościągany żołnierz krzyżacki, że ze wszystkich grodów co było dział pościągano, że kul kamiennych leżały góry, że brzegi rzeki ostrokołami obwarowano. Siano zawczasu w wojsku trwożę. Nie można było dosledzić, kto wieści przynosił, kto je po wojsku rozsypywał, a z każdym dniem rosły baśni o niezmożonej potędze zakonu. Mówiono o przysyłanych z Jeruzalem relikwiach wielkich, które im zapewniać miały zwycięstwo.

W wieku tak wiary pełnym przerażała więcej ta siła nieobliczona, ta niebieska potęga, niż tysiące zbrojnego ludu. Jagiello dumal posepnie, ale nie czas było się cofać, ani wahać.

Pokój był niemożliwy i sromotny należało zginąć, lecz trzeba było walczyć. Witold, który Krzyżaków znał dobrze, dodawał serca.

Następnego rana do namiotu zwołano radę. Komu nad tym ludem, jakiego te ziemie nie widziały, dać dowództwo? Słynęli naówczas Czesi i Morawianie z umiejętnego ciągnięcia i zakładania obozów, król niemal pragnął oddać jednemu z nich dowództwo naczelne.

Słońce wschodziło, gdy z namiotów swych w półzbrojach poszli na zawołanie przedniejsi panowie, a na czele ich książę Witold, najdzielniejszy i najwprawniejszy ze wszystkich w wojnie z Krzyżakami, z którymi to się bił, to przyjaźnił od dzieciństwa.

Lecz Witold do rady i do rządzenia takim ludem nie chciał się jać: miał dosyć, by swoich utrzymać i nimi dowodzić. Szedł tedy za księciem Zyndram Maszkowski, miecznik krakowski, człek mały, szpakowaciejący, silny i bystrego wejrzenia, na którego już wszyscy niemal jak na wodza patrzyli.

Szedł Krystyn z Ostrowa, kasztelan krakowski, żołnierz niepośledni i człek powagi wielkiej i Jan z Tarnowa Leliwita, z rodu, który się sławił rycerską sprawą i jej jednej pilnował, ale w radzie też głową najmędrszym sprostął; i Sędziwój z Ostroroga, wojewoda poznański, do dowództwa nawykły, i Mikołaj z Michałowa sandomirski i Mikołaj podkanclerzy, mąż do pióra, rokowania i rady w zawiakanych sprawach zdolny, i marszałek królewski, Zbigniew z Brzezia i Piotr Szafraniec z Pieskowej Skały, podkomorzy krakowski.

Kołem stanęli obok króla, który siedział na stolku jeszcze, bez zbroi, a frasobliwą miał twarz, jaką prawie cały ciąg wyprawy zachował.

Powitał ich Jagiello ręką.

— Posłaliśmy — rzekł — raz ostatni zapytać panów węgierskich, azaliby była jaka pokoju nadzieja; pojechał Piotr Korebog, ale żeby przywiózł co dobrego, wątpię.

— Miłościwy panie — wtrącił Jan z Tarnowa — najgorsząby nam uczynił przysługę, gdyby pokój zwiastował. Teraz, gdyśmy się na wojnę wybrali jako nigdy jeszcze, raz skończyć potrzeba. Cóż po pokoju, który oni złamią gdy im będzie dogodniej?

— A jednak z krzyżem walczyć nie chcę — odezwał się król.

— I z krzyżem my się bić nie będziemy, ale z Niemcem, a to jest wróg przysięgły rodów słowiańskich, których ziemię zajął, wytepił z niej ludzi i tępić ich nie przestanie, dopóki żyw.

Jagiello ręką milczenie nakazał.

— Radźcie, waszmość, ilu was tu jest — rzekł — bo ja na moją głowę losu tych wojsk brać nie chcę. Radźcie i prowadźcie.

— Nielatwo to — odparł Zyndram — ale porządku trzeba i surowości.

— Stoimy już niemal przed nieprzyjacielem — wtrącił Sędziwój.

— Czuć go, jeśli nie widać! — rzekł Witold — Dość szliśmy własną ziemią i godziło się dać trochę swobody ludziom, terazby ona była zgubną.

— Nie ma ładu, gdzie nie ma głowy jednej; dzie sięć rozkazów, gdyby najlepsze były, zamęt sprawią: jednego trzeba, aby wiódł i rozkazywał. Temu ja władzę zdam chętnie.

Spojrzał na stojących, wszyscy też po sobie patrzyli, ale każdy drugiego oczyma wskazywał.

— Zdaniem waszym, czyjeż tu dloni cugle zwierzyć! — zawołał król i popatrzał na miecznika krakowskiego.

Wszyscy zgodnie też oczy zwrócili ku Maszkowskiemu.

— Tak jest, dał dowody, że rozumie sprawę: niech rozkazuje — rzekł król, rękę ku niemu wyciągając.

Chciał się wymawiać miecznik, ale mu słowa rzec nie dano.

— Rozkaz pański! — rzekł Jan z Tarnowa — usłuchać go i milczeć trzeba!

— Jednej tu głowy za mało, by wszystkiemu podołała — odparł Zyndram — ja nie wodzem, ale panów Rady ręką prawą będę.

— Słusznie — rzekł Jagiello — niech wszyscy radzą, niech jeden wykonywa.

— Ks. Witoldowi to przystałoby — odezwał się Zyndram.

— Nie, — odrzekł Witold — panowie koronni złyby na mnie okiem patrzyli, a ja mam dosyć moich bojarów, by ich w ryzie trzymać.

— Radźcie, nie zwłócząc — rzekł król.

— Pierwsza rzecz — zawołał Zyndram — ład... jeszcze go nie mamy. Trzeba surowe rozkazy po wojsku otrąbić, aby nikt nie śmiał samowolnie ruszyć z obozu, ani się na swą rękę wyrwać, dopóki hasło nie było dane, gdy marszałek Zbigniew z Brzezia chorągiew królewską podniesie.

— Trąbi i hasła daje, komu się zamarzy — przerwał Jan z Tarnowa — niechże tego nadal nie będzie, niech nie śmie nikt, oprócz trębacza królewskiego, dawać znaku.

— Nie może być, aby jedno trąbienie starczyło — mówił Zyndram — troje trąbienia ustanowić należy. Na pierwsze zagranie o świcie, a choćby i nocą na trwożne, aby się wszyscy mieli do koni i zbroi; na drugie niech siodłają konie i zwiążą namioty, a za trze-

cim hasłem rycerstwo w gotowości być ma do ruszenia.

Na to się wszyscy zgodzili.

— Nikt z nas tych pruskich ziem nie zna lepiej — dodał Zyndram — nad w. kniazia Witolda, który je stokroć wszcz i wzdłuż przerzynał.

— Alem pamięci nie pewien i sobie nie wierzę, gdzie o powodzenie dwustu tysięcy ludu idzie — odezwał się Witold — trzeba przewodników.

— Tych mamy — rzekł Zyndram — wcześniemy się o nich postarali.

— Co zacz są? — spytał Jagiello.

— Prości ludzie: Trojan z Krasnego Stawu i Jan Grunwald, wójtowie parczowscy, oba z Prus rodem.

— Niech ich tu przyprowadzą — rzekł Jagiello — często z oczów ludzkich więcej się dowiedzieć można, niż z powieści.

Poszedł tedy Zyndram do plotka w namiocie i uchyliwszy go, dał znać służbie królewskiej, aby onych Prusaków przywiedziono.

Cicha rozmowa wiodła się między panami, gdy podniesiono zasłone i dwóch z prosta ubranych, w kapotach, mężczyzn z ogorzałymi twarzami, z długimi włosy, wprowadzono przed króla. Ci od tego poczęli, że do nóg mu upadli.

Zaczął im tedy mówić podkanclerzy ks. Mikołaj o wielkich obowiązkach, jakie na siebie brali, o wielkiej zasłudze, lub wielkiej winie, na jakie zarobić mogli.

— Żadnemu z was chleba na starość nie zbraknie — odezwał się król — byle służba wierna była.

— Miłościwy pani a ojeze — rzekł śmielszy Trojan — obaśmy, Janasz i ja, rodem z tych krajów, oba je znamy, przeszedłszy nieraz pieszo, tak że każdą rze-

czulkę i ścieżynę, i bór, i kałużę po nocy znaleźć możemy; a resztę Bóg miłościw zrządzi.

Kazano im tedy zaprzysiąć zaraz na krzyż i Ewangelię przed ks. podkancelerzym na wierne służby, co też uczynili, i w gotowości być dniem i nocą dla wskazywania drogi. Tu obradzono i obmyślono też dalszy pochód ku Drwęcy, bo nikt już ściągać dłużej nie chciał, dla samego żywienia tak wielkiej wojsk liczby, co nielatwo przychodziło.

Kiedy przeciągnęły te tłumy, końskie zęby i kopyta nie zostawiły ani trawki, studnie stały suche, a żywności naokół kęskaby nie znalazł. Więc w imię Boże iść, a wojnę rychło skończyć potrzeba. Król jeden jeszcze się na panów węgierskich oglądał; w innych gorzały już dusze do boju.

Tego dnia na noclegu pacholę królewskie, jeden z najulubieńszych jego, Janko Dobrek, który od dni kilku, dochwyciwszy się wody, zgrzany zachorzał mocno, w gorączce wielkiej na noclegu zmarł, z żalem wszystkich. Sam Jagiello, dowiedziawszy się o tym, za złą wróżbę znowu to wziawszy, wielce był markotny. Jankowi mogiłę usypano za obozowiskiem i biały krzyż naprędce wystrugany na niej zatknęto.

Poszedł Jagiello sam oglądać poczty i ludzi, szczególnie co przedniejszych chorągwi, kiedy już ruszać miano i wszyscy na koniach siedzieli. Z dala widzieć wojsko nieczym jest, jak mrowie wygląda i bucha życiem; lecz z bliska oglądać, w oczy zajrzeć, w twarze i czoła, dopiero po nich ducha poznać i wróżyć można o wojnie. Tego chciał Jagiello, a wielu też z rycerstwa radzi byli pana bliżej powitać i słowo od niego posłyszeć.

Tak się rozpatrując, nadszedł król do pocztu pana Andrzeja z Brochocina, którego dawno i dobrze znał, a liczył go do tych, którym najwięcej ufał. Stali lu-

dzie jego dobrze zbrojni i dobrani, młodzież dziarska, a między nimi krył się i ów Teodorek z Zaboru, znać wstydząc się swojej młodości. Ale trafiło się tak, że drudzy, ustępując, obnażyli go i królowi w oczy wpadł, schować się nie mogąc.

Zdumiał się czegoś bardzo Jagiello, zobaczywszy go i splunął.

— A tegoś-to skąd wziął? — pytał, wskazując na chłopca.

— Ten mi się, miłościwy panie, przyplątał sam, ochotnikiem, a radbym się go był pozbyć, ale się odpędzić nie dał. Dzieciak to i do niczego, w wojnie się chyba przyuczy.

— Skądże jest?

— Ani go dopytać.

Skinął p. Andrzej, aby z konia chłopak zsiadł i do stóp królewskich przyszedł, choć król mu się do siebie zbliżyć nie dał.

Rad nierad zsunął się chłopak z konia i stanął zarumieniony.

— Osobliwsze podobieństwo — odezwał się Jagiello — albo niegodziwe czary. Spytajcie go, czy siostry nie ma?

Pytanie to posłyszawszy, pacholę szybko odparło, iż siostrę ma i że do niej wielce jest podobnym, a siostra jego na dworze księżnej Aleksandry Mazowieckiej pod tę porę być musiała.

Dopiero się król uspokoił i uśmiechnął, a w chłopca dziwny jakiś duch wstąpił, iż zamiast nieśmiało stać, Jagielle w oczy wprost z natarciwością dziecinną patrzył.

— Zginie to gdzie marnie w ciężkim pochodzie — rzekł p. Andrzej — ale samo sobie winno, gdy mu się przedwcześnie rycerzem być zachciało.

— Do domu wracać za późno — odezwał się chłopak śmiało — może mi we zbroi za ciężko, a w lada służbie niemiło; lecz gdyby król, pan miłościwy, przy swej osobie raczył mi dać przytułek, wiernieby m służył.

Wszyscy się temu zuchwałemu żądaniu i prośbie niezmiernie zdziwili: spojrzal Brochocki inni uśmiechali się. Król zdawał nie rozumieć zrazu dopiero gdy mu Brochocki powtórzył śmiejąc się, to życzenie, jakby namyslać się począł.

Na dwór królewski niełatwo dostać się było niewpróbowanemu; myśleli więc, iż Jagiello zbędzie go niezem, gdy, popatrzywszy nań bacznie, odezwał się:

— Odeślijcie go marszałkowi; szkoda dziecka jeśli z niego co może urosnąć.

Sklonił się do stóp pańskich, niepomiernie uradowany chłopak, na konia skoczył, na ludzi swych mrugnął i zajechawszy za szereg, a pożegnawszy dowódcę, który go też rad się pozbywał, pośpieszył do dworu królewskiego.

A że już obóz miał się ruszać do dalszego pochodu, marszałkowi się przedstawiwszy, pacholę za dworem, który nań cały koso patrzeć poczynął, w milczeniu ciągnęło, od Ludborza o mil dwie ku jezioru wielkiemu Rupkowu i Kurzetnikowi.

Lipcowe upały i spieka, która w tym roku zdawała się większą niż innych lat, wielce pochód utrudniała.

Mdleli ludzie i padały konie od znoju. Zbroi nikt w pochodzie dźwignąć nie mógł, bo żelazo i przez kaftany piekło. Wieszano więc je na koniach, składano na wozy, a innym i suknie ciążyły i koszuli było zanadto. Gdy się nad wieczorem ukazało jezioro, do onej wody śpieszyło wszystko, konie i ludzie, jak do zbawienia. Lecz tu już samopas iść, ani się bezpiecznie wyrwać nie godziło. Krzyżacy stali w nie-

wielkiej odległości nad Drwęcą, tak, że na drzewo wlaższy dostrzec już było można obozy i ostrokoły.

Ledwie namioty u jeziora rozbijać zaczęto, gdy panu Brochockiemu, który był tylko co z konia zsiadł, dał znać jeden z jego ludzi, że krzyżacy nieopodal konie pławią i że tam już garść ochotnika na nich się zbiera.

Nie zważając więc na surowe rozkazy, napowrót konia, zbroję wdziawszy, dosiadł pan Andrzej i puścilo się cwałem co było gorętszych, tak że ich już ani wołanie, ani trąba wstrzymać nie mogły. Król tylko co był rozdziewać się począł gdy się to stało. Ryerstwo, które samo nie zdążyło do harcowników przyłączyć się, powłaziwszy, gdzie kto mógł, patrzyło, lecz tuman kurzu wpędce kupkę tę oczom zasłonił. Drudzy też jeść siedli i spoczywać.

Słońce zaszło było i upał nieco ustawał, gdy nagle krzyk i trąbienie na trwogę cały spoczywający tabor jak piorunem poruszyło. Jak to bywa w zgrai wielkiej, gdzie niewiele widać, a z ust do ust podają sobie słowo, każdy doń coś swojego przyczyniając: gruchnęło: — Krzyżacy!

Konie były rozsiodlane, ludzie porozbierani, kto jak stał, dopadłszy miecza tylko, w mgnieniu oka prawie siedział już na swoim; ale zamęt wszeczął się niewysłowny, który mrok pomnażał: swoich nie rozpoznawali swoi, tracano się i lajano, nim starszyzna ład krzykim i trąbą wprowadziła.

Król też, jak stał w białym żupaniku, z namiotu wyszedł, dopytując, co się działo i rozsyłając gońców na wsze strony. Nikt dobrze nie widział, co było przyczyną popłochu. Od strony tylko krzyżackiej wielki pył i kurzawy kłab się wznosił, który się napastniczym wojskiem wydawał.

Dopiero w chwilę przybieżono królowi dać znać iż Brochocki z innymi na konie przedniej straży krzyżac-

kiej napadłszy, rycerzy z nich zwaliwszy, pięćdziesięciu ich zabrał i prowadził. Zmieniła się tedy trwoga w radość, a pan Andrzej ze swymi konie przed namiot prowadził, jako pierwszą zdobycz na nieprzyjaciela. Cieszono się z niej pomieranie, bo nie tyle konie warte były, ile popłoch mógł zaszkodzić przedwczesny. Lecz co się stało, przyjąć trzeba było za dobre.

Wybiegł z królewskimi dworzany świeżo do służby zaciągnięty Teoderek, a ktoby go był widział, jak się owym koniom przypatrywał i oczyma wodził po tych, co je przywiedli, łacniejby się w nim żalu i gniewu, niż radości domyślił.

Tu znowu radzono w nocy, jak sobie począć wypadało. Czekano na powrót Koreboga, lecz już w pokój nikt nie wierzył, od obozu dostano języka, iż nad Drwęcą przepawy broniąc, Krzyżacy ostrokoły pobili i z za nich mogli się ostrzeliwać; postanowili więc wodzowie i przewodnik Trojan, aby z pod Kurzętnika wrócić do Ludborza i stamtąd próbować wkroczyć, kędy mniej się obrony spodziewano.

Nocą wyszły szpiegi na wsze strony. Obóz się uciśzył i legł, strażę tylko przednie, jedne i drugie, czuwały dokoła i ludzie do trzymania porządku wysadzani.

Wieczorem spodziewano się z powrotem Koreboga, ale go nie było, ani żadnej innej od Węgrzynów wieści.

Jagiello ze zwłoki wnosil, ażali do pokoju się nie skłonią; drudzy Boga prosili, ażeby im rozumu tego nie dał.

W falach jeziora odbijały się gwiazdy i cisza była dokoła uroczysta, a wąski pas ziemi dzielił dwa obozy uspione, które lada godzina, jak dwa lwy, spać się miały i walczyć o śmierć lub życie.

Po drugiej stronie Drwęcy, na błoni szerokim, rozłożony był wspaniały obóz Krzyżaków. Na uboczu, panując innym, wznosił się namiot wielkiego mistrza, nad którym powiewała chorągiew z krzyżem jego podwójnym; na innych godła niemieckich książąt, baronów i szlachty, która przybyła w pomoc Zakonowi. Nieco opodal wozy z działami leżały jak wał straszny, paszczami zwrócone ku granicy.

Ponad rzeką widać było naprędce rozszczepionymi palami, które białym rdzeniem świeciły, obwarowane brzegi. Tu chodziły strażę, jak na blankach murów zamkowych.

W namiocie mistrza Ulryka, o godzinie rannej, on sam tylko i podskarbi się znajdowali. W twarzy rycerskiej mistrza, pomimo że go jeszcze nie zaniepokoić i zburzyć nie mogło, malowało się zniecierpliwienie, gniew i rozdrażnienie. Chodził krokami wielkimi, myśląc. Podskarbi stał, wspatrując się w niego.

— Straszna nas tą potęgą napróżno — zawołał Ulryk — znam ją, nie lękam się jej. Liczbą mnie chea przerazić: ona tylko popłoch, zamieszanie i ofiary powiększy. Kości rzucone.

— Tak, i rozegrać się trzeba z nimi — dodał podskarbi.

Zbliżył się do mistrza.

— Wczoraj powrócił nasz od Sarnowskiego, słowo jego uroczyste mamy, że się Czesi bić nie będą. Chcieliśmy skłonić ich, aby oręż obrócili na Jagiellę w chwili stanowczej, ale się na to nie zgodzili. Dosyć, że miecza z pochew nie dobędą.

— Jesteście Sarnowskiego pewni? — zapytał mistrz.

— Pieniądze wziął — uśmiechnął się podskarbi — i gdyby zdradzić nas miał, byłby się targował o napasć na Polaków, a przecie jej nie przyrzekł. Wnoszę więc, że co obiecał, spełni.

Tu podskarbi jeszcze bliżej do ucha w. mistrza przystąpił.

— Tatarowie pierzechną — rzekł, mrugając oczyma. — Wszyscy wodzowie ich kupieni, kilkunastu powiesić kazał Witold: łaćno nam przyszło ich zyskać. W Witoldowym wojsku mamy swoich pełno, którzy pierwsi tyl podadzą i innych za sobą pociągną.

Z tego kilkadziesiąt tysięcy tłumu noga na placu nie pozostanie. Ludzie do rzucenia popłochu dobrani najsprawniejsi, hasło dane; lewe nasze skrzydło w pogoń tylko poszedłszy, tyl królowi zabierze, a z dwóch stron osaczony, zginie marnie!

Zatarł ręce podskarbi.

— Nie rachuję na króla Zygmunta, ani na węgierskie obietnice, ale na to, cośmy sami złotem naszym i rękami zgotowali. To pewniejsze. Nie dosyć na tym — kończył podskarbi, uśmiechając się — w obozie króla, w jego namiotach, koło jego osoby mamy ludzi naszych, pachołeta, służbę, cudzoziemców kupionych i ponamawianych; mamy ich u boku Witolda, mamy u książąt mazowieckich. Któż wie — dodał — jeśli dla ocalenia zakonu zadać będzie potrzeba co w napoju... i na to się ręce znajdują... Wojsko bez wodza, mąż bez głowy, trupem jest.

Wielki mistrz zadrżał, ale nie odpowiedział nic.

— Ja wierzę w męstwo nasze i w relikwie świętych.

— I ja też — dorzucił skwapliwie podskarbi — ale to mi nie przeszkadza pracować i zabiegać.

Ruszył z lekka ramionami. Rozmowa przerwała się, gdyż komturowie i dostojnicy zakonu schodzić się poczynali.

Namiot, około którego stojące straże nikogo obcego nie wpuszczały, napelniał się coraz przybywającymi

na radę zakonnikami. Wszyscy komturowie dowodzący oddziałami byli przytomni.

Ulryk zagaił radę.

— Posłowie króla Zygmunta do pokoju nas skłaniają — rzekł — straszą nas Jagielly potęgą, przesadnie malują to wojsko złożone z niesfornego ludu. Prawda, że tłuszcza ta zalega przestrzeń wielką, lecz nie wiemyż ich uzbrojenia i siły?

Wtem Lichtenstein, w. komtur, przerwał.

— Wieziemy z sobą relikwie jerozolimskie. — rzekł — one za sto tysięcy ludu starczą, z nimi niezwyciężonymi jesteśmy. Pierzechnie ta ciżba i padnie, a naszym będzie staraniem, aby ich noga nie uszła do domu, aby nie było komu zanieść wieści o klęsce! Dość tych rokowań o pokój!

— Dość! — zawołał Schwelborn.

— Naród dziki, barbarzyńce, nie znają umiejętności waleczenia — rzekł komtur głuchowski — co tu liczbą znaczy? Działa nasze, relikwie nasze, broń nasza, przyjaciele... umiejętność wojenna: wszystko nam taką wyższość daje nad nimi, iż gdybyśmy w stu na tysiąc mieli walczyć, obawy mieć się nie godzi. Byłoby to zwątpić o Bogu, o sobie i o wszystkim, co za nami stoi, a co panuje światu! O papieżu i cesarzu... Wojna!

— Wojna! — powtórzyli wszyscy komturowie prawie jednogłośnie.

Dwóch starców na stronie, mileząc, stało: byli to komturowie von Wende gniewski i Hazfeld nieszwawski. Mistrz spojrział ku nim.

— A wasz głos? — spytał

— Co znaczą dwa głosy — odparł von Wende — mileżeć wole.

Odwrócili się ku niemu inni, szczególnie Schwelborn, z gniewem i niecierpliwością.

— Wy więc inaczej trzymacie?

— Tak jest, — rzekł Wende — radzę pokój, bo czuję zgrubę.

Krzyk oburzenia powstał. Wende się cofnął, zakładając ręce na piersi. Mistrz spojrzał groźnie.

Wrzawa i spór byłyby może natychmiast powstały, gdyby zakonnik wchodzący nie oznajmił, iż posłowie węgierscy pilno się posłuchania i ostatecznej domagają odpowiedzi, dłużej na nią czekać nie mogą.

— Stoją przed namiotem.

— Wpuścić ich — zawołał mistrz.

Komturowie, poglądając po sobie, rozstąpili się. Wende i Hazfeld stanęli na boku.

Wszedł Gara i Scibor ze Sciborzyc, który, choć zamieszkały na Węgrzech, jak imię jego oznaczało, pochodzenia był polskiego. W. mistrz uroczyście w tym otoczeniu całej rady przyjął posłów Zygmunta.

— Po odpowiedź przychodzimy — odezwał się Gara — a radziłyśmy, ażeby była pomyślna dla nas i dla wszystkich. Skłońcie serca wasze do pokoju.

W. mistrz, nie mówiąc słowa, wskazał na marszałka zakonu, który wystąpił naprzód.

— Zgodzilibyśmy się na pokój — rzekł — gdyby go od nas zawczasu żądano, gdyby Jagiello, nie na granicy stojąc z wojskami, wymóc go na nas pragnął. Jakże mówić dziś o pokoju, gdy wojna już jest rozpoczęta, część krajów naszych złupiona, łuny i zgłiszcza i krew o tym świadczą. Nigdy żaden z panujących nie śmiał się targnąć na Zakon z takimi siłami, z taką zaciętością, a wy żądacie, byśmy pokrzywdzeni przyjęli pokój, jaki nam narzucają? Zawrzemy pokój, ale wprzód pomścimy się orężem za łupiestwa, mordy i krzywdy. Wzajemnych naszych sporów i zatargów nikt nie może rozstrzygnąć, ani próżne słowa, ani choćby cesarska powaga, tylko oręż i wojna.

Spustoszone ziemie nasze: krwią niech za to zapłacą!

Gara siuchał tych słów, w pośpiechu i gorącości wyrzeczonych, z widocznym bólem i smutkiem.

— Losy wojny niepewne — rzekł. — Krzywdy z obu stron poniesione zdaje się na rozjemców, przyjmiecie pośrednictwo króla rzymskiego, spróbujecie innych środków, nim się odwołacie do oręża.

Wrzawa i głosy, zewsząd się odzywające, nie dały mówić posłowi, który umilkł. Nieopodal stał milczący Wende.

Na niego spojrzawszy, Gara zapytał:

— Wszyscy, więc i wy palacie tą żądzą boju i zemsty?

— Ja nie — odparł komtur gniewski spokojnie. — Jestem stary, pamiętam wojen wiele, wiem, co krwawa wojna znaczy, umiem cenić błogosławieństwa pokoju; dlatego pragnę, abyśmy, zapomniawszy krzywd naszych i ofiarując je Bogu, zdali się na układy. Ileż to razy stojące naprzeciw siebie zastępy mądre słowo wstrzymało i przejednało? Życzę pokoju! życzę! — powtórzył śmiało.

Krzykiem go zagłuszono.

Tettinger, komtur elbląski, i Schwelborn przypadli z podniesionymi pięściami do starca.

— Trzeba ci było, stary niedołęgo — zawołali — siedzieć w domu i chorych pilnować; do wojny się nie zdał: pociąg tu przybył?

Wende stał spokojnie niewzruszony.

— Przybyłem, abym z innymi walczył, gdy każą, i padł, gdy potrzeba — rzekł głosem wielkim. — Rada moja była zdrową radą, pokój przenoszę nad wojnę; powtarzam, iż póki jest choć słaba nadzieja uniknięcia krwi chrześcijańskiej przelewu, układy wolę, niż rwanie się do broni. Tak jest, pokój radzę, pokoju

pragnę, ale jeśli Bóg zawyrokuje inaczej, stanę mężnie i zginąć potrafię; patrzcie wy, byście z placu nie pierzechnęli, mimo waszego junactwa.

Tettingen wstrząsnął się cały i klótnia groziła, gdy stary Śeibor ze Śeiborzye, dotąd milezący, mówić zaczął.

— I ja — dodał — starym jestem żołnierzem, walczyłem całe życie, nie lękając się wojny: przecież nie odrzuciłbym pokoju, gdy jest możliwy.

W. mistrz obrócił się ku niemu z szyderskim półuśmiechem.

— W waszych ustach tłumaczy się ta mowa, — rzekł ironicznie. — Polakiem jesteście, wiemy, że rodzina wasza z kujawskiej ziemi pochodzi; mówcie za swoimi, bo się o swoich lękacie: ale ani Zakon, ani ja nie zgodzimy się na pokój haniebny, nożem na gardle wymożony. Nie! nie!

Śeibor usunął się nieco.

— Zdaje mi się — odezwał się — że nie dla Polski, ale dla was samych życzyłem dobrze i życzę; nigdy się nie godzi chrześcijaninowi zgody i pojednania odtrącać.

— Pozwólcie — odparł Ulryk ciągle szydersko — że i my też coś o obowiązkach chrześcijańskich wiedzieć musimy.

— Wychwalacie wszyscy potęgę Jagielly, — przerwał w. komtur — znamy ją; wiemy, z czego urosła i co waży; ale wy nie znacie potęgi Zakonu, który po całym świecie rozciąga swe sieci, który od Jerozolimy sięga do Marienburga i za Dźwinę, który ma w Niemczech tysiące sprzymierzeńców, w królach obrońców i opiekunów, w najwyższym pasterzu głowę swoją. Z potęgą Zakonu żadna inna mierzyć się nie może. Niech Jagiello drży: ziemi, zabranych raz i zawojowanych w imię Krzyża, wydrzeć sobie nie damy, a za krzywdy musi nam nowymi ustępstwami zapłacić.

Merheim przyklasnął, inni wtórowali. W. mistrz dodał w końcu:

— O pokoju mowy już nie ma i być nie może, o czym innym radźmy! Król Zygmunt winien nam opiekę i pomoc: przyrzekł ją...

— Tak — odparł Gara — lecz przysługa, jaką wam wyświadcza, warta odwzajemnienia. Król potrzebuje tej sumy, o którą prosił.

— I wypowie wojnę królowi polskiemu? macież listy wypowiednie? — spytał mistrz.

— Mamy je — odparł Gara.

— Radziłyśmy je widzieli — dodał mistrz.

Śeibor nieco się zżymnął.

— Wasza miłość tyle nam przecie wiary dać może, iż, co opowiadamy w imię króla Zygmunta, fałszem nie jest. Mamy listy wypowiednie i polecenie wysłania ich naówczas, gdy czterdzieści tysięcy złotych wypłacone nam będą.

Mistrz się uśmiechnął.

— Znaczna suma dla Zakonu — odparł — ale część nadto wielka, że możemy nią służyć królowi, byśmy się o nią targowali. Zapłacimy więc tu zaraz dwadzieścia, tyleż oczekuje na was w Gdańsku.

Podskarbi dał znak przyzwolenia.

— Byleśmy listy mieli, pieniądze oczekują gotowe — dodał, potrząsając pękiem kluczy u pasa.

— Rzecz więc skończona — rzekł Gara.

— Lecz listy widzieć musimy! — odezwał się mistrz — abyśmy ich siłę mogli ocenić.

Gara i Śeibor spojrzeli po sobie i poszeptali: ostatni wyszedł z namiotu.

— Idę — rzekł u drzwi — Piotra Koreboga do króla odesłać, a listy wam do odczytania przynieść. Z czymże Korebog odjedzie?

— Z wojną! z wojną! — okrzyknęli tłumnie kom-turowie, podnosząc ręce — niech zapowie walkę krwawą.

— Upokorzymy tego dumnego poganina — zawołał Schwelborn — z nim i z jego rodem jaszczurzym nie ma nigdy walce końca; raz potrzeba tej hydrze lby pouncinać do ostatniego. Nienawistne plemię balwochwalców bez czci i wiary!

Niektórzy wtórowali Schwelbornowi, inni milczeli. Mistrz chodził niespokojny. Po chwili wszedł Ścibor i Korebog z nim, niosąc szkatułkę.

— Panie Piotrze — odezwał się doń Ścibor — już dłużej czekać tu na co nie macie, pokoju nadzieja znikła; nieście więc od nas królowi wyraz żalu, żeśmy nie uczynić nie mogli.

— Nie mamy czego płakać! — szepnął Piotr.

Uśmiech jego i obojętność do najwyższego stopnia oburzyła Krzyżaków, którzy go dumnymi oczyma żegnali.

— Tak jest — zawołał marszałek zakonu, zbliżając się do szlachcica. — Powiedz królowi swojemu, że mu niesiemy wojnę, a z nami Bóg!

Wskazał na krzyż swój, na płaszczu wyszyty.

Koreborg zlekka się pokłonił, nie nie odpowiadając i, ścigany oczyma przytomnych, wyszedł zwolna z namiotu.

Panowie węgierscy pozostali już tylko dla otrzymania haraczu przyrzeczonego, nie wdając się więcej w żadne o pokój układy.

Gdy po zniknięciu Ofki za księżną Aleksandrą do Płocka jechać przyszło nieszczęśliwej Noskowej, zrazu jej służba namówić nie mogła, aby na wóz siadła.

Leżała na ziemi, płacząc i narzekając, bo do córki była, acz nierozumnie, przywiązana, jak do życia. Było to dziecko jedyne, pociecha serdeczna, nadzieja. Miłością tą zbytnią popsuka Ofkę i nie widziała tego, bo dotąd nigdy samowola dziecka do tego stopnia nie doszła. Rozumem i bystrością o wiele prześcigając matkę, dziewczę umiało z nią uczynić, co chciało i co chciało jej wmówić i narzucić. Wielu też spraw a stosunków swawolnicy nie wiedziała pani Barbara; dla siebie i dla niej nie będąc zbyt surową, na wiele wybryków patrzyła przez szpary.

Ucieczka dopełniała miary.

Czuła matka nieszczęśliwa, iż winną była pobłażania zbytniego i gdyby nie ono, nie ważyłaby się nigdy Ofka na krok tak szalony.

Nie pojmowała, dokąd uciec nawet mogła, a lękała się o cześć jej i życie, gdyż domyślała się, że nie gdzie indziej, jak za wojskiem i z płochą myślą szpiegowania a pomocy panom swym dziewczę ulecieć musiało.

Dwór księżnej Aleksandry mówił cały, że za rycerzem jakimś, dawszy się zjednać, zbiec musiała. Ani już wśród niechętnych dłużej tu trwać było można. Dobrotliwie pocieszała matkę księżna, przecież znać było, że sromowi, jaki to i dla dworu jej czyniło, nie była rada.

Noskowa wśród łez i rozpaczys sama nie wiedziała, co poczynąć dalej z sobą, gdy dojechawszy do pierwszego popasu, ksiądz Jan jej powiedział po namyśle, że byle miał o czym i jak, do obozu polskiego nawrócić i Ofki szukać będzie, choćby mu przyszło od jednego do drugiego pacholęcia cały obóz przetrząsnąć.

— Pójdę choćby do króla — rzekł — poproszę go, aby otrąbić kazał o zgubionym dziecku; przecie je tam odzyskamy, jeśli jest, a gdzież indziej być może?

— Wiem-że ja, gdzie ją oczy i szaleństwo poniosło? — odezwiała się, łamiąc ręce, matka — któż zgadnie, co się dzieje w tej głowie? Wychowało się to niemale, trzymając sukni zakonników, nauczywszy się zakon szanować i wszystko dlań święcić. Nie wątpię, że poszła na szpiega, czy do Torunia, aby donieść, co widziała? — mogeż zgadnąć?

— A! byle przy życiu była! Moja to winna — płakała Noskowa — mój grzech. Rycerstwo jej dzieckiem zawróciło głowę.

Po długich jękach i radach nie było już nic innego do czynienia, tylko przyjąć księdza Jana ofiarę, który do krzyżaków powtórnie jechać już nie chciał, ale obóz polski obiecywał przeszukać.

Litość go wielka nad siostrą przejęła, która z żalu spowiadała mu się z całej swej przeszłości a, jak za zwyczaj w nieszczęściu wielkim, przyznawała się do win, któreby inaczej taila nawet przed bratem.

Z boleścią wysłuchawszy tych zeznań, ale z chrześcijańskim pobłażaniem, ksiądz Jan postanowił do drogi się sposobić. Domyśliwszy się jednak, co za jedni byli pacholkiwie, dodani Noskowej z Torunia, żadnego z nich z sobą wziąć nie chciał. Litując się nad nim i kobietą, księżna Ziemowitowa dwóch ludzi swoich księdzu dodała i konia, którego potrzebował. Noskowa go opatrzyła pieniędzmi, a wyjeżdżającemu rzuciwszy się jeszcze do nóg ze łzami, wyprawiła go zaplakana, rada, że choć próbę jakąś do odzyskania dziecka uczynić mogła.

Zawrócił więc starzec nazad tą drogą, która do gościńca wojskowego wiodła.

Kraj był pusty zupełnie, bo ludzie przed wojskami pierzchali wszędzie w lasy głębokie, uprawdzając trzody i unosząc mienie; ale bez języka obejść się można było, bo ślady pochodu wszędzie jeszcze widoczne

zostały. Mimo burz i deszczów lipcowych, zbity końskimi kopytami ziemia, mogiły i kopce, pogaszone ogniska, gdzie niegdzie szkielet koński, który wilki ogryzły do białych kości, prowadziły lepiej od człowieka. Gdziekolwiek wojsko leżało, widoczniejsze jeszcze po nim znać było spustoszenie i resztki polegów. Nie jeden trup czekał pogrzebu, na który czasu nie stało, ledwie przysypyany gałęzmi; potłuczone czerepy, pogubione rzemyki, poszarpane płachty leżały po polach. Kopane pod namioty i na ogniska jamy stały nie zasypiane. Bezpiecznie więc idąc tak torowaną drogą, ks. Jan coraz świeższe znajdował znaki.

Nad wieczorem stada ogromne kruków zrywały się z ponad lasów i widać je było ciągnące w tę stronę, kiedy wojsko ciągnęło, jakby już czuły żer i trupy. Ludzie, towarzyszący ks. Janowi, patrzyli na lecące ptaki i żegnali się przelekli, szepejąc, co to oznaczać miało.

Niekiedy wśród pola, na padłym koniu siedziała ta czarna chmura, a za zbliżeniem się jeźdźców podnosiła spłoszona nagle i zwijała, kłębiła, wrzeszczała, nim się w powietrze podniosła.

Drugiego dnia jadący poczuli woń spalenizny, którą przesiąkła była ziemia i lasy. Zdala siniały ponad puszciami obłoki dymów, a nocą czerwone łuny odbijały się w górze na chmurach. Wiatr, który czasem powiał od granic, niósł z sobą gorzki zapach pożarów. Powietrze, od skwaru duszne, stawało się od niego do oddychania ciężkim: do ust gorycz przylegała.

Poza granicą, gdzie Tatarowie dopuścili się krwawych łupieży, ślady ich jeszcze były straszniejsze. Z popalonych wsi resztką ludu ocalonego, okaleczona, okrwawiona, opalona, ścisnęła się około ognisk i szałasów, nie mając dachów, pod którymiaby przytulić się mogła.

Z dala slychać było jęk głodnych dzieci, które matki, na rękach kołysząc, uspokajały. Z bladymi twarzami ludzie kopali korzonki i szukali ziela, aby głód nie zaspekoić, a oszukać i stłumić.

Przybywszy pod Kurzętnik i Rupkowskie jezioro, ks. Jan i tu tylko znalazł obozowisko puste. Byłby się z cofającymi napowrót wojskami spotkał, gdyby, do Ludborza nie dojeżdżając, Mazury dodani puszcza krótszej drogi znajomej nie wybrali, wymiarkowawszy, że wojsko ciągnęło nad Drwęcą. Jagiello cofał się napowrót, gdy wieczorem, ze znużonymi końmi, nadjechał ks. Jan do Kurzętnika, a że ludzie się obawiali do miasteczka zaglądać, obrali więc nocleg nad jeziorem wśród łóz, z których jaki taki szalas sklecić było można.

Ks. Jan, po śladach, jakie tu oglądał, usiłował się domysleć, gdzieby mu dalej jechać należało. Zdalo mu się też, iż u ludzi w pobliskiej miejscinie może języka zasięgnąć, nie narażając się na niebezpieczeństwo, od którego suknia kapłańska broniła. Przechodząc pieszo pole, zbliżał się już ks. Jan do miasteczka, które niemal opuszczonym mu się wydawało, gdy na przeciw siebie postrzegł wybiegających kilku konnych.

Byli to wysłańcy krzyżacy, którzy dla niepoznaki białe swe płaszcze pozrzucali. Widząc ich dążących ku sobie, ks. Jan zatrzymał się, pewien, że jakaś garść Jagiellowych żołnierzy spotyka i radując się im w duszy. Nie strwożył się bynajmniej, gdy go otoczyli i w mgnieniu oka, posiadawszy z koni, zbliżyli się do bezbronnego.

Pierwsze słowo, z którym się odezwał przodujący tej garści Niemiec, wywiodło księdza z błędu. Umiał dosyć mowy ich, aby się z nimi porozumieć.

Na zapytanie skądby i poco dążył, ks. Jan opowiedział prawdę całą, iż szukał wojska polskiego.

Śmiech radosny wyraził te powitał, wnet jeden pochwycił go za ramię, krzycząc, że szpiega pojмали.

Wpadłszy w ich ręce, nie było się już co ani tłumaczyć, ani opierać; na piersi spuściwszy głowę, ks. Jan nie odpowiadając nic, dał z sobą czynić, co chcieli.

Odgrazali się go wieszać; powiedział im, że był księdzem. Powitali knechei śmiechem to zeznanie, zaręczając, że u nich i księży wieszano.

Kazał jeden z jezdnych, ręce skrepowawszy ks. Janowi, sięść na koń, a sam się z nim uczeplił. Do obozu jeszcze stojącego nad Drwęcą nie było daleko, pokłusowali więc Krzyżacy ze zdobyczą swoją.

Mazury z dala w łożach widząc co się stało, a za słabi będąc, aby odbić mogli, przypadli w krzakach i czajeni siedzieli w nich, dopóki kupka ludzi z oczów im nie znikła.

Ratując siebie, gdy noc zapadła, konie połapawszy, co się nad stawem pasły, nazad uszli w lasy, niosąc złą wieść o pojmaniu księdza, który sam sobie los swój był winien.

Ze zdobyczą swą knechty do obozu zdążyli, dając z za rzeki znać o sobie, aby ich łucznicy nie powitali z za ostrokołów, jak nieprzyjaciela. Poszły wpław konie, a ludzi na podanym czólnie wraz z księdzem przeprowiono. Najbliższym był namiot marszałka i do niego też, nagrody się spodziewając, przywiedli związanego księdza pacholkomie. Właśnie z namiotu wychodził podskarbi, gdy bystre jego oko w mroku jeńca spostrzegło. Zbliżył się, knechty ze śmiechem opowiadali, jak im wpadł w ręce. Poznał go natychmiast podskarbi.

— Nieszczęście was jakieś ściga, mój klecho — zawołał — jakimże sposobem mogliście znowu wpaść w ręce nasze?

— Opowiem wam wszystko — rzekł ks. Jan — tym bardziej, że siostra moja pod opieką Zakonu zostaje i że się to więcej jej, niż mnie tyczy.

Merheim natychmiast księdzu ręce kazał rozwiązać i z sobą go poprowadził do namiotu. Tu staruszek usiąść już musiał, bo stać zmęczony nie mógł.

Wiesz o jeńcu wnet wielu innych krzyżaków napędziła do namiotu. Coraz to nowy zaglądał do drzwi i wchodził tak że się tłok stał wielki dookoła. Chciano się dowiedzieć coś o wojsku i o królu, o których ks. Jan tyle wiedział, co i oni. Zamilkł więc, dopóki nie rozeszło się zbiegowisko i nie pozostał sam z podskarbin. Dano mu się nawet posilić trochę, aby mógł lepiej opowiedzieć o sobie i swych przygodach.

Nie było co tać, począł więc od spotkania z Jagiellą i wojskami. Merheim nie miał czasu dopytywać o liczbę i o siłę.

— Siostrzenica moja — rzekł — córka Barbary Noskowej, dziecko szalone. Po przejściu wojsk w nocy z jednym sługą znikła. Matka jest w rozpacz, domyśla się, że stawiać życie, poszła przebrana szpiegować w obozie.

Podskarbi zdziwiony przyskoczył do księdza.

— Możeż to być!

Jedno spojrzenie dowiodło mu, iż ksiądz Jan kłamać nie mógł.

— Tak, to zawsze była dziwna i samowolna natura, dziecko niepoohamowane, gotowa była to uczynić.

— I pójść na zgubę oczywiście! — dodał ks. Jan.

Merheim nie zdawał się podzielać tego zdania. To poświęcenie dla Zakonu cieszyło go.

— A wasza wielbność jedziesz, ażeby ją odszukać i matkę przyprowadzić? — zapytał.

— Nieinaczej.

— Do obozu polskiego? — dodał podskarbi.

— Tak jest.

— Dziewczyna, jak mówicie, wzięła z sobą starego knechta?

— Tego, który dowodził ludźmi.

— To jej się nie nie stanie! — rozśmiał się podskarbi. — Nie widzę potrzeby odrywać jej od dzieła, które może z wyższego uczyniła natchnienia. Kto wie, gdzie jest? kto wie, co zamierza?

Merheim nie dokończył.

— Wy się z nami zostać musicie, albo gdzie na zamku przesiedzieć: do obozu was puścić niesposób.

— Przecie nikomu szkodzić nie mogę?

— Ani wy, ani ja o tym wiedzieć nie możemy — odrzucił Merheim — dziewczę do takiego kroku nie rzuciłoby się bez Bożego natchnienia. Któż wie! Cuda się dzieją!

— Mieścież litość nad matką! ona z niepokoju umiera.

— Na litość już nie pora — odezwał się podskarbi. — Czas wojny i sądów Bożych. Rodzą się Judyty.

Ksiądz Jan zadrżał.

— To słabe dziecko.

— Nie, to bohaterka biblijna! — zawołał Merheim — ani się godzi stawiać jej w drodze? Wy więcej pewnie dla Jagielly, niż dla nas macie miłości i chęci, chcielibyście ją oderwać, a jego ocalić: ja pragnę, aby była Judytą.

Ksiądz Jan zamilkł, patrząc przerażony na podskarbiego.

— Niech Bóg uchowa, by nią była: sama myśl zgrozą napelnia. Któżby ją jej mógł poddać. Sama nie zrodziłaby się w jej dziecinnej głowie.

Uśmiechnął się podskarbi.

— Mógł się znaleźć taki, który myśl w młodą rozżarzoną głowę i serce rzucił. Nieinaczej tłumacze

ucieczkę, a widzę w tym palec Boży, iż was zbłąkanych los oddał w ręce nasze, abyście spełnieniu tego, co przeznaczone, nie stawali na przeszkodzie.

To mówiąc, wyszedł z namiotu i posłał zaraz sługi, które starego księdza uprowadziły pod strażą.

Mistrz, którego natychmiast uwiadomił podskarbi, słuchał opowiadania z niesmakiem, lecz uwięzienie księdza pochwalil.

— Wszystko to baśnie są — odezwał się — drugi raz łapiemy go w podejrzeniu szpiegostwa, nie należy puszczać stąd, ażeby po raz trzeci chwytać nie trzeba było. Dla mnie rzecz jawna, iż chytry klecha splótl baśń niedorzeczną, aby kark swój od stryczka ocalić.

Zesłać go do Gilgenburga, niech go tam do lochu posadzą.

Polskie wojska pod Działdowem już leżały, ominawszy ostrokolami obwarowane brzegi. Nigdzie jeszcze większego spotkania nie było, oprócz zasadzki na Świeczan i harc u jeziora Rupkowskiego. Okrążono wojska Krzyżaków, którzy śladów jeszcze nieprzyjaciela nieświadomi szukali.

Po ciężkich dniach pochodu w lipcowe upały rycerstwu spocząć trzeba było: chorych wielu w obozie, ko nie wychudzone, znękani ludzie musieli odetchnąć przed stanowczą boju godziną, która się też już zbliżać zdawała.

Powrót mimo Ludborza, nowego trudu kosztujący tyle, przedsięwzięto za radą Koreboga, który od panów węgierskich przybywszy z oznajmieniem o wojnie, do brze krzyżacki obóz opisał i trudność w przebyciu Drwęcy, którą wyżej suchą nogą przejść było łatwo. Dodał on królowi otuchy, gdyż siły Zakonu nie znajdo-

wał strasznymi, a o niezgodzie komturów i nieładzie między obcymi gośćmi szeroko prawil, bo miał się czas im przypatrzeć.

Za Działdowem pod Wysokie nadbiegł do obozu Frycz Słazak, od Węgrów wysłany z wypowiednim listem króla Zygmunta, przez Krzyżaków kupionym tak drogo.

Wzięły go przednie straże i naprzód powiodły do marszałka Zbigniewa, przed którym nie tał Frycz, z czym jechał i co wiózł.

Słazak był pół-Niemiec, trochę Polak, człowiek, który spełna nie wiedział, kogo miał kochać, a komu źle życzyć. Ciągnęło go czasami w jedną, to znów w drugą stronę, i tak się życie kołysało. Złe wszakże Jagielle nie życzył w tej chwili, bo mu duma białych piaszczów dojadła, równie jak węgierskim panom.

Marszałek Zbigniew, jak skoro się dowiedział, co niósł, usta mu zatulił.

— Chcesz-li u króla łaskę mieć i podarek przystojny — rzekł — nie głoś-że, coś przywiózł. Gdyby się po obozie rozniosło, że nam wojnę wypowiadają, nie jednemu by ducha zabrakło i trwoga by go ogarnęła. Po cóż macie nam szkodzić? Królowi panu oddacie jutro listy wypowiednie i poselstwo wasze sprawicie.

Zgodził się Frycz milczeć, tym więcej, że dwojakie miał zlecenie, bo król Zygmunt na tę wypowiednianą wojnę wcale się nie myślał wybierać.

Nazajutrz rano po mszy świętej, którą kapelan Jagielly, Jarosław, proboszcz kaliski, odprawiał, wezwano Frycza do namiotu, gdzie tylko książę Witold i rada wojenna zgromadzoną była.

Nie miał Jagiello we zwyczaju nawet na uroczystości występować, przyjął więc posła, siedząc na kłocu pokrytym skórą i w letniej odzieży dla skwaru.

Opowiedział Frycz urzędownie to, o czym wiadomo dobrze, jako starania panów próżnymi były, jak się mistrz Ulryk wszelkiemu rokowaniu o pokój oparł, jako orężem i wojną chciał rozstrzygać.

— Gdy Zygmunt, król węgierski, od którego panowie moi poselstwo sprawują, jest Rzymskiego państwa namiestnikiem, a nie godzi mu się Zakonu krzyżackiego, podlegającego rzymskiemu cesarzowi, w tym niebezpieczeństwie odstępować: przeto z rozkazu panów węgierskich składam w. kr. mości list wypowiedni, w którym się po stronie mistrza i zakonu oświadcza, a wojnę w. kr. mości wypowiada.

Jagiello list przyjął, nie mówiąc słowa, Witold i rada nie rzekli też nic. Rozmowa nie ciągnęła się dalej, a wychodzącemu Fryczowi Zbigniew marszałek przypomniał obiecaną tajemnicę, którą on zachować znowu przyrzekał.

Król dworzanina za nimi posłał, aby Frycza po stole do niego wezwano. Ugościł go marszałek sam i z oka nie spuszczone, ażeby się gdzie niepotrzebnie nie wygadał.

Z południa wprowadzono go znowu do Jagielly, a byli już sam na sam. Frycz, ujęty przez marszałka, z owego strasznego herolda wojny stał się bardzo dobrym służką, pokłoniwszy się do kolan.

— N. panie — odezwał się cicho — co mi kazano mówić publicznie, tom powiedział rano, a no, to nie wszystko.

— Cóż więcej? — spytał król, patrząc mu w oczy.

— Panowie moi polecieli mi rzec jeszcze — dodał — że list wypowiedni dobrze zapłacony, bo Krzyżaków czterdzieści tysięcy czerwonych złotych kosztował, dla postrachu rzucony jest, ale na ten kawał papieru zwać nie ma co, bo wojny z niego nie będzie.

Uśmiechnął się Jagiello.

— Ani król Zygmunt, ani Węgry o niej nie myślą, a złota potrzebowaliśmy... Strachy to są próżne, n. panie — mówił dalej — widziałem ja obóz krzyżacki i widzę ten, a zaprawdę myślę, że po tej stronie waga będzie i zwycięstwo. Zbierany tam lud, dużo głów, ładu mało, a buty wiele; przy pomocy Bożej otrzymacie zwycięstwo, z którego myślę, że i król Zygmunt nie bardzo smucić się będzie. Moim panom, n. panie, — rzekł w końcu — ich zachodów za złe mieć nie będziecie, bośmy się nie o co innego, tylko o pieniądze starali, o Zakon nam wcale nie szło i nie idzie, ani go tak bardzo kochamy.

Wysłuchawszy tej mowy, król począł pytać Frycza o to, co widział w obozie.

— Połowy tego ludu nie mają, co wy, n. panie — rzekł Słazak — wiele po zamkach rozproszyć musieli.

— A ducha jakiego są? — pytał król.

— Nigdy go oni nie mienia, — mówił Frycz — zawsze u nich jeden: pychą żyją i pychą zginą.

— Amen! — dodał Jagiello — bodaj tak było, jak mówicie.

— Że tak będzie, pewniśmy wszyscy, bo kto zbyt sobie ufa i szczęściu swojemu, zawsze zawiedziony bywa.

Po krótkiej rozmowie, obdarzonego sowicie, bo Jagiello do rozrzutności był wspaniałym, odprawił król żegnając do jutra.

Frycza zaraz przejął marszałek i znowu go ugaszczal, czuwając nad tym, żeby się z listem nie wygadał. Nazajutrz rano znowu go król powołał, nie z własnej myśli, ale podkanclerzy i Witold poddali, ażeby jeszcze z Fryczem mówił, co by życzył, aby Zygmuntowi doniesionym zostało.

Jagiello począł mu wymawiać, jak niegodziwie Zygmunt względem niego postąpił, dla złota na powinno-

wactwo i przymierze nie zważając, co innego obiecując zrazu, a inaczej czyniąc.

Wymawiał król gorzko zawiedzioną nadzieję swą i oddane w czasie wojny tureckiej Zygmunтови posługi, a naostatek dokończył tym, że Bogu ufa i wyrokom Jego sprawiedliwym.

Frycz, wiedząc na co mu to mówiono, wysłuchał żalów, nie odpowiadając na nie.

Ranek był wielce uroczysty dla całego wojska. Duchowieństwo, czując zbliżanie się godziny, w której nie jednemu życie położyć przyjdzie, ten dzień przeznaczyło na obchód wielki. Całymi szeregami rycerstwo przystępowało do spowiedzi i komunii: król, wodzowie, wszyscy niemal do ostatniego pacholka, oprócz jednej dzicy tatarskiej niechrzzonej. Chodzili księża po kłęczących w szeregach żołnierzach, rozdając Przenajświętrzy Sakrament. Spowiedź odbywała się pod gołym niebem i pod namiotami obleżonymi niemal od ludu, bo każdy chciał być gotowym na śmierć i z Bogiem się przejednać.

Obbóz przedstawiał obraz wspaniały i piękny, bo na ten dzień panował w nim spokój, zgoda i cisza. Jak sam król, tak i cały dwór jego wszystek w kaplicy nadwornej spowiadał się także. I nowy więc dworzanin, który się prosił między pańskie sługi, musiał pójść z innymi.

Od tych kilku dni, jakie spędził przy królu, trochę się mu tu polepszyło. Wołał go kilka razy Jagiello i do różnych drobnych posylek używał, a że się zrećźnie i dobrze sprawiał, okazał, iż rad był z niego. Chłopak był jakby strwożony i milezący. Niebardzo się też tu swobodnie poruszać było można, bo starszyzna w srogiej rzye trzymała, a kroku po dobrej swej woli nie można było uczynić: szło wszystko po wojskowemu i ostro strzeżono porządku.

Pacholę z niezmierną ciekawością przypatrywało się królowi, z czego się drudzy wyśmiewali. Zdawało się śledzić każdy ruch jego, każde chcieć posłyszeć słowo, każdą myśl odgadnąć. Kilkakroć król je zaczepił słowem żartobliwym, bo był, okrom polowania, wielce łagodny, a niekiedy dobrej myśli, choć chmurnej twarzy. Pierwszych parę dni tego nowicjatu przebywszy, Teoderek już coraz śmielszym być zaczynał, a dziwny też jakiś umiał wpływ wywierać na tych, co go otaczali.

Towarzysze zrazu wyśmiewali go, drudzy pozbyć się go radzi, wyrządzali mu przykrości i chcieli zrażać do służby, ale im się to nie powiodło. Jednych rozbroił dowiepsem, drugich pokorą, innych śmiałością, naostatek cierpliwością, tak że mu w końcu pokój dano, zważywszy, że król coraz nań lepszym poglądał okiem. Chłopak też umiał sobie jednać przyjaciół tym środkiem wszechmogącym, którym Krzyżacy pozyskali króla Zygmunta. Do posługi był niezmiernie ochotny, byle móc coraz bliżej się docisnąć, wszystkiego dotknąć i ciekawość nienasyconą nakarmić. Słuchał rozmów, podkradał się pode drzwi, wypytywał.

Szczęście, które mu służyło we dworze, znać się nie rozciągało do tych, których miał przy sobie i którzy koni jego dozorowali, bo z tych jeden znowu uszedł, i, jako stary, nie wiedzieć gdzie się podziawszy, dopiero trzeciego dnia na zmęczonym koniu powrócił, a tłumaczył się tym, że się na pastwisku zabłąkał, szukając straconego konia, którego nierychło mógł odzyskać.

W tym zamięcie ciągłym i przy tylu sprawach ważniejszych nikt prawie na to nie zważał.

W sam dzień św. Małgorzaty, z rana jeszcze odprawiony nabożeństwo, zatrąbiono do pochodu... Wojsko

wypoczęte ruszyło raźnie, wedle wskazówek, ku miasteczku i zamkowi Dąbrownu.

Dzień był niesłychanie skwarny i widocznie zbierało się na burzę, którą wszyscy prorokowali; ku północy leżały ciężkie nieruchome chmury ponad lasami: najmniejszy wietrzyk powietrza nie chłodził. Przyszło wojsku wlec się w spiekotę, szczęściem niezbyt długo, gdyż przed wieczorem pokazała się równina, a wśród niej ogromne jezioro dąbrowskie, wśród którego sterczały na kępie wzniesione wysoko mury zamku, opasanego dokoła kurtynami, na których wieżycy i rondle gdzie niegdzie rozstawione były, jakby na straży. Zdala już widzieć można było mnogi lud, który na blanki wybiegał i roił się po bramach, po grzbiętach murów. Zamek wyglądał silny i poważny, jakby uragał sobie z potęgi, która przeciwko niemu kroczyła. Nie było wcale zamiarem króla ani wodzów zamek ów zdobywać, aby w pobliżu będącemu nieprzyjacielowi nie dać hasła do napaści i nie narażać się na wycieczkę z jednej, a nacisk z drugiej strony, o pół mili więc za Dąbrownem rozłożył się obóz u jeziora.

Stało się jednak, czego nikt w świecie przewidzieć nie mógł. Jak skoro rycerstwo zaczęło się rozkładać u brzegów jeziora, ruch się wszczął na zamku; podniosły się żelazne brony we wrotach, opadł most zwodzony i garść zakonników, stanowiąca załogę, wystąpiła na spotkanie.

Widząc nieprzyjaciela prawie o staje, p. Andrzej Brochocki, który zbroję miał składać, zadumał się, przyszli doń drudzy. Nie pytano rozkazów.

— Co oni nam pod nosem kiwać będą? — zawołał Brochocki — a my cierpieć i patrzeć będziemy, jakbyśmy tego nie rozumieli?

Inni też poczęli wołać:

— Dać im naukę!...

— Na ochotnika, komu świerzbi dłoń! — krzyknął Brochocki. — Przecież nie grzech poharcować.

W mgnieniu oka zebrała się kupa spora jeźdźnych i ruszyli ku Krzyżakom.

W obozie, gdy ich zobaczono jadących, co najmniej dziesiąty, który konia pod ręką miał, siadł nań i dalejże sznurem za tamtymi. Krzyżacy stali przed zamkiem, a już od nich pierwszych dolatywały obrzydłe klątwy i łajania, jakimi zawsze lubili szafować. Na przodzie starszy w białym płaszczu, dwie pięści wystawiwszy przeciwko jadącym, śmiał się i wrzeszczał.

Nie mogąc wstrzymać się, ochotnicy z Brochockim na czele padli jak piorun z kopiami na nich i stało się zamieszanie ogromne. Krzyżacy nie wytrzymali uderzenia, zwinęli się. Kilku z koni spadło, dla ciężkich zbroi podnieść się nie mogąc.

A tuż za pierwszą garścią z obozu druga biegła i trzecia, i dziesiąta, z okrzykiem, hukiem, pieśnią, śmiechem. Król, który nierychło zobaczył, że samopas wszystko szło, kazał trąbić, posłano z rozkazami, lecz już nie było sposobu ludzi utrzymać. Rzucali namioty, rozłożone ognie, jadło, sprzęty. Niektórzy bez zbroi, ledwie hełm upiąwszy, z jedną szablą lecieli. Na grobli wyprzedzali się, parli, spychali niemal do wody, aby co prędzej dobiec, gdzie się już na dobre ścinało. Białe płaszcze, z których kilka na ziemi konie stratawały, pędziły w odwrocie ku bramie, Polacy za nimi. Most zwodzony ledwie zdążono dźwignąć, gdy garść ta z Brochockim u fosi stała. Dalej już nie było sposobu iść, a wracać po malej utarczce, gdy się ledwie pokoszowało walki, nikt nie chciał. Napływało ludzi coraz a coraz więcej z obozu. Pomiedzy nim a miasteczkiem cała droga była zalana tłumami konnych i pieszych.

Na próżno Zyndram Maszkowski, Zbigniew z Brzezia, Krystyn z Ostrowa stanęli na gościńcu, hamując; wszyscy byli głusi: omijano ich i pędzono ku zamkowi.

Tu się nie na żart walka poczęła. Ludzie z końmi i pieszo powskakiwali w jezioro, które było niegłębokie, ale grzaskie, trzymając się za rece, popychając, pchając, drapali na wał pod mury. Niektórzy już drabiny z obozu nieśli, inni siekiery, toporki i samopaly. Mrowie to obsiadło zamek dookoła. Poznali dopiero zakonniccy i mieszkańcy, że się tu naprawdę do szturm zbierało. Poczęto z murów dawać ognia, a z wieżyc i blankowania ciskać kamienie. Tyle to tylko pomogło, że gorzej jeszcze rozplómięło. Młodzież zaklinała się, że nie odstąpi od zamku, aż go zdobędzie.

Sam król, bardzo niespokojny, zdala na to poglądał i bardzo był markotny: posyłał ciągle od siebie, aby porzuceno szturm; ale kto pojechał, to go już nie było widać: połowa niemal obozu była pod zamkiem. Wiedziano od namiotu Jagielly, jak się jedni drugim spinając na ramiona, parli do góry, jak walono w mury siekierami, młotami i stawiano kobylice i drabiny. Miasteczko stało całe w dymach od szrałów, a że powietrze było spokojne, obwinięte nimi było jak szarym całunem. Huk nieprzyjacielskich dział rozlegał się po okolicy, a razem ogromny wrzask zdobywających, którzy sobie nim serca dodawali.

Słońce zachodziło, Jagiello patrzył z założonymi rękami, stojąc milezacy. Za nim w dali co pozostało z jego dworu i ów nowozacieżny dworzanin z Zaboru, na którego bladej, to rumieniacej się twarzy dziwne zdawały się przebiegać uczucia. Drżał cały, czy z żądzy boju, czy ze wzruszenia, któremu oprzeć się trudno na widok zaciętego boju, a było tam na co patrzeć, gdyż nigdy może obronnego zamku takim nagłym napadem nikt się wziąć nie pokusił.

Tysiące rycerstwa pieło się na mury. Krzyżacy nie wiedzieli, z której bronić się strony, bo nie było najniebezpieczniejszego zakątka, którego by szturmujący nie zajęli. Nie stało więc rąk do miotania pocisków i wrzątku, nie stało dział, wymierzonych w jedną tylko stronę, na obronę wszystkich.

Na murach widać było lud, kobiety, tłum spędzony niebezpieczeństwem i broniący się rozpaczliwie.

Nagle, wśród zdala dochodzącej wrzawy, rozniósł się okrzyk piorunujący. Z murów zaczęli niknąć ludzie i uciekać, w bramie błysnął płomień. Dąbrowno było zdobyte. Żołnierz jeden konny, wysłany od bramy przez Brochockiego, przyniósł tę wiadomość do obozu.

Pan Andrzej był jednym z pierwszych, co wpadli, bramę wyrąbawszy, do miasta. Z drugiej strony, przez wyłom, zrobiony w murze, sypnęła się też garść Wielkopolan. Wrzawa ucichła, wieczór nadechodził, a wojska wracającego widać jeszcze nie było. Dąbrowno pełne było ludu z całej okolicy i pełne bogactw i żywności, które tu chciano przechować.

Żołnierz, rozwścieczony obroną, na Krzyżaków rozżarty, nie nie oszczędził. Zaczęło się gospodarstwo wojenne w mieście tak przepelnionej ludem obojej plei, iż niewolnika brano tysiącami. Niektórzy posłali po wozy swe, inni się opatrzyli w nie w miasteczku, ładując łupami.

Na próżno pan Andrzej Brochocki chciał powstrzymać i ład jakiś wprowadzić: jak go nie było w napaści, tak nie mogło być w rabunku. Brał co kto pochwycił i zarwał, rzucono z okien domów na ulice kosztowny sprzęt, srebra, odzież drogą; zapasy do życia, beczki z napojami wytaczano z piwnic: słowem, powstał chaos, jękiem tylko mordowanych krzyżackich knechtów i płaczem niewolnika przerywany. Na zamku Bro-

chocki ze swoją garścią działa gwoździł i około broni a skarbca się zwił. Krzyżaków, co go bronili, do nogi niemal wybito, lub rannych pobrano w niewolę. Obchodził właśnie izby puste, gdy jedną znalazł zamkniętą. Żelazny drag i klódka drzwi zapierały. Powołał więc ludzi, aby odbić je, nie wątpiąc, iż tam skład jaki znajdzie. Zdziwiony był bardzo, pustą, sklepioną widząc izbę, a w niej na klęczkach modlącego się księdza. Przypadli doń porywczo niektórzy, ale ich Brochocki odepechnął.

Staruszek był siwy i po sukni poznać się dawało, że do zakonników nie należał. Gdy doń przemówił pan Andrzej, zdziwił się niepomału, słysząc go odpowiadającego po polsku i oznajmującego, że był więźniem przez Krzyżaków na drodze pochwyconym.

Był to ksiądz Jan, którego tegoż dnia właśnie przywiedziono tu i zamknięto, a który, sądząc, że wybiła dlań ostatnia godzina, gotował się już na śmierć.

Po krótkiej rozmowie, bo na dłuższą w zamęcie tym czasu nie było, Brochocki puścił go do obozu, dawszy dla bezpieczeństwa jednego z towarzyszków, który już dobrze zaopatrzony, bo był dopadł jakichś ładownych kufrów krzyżackich, do namiotu rad powracał.

Tymczasem i część rycerstwa rozjuszona i czeladź obozowa plądrowały jeszcze po mieście, a jak wprzódy grobla i gościniec pełne były tych, co zdobywać chcieli, tak teraz wozy i ludzie, i konie obciążone zalegały groble i drogi. Pędzono powiązanych sznurami jeńców, mężczyzn, kobiety, knechtów krzyżackich, niemieckich osadników i wrzawa pomiędzy zamkiem a obozowiskiem nie ustawała, choć noc już nadchodziła.

Wśród tego plądrowania, czy z umysłu, czy wypadkiem zarzucony ogień padł na składy siana i pa-

szy pod zamkiem i w jednej chwili buchnął płomień ogromny, szerząc się na wszystkie strony. Zdobywcy, z czym kto mógł, uciekać musieli, bo w ścieśnionej miejscinie, ogień po suszy i upale z przerażającą szerzył się szybkością.

Z obozu już widać było tylko czarne grube mury, w łóżysku ognistym stojące, przez których okna i otwory buchały płomienie, szukając pastwy.

Ogromne kłęby krwawego dymu wylały się nad niebezpiecznym gniazdem. Spadały dachy, ogień wyskakiwał z wież, waliły się sklepienia i po chwilowym przygaśnięciu znowu podnosiły się ognie, żrąc, co jeszcze do strawienia znalazły.

Przez całą tę noc przyświecała luna pożarna obozowi Jagielly i przez całą noc niemal nikt nie zasnął. Targowica stała się ze spokojnego taboru, w którym nikt nie mógł utrzymać porządku. Wieziono, niesiono, dzielono łupy, a wśród namiotów resztką niewolnika, bo więcej padło na miejscu przy pierwszej napaści, niż ocalało życie, jęczała, na ziemi leżąc, nie wiedząc, jakie ją losy czekały.

Towarzysz ks. Jana, ocalonego przez Brochockiego, zaprowadził go do swoich namiotów, gdzieby starzec mógł spocząć. Dano mu się czym orzeźwić, lecz nie nawykły do podobnych widoków starzec, z oczyma, wlepionymi w płonące miasteczko, siedział jak osłupiały. Nie o sobie myślał, tylko o losie ludu tego i o marnym życiu człowieka, przeszedłszy po stosach trupów, które zawały podwórza i bramy.

Z północy dopiero powrócił Brochocki uznojoną, okrwawioną, opaloną, bo i bił się, i ratował, i ład chciał utrzymać, gdzie już żadnej starszyny nie znano. Rzucił się na posłanie, które mu czeladź wcześniej przygotowała; odpiąwszy zbroję, leżał jak kłoda ze znużenia. Dopiero ksiądz zobaczywszy, który posła-

nia nie miał, i przypomniawszy, kto był, począł wołać na sługi, aby mu podle niego rzucili słomy i ko-bierzec dla spoczynku.

— Gdzież się to wybrał tak bezbronny pod te ciężkie czasy, gdy nam i z bronią niebardzo tu bezpiecznie? — począł pytać, leżąc, Brochocki.

— Nie po dobrej woli, ale z musu — odparł ks. Jan.

— To się rozumie, bo dla ciekawości niktby pono tego się nie podjął — rzekł pan Andrzej — choćby jak baba ciekaw był nowych rzeczy. I skądże to Pan Bóg prowadzi?

— Od księżnej Aleksandry Ziemowitowej jechałem, gdzie siostrę zostawił — mówił dalej ksiądz. — Uwierzyć trudno, co mnie prowadziło. Płochę dziecko nam uciekło, którego szukając, puściłem się za obozem.

— Jakie? co? — spytał, powstając, Brochocki z ciekawionym.

— Wstyd powiedzieć, ciężko się przyznać — cicho począł duchowny znowu — ale w miłości pocziwie i pobożnie z oczów patrzy, winienem mu życie, tać nie nie będę. Jestem Ślązak, król Jagiello mnie zna, bom swojego czasu pisarzował przy nim, około listów będąc używanym. Widziałem go oto i teraz, gdy na wojnę szedł, i dobry pan poznał starego sługę... Ale jam duchowny i sługa Boży, a dziś jeno o zbawieniu myślę, rzeczami ziemskimi mało się zajmuję. Siostrę miałem w Toruniu na krzyżackim chlebie wyrosłą. Dostałem się do niej, a z nią i siostrzenicą potem zjechaliśmy na dwór księżnej Aleksandry. Ta to siostrzenica nam zbiegła! — westchnął ks. Jan. — Dziewczyna z głową zapaloną, z nienawiścią w sercu do wszystkiego co niekrzyżackie i co zakonowi nie służy. Po co szła? nie wiem, a że pewnie nie z dobrymi za-

miarami dla króla... nie wątpię. Szaloną ratować chcia-lem, jeśli ratunek jeszcze możliwy...

— Dziewczyna? — podchwycił Brochocki — a z kimże, jak i kiedy od matki uciekła?

Ksiądz dnie rachować począł.

— Jakże wyglądała? — spytał pan Andrzej.

Opisał ją staruszek, o ile umiał i mógł, a gospodarz porwał się z pościeli.

— Osobliwy traf! — zawołał — bo do mnie się tu był przybłąkał chłopiec, bardzo do dziewczyny podobny, właśnie w tej samej dacie. Nie wiecie, jakie konie zabrał z sobą?

— Owszem, mówiono mi, że pod starym sługą, którego z sobą uprowadził, był bułany.

— To ją mamy! — klaskając w dłonie, począł Brochocki, śmiejąc się. — Prawdziwa łaska Boża, że w czas się to odkryło. Dziewczyna nazwała się Teodorkiem z Zaboru.

— A bośmy my z Zaboru — pochwycił ksiądz — to ona! nie ma wątpliwości: gdzie się znajduje?

— Wprosiła się między pacholęta królewskie — rzekł Brochocki.

— Na miłość Bożą, chwili do stracenia nie ma; jeśli do króla się dostała, gotowa na wszystko i choć Bóg strzeże pomazańca swego — zawołał, powstając, ks. Jan — idźmy, zapobieżmy, pochwycić ją potrzeba.

— Nie ma się tam tak dalece czego lękać — rzekł Brochocki. — Choćby ochotę miała popełnić co, pilna tam straż około osoby pańskiej. Więc choćby jutro, zawsze czas. Dziś noc, mój ojeze, a ja ledwie w sobie tehu odrobinę czuję, takim się u Dąbrowna shasał.

— Więc pójdę sam do namiotów królewskich, wskażcie mi drogę! — zawołał ksiądz, składając ręce.

— Was nie dopuszczą strażę po nocy, ani nawet do płotu, który pański tabor otacza. Daremna to rzecz.

króla też na żaden sposób straszyć się nie godzi, bo ma i tak dosyć na głowie.

Ksiądz się wyrwał, Brochocki, choć niechętnie, wdział kubrak i czapeczkę, aby z nim iść. Miecza już nawet nie przypasując, obuszek tylko chwycił, aby całkiem bezbronnym nie być, i wyszli z namiotu.

Noc już była ciemna, na północy w ławie chmur strasznie błyskało, w prawo płonęło jeszcze Dąbrowno, a księżyc się z chmur dobywał.

W obozie gwaro i huczno i tłumno, jak za dnia było... trudno się przecisnąć.

Wozy i łupy wszędzie przejeżdżały, a do królewskich namiotów był też drogi spory kawał. Dobili się do nich wreszcie, choć Brochocki nieraz obuszkami sobie drogę musiał torować. Około plotu i wozów, które zwykle otaczały nadworne namioty, trzeba było stanąć. Marszałka Zbigniewa mały namiotek stał u wnijscia, a on sam, w koszuli przed nim, bo tylko co był z konia zszedł, naupędzawszy się za tymi, co z Dąbrowna się jeszcze wlekli i po drodze dokazywali z jeńcami.

— Co w. mość tu robisz? — zapytał marszałek Brochockiego — pewnie ze skargą jaką; ale ja nie już dziś poradzić nie mogę: rycerstwo wzięło na kiel i bodaj czy nie wy, miły panie, temu winniście. Byliście jednym z pierwszych?

— Nie ostatnim, to pewna — odezwał się Brochocki. — Co się stało, źle się nie stało. Krzyżakom strachu napędzim.

Spojrzał marszałek na stojącego księdza i zbliżył się prędko.

— Cóż was tu przywiodło, ks. Janie? — zawołał — wszak ci to dawniśmy znajomi.

Brochocki mu pomógł.

— Jest od kilku dni przy królu jmei chłopak, Teodor z Zaboru, który u mnie w początku w poczcie służył. Za nim to my z księdzem przyszliśmy.

— Był! był, ale go oto właśnie w czasie tej napaści na Dąbrowno nie stało. Wymknął się z drugimi bez zezwolenia i do tej pory nie powrócił. Mogło go co złego spotkać, lub się z innymi zabalamucił: dość, że go nie ma. Król go polubił, parę razy pytał o niego! posyłałem za nim... nie wiem, co się stało.

Brochocki zmilezał, spojrzał na księdza, jakby mu dawał znać, żeby nie mówić więcej.

— To się pewnie z ciekawości gdzie zatrzymało — rzekł — a no pora późna i czasby spocząć: ja księdza z sobą zabiorę. Gdyby chłopię wróciło, niech wmiłose raczy mu o nas nie wspominać. Zbiegło to od rodziny pokryjomu, będzie się obawiać strofowania.

— E! król go obroni! — rozśmiał się marszałek Zbigniew. — Chłopak zręczny, roztropny i usłużny. Bardzo nam na rękę, że zastąpił tego, co z febry jakiejś zmarł.

Ks. Jan ani mógł, ani chciał mówić więcej; tak był zmieszany i przybity, zakłopotany i nieszczęśliwy tym, że mileżeć musiał i tajemnicę w sobie chować. Iż twarz jego zmieniła się boleścią i niepokojem.

Odeszli.

Świtało zaranie, gdy dwaj jeźdźcy na koniach okrytych pianą i znużonych, wydobywszy się z lasu, ujrzeli przed sobą zamek Bratjan i pod nim leżący obóz krzyżacki.

Jeden z podróżnych, młody chłopak z rozognioną twarzą i palającymi oczyma, drugi stary i znużony, powstrzymali nieco konie, ażeby im dać odetchnąć.

W obozie, około którego chodziły i stały strażę, wszystko się spać zdawało. Weale on różnie od polskiego wyglądał. Mniejszą daleko przestrzeń zajmował i jednostajniejszy miał pozór; namioty były kosztowniejsze i lepiej pozaciągane: wszystko, tu z cudzoziemska urządzone, bogatsze, więcej ku wygodzie obmyślane było.

Dwaj jeźdźcy postawszy chwilę, posunęli się z wolna ku straży, która, na koniu drzemiąc, stała nieopodal. Podbiegł starszy prędzej nieco, prędko się z nią rozmówił, i gdy mu knecht wskazał kopią namioty pod murami, poczęli obaj jechać dalej.

Wnet też i do obozu dotarli, a choć z dala sennym się on wydawał, chyba nie od dawna zasnął. Przebywali właśnie tę część jego, w której Niemcy z Łużyc, Miśni i z Frankonii mieli swe stanowisko. Po niektórych namiotach, choć dzień szarzał, świeciło się jeszcze od nocy, bo żołnierze w nich w kości grali i pili. W jednym z większych, dla starszyny przeznaczonym, plotek u wniścia był podniesiony, na ziemi leżało kilku nierozdzielanych rycerzy w kaftanach, którzy dopiero pozasypiali. W głębi kufle gliniane i cynowe wypróznione i konwie powywracane świadczyły, czym się zabawiano do rana. Chrapanie głośnie dawało się słyszeć spod namiotu, w którym już o mroku tylko nogi leżących i porozrzucane płaszcze i rozsypaną broń widać było.

Nareszcie przeprowadzający sługa na namiot jeden wskazał i z konia zsiadł. Młodszemu rękę podać musiał, bo o swej sile zmęczony zleżeć nie mógł, a potem się zatoczył, na nogach ledwie się utrzymawszy.

Przed wskazanym namiotem wbita była chorągiew z kluczem, w polu czerwonym. Knechci pobudzeni już się snuli. Poczęto szeptać z nimi, a jeden uchylwszy plotka, do namiotu się wślizgnął.

Po chwili głowa szkaradna, trędowata, plamami okryta, wyjrzała i skryła się.

Przybyły podróżny oparłszy się o wbity pal dębowy, z oczyma zamkniętymi odpoczywać się zdawał. Nie trwało to długo, bo też sama głowa, ale z nią i cała postać podskarbiego Merheima wychyliła się z namiotu.

Zdawał się zdumiony wielce wpatrywać w młodszego przybysza, na którego twarzy malował się eichy smutek i srom.

— Ofka! — zawołał podskarbi — czy mam oczomym wierzyć?

Pacholę palec położyło na ustach i śpiesznie weszło do namiotu za podskarbim.

— Cóż się stało z tobą? Jakes się tu dostała? gdzie matka? skąd jedziesz? do czego to przebranie? byłaś w ich obozie?

Jedno po drugim począł rzucać pytania Merheim.

— Co to jest? — dodał w końcu — dlaczegoś uciekła?

— Jadę wprost z obozu Jagielly, do któremu się dostała — zawołała przebrana Ofka. — Utkwiła we mnie ostatnia rozmowa. Judytką być zapragnęłam, a zostałam pacholęciem przy królu tymczasem.

— Przy królu! — powtórzył podskarbi — ty jesteś heroina! Mów! mów... coś widziała? z czymże jedziesz?

— Ostatnia rzecz, którą widziała, to była hańba nasza i klęska! — zawołała Ofka. — Zdobyty Gilgenburg, złupiony! spalony! Krwi strumienie się lały, trupów stopy ogień pogrzebał, jeńców tysiące nabrali Merheim cofnął się przerażony.

— To być nie może! Gilgenburg! warowny, na jeziorze, obsadzony tak mocno...

— Wzięli go we dwie godziny! — zawołała Ofka. — Napadli jak szarańcza, dziś to już gruzów kupa! Woj-

oku nikt nie nakazywał szturmować: przyszło kłaść się obozem, ochotnicy pobiegli; odwolywano, nie pomogły rozkazy króla; jak szaleni leżeli na mury, padali z nich, po trupach cislali się drudzy: nie pomogły działa, wrzątek, kamienie. Wzięli gołymi rękami zamek krzyżacki! Cóż będzie, gdy inne działami i całą siłą napasć zechcą?

Podskarbi stał niemy, blady, a twarz krzywiła mu się bólem i gniewem niewysłowionym.

— Gilgenburg wzięty! Gilgenburg spalony! — mruczał po cichu.

— Porzuciłam dwór, króla, wszystko, aby przynieść wam przestrozę.

— A panowie węgierscy? a wypowiedzenie wojny Zygmunta? — przerwał Merheim — wszak mu list przynieśli?

— Tak, i za zasłoną słuchałam, co mówił Frycz — odparła Ofka — kłaniał się królowi, zareczając, że wojny nie rozpoczyna żadnej, że bać się nie ma czego, że im szło o dostanie pieniędzy dla Zygmunta, a nie o sprawę Zakonu.

— Podli zdrajcy! — krzyknął Merheim — czytaliśmy to z oczów Śeibora, nie cierpią zakonu.

— A zaciężne Czechy idą z nimi? — pytał podskarbi.

— Jak najwierniej i jak najmocniej rachują tam na nich, a Sarnowski jednym z dowódców.

Uśmiechnął się podskarbi.

— Jakież ich siły? — spytał.

— Któż je policzyć? tysiące, tysiące... ludzi bez końca, pułków bez liku, chorągwi jak gwiazd na niebie. Cma, chmura: ja nie wiem.

— Pogańska dziec! — mruczał Merheim.

— Mylicie się. — smutnie przerwała Ofka — nie wiem co w sercu ich, ale na ustach nieskończone mo-

dlitwy. Kilka dni temu całe rycerstwo szło do spowiedzi i ołtarza. Król co dzień mszy naprzód słucha. Pierwszą kaplicę rozbijają w obozie, ostatnią ją zwijają...

— Faryzeusze! — zawołał podskarbi — czynią to dlatego, by świat im pogaństwem nie rzucał w oczy. Któż temu uwierzy?

Zamyślił się głęboko.

Dziewczę znużone podróżą i opowiadaniem pobladło i musiało się oprzeć o pal namiotu. Dostrzegł to podskarbi.

— Idź — rzekł — spocznij, w zamku jest siostra Gertruda, do niej zajdź, znajdziesz ją przy infirmerii.

Ofka posłuszna powoli wysunęła się z namiotu i pieszo poszła ku zamkowi. Dzień już był biały, przysłoniła więc sobie twarz, aby snujący się knechtowie jej nie poznali. Tak dostała się przez bramę na podwórze zamkowe, obejrzała po nim i spytawszy tego, co jej towarzyszyl, o infirmerię, udała się do drzwi wskazanych.

Mieszkanie siostry Gertrudy stało jeszcze zamknięte, potrzeba było pukać do drzwi zaryglowanych, nim je otworzono. Okienko zakratowane we drzwiach odemknęło się naprzód, ukazała się w nim twarz żółta z oczami czarnymi, zaburczala coś, zobaczywszy mężczyznę i po chwili otworzono podwoje, łajac i gderząc.

Siostra Gertruda w białym habicie z półkrzyżem, stojąca przed Ofką, była kobietą lat około pięćdziesięciu, a z twarzy, ruchu i postawy podobniejszą do mężczyzny, niż do niewiasty. Twarz żółkła, pomarszczona, okryta była ciemnym włosiem rzadkim i brodawkami, w ustach coś niemilego, złośliwego, na czole zmarszczki, brwi zrosłe ciemne, jak jedna kresa nad

oczyma, czyniły ją do onych czarownic podobną o których lud w baśniach mówi.

Ofka, nie mówiąc nic, szukała oczyma, gdzieby usiąść.

— Dajcie mi gdzie spocząć, po padnę — rzekła — nie wiem, ile mil zrobiłam konno, nie jedząc nic.

— A cóż cię niosło? co? i to jeszcze przebraną bezbożnie? — gniewliwym głosem zawołała Gertruda, podsuwając jej stółek drewniany.

— Jesteście siostrą Zakonu i pytacie? A cóż innego mogło mnie prowadzić, jeśli nie jego sprawa?

Popatrzyły na siebie.

— Tyś za młoda na takie usługi! — mruknęła siostra — tobie się w głowie pali!

— Nie uczcież mnie, proszę, a przyjmijcie! — zwało zawołała dziewczę — źle czy dobrze, com zrobiła, moja rzecz, a wasza, jak przykazał podskarbi, dać mi spocząć wygodnie.

Schodki zejść trzeba było i w korytarzu drzwi szukać do izby, która jak cela klasztorna, ale czysta i świeża wyglądała. Było w niej łóżecko, stół, dzbanek, misa, a z okna widok na obóz krzyżacki, który gwarным być poczynął.

Ofka rozdziewała się co żywiej i padła na posłanie. Gertruda popatrzyła, zamknęła ją na klucz i odeszła.

Merheim śpieszył do namiotu w. mistrza, który, tylko co wdziawszy suknie, łańcuch i wszystkie oznaki swego dostojenstwa, zbierał się radę zwoływać. U namiotu stał ten sam Korbacz nieszczęsny, oparty na długim kiju i z twarzą bardzo posępną.

Po podskarbin Ulryk domyślił się złej wieści, a że tylko jakąś niedobłą odebrał, wstrząsł się i stanął, postrzegłszy go, czekając już na to, co przeczuwał.

— Co niesiecie? zle? nieprawdaż? — odezwał się głosem pełnym dumy i ironii.

— Jeszcze nie ma nic tak złego, ażeby mistrz Zakonu miał prawo narzekać. To, co się stało, musi być bodźcem tylko... Gilgenburg wzięty i spalony.

Mistrz zdawał się nie czuć doniosłości nowiny, lub jej nie rozumieć: stał, nie dając znaku po sobie.

— Mów dalej — rzekł.

— Jagiello idzie na inne zamki i pustoszy nasz kraj.

— To wiem.

— Zygmunt zdradził.

— Tegom się domyślał, pieniędzmi się kupuje zwykle tylko nowych nieprzyjaciół.

— Jedną ręką podali list wypowiedni, a drugą dłoń z zaręczeniem pokoju.

— Cóż więcej jeszcze?

— Tego dosyć, ażeby działać, aby wyjść z tej bezczynności, w której stoimy.

— Masz słuszość, panie podskarbi, — odezwał się Ulryk — nie chcieliśmy pokoju, musimy więc prowadzić wojnę...

— Nie stojąc i nie czekając.

— Idziemy dziś — odezwał się mistrz — zastąpimy mu drogę: los rozstrzygnie o przyszłości.

— Ja nie wątpię o niej! — zawołał Merheim.

— Ani ja! Z małym wyjątkiem, Zakon, jako jeden mąż, wyrzekł: wojna! Bóg mógł go tylko natchnąć. Dlatego nie boli mnie wzięcie Gilgenburga, ani zdrada Zygmunta. Zakon można znękać, ale go zabić nie potrafi nikt. Odrodziłby się w innej sukni, z innym znakiem, pod innym hasłem... z tym samym duchem. Zakon jest nieśmiertelny. My możemy paść wszyscy: on — nigdy.

— Amen — szepnął podskarbi.

— Kto przywiózł wam te wieści?

Merheim przystąpił bliżej i mówić zaczął po cichu. Czoło mistrza posepniało, nie rzekł słowa; z pewnym wstętem słuchał tajemniczego opowiadania, które mu widocznie było przykrym. Merheim mówił z zapalem: on przyjmował to zimno.

— To nie są moje sprawy — zakończył — jam wódz, jam żołnierz, nie znam innego nic. Idę, walczę, a Bóg uczyni ze mną, co zechce. Dla mnie rozstrzyga oręż.

Ulryk mówić dłużej nie chciał, chociaż Merheim zdawał się pragnąć rozmowy; wyszedł do drzwi namiotu, aby przywołać dowódców; pilno mu już było iść.

Stał, uchyliwszy zasłonę, gdy Schwelborn przypadł w jednej sukni, bez okrycia głowy, z wściekłością w twarzy, rozogniony, oszalały.

— Wiecie, co prawią po obozie? — krzyknął. — Nie zaczawszy wojny, jesteście pobici? Nie dobyliśmy miecza z pochew, a krew nasza się leje; zamki się palą, skarby nasze łupią... i my to cierpieć będziemy? my, cośmy przyjęli wojnę, a nie chcieli pokoju?

Oczy zaognione wlepił w mistrza z wyrzutem, za nim przypadli drudzy.

— Prawdaż to, co głoszą? Gilgenburg wzięty, spalony? — wołał w komtur.

— Srom i hańba! — wyrzekł inny — ponieśliśmy klęskę pod Świeciem. Kawał kraju pustką, Gilgenburg w popiołach, a my stoimy i patrzymy...

Wielki mistrz blady i poruszony stał, nie nie mówiąc; cisnęli się do namiotu komturowie i wielcy dostojnicy.

— Prowadź nas! rozkazuj! — odezwał się marszałek — inaczej w Marienburgu bronić się przyjdzie.

— Powołać radę — rzekł Ulryk.

Rozruch się stał w całym obozie, jeden mistrz zachował krew zimną i nie zdawał się wielce poruszonym.

Dwóch braci posłano po namiotach, aby zwykła wojenna rada się schodziła i prawie w tej samej chwili, kto jak stał odziany, czy na wpół ubrany, zdążył do namiotu. Na wszystkich twarzach znać było gniew, oburzenie, wściekłość; milezano wszakże, półsłówkami ulgę czyniąc zburzonym uczuciom.

Wielki podskarbi pozostał także w namiocie.

Ulryk stał zamyślony u stołu; gdy liczba zebranych była dostateczną do zagajenia, odwrócił się posępny i zamyślony.

— Wiecie wszyscy — rzekł — że Jagiello niespodzianym najściem zdobył Gilgenburg i leży obozem nad jeziorem, chcąc się posuwać dalej; nie mamy co czynić, tylko stanąć przeciw jego wojskom i stoczyć bitwę, która o losie Zakonu stanowić będzie.

— Chyba o losie Jagielly! — przerwał Schwelborn szydersko.

— Jednemu Bogu wiadomo, o czym — dodał mistrz.

— Mielizbyście zwątpić? — podchwycił marszałek.

— Nie wątpię, ale z każdą chwilą się przekonuję — mówił Jungingen — żeśmy nieprzyjaciela za lekko cenili; trzeba to wynagrodzić wysiłkiem potężnym. Od bitwy zależy nie tylko potęga, ale może być zakonu.

Głośnym śmiechem mowę tę powitało kilku komturów.

— Prowadźcie nas! idźmy! — zawołali — zobaczymy tę potęgę. To stado, nie wojsko. Jagiello stary i bezsilny, Witold nieszczerzy... lud do rabunku, nie do boju: stratumy ich pod kopytami naszych koni.

Ulryk przeszedł się dokoła stołu i rzekł głosem stanowczym:

— Natychmiast wyruszyć potrzeba, czekałem po-silków jeszcze, rachowałem na zwłokę, liczyłem na króla Zygmunta, który miał wpaść od granicy węgierskiej, na Inflanty, że wtargną na Litwę... chciałem nieprzyjaciela wciągnąć w głąb kraju, aby go zeń nie wypuścić... zmuszacie mnie, a raczej wypadki znie-walają iść i stanowczą stoczyć bitwę. Stanie się więc. Męstwo trzeba podwoić, bo siły nasze małe są i słabsi jesteśmy od Jagielly

Zaczęto mruczeć.

— Nie wedle liczby waży się żołnierz! Co znaczy liczba? siła nasza w rycerskiej wprawie i sercach!

Mistrz nie odpowiedział.

— Otrąbić do pochodu! ruszamy!

Na to hasło komturowie rzucili się ku drzwiom, niektórzy z okrzykami i po obozie rozległ się natychmiast odgłos trąb i wołanie: — Do bronii! Z hałasem ściągano namioty.

Zaciekły żołnierz jeszcze zażywał wczasu nad sto-lami i konwiami, gdy hasła się rozeszły; kto więc co pod ręką znalazł, zabierał, wypijał, chował, a czeladź śpieszyła siodłać i troczyć.

Z pośpiechem z dawna niepamiętnym zabierano się wyruszyć. Chorągwie około południa już się na bło-niach pod zamkiem ustawiać zaczęły. Chmurne i prze-ciągające obłokami okryte niebo osłaniało nieco od spieki słonecznej, ale powietrze było duszne i ciężło na piersiach ołowiem.

Zwinięto i namioty, pod którymi gości przyjmowa-no, i mistrzowski, i co tylko zabrać się dało, wozy ładowano co żywiej. Schwelborn zajadły miał ich kil-ka pełnych sznurów i pęt, odgrazając się, że je na jeńców polskich gotował.

Wspaniałym i uroczystym pochodem ruszało woj-sko krzyżackie, zamiast modlitwy, okrzykami wojen-nymi i odgrózkami brzmiąc całe.

Szła przodem wielka chorągiew zakonu, z krzyżem czarnym i złotym, na którym w tarczy złocistej wid-ny był orzeł czarny. Pod nią jechał sam wielki mistrz, najdostojniejsi panowie, dwór Ulryka i jego czeladź, zbrojna przepysznie i strojna jak do okazji, nie do walki.

Tu świeciły najpiękniejsze szmelcowane zbroje, najmisterniejsze szyszaki, najkosztowniejszy oręż, najbielsze płaszcze i najbielsze twarze. Mistrz na pier-siach miał łańcuch z relikwiarzem jerozolimskim, który był uważany jako paladium i siła zakonu.

Za nim szła mniejsza chorągiew w. mistrza, propo-rzec jego, pod którym znajdowała się szlachta pruska, najemni rycerze niemieccy i zbierana drużyna płat-na. Pierwsze szeregi błyszczały i tu zbroją i rynsztun-kiem, i ludzi doborem, ale w dalszych dojrzeć było można takich, co szli na wojnę więcej, aby jeść, niż aby się bić, i obladowani bez miary, oglądali się ra-czej na wozy, niż na chorągiew.

Chorągiew w. marszałka, z krzyżem czarnym, zło-żona była z Franków, gdyż i on sam z Frankonii po-chodził, a ludzi miał dobranych do boju; po niej szedł ze swoją Konrad książę na Oleśnicy, pod znakiem czarnego orla śląskiego, ze Ślązakami, między który-mi siła była, co lepiej po polsku, niż po niemiecku mó-wili.

Jerzy Gersdorf, Ślązak, niósł chorągiew św. Jerze-go z białym krzyżem, w polu czerwonym. Była to jedna z najprzedniejszych, pod którą się tylko ci gar-neli, co z placu nigdy nie ustępowali i znamieniowi swemu hańby uczynić nie dali. Gersdorf był między nimi jednym z najprzedniejszych, żołnierz prawy, bo

od dzieciństwa zbroi nie zdejmował i wojna była jego rzemiosłem. Chorąży ziemi chełmińskiej, Mikołaj Renysz, głowa Jaszczurczego związku, niósł chorągiew białą z czerwonym, z krzyżem czarnym i wiódł szlachtę chełmińską i mieszczańską; za nim postępowali komturowie, każdy na czele swoich, potem chorągwie biskupstw, znaki miejskie, znaki najemnych pułków z rozmaitymi godłami, naostatku czeladź, ciury i działą, wozy z kulami, prochem, żywnością, namiotami, beczkami wina i piwa, zapaśnym orężem itp. Tych liczba niemal tak była wielka jak wojska i osobny obóz stanowiła.

Z chorągwią swą wystąpił też między dostojnikami podskarbi Merheim, lecz miejsce jego zajął namiestnik, któremu ją do prowadzenia powierzył, sam pozostawszy na zamku dla spraw, które chciał dopilnować...

Z okna swej celi Ofka, przebudziwszy się po krótkim spoczynku, gdy trąby jedna po drugiej odzywać się zaczęły, postrzegła ustawiające się szeregi i zabierające do pochodu wojsko. Niespokojna poprawiła nieco swego męskiego stroju i czekała, aby jej znać dano, co czynić miała.

Ten niepokój, który ją był ogarnął na widok wojsk Jagielly w lesie, wrócił, gdy ujrzała wojska krzyżackie, które policzyć niemal mogła i zmierzyć mniejszą ich siłę. Znużona i złamana drogą, duchem czuła się znowu silną, a gniew przeciwko tym, co śmieli stawiać do boju z Zakonem, wybuchał znowu w jej sercu. Nie czuła się już jednak zdolną do posługi jakiegokolwiek, bo chwila, w której oręż miał wszystko rozstrzygać, zbliżała się. Stała jeszcze w oknie zadumana, spoglądając na odciągające chorągwie, to dumna nimi, to trwożąc się, gdy je liczyła, kiedy siostra Gertruda z posępną swą twarzą, obwiązana fartu-

chem, weszła, niosąc na misce jedzenie. Ciekawą znać była tego przebranego dziecięcia, na które patrzała z oburzeniem i zgrozą, bo, podawszy jadlo, stanęła na przeciw Ofki, jakby do rozmowy.

— Cóż? za wojskiem pociągniesz? ty, niewstydnico jakaś? — mruknęła nie mogąc się wstrzymać.

— Nie wiem, siostró Gertrudo: uczynię, co mi każą.

— A któż ci to kazał bezbożnie się tak przebierać i kryć pleć swoją? — spytała siostra.

— Musiało to być na coś potrzebne, a na pewno nie jest i nie było miłe — odparła Ofka — ale kto kocha Zakon, ten dla niego nawet cześć i sławy nie żałuje.

— Wygadana! wygadana! — zamruczała Gertruda — to niedobre też! Dziewczyna lepiej robi, gdy mileży.

Ofka spojrzała na starą i nie obrażona wcale rozśmiała się.

— Siostró Gertrudo — spytała — a wyście zawsze byli starą, czy też może kiedy młodą?

— Słuchajcie, co za żmija! — odparła siostra. — Byłam młodą i piękną jak ty, a może i piękniejszą, ale się nigdy za mężczyznę nie przebierała, bo to obraza Bożą!!

— A w którym roku życia wstąpiliście do zakonu, siostró Gertrudo? — mówiła Ofka, jedząc i figlarnie mierzając kwaśną minę siostry.

Na to pytanie nie odpowiedziawszy, zbierała się wynieść ze swym gniewem Gertruda, gdy w progu ukazał się podskarbi.

Na widok jego spokorniała bardzo siostra i, ręce złożwszy, stanęła u ściany.

— Siostró Gertrudo — rzekł — nie gorsze się wcale ubraniem tego dziewczęcia; z dobrej woli dla Zakonu poświęciła się... szanować to trzeba, a uczyn-

cie jej wyprawę na drogę, jakiej zażąda... Proszę i żywo.

Rzuciwszy okiem na Ofkę śmiejącą się, wyszła siostra co prędzej.

Podskarbi zbliżył się do niej.

— Na koń! i napowrót do obozu, do króla! — zawołał.

— Jakto? — spytała Ofka zdumiona — a jeśli mnie pytają...

— Spytają pewnie, powiesz, co chcesz... żeś się zblakala. Cóż dziwnego?

Podskarbi się obejrzał i przystąpił do stolika, z za sukni dobył kraglę bańkę złotą, którą otworzył. W środku jej była druga szklana, zamknięta korkiem złotym i osnurowana.

— Widzicie — rzekł — ten pektoralik? możecie go sobie włożyć na szyję i nosić go... stanie on w pewnym razie za sto szabel i za sto samopalców. Gdyby wam, Zakonowi... groził kto.. a bronić się było potrzeba... w obronie życia życie odebrać prawo pozwala. Rozumiecie mnie?... Jest to włoski eliksir cudowny. Kropla, do kielicha wina wpuszczona, uwalnia od nieprzyjaciela... Rozumiecie mnie... Weźcie dwóch ludzi swoich, lub innych, a wracajcie do obozu, do służby. Nie mówię więcej nic; któż przewidzieć może, co wypadnie?

Spojrzał na dziewczę, które pobladło, strwożyło się, wahało, potem rękę drobną wyciągnęło po bańkę, którą podskarbi zamknął; Ofka chwyciła sznur jedwabny, na którym zarzucona była, i szybko zarzuciła na szyję. Nie odpowiedziała ani słowa: oczy jej błysły.

Podskarbi wstrzymał się chwilę.

— Nie macie potrzeby pamiętać, kto wam to cacko dał... mogliście je znaleźć na drodze.

Oczy Ofki i jej bystre spojrzenie świadczyły, że zrozumiała.

— Jedźcie do obozu — dodał — wojsko nasze ciągnie powoli, ja także idę z chorągwią moją. Wy możecie wyminąć je i wyprzedzić. A stanie wam na drodze siły?

— Mam nadzieję! — poważnie odezwiała się Ofka, zmieniawszy głos i wyraz twarzy, jakby dumną była z posłannictwa, które na nią wkładano.

— Niech Bóg dobrym zamiarom błogosławi! — dokończył podskarbi. — Jedźcie, nie zwlekając. Kobieta będąc, zawstydziliście teraz nie jednego mężczyznę i rycerza. Zakon o waszych zasługach będzie pamiętał.

To mówiąc, wyszedł Merheim, bo w podwórzu pacholę i konie nań czekały. Tu jeszcze rozrządził wyprawą młodego żołnierza, jak go nazywał, i siadł, aby dognać swoją chorągiew. W pół godziny później, ścigana groźnymi oczyma siostry Gertrudy, Ofka dosiadła podanego konia i śmiało rzuciła się na wskazaną jej drogę, którą wojsko wyminąć miała.

Nazajutrz po zdobyciu Dąbrowna, dnia czternastego lipca, nie można było ruszyć z obozu, w którym noc ostatnia tyle zasiała nieładu. Kupami stali spędzeni jeńcy, leżały stosami łupy, ludzi wielu było rannych, innych nawołać od pogorzei i rabunku nie było podobna. Zyndram Maszkowski doniósł Jagielle, iż wojsko znowu do porządku doprowadzić trzeba, a dowódcy zajęli się zwolywaniem rozproszonych, rozdziałem żywności i zapasów, jakie się im dostały. Spalone też miasteczko, choć wygorzało prawie do szczytu, wiele w nim po lochach, sklepach i dołach zostało żywności, którą gardzić się nie godziło. Wy-

słano wozy i co wstrzemięźliwszą czeladź ze starszyzną dla zabrania z pogorzeli, co się ocalić dało.

Sam Jagiello wyszedł z dala spojrzeć na ów tłum kilkotysięczny biednych jeńców, którzy, spędzeni jak bydło, siedzieli, płacząc, na ziemi i zawodząc żałośnie. Wielu z nich żon, dzieci i ojców nie stało, których trupy leżały na pogorzeliśkach. Z boku oddzielnie widać było białe poszarpane płaszcze krzyżackie, rozbrojonych zakonników, a przy nich braci zakonnych, szlachtę okoliczną i żołnierzy.

Za poradą duchownych i z własnego natchnienia król nakazał natychmiast, aby, wydzielwszy przedniejszych jeńców, mających pozostać w niewoli, resztę mieszczan, ludu, kobiet, dzieci natychmiast odpuszczono wolno.

A że niewiast było wiele, a obawiano się od ciurów wojskowych napaści i zniewagi, otrąbiono po obozie w imieniu króla, ażeby pod gardłem nikt się nie ważył puszczonego zaczepić, zatrzymać, ani im krzywdy czynić.

Natychmiast w obecności Jana z Tarnowa i Krysztyna z Ostrowa powiazanym sznury rozerznęto, innym kazano się do gromady zebrać i iść naznaczonym szlakiem, wymijając obóz. Dla przeprowadzenia zaś dodano starszego żołnierza i dowódców kilku. Ci, co po wczorajszej rzezi życia nie byli pewni, sądząc, że w pień wycięci zostaną, z radością wielką i błogosławieństwem obóz opuszczać zaczęli. Zakonnicy krzyżacy, na boku stojący, w większej części ranni i pobici srodze, gdy do nich marszałek podjechał, choć z niedobłą wieścią, ale ze słowem ludzkim, ani głowy podnieść, ani się odezwać, ani odpowiadać chcieli. Znać było z nich, że śmierci wyglądali i woleliby ją może od sromu i niewoli.

Gdy marszałek odjeżdżał od nich, jeden z zakonników, który miał rękę przeciętą, drugą wyciągnął, pięścią grożąc, i odezwał się, goniąc za nim słowem:

— Nie ciescie się, ani triumfujcie! Kawał muru mogliście napaść i zdobyć niespodzianie, ale w polu, gdy się spotkacie z nami, będziecie musieli zapłacić sówicie za krzywdy nasze, wy i wasz król, i wszyscy, co wam do tego niecnego pomagali dzieła!!

Ani za złe można było wziąć rozżalonemu tych słów, i marszałek, do serca ich nie biorąc, odjechał. Owszem, posłano przedniejszym jadło z kuchni królewskich, które oni wyrzuciwszy, chleb suchy jedli, nie wiedzieć, skąd go dostawszy.

Zajadłych tych nieprzyjaciół wśród wojny puszczać nie godziło się, więc choć ciężarem wojsku byli, powiazanych zatrzymać musiano.

Cały dzień, jak poprzednie skwarny, upłynął na porządkowaniu, które z południa dokończono, ludzi od miasteczka ściągnięto i dopilnowano, ażeby wcześniej na swych miejscach spoczęli, a na zaraniu gotowi byli do pochodu. Dowódcy objeżdżali namioty, szalasy i stanowiska, nikomu się błakać nie dając; pogaszono ognie z wieczora i strażę czuwały, żeby się nikt wyrwać nie mógł na swą rękę do swawoli. Już nad wieczorem, gdy się to działo, w stronie północno-zachodniej nieba zaczęły się gromadzić chmury, które stały od dni kilku jakby nieruchome: zdawało się, że burza i deszcz przyjdą, aby powietrze odświeżyć.

Wszedł jednak księżyc w pełnię, i chmury za lasami, choć w nich znowu błyskało, osiadły. W obozie nastała cisza wielka i uroczysta, bo po wczorajszej walce i znużeniu żołnierz odpoczywał snem kamienym. Niewielu tylko czuwało około namiotów królewskich i na czatach u krańców obozu.

Do tych, którzy nie spali, należał też Bartosz, pleban kłobucki, kapelan Jagielly, odmawiający długo modlitwy, a później z niepokoju jakiegoś dusznego nie mogący zmrużyć oka. A że w namiotach gorąco było nieznośnie, wyszedł się przed nimi, ażeby powietrzem wolnym odetchnąć.

Księżyc już się był znacznie podniósł na niebie, po którym rozsiane, jak welna rozstrzępiona, przebiegały, a raczej płynęły obłoczki. Były one tak przezroczyste i lekkie, iż mało co blasku miesięcznego odbierały. A gdy w twarz księżycową zapatrzył się, modląc, ksiądz Bartosz i myślał, co by za przyszłość czekała to wojsko śpiące i spoczywającego króla. — obraz dziwny zjawił mu się na tarczy księżyca.

Białe obłoczki wsunęły się na nią powoli i widział pleban kłobucki, jak jeden z nich przybrał postać rycerza z królewską koroną na głowie, drugi mnicha z krzyżem, albo plamą na płaszczu czarną...

Nie wierząc oczom swym, coraz mocniej wpatrywał się w te cienie pleban, ale postacie nie znikaly; jęły się owszem za barki i zdawały walczyć i pasować z sobą, aż król ów obłoczny obalił mnicha i roztopił się owe postacie, a uleciały...

Przejęty widzeniem, ks. Bartosz modlił się w zachwyceniu jakimś, upatrując w tym wróżbę szczęśliwą, gdy w tejże chwili nadbiegł doń niedaleko stojący żołnierz, pytając, czy widział na niebie zjawisko?

Spostrzegli je i inni czuwający w obozie, a chociaż nikomu na sercu nie zbywało, dodało to otuchy, równie jak wzięcie Dąbrowna.

Już się na świt brało, gdy straż, stojące opodal w zaroślach, usłyszały tętent i wkrótce zjawili się na przeciw nich trzej jeźdźcy. Zatrzymano ich. Jeden, najmłodszy opowiadał się jako dworzanin króla, zabłąkany czasu napadu na zamek, co mu dwaj drudzy

lamanym językiem poświadczali. Wszyscy napowrót do obozu chcieli, lecz straż baczna do oboźnych i nocnej warty ich odesłała. Tu zatrzymano ich aż rozedniało nieco, a gdy z królewskiego dworu zawezwany podkomorzy poświadczył, iż młodego we dworze królewskim widział i znał go dobrze z twarzy, puszczone dopiero, aby szli się przed starszymi tłumaczyć.

Właśnie się obóz miał ruszać i zwijać, i zamieszanie z każdą chwilą rosło większe, gdy trzej jeźdźcy nadążyli do namiotów królewskich. Chmura, która noc całą stała napozór nieruchoma między zachodem a północą, podniosła się nagle i wiatr szalony ponad obozem ją przenosił. Płótna namiotów porwane nim miotaly się, szeleszcząc i rwąc sznury obalały się stojące, obalone wlokły po ziemi, tumany kurzu otaczały plac cały... rżenie koni, krzyk ludzi, wyście gwałtownego wichru zamąciły na chwilę ze snu budzący się lud. Ofka ze swymi podwładnymi podjeżdżała ku taborowi króla, gdy za cugle jej konia porwał silną ręką mężczyzna ogromnego wzrostu i pochwyciwszy ją w pól z siodła zdjął, jak piórko, stawiając drżącą i przeleklą na ziemi.

Groźnych czarnych oczów dwóje, wlepionych na nią, dały poznać dziewczynie, iż powinna się była tłumaczyć. Stał przed nią pan Brochocki. Ofka chciała mu się zrazu wyrwać, lecz dłoń jego ani drgnąć słabemu nie dała dziewczęciu

— Dokąd? skąd? — zawołał grzmiącym głosem.

— Wracam... zabląkałem się...

— Wróćisz naprzód do mnie! — rzekł Brochocki — przy królu miejsce zajęte... Ani słowa! iść i słuchać!

Ludzie, których z sobą przywiodła Ofka, popatrzyli przerażonymi oczyma na nią, na siebie i, postawszy, korzystając z zamieszania, jakie wiatr wzniecił w obo-

zie, zniknęli. Dziewczę, trzymając konia za cugle, samo za ramię ujęte przez Brochockiego, musiało iść przodem. Przecisnęli się tak wśród powywracanych namiotów i tłumu, który niesione burzą suknie łapał i chwytął. Namiot pana Andrzeja leżał też na ziemi, bo pał złamał wiatr. Około niego ujrzała z przestraszem Ofka stojącego księdza Jana.

Staruszek, ujrzawszy ją, ręce do góry, jakby Bogu dziękując, podniósł.

Na twarz dziewczęcia wystąpił rumieniec gniewu, wstydu i przerażenia. Chciała uciekać, lecz Brochocki nie puszczał jej, doprowadził aż do księdza i, śmiejąc się, postawił ją przed nim.

— Otóż jest zbieg! burza go przyniosła — zawołał.

Zbieg stał pomieszany, lecz i stryj, ks. Jan, nie mniej był odzyskaniem skłopotany, ani, nagle go ujrzawszy, wiedział, jak sobie ma począć. Nie chciał wydawać tajemnicy, aby obłąkanej wstydu nie czynić; czuł, że puszczona na wolność użyje jej pewnie na złe, lub przynajmniej do ucieczki, nie śmiał się cieszyć, nie mógł lajać.

— Mój ojeze — rzekł Brochocki, poniekąd odgadując myśli jego — w obozie są prawa i zwyczaje. Kto raz samowolnie uszedł, ten pod strażą zostać musi, dopóki się sprawa jego nie rozpozna i kara nie domierzy. Dziś nie czas ani badać, ani karać; lada chwila, żeby tylko ten szalony wichur się uśmierzył, ruszać trzeba; nieprzyjaciół niedaleko: co tu z nim robić?

Obrócił się do Ofki.

— Trochę mnie znacie, ale może nie spełna: człowiek jestem takiego serca, jak ręki. Oboje żelazne.

W pochodzie rodzonego brata nie pożałuję, a nieposłusznemu łeb utnę: rozumiecie mnie?

— Tnijcie! — zawołała Ofka — a żywo.

To mówiąc, przechyliła głowę i nastawiła szyję białą. Brochocki i ks. Jan spojrzeli po sobie, mówiąc oczyma:

— Co z tym szatanem poradzić!

— Gdzieżeś był? — zagrzębiał ogromnym głosem Brochocki.

— W lesie, zablakałem się.

— Kto ci pozwolił od dworu?

— A kogóż inni pytali, gdy szli za zamek? — zapytała Ofka.

— Toś i ty tam był?

Dziewczę zarumieniło się mocno.

— Tak jest.

— Fałsz jest! — zawołał pan Andrzej — jam tam pierwszy był i byłem ostatni, i wszystkich widziałem, co byli. Gdzieś była?

Ofka zamilkła, popatrzyła w oczy panu Brochockiemu.

— Wasza miłość wiecie od mojego stryja, kto jestem. W oczach jego jam winna. Tnijcie mi głowę, mówić nie będę, bo nie chcę.

Do innych trosk z dziewczęciem przybywała i ta, ażeby się król o całej sprawie nie dowiedział i nie tłumaczył jej sobie czarami jakimi, co by mu fransunku w przede dniu walki co chwila spodziewanej dodało.

— Licho ją tu w tę złą godzinę przyniosło — odezwał się sam do siebie Brochocki — złapał żołnierz Tatarzyna, a Tatarzyn za łeb trzyma.

Ks. Jan stał milczący, on mniej jeszcze wiedział, co miał czynić ze zbiegiem. Mierzył oczyma dziewczę.

które, zrozumiałwszy, że o nią byli w kłopotcie, odzyskiwało odwagę i przytomność.

Stała, wpatrując się w księdza na przemian i w pana Andrzeja. Ostatni straszniejszym się jej nierównie wydawał. Znać było z nasepionych rysów jego twarzy, iżby się na wiele ważył, gdyby litości nad księdzem nie miał.

— Gdybym wierzyć mógł słowu, kazałbym ci za sobą i z poczem moim iść, ale cię wolną z oczu spuścić nie można.

— Każcie spętać! — odezwiała się dziewczyna zachwale.

— Dałbym cię między krzyżackich jeńców, gdyby mi cię żal nie było do tej halastry mieszać — zawołał Brochocki.

— Chętnie pójdę z tą halastrą! — zawołała Ofka.

— A ja także do nich mogę się schronić — głową dając znak potakujący, rzekł ks. Jan. — Najwłaściwsze tam dla nas miejsce.

Brochocki więc, czasu nie mając do stracenia, bo się ludzie szykowali, a Witoldowe prawe skrzydło dawno już było ruszyło, zawołał na czeladź i kazał Ofkę z księdzem odprawić do jeńców, z poleceniem temu, co ich wiódł, aby na nią mieli oko.

Dziewczę, szydersko się uśmiechnawszy, milczące poszło za przeprowadzającymi; ks. Jan dążył za nią. Obóz cały był w ruchu. Wiatr gwałtowny nie ustawał. Nadbiegający dworscy dali znać, że król koniecznie mszy św. chciał słuchać przed ruszeniem, a kapliczny namiot, od wiatru obalony, ustawić się nie dawał: ani pale, ani sznury nie mogły go w miejscu utrzymać.

Jagiello stał przy swoim, Witold wreszcie, nadbiegłszy, radził, by czasu nie tracąc, posunąć się dalej, a na wypoczynku, gdy wicher, nieco przepędziwszy obłoki,

ustanie, nabożeństwo odprawić. Niechętnie zgodził się na to król i trąby po raz trzeci odezwały się do pochodu.

Wśród szumiącej więc suchej burzy, obłoki żeglujące mając nad głowami, ruszyły się zastępy ze śpiewem pobożnym z obozowiska, z myślą wesołą, z przecuciem jakimś powodzenia.

Wszyscy tego dnia mieli nadzieję widzenia nieprzyjaciela, o którym w bliskości wiedziano, nikt się jednak starcia nie spodziewał.

Dwie długie mile, zaroślami i polami sunęły się chorągwie, aż ku wsi Rudzie i Grunwaldowi, gdzie wśród gąszczów i gajów, gdy wiatr znacznie był zwolniał, zatrzymać się kazano.

Wojsko rozkładało się u stóp pagórka nad jeziorem Lubnem, a na wierzchołku jego śpiesznie rozbijano namiot kapliczny. Ks. Bartosz ubierał się do mszy św., dwór czekał na nabożeństwo, król się go domagał. Słońce zaczynało znowu przeziierać z za rozbitych obłoków. W chwili, gdy Jagiello, z konia zsiadłszy, pieszo zmierzał ku namiotowi, wielkim pędem nadbiegł zziąjany Hanko, szlachcic z pod Chelma, Ostojczyk. Z twarzy mu patrzyło, że wieść niesie: król stanął, czekając.

— Z czym idziesz? — zawołano — co się stało?

— Krzyżacy tuż! stoją już o kilkanaście kroków od obozu, pod wsią Grunwaldem.

— A ileż ich tam jest? — spytał Jagiello.

— Nie widziałem więcej nad jedną chorągiew — rzekł Hanko — bom z doniesieniem śpieszył, najjaśniejszy panie!

Za Hankiem ujrzano w pędzie lecącego Dersława Włostowskiego Okszę.

— A wielu ich tam? — powtórzył król, zwracając się ku niemu.

— Jam widział dwie chorągwie!

Na tym wszakże nie było końca, ujrzano trzeciego, który zwiastował pięć chorągwi, czwarty więcej jeszcze, inni wreszcie powiadali, że cała siła krzyżaków w szyku bojowym stoi gotowa do walki!

Jagiello wysłuchał ich, przeżegnał się i wszedł do kaplicy. Ks. Bartosz stał właśnie u ołtarza i msza święta się rozpoczęła.

Krzyżacy byli już o kilkoro staj od obozu polskiego, gdy ich strażę postrzegły... i Hanko pobiegł do króla. W mgnieniu oka rozeszła się wieść po całym wojsku. Nieprzyjaciół tuż! i w mgnieniu oka zaczął się lud, choć nie wolano jeszcze, do boju szykować. Czeladź, powłaziwszy na drzewa, które na polu stały, mogła z nich dojrzeć lepiej nie tylko szyszaków i proporców, z za krzaków i zarośli wyglądających, ale całych zbroi, szyków i taboru, który stał pod wsią Grunwaldem.

Litewskie wojsko na prawym skrzydle sam Witold natychmiast sprawił, nie czekając rozkazów i kazał mu się nieco naprzód dla wygodniejszego posunąć stanowiska. Zyndram Maszkowski biegł do swoich chorągwi. Jedni, co byli zbroje dla skwaru poodpinali, drudzy, co je wieźli i nieśli, poczęli co żywiej okrywać się nimi. Wiele kopij było na wozach, więc i po te śpieszył, kto w Boga wierzył, bo serce wielkie mieli wszyscy do spotkania z Niemcami, a ochotę i niecierpliwość niezmierną.

Dziwnym cudem, wśród pośpiechu tego, zamieszanie się nie wznieciło, a nieprzyjaciół, który wcześniej na stanowisko przyszedł i dawniej był w gotowości, gdyby naówczas na nieprzygotowanych i na niewiedzących prawie o nim uderzył, niewątpliwieby był zadał klęskę.

Ale w obozie krzyżackim cicho było: nieruchome szeregi czekały. Jagiellowe zaś wojska, choć bardzo szybko pod wzniesione chorągwie gromadzić się zaczęły, nie miały rozkazu do poruszenia się naprzód.

Król, wszedłszy do kaplicy, spokojnie słuchał mszy świętej, którą ksiądz Bartosz odprawiał z wielką gorącością ducha. Dwóch dworzan króla zbrojnych do mszy służyło. W głębi namiotu stali pisarze, duchowni i kilku starszyny, nieodstępujących króla: reszta przebiegała szeregi i leniwych nagliła do pośpiechu.

Na twarzy króla nie widać było nie oprócz powagi, jaką wyrażała chwila, którą wszyscy czuli stanowczą; blady był nieco, czoło miał zasepione, ręce złożył i gorąco zdawał się modlić duchem, choć usta jego się nie poruszały.

Przy podniesieniu upadł król na kolana i głową dotknął aż do ziemi. Właśnie kielich ksiądz do góry uniósłszy, trzymał go w rękach, gdy Witold wpadł w chrześzczącej zbroi i zbliżył się ku Jagielle.

— Bracie! — zawołał — czas wielki! wychodź! Należy radzić, trzeba uderzyć: jeśli im damy pierwszym pocać, biada nam, zgineliśmy.

— Daj mi się modlić — odparł Jagiello. — Bogu dnia pierwociny należą.

Witold, postawszy chwilę, wybiegł zniecierpliwiony. Przed namiotem stała cała rada wojenna, oprócz Zyndrama.

— Na miłość Boga! — zawołał Szafraniec — a jużby dość było nabożeństwa. Czas płaci, czas traci! Króla gwałtemby wyciągnąć z kaplicy, bo jest o czym innym myśleć. Lada chwila uderzyć mogą.

— Król nie odejdzie z kaplicy, dopóki mszy nie wysłucha. — zawołał Witold — żadna go siła nie weźmie: to darmo.

Ruszył ramionami Szafraniec.

— Tak samo, jak teraz z modlitwą, będzie z bitwą — przerwał Zbigniew z Brzezia — myślimy, aby się król nie naraził. Obstawić go należy i nie puszczać, bo go potem utrzymać będzie trudno, gdy raz się do boju puści, a nie jego rzecz bić się, tylko rozkazywać.

— Tak, głowy strzec należy — zawołał podkanclerzy — wszystko przewidzieć. Któż wie, jak bitwa wypadnie?

— Po ludzku, co rozum dyktował, uczyniło się. — mówił marszałek — rozstawione są po drodze poczty i konie, na wypadek nieszczęścia, aby choć król cało wyszedł, póki my piersiami zasłaniać go będziemy.

— Ja już dłużej pozostać tu nie mogę! — zawołał Witold, bijąc zbrojną ręką po żelazie, w które się cały odział — ja muszę śpieszyć do moich.

To mówiąc, wszedł powtórnie do kaplicy. Msza święta, którą kapelan zwolna odprawiał, jeszcze się nie kończyła. Nadchodziła komunია. Jagiello pochylony bił się w piersi. Witold szepnął mu:

— Bracie! gore! wojsko potrzebuje widzieć cię: śpiesz!

— Nie odejdę bez krzyża i błogosławieństwa — mruknął Jagiello niecierpliwie. — Czyńcie, co chcecie, władzęm zdał...

— Ależ to książowska rzecz się modlić! — zawołał Witold.

— I królewska — dodał Jagiello spokojnie.

Zrozpaczony niemal wyrwał się Witold z kaplicy. Chorągwie widać było ustawiające się do boju. Z poza krzaków gwałtowny wicher, który nie ustawał i niósł w oczy Krzyżakom pył i piasek z pod koni, powiewał silnie proporcami nieprzyjaciela, które z za zielonych gąszczy przeglądały.

Szmer, jak mruczenie strumienia, słychać było w szeregach zakonników: odmawiano modlitwę przed bojem. Całym chórem odzywały się niekiedy zakonnym trybem wygłaszane **Responsoria**.

Ze strony polskiej jeszcze się nie odezwała Bogarodzica, wojsko w milczeniu czekało na wodza, ten i ów modlił się po cichu. Wódz modlił się też, leżąc pochylony na ziemi.

Witold wziął za ramię Zyndrama Maszkowskiego.

— Mieczniku, chodź ze mną; Janie hrabio z Tarnowa, idźcie proszę: razem może więcej u króla zyszcemy. Mnie nie słucha, przypisując mi krew za gorącą.

Weszli wszyscy po trzeci raz do kaplicy. Ksiądz składał dopiero naczynia ofiarne, nie wyrzekł jeszcze: „Idźcie ofiara spełniona“, nie odczytał Ewangelii ostatniej. Jagiello klęczał pochylony i zatopiony w modlitwie.

Jan z Tarnowa zbliżył się do ucha jego.

— N. panie, wszyscy was błagają, pośpieszcie stanąć na czele naszym. Krzyżacy już gotowi, a nie godzi się, by uderzyli pierwsi.

— Nie godzi mi się bardziej jeszcze odejść bez błogosławieństwa — odpowiedział król — Nie pójdę, nie pójdę!

Zdawało się, że ks. Bartosz jakby naumyślnie powoli bardzo mszę czytał, powoli wymawiał słowo każde, obracał się zwolna, zamyślał i stawał, modląc duchem. Jagiello też schylony bił się w piersi i jęczał, jakby z grzechów spowiadał, choć tegoż rana spowiedź już odbywał.

Naostatek wstał król.

Dworcy już przygotowaną trzymali zbroję. Pośpny, jak zawsze, ale dziwnie spokojny, postępował z kaplicy ku krzakom, w których mu siedzenie naprędce zgotowano, dla uzbrojenia. Miał król na sobie

kaftan i spodnie suknie, ino blach brakło. Pacholeta rzuciły się natychmiast rzemyki i sprzączki opinać.

Zbroję na ten dzień przygotowano lekką, ale z najprzedniejszej stali i pozłocistą. W pośrodku jej świecił krzyż. Napierśniki, nagolenniki, naramienniki, wszystko było jednakie, roboty przedziwnej i piękne, gdyż rycerz do boju iść musi jako na uroczystość największą, a tam, gdzie się święci krew i życie za sprawę Bogu miłą, sercu drogą, obchodzi każdy dzień swojego kapłaństwa, dzień ofiary, do której przystępuje w białej szacie.

Wszystko też, co otaczało króla, błyszczało, wdziawszy najdroższe ryszunki. Na tarczach widać było stare rodowe znamiona: Topor, Leliwę, Podkowy Jastrzębców, Gryfy Jaxów, Nalecze krwawe, Różę, Strzały i Lemieszę. Tak samo na hełmach unosiły się dlatego, by widne były zdala żołnierstwu godła herbowe: Kanie Jastrzębców, Pióra, Trąby, Gryfy. Niektóre z nich złożone polyskiwały świetnie, inne czarnym okryte szmelcem, inne barwami różnymi malowane służyły za chorągwie i jak chorągwi strzec ich musiano.

Błyszczały na niektórych pasy rycerskie, inni jeszcze na nie zarabiać dopiero musieli. Na zbrojach co kto miał droższego zawiesił: relikwiarz, obraz, łańcuch, krzyż, bo się nikt dla bezpieczeństwa z dostojnością nie tail, ale owszem, jak najświetniej pragnął wystąpić. Niektórzy poodziewali się w stare żelazne siatki od stóp do głów i pobrali lekkie tarcze, aby lżej im było harcować z nieprzyjacielem; inni konie nawet mieli zbrojami poosłaniane, bo konia każdy strzegł jak siebie.

Szły więc rumaki w stalowych okryciach i nalebkach, a chrapały, ból czując, bo koń żołnierski zapalał

sie, jak on, do bitwy i nieraz nieprzyjacielskiego gryzł, gdy dopadł.

Zbroi różnych tyle niemal było, co ludzi, każdy się odziewał, jak chciał i mógł, sam o swe bezpieczeństwo dbając i kopii sobie a drzewca lekkiego i mocnego dobierał. Niektórzy mieli łuki na plecach i strzały, inni po obu stronach siodła miecze proste i krzywe. Tarcze były płaskie i dziobate, żelazne i skórzane od nich nie gorsze.

Dla króla kilkoro stało koni gotowych. Szyszaka jeszcze nie kładnąc, siadł Jagiello, nie patrząc, na pierwszego, co się nastreczył, i jechał.

Witolda już utrzymać nie było można, bo konie zmieniac, nieustannie szyki przebiegał.

Jemu i wielu innym zdało się wszystko straconym, wojsku jeszcze nie otrąbiono hasła, król zwlóczył i lada chwilę Krzyżacy uderzyć mogli; Jagiello tymczasem na wzgórze jechał, skąd cały obszar przez oba wojska zajęty widać było dość dobrze. W prawo sterzały nad gaszczami różnobarwne chorągiewki litewskie i ruskie, które najwięcej naprzód wysunięte były.

Po twarzach panów rady i Zyndrama Maszkowskiego znać było, jak boleli nad zwłoką; lecz Jagielly nieczym do pośpiechu sklonić nie było podobna. Jechał zwolna i jakby z obojętnością, pewny zwycięstwa, czasu nie mierząc wcale. Coraz obijały mu się o uszy nagłące prośby dowódców: zdawał się ich nie słyszeć.

Gdy się to działo, chorągiew, z trzechset Czechów najemnych złożona, ku tyłowi posunięta stała. Tu właśnie za nią jeńcy krzyżacy trzymani byli pod strażą, między którymi Brochocki Ofkę kazał umieścić, a za nią ks. Jan poszedł. Że dziewczęciu dodano dla straży starego żołnierza, który pod Dąbrownem rękę miał kamieniem z murów puszczonym zgniecioną, ks. Jan, który ani mógł, ani chciał teraz czynić

jej wyrzutów, spoglądając z dala na szykujące się wojsko, gorąco począł się modlić. Oczy jego od tego widoku przygotowań do walki oderwać się nie mogły. W całym obozie zdawał się jeden duch panować: rwał się żołnierz, szarpały niecierpliwie konie, a wiatr, dmący z tyłu, chorągiewami naprzód miotał, jakby nimi drogę pochodu wskazywał.

Trębacze królewscy stali gotowi, przy ustach trzymając trąby swe, a znaku nie dawano.

Z obozu też krzyżackiego nie słychać nie było, oprócz chrzęstu zbroie i rżenia koni.

Stary żołnierz z ręką przewiazaną, który miał Ofkę pilnować, nie mogąc iść z drugimi, duszą przynajmniej był z nimi. Gorzały mu oczy, otworzył usta i spiąwszy się na osmoloną kłodę, starał się dojrzeć swej chorągwi, którą musiał opuścić.

Nie bardzo się troskał o chłopaka oddanego w dozor, bo wiedział dobrze, iż takiej chwili ujść nie może. Ofka, korzystając z tego, dawno się rozglądawszy już, gdzie stali, najrzała Czechów, których chorągiew tuż prawie czekała. Wiedziała ona, że między nimi byli tacy, co przyrzekli, iż bić się nie będą. W sercu jej ta potęga nieprzyjaciela, której widziała i czuła przewagę, obudzała gniew, który łzami tryskał z oczów. On to ją skłonił do niebezpiecznego a śmiałego kroku, który z zuchwalstwem niewieściem spełnić postanowiła.

Dowódca Czechów, nieco wysunawszy się naprzód, stał niedaleko.

Dziewczę, obejrzawszy się i spostrzegłszy, że jej nie śledzą, pomknęło ku niemu.

Z konia swego spojrział dowódca na słabe pachole z ciekawością. Twarzy mu z pod hełmu niewiele widać było.

— Hej! — zawołała Ofka — dobry będziecie mieli taniec, miłościwi panowie. O! zaprawdę! nielacna to

rzecz drugi podobny zobaczyć; po obu stronach was Czechów przynajmniej równa siła, brat z bratem walczyć będzie i brat brata zabijać! Rozkosz na to patrzeć, jak się rzezać będziecie.

— A ty skąd o tym wiesz, chude ptaszę? — zawołał Czech.

— Alboż nie widzicie, że do jeńców należę, że choć ciało moje tu, serce moje tam!

Wskazała ku krzyżakom.

— Wiem ja — dodała — i więcej jeszcze, wiem i to, żeście wzięli złoto i przyrzekli i poprzysięgli, iż się przeciwko krzyża bić nie będziecie!

Wstrząsnął się dowódca i zbroja na nim chrzęsta, zdawało się, że za miecz pochwyci. Obejrzał się dookoła, czy kto go nie słucha.

— Któż ci mówi, że my się bić będziemy? — rzekł cicho.

— A po cóż stoicie w szeregach, po co w oczach nieprzyjaciela je zwiększacie?

Zmilkła zagadnięty, głowę spuściwszy, potem popatrzał na szebioczącego chłopca.

— Skąd ty? — zapytał.

— Ze dworu wielkiego mistrza! — odparło śmiało dziewczę. — Zakon mocen i silny jest, i pomścić się potrafi. A kiedyż wam łatwiej ująć, jeśli nie w tej chwili, gdy wojsko całe w szeregu oczekuje hasła, gdy nikt was gonić nie będzie śmiały, ani mógł? Dlaczego nie korzystacie z tego. Droga wolna, idźcie precz stąd! Idźcie, jakście dali słowo.

Czech uskokzył z koniem w bok ku swoim. Ofka została w miejscu, patrzyła tylko nakazującym wzrokiem. Zdawało się, że Czesi obradowali między sobą, zebrała się ich kupka i żywo rozprawiać zaczęli. Jeden konia w tył nawracał, drugi parł naprzód. Trwało

to dobrą chwilę, gdy Ofka ujrzała, że Czesi ruszają, nie pytając nikogo, i ciągną w tył niepostrzeżeni.

Dumna tym, co się jej zdawało dziełem własnym, uskokzyła wnet na dawne miejsce.

W istocie garść ta ze trzechset ludzi złożona, wprzód jeszcze nim otrąbiono hasło, poczęła uchodzić i odbiła się na kilkaset kroków, gdy Mikołaj podkanclerzy postrzegł ją w pochodzie.

Domyślając się zdrady, podbiegł co żywiej.

— Co czynicie! co to jest? ustępujecie w chwili bitwy?

Dowódca zmieszał się.

— Żołdu nam nie wypłacono! — krzyknęli niektórzy.

— Fałsz to jest — z oburzeniem przerwał ks. Mikołaj — kłamstwo i zdrada! Wiem, że żołd z góry otrzymaliście na rękę, ale podli najemnicy cofacie się przed niebezpieczeństwem. Jeśli nie odebraliście żołdu, dlaczegoż nie żaliliście się przed królem, przed nami? a dopiero, gdy hasło dać mają do boju, zajęcie serca w tył was niosą. Idźcie — dodał podkanclerzy z gniewem — idźcie, na takim żołnierzu nie zależy nam nie; lecz jeśli was dognają, a w pień wysieką jak zdrajców, słuszny to będzie żołd za podłość waszą.

Słowy tymi wstrzymani Czesi stanęli. Niektórzy głośno krzyczeć zaczęli i na dowódcę się rzucać z mieczami dobytymi, inni chcieli go bronić. Zmieszała się chorągiew cała i zwinęła w kłęb, który za chwilę zdawał się chcieć między sobą bój rozpocząć, aż większa jej część, napowrót konie zwróciwszy, ku obozowi biec zaczęła, a kilku, co oporni byli, za większością ciągnąć musieli, choć nieradzi.

Mikołaj podkanclerzy śpieszył też do króla, choć ani jemu, ani nikomu z otaczających o Czechach mówić nie chciał. Król w otoczeniu panów poglądał jesz-

cze z góry na szyk bojowy. Na prawym skrzydle u Witolda ruch się już poczynił, w środku chorągwie, nieruchome jeszcze, czekały ostatniego hasła.

Na samym przodzie szła wielka chorągiew ziemi krakowskiej, najwspanialsza ze wszystkich i najdzielniejszym rycerstwem obsadzona, żołnierz stary, wyćwiczony, chłodny, a niezłomny. Sam wódz wszystkiego wojska ją prowadził, słoneczny pan, jak go tam zwano (bo w tarczy miał słońce złote), Zyndram z Maszkowic. Niósł znak Marcin Półkozic z Wrocinowic i tu stało czoło rycerskie, dziewięć jako jeden mężów, z którymi o pierwszeństwo nikt walczyć nie mógł: Zawisza Czarny z Garbowa, Florian Jelitezyk, Domarat Grzymała, Skarbek z Góry, Paweł Niesioła, Jan Nalecz, Staszko Sulima, Jaxa i Lis.

Chorągiew gonczą prowadził pan Andrzej z Brochocie, w której też mężowie byli dzielni i pocztu doborowe; dalej szła nadworna, także obsadzona rycerstwem najlepszym, potem świętego Jerzego z takim samym znamięm jak krzyżacka, pod którą szli Czesi, Sokół i Zbislawek ale nie ci o z pola uchodzili za nimi chorągwie ziem i rodów, bo nie było ani jednego szlacheckiego godła, co by chorągwi swej tu nie miało.

Na końcu szła zbierana drużyna zaciężnych Gniewosza z Dalewic, podstolego krakowskiego, a było ich wszystkich pięćdziesiąt sowiec osadzonych, pięćdziesiątą pierwszą wiódł Zygmunt Korybut, czterdzieści z okładem Witold z bojarami swymi.

Na samo spojrzenie linia bojowa, jak ława ludzi żelazem okutych, kopiami najeżona — groźną była i zdawała niepożytą. Na wszystkie strony, kędyś okiem rzucił, błyszczała stal, chrzęszczało żelazo, ale głosów ludzkich słyhać nie było prawie; szmer led-

wie cichy jak modlitwa, unosił ponad tym tłumem którego serce biło oczekiwaniem.

Wedle rycerskiego zwyczaju, król, który już na koniu siedział, począł młodzież wybraną na rycerzy pasować. Zbiegło się ich i napraszało wielu tego zaszczytu, gdy inni mocno byli przeciwni całemu obrzędowi, nową za sobą pociągającemu zwłokę. Nie odbywał się też jak w innych razach z ceremonią rycerską, ale z pośpiechem wielkim, tak, że ledwie król mieczem dotknąć miał czas, a było tego dosyć. Pas już opiał, kto mógł i miał, a śpieszył do szeregów, aby go ochrzcić w boju.

Wojska, chociaż się nie widziały jeszcze, bo zarosła szeregi jedne drugim zakrywały, czuły się wzajem i oczekiwanie to niecierpliwość a zajądlność mnożyło. Pod wsią Grunwaldem, gdzie Krzyżacy dalej się podsunęli, już kilku, wytrzymać nie mogąc, wybiegło na harce i skruszyli pierwsze kopie, ale ich starszyzna pohamowała, czekając, aż król sam da znak do boju. W niektórych szeregach, stojąc długo, poczęli się domagać hasła, ale ich do milczenia zmuszono. Król zdawał się ociagać. Myśli jego trudno było odgadnąć, być może, iż pragnął zaczepki dla uspokojenia sumienia, być może, iż natchnienie jakieś miał godziny i chwili.

Siedząc na koniach, podawało sobie rycerstwo żelazne dłonie, przysiegając: — umrzeć, lub zwyciężyć. Napróżne były nalegania na Jagiellę; nie odpowiadając na nie, poglądał, liczył, ważył, rozechmurzał się, zdawał ożywiać i znowu bladł i serca zdawało mu się braknąć. W istocie nie na męstwie zbywało, lecz świetnego tego rycerstwa żal mu było, jako kwiatu wybranego, który mógł paść pod kosą. Dać znak do boju było to dać wyrok śmierci na tysiące i mogła wzdrygnąć się dusza.

Wyrwające się już wreszcie z szeregów bliższych wołania o hasło, niecierpliwe i blagające ręce, które wyciągano zewsząd ku królowi, skłoniły go, że do siebie naprzód Mikołaja podkanclerzego powołał. Nie zsiadając z konia, raz jeszcze odbył spowiedź i otrzymał rozgrzeszenie.

Podprowadzono mu wierzchowca dobranego z tyśiącą na ten dzień umyślnie. Koń był dzielny, a uchodzony, cisawej maści, z niewielką dostrzeżoną lysinką na czole.

Już w siodle, król nareszcie o szyszak, który dworzani trzymał przy nim, zawołał. Złocony był cały, a srebrny ptak ze skrzydły rozpostartymi z korony nad nim się unosił. Już go w rękę trzymał król.

— Panie podkanclerzy — rzekł — zabierzcie z sobą pisarzy, duchownych, czeladź bezbronną i co jest dworu do oręża niezdatnego, a prowadźcie ich do taborów i tam na mnie czekajcie.

W istocie nalegali panowie i Witold, ażeby król, który za dziesięć tysięcy ludzi stał, do boju się nie mieszał i w obozie bezpieczny pozostał. Obawiano się go, znając, iż jak zrazu powolnym był, tak później, poczuwszy ogień w sobie, niczym się już hamować nie da. Król dla spokoju słowo dać musiał, iż na uboczu zostanie, ale tego na sobie wymóc nie pozwolił, aby, gdy rycerstwo walczyć będzie, on nie widząc nawet, zakryty i osłonięty miał stać.

Wysławszy podkanclerzego z obietnicą, iż i sam nadejdzie, wcale przyrzeczenia tego dotrzymać nie myślał.

Szyszak brał, aby go na głowę włożyć, gdy komornicy, którzy się z podkanclerzym odejść zabierali, poczęli wołać, że od krzyżaków idą posłowie. W istocie z dala już widać było dwóch heroldów, których trzeba wiodąc wyprzedzał.

Szli odziani zwyczajem wysłanników, z tarczami, jeden z godłem króla rzymskiego, orłem czarnym w polu złotym, drugi z tarczą książąt szczecińskich, gryfem na białym polu.

Każdy z nich niósł w rękę miecz obnażony, bez pochew, a że oświadczyli, iż do króla w poselstwie idą, wiedziono ich na pagórek, gdzie stał Jagiello.

Odwolano więc co rychlej Mikołaja podkanclerzego i dwór, aby ich okazalej przyjąć. Stanęli obok króla w zbrojach: Ziemowit młodszy, Jan Meżyk, Zolawa, Czech, Zbyszek z Oleśnicy, Bogufał kuchmistrz koronny, Zbigniew Czajka niosący włócznię, Morawiec z proporcem, Danilko, który strzały za królem nosił, a że Witold już koło swoich był, bez niego się obeszło.

Heroldowie niemiecką mieli butę w twarzy i znać po nich było gniew, z którym szli, pychę i jakąś pogardę. Niebardzo też niski pokłon oddawszy królowi, ten, co z cesarskim orłem niósł tarczę, począł mówić po niemiecku. Jan Meżyk, który język ten rozumiał, musiał go Jagielle tłumaczyć.

— Najjaśniejszy królu! — rzekł herold cesarski. — Wielki mistrz pruski, Ulryk, tobie i bratu twemu śle przez nas, heroldów swoich, te dwa oto miecze w pomoc do zbliżającej się walki, abyś, opatrzony w nie, żywiej wystąpił z ludem twym, nie ociągając się do boju. Nie chowajcie się w tych gajach i zaroślach, prosimy na otwarte pole.

Jeżeli w. kr. mości miejsca za szczupło dla rozpostarcia sił swoich, gotów w. mistrz ustąpić nieco, byle walkę przyspieszyć. Daje wybór miejsca, stańcie, gdzie się podoba, byle nie zwlekać bitwy.

W chwili, gdy herold to mówił, a Meżyk tłumaczył, znać umyślnie wojsko krzyżackie poruszyło się nieco

i dało wolniejsze pole na przeciw na strzał mały stojącemu.

Wprawdzie w starych obyczajach rycerskich zachodniej Europy takie przed bitwą wyzwanie na rękę bezprzykładnym nie było — i być może, że ociąganie się Jagielly powód do niego dało. Zuchwały ton, z jakim heroldowie niemal szydersko wyuczoną mowę powtórzyli, oburzył wszystkich. Królowi widomie krew uderzyła na bladą twarz, ale się rychło pohamował; inni klęli po polsku, czego Niemcy nie bardzo rozumieli, choć z miny domyślić się mogli.

Podane miecze, wyciągnawszy rękę, Jagiello ujął spokojnie, oddając je komornikowi, co stał przy nim; pokraśniała twarz zbladła i z oczów, które ku szykom obrócił, lzy się mu rzuciły obficie.

Nikogo się nie radząc, po krótkim namyśle powołał do siebie Mężyka i mówiąc począł natchniony, z powagą prawdziwie królewską.

— Dzięki Bogu, w wojsku naszym na oręzu nie zbywa, nie potrzebujemy go od nieprzyjaciela pożyczać, ale w pomoc dobrej sprawie przyjmuję w imię Boże i te dwa miecze wasze, chociaż je wrogowie lękają krwi mojej i narodu mego przysyłają.

Tu król coraz bardziej wzruszony, jakby na modlitwie, oczy w górę podniósł.

— Do tego Boga sprawiedliwego, który dumnych upokarza, do Marii Matki Jego, do patronów naszych świętych ucieknę się z prośbą i modlitwą, aby na wrogów mych tak dumnych i bezbożnych, którzy nie czym się ubłagać nie dają, ani do pokoju nakłonić, ale krew lać pragną, szarpać nasze wnętrzności i miecze tępić na karkach bliźnich, gniew swój obrócili. Ufam Bogu, że mnie i lud ten osłoni, że nie dopuści, abyśmy ulegli przemocy wroga, u którego dopraszałem się pokoju, a nawet w tej chwili na sprawiedli-

wych warunkach nie odrzuciłbym go jeszcze; jeszcze bym rękę cofnął, choć mi Pan Bóg przez was zsyła w tych mieczach dobrą wróżbę zwycięstwa. Wyboru miejsca i pola do bitwy nie żądam, ale, jak na chrześcijanina przystoi, Bogu polecam. Co Bóg naznaczy, przyjmę. Zuchwałstwo wasze on ukarze, on na tym oto polu, na którym стоимy, zetrze potęgę Zakonu i upokorzy jego dumę. Pomoże Bóg!!

Za królem ozwali się wszyscy głosem wielkim: Pomoże Bóg!!

Słowo to jak iskra piorunowa poleciało aż w szeregi i odgłosem swym obilo się o hufce krzyżackie.

„Pomoże Bóg“!

Nadzwyczajną moc ducha okazał król w całej tej chwili, nie dając się unieść ani gniewowi, ani zbyt niemu poruszeniu, ani zabobonnej obawie.

Z cierpliwością bezprzykładną obrócił się jeszcze, modląc, do podkancelerzego:

— Heroldów zdać Dziwiszowi Jelitzcykowi. Wszyscy do obozu!... Wytrąbić hasło, w Imię Boże!

To mówiąc, nałożył król, przeżegnawszy się, szyszak na skronie i gromadka dworska objęła go i otoczyła dokola.

Nie dopuścili panowie rady, aby król z którejkolwiek walczył chorągwią, choć się tego Jagiello usilnie domagał. Osobny mu orszak złożono i osobne a bezpieczne, choć nie dalekie od szeregów, wyznaczono miejsce, bo dalej się odsunąć nie dał: tego na nim wyprosić nie było można.

Na hasło pierwsze królewskiego trębacza, które powtórzyli inni po chorągwiach, długo wstrzymywane szeregi zadrżały, ruszyły się, proporce zaszeleściły

i z obu stron zarazem puściły się zastępy zbrojne w dolinę.

W owym wieku dwukroć stotysięczny zastęp, walczący z sobą, mający rozstrzygać o losach mnogich ziem i krajów, drugi raz nigdzie nie wystąpił, ani z obu stron żadne może rycerstwo takim duchem bojowym zagrzane nie było.

Gdy na całej długiej linii bojowej ruszył się lud z obu stron na koniach ciężkich, w zbrojach cały, zdawało się, że ziemia drży pod nim. Tumany kurzawy podniosły się spod kopyt, lecz silny wichur rzucił je na Krzyżaków. Chrzest zbroi, okrzyki, tysiące głosów nęcących bojową „Bogarodzie“, wystrzały z dział z obu stron zwały się w straszliwy jakiś grzmot zniszczenia.

A gdy na całej linii tej w dolinie tysiące kopij rozbiło się o tysiące zbroi i młoty żelazne uderzyły po helmach, huk i loskot rozszedł się na kilka mil w koło. Z trwogą usłyszeli go mieszkańcy po lasach i siołach. Były to dwie siły: ludzka i Boża, ścierające się z sobą, aby w potokach krwi wykwitła sprawiedliwość i pomsta nad grzesznymi.

Król i cały orszak jego patrzył osłupiały.

Zaden z szeregów nie został złamany, popadały konie, obalili się ludzie, ale ściśniony tłum na ciałach ich walczył zażarcie, z gniewem, z wściekłością niewysłowioną...

Gdy las włóczył potrzaskanych zawałił ziemię młoty i siekiery, i miecze poczęły kuć po zbrojach.

Szczęk jakby olbrzymiej kuźni, zmieszany z krzykiem bólu i triumfu, zgonu i zemsty, to wstrząsał powietrzem, to na chwilę przycichał, aby ze wzmożoną siłą się powtórzył.

Nawała Jagiellowych chorągwi, które puściły się z góry, była tak silna, że pchnęła nieco zastęp białych

rycerzy; lecz nie złamano szeregu i każdy z wojowników miał przeciwko sobie zbrojną rękę i żelazną ścianę. Konie chwyciły się za grzywy i wizgiem zwierzęcym wtórowały ludzkiemu.

Dla patrzących z dala te tysiące, które sprzęgła namiętność do śmiertelnej walki, wystawiały obraz zgrozą przerażający. Duchowni poklekali, modląc się, słabsi zamknęli oczy, by nie widzieć tego obrazu, radzi zatulić uszy, aby ryku tego nie słyszeć.

Nie byli to już wojujący ludzie. Cały ten wał ruchomy wydawał się potworem jakimś, z ciała i żelaza złożonym, wijącym się we wściekłych z sobą samym zapasach.

Tu pod oczyma króla kwiat rycerstwa stawiał czoło najprzedniejszemu z całej Europy zebranemu i dotrzymywał mu placu boju, cześć czyniąc swoim znakom.

Inaczej poszło z czterdziesto-tysięcznym wojskiem, które prowadził Witold. Szybko stanęło ono do boju, uderzyło raźnie; ale o żelazny mur i kopie krzyżackie rozbić się musiało, zachwiało i nie wytrzymało ciosu. Tu uzbrojenie było niedostateczne. Bojary i kniaziowie prowadzili lud silny, ale mało zbrojny i wcale do boju rycerskiego nie nawykły. Kopie były krótsze i słabsze, nie dościgały więc nieprzyjaciela, gdy ten już swoimi parł i gniótł piersi.

Jeszcze wojska Jagielly, nie ustępując kroku, ścigawszy się z Krzyżakami, trwały w walce mężnie, gdy główne szyki Zakonu zwróciły się ku Litwie. Wiedział Ulryk, że tu słabszy znajdzie opór. Szeregi, w których pierwszymi ustawiono najdzielniejszych i najlepiej zbrojnych, zachwiały się i cofać poczęły.

Tu więc wyteżono usiłowania, aby oskrzydlić wojsk resztę. Tatarzy, którzy w pierwszej tylko napaści są straszni, pierzchać poczęli wedle obyczaju swego, ciag-

nać za sobą pulki Witoldowe. Napróżno sam książę zastępował z tyłu pierzechającym i zmuszał ich do boju powracać; poploch, jaki się wszczął, niczym nie mógł już być pohamowany. Jeden po drugim uchodzili oddziały całe, ginęły chorągwie, złamany sztyk dawał krzyżakom przystęp, tak że Witold, zrozpaczony, sam własnych ludzi zabijał, nie mogąc ich opamiętać.

Jedni Smoleńszczanie dotrzymali placu, reszta, pociągnięta przykładem Tatarów z częścią Polaków nawet, ku lasom uciekać zaczęła, a Krzyżaków oddział znaczny, sądząc, że już otrzymali zwycięstwo, w pogon się puścił za uchodzącymi, siekąc i mordując po drodze.

Z pagórka, na którym stał Jagiello, widać było z jednej strony walkę upartą, z drugiej klęskę, mogącą za sobą pociągnąć niepowetowane straty.

Tumany kurzu, uchodzące ku lasom, znaczyły drogę rozpierzchłych pułków Witoldowych.

Chwila to była straszna, w której męstwa i nadziei nawet Jagiello, ufającemu w pomoc Bożą, zabrakło. Zakon zdawał się odnosić zwycięstwo, hufce jego z prawej strony wybiegłszy za Litwą, okalały już wojsko. Trwoga ogarnęła tych, co przy królu stali.

Pod wielką chorągwią, jak mur, stali towarzysze Zawiszy Czarnego i Zyndrama; tu było serce wszystkich; tu albo mogła podźwignąć się jeszcze nadzieja, lub zrodzić rozpacz. W chwili, gdy król i stojący przy nim zwrócili oczy na wielką chorągiew, którą niósł chorąży krakowski, Marek z Wrocimowic, pochyliła się ona, zachwiała, zwinęła i znikła. Jek dał się słyszeć w orszaku królewskim. W niewielkiej odległości, jakby triumfująca, powiewała wspaniała chorągiew mistrzowska z krzyżem czarnym i złotym.

Gdy Jagiello oczy zamknął, aby tego sromu nie widzieć, okrzyk dał się słyszeć wkrótce; otworzył je i ujrzał znowu krakowski proporzec wyprostowany nad hełmami rycerzy. Kupka ta, która stała około chorągwi, jakby chwilową jej stratą zagrzana do nowego wysiłku, rzuciła się z niepohamowaną potęgą na przeciw stojącym Krzyżakom. Przez chwilę sparły się zbroje i piersi, łamały hufce i gięły szeregi, aż białe płaszcze padać i uchodzić zaczęły. Chorągiew mistrza obalono, proporzec Jagielly ścigał już uciekających. Reszta wojsk, zagrzana przykładem, z okrzykiem cisnęła Krzyżaków tracących serca i głowy. Zwycięstwo przechylało się na stronę Jagielly.

W tej chwili właśnie ci, co ścigali uchodzącą Litwę, wracać zaczęli z jeńcami, łupem i piosnkami zwycięskimi, przychodząc na plac, gdy wojsk reszta szła w rozsypkę. Musieli więc rzucić swych więźniów i tabor, śpiesząc w pomoc braci.

Na chwilę czeskie pulki zaciężne i niemieccy goście wstrzymali pogon i przedłużyli walkę... znowu los bitwy zdawał się niepewnym.

Jagiello patrzył. Kilkakroć mecierpliwy zrywał się do boju i chciał iść z drugimi, bezczynność go męczyła; krzychał i w miejscu konia swego męcząc, ludzi rozpychając, na próżno chciał losy wojska podzielać. Dworzanie chwytały konia i zastępowali mu drogę.

Walka jeszcze zacięta trwała w dołmie, gdy szesnaste chorągwi krzyżackie, stojących z boku i nie mających udziału w bitwie, rozwinęło się nagle, i część ich, postrzegłszy orszak królewski na wzgórzu, skierowała się ku miejscu temu. Widocznem było, iż wiedzieli o Jagiello i pochwycić go chcieli.

Postrzegłszy to, król krzyknął na Zbyszka z Oleśnicy:

— Bieź po chorągiew nadworną, niech ciągną a żywo, przecież i my bezczynni nie będziemy!

Chorągiew ta stała w bliskości na rozkazy króla.

Zbyszek nadbiegł, wołając na nich, aby szli Jagiellę osłaniać, gdy przeciwko niemu wyskoczył z szeregów Mikołaj Kielbasa Nalecz, z przedniej straży, i szablę nawet nań podniósł.

— Czyś ślepy! — krzyknął doń — a toć nieprzyjaciół na nas wprost idzie, a ty chcesz, żebyśmy, walke rzuciwszy, biegli króla obraniać? Szalony! precz. A toćby była ucieczka sromotna z placu! Tego król nie może chcieć. Wracaj, skądś przyszedł, pókiś cały!

Zbyszek, który był już w pośrodek chorągwi wpadł, wypchnięty i zbijany, musiał się nazad cofać i powracać. Lecz nim się to stało, w dolinie do reszty koronne chorągwie Krzyżaków zgmiotły i z placu spędziły.

— Najjaśniejszy panie — zawołał Zbyszek, powracając — wszystkie rycerstwo zajęte bitwą, nikt już słuchać nie chce; drudzy do bliskiej walki się gotują; rozkazy dawać darmo. Do innych chorągwi nie ma co biegać, bo w zgiełku i wrzawie nikt nie posłyszysz hasła i nikt go nie posłucha. Nie mam co począć!

Król się na Zbyszkę namarszczył, lecz nie było rady; dla bezpieczeństwa zarazem, aby oczów nie ściągać, kazano mały proporzeczek, który był rozwinięty, ściągnąć i schować. Stanęli ludzie gotowi na wszystko. Straż przyboczna otoczyła króla końmi i sobą, chcąc go zakryć od oczów, bo hełm i zbroja go zdradzały, a Krzyżacy też dobrze znali Jagiellę, tak że z postawy go mogli się domyślić.

Najgorzej było z samym królem, który, nierad tej niewoli, wyrwał się zaraz, za włócznię swą chwycił, konia bódł, aby się przedrzeć przez ludzi, a im walka bliższą była, tym więcej się zrywał.

Zolawa Czech, widząc to i lada chwila czując, że im się król wyrwie i puści, pochwycił za cugle cisawego, trzymając, aż Jagiello zniecierpliwiony, rohatyny końcem go trącił.

— Puść, diable jakiś! — krzyknął — puszczaj, bo muszę iść!

I byłby im się wysliznął, gdyby razem wszyscy nie poczęli prosić i błagać, ażeby życia swego nie ważył. Książęta Ziemowit i Korybut stanęli przed koniem.

— Bij, królu, a choćbyś i zabić miał, nie puścimy cię.

Imni też powtórzyli: król, mruczając z gniewu, opamiętał się, zrazu był rękę podniósł, jakby siłą się chciał przebijać.

Gdy się to działo w kupce ze strażą przyboczną, z walczących blisko szeregów wyrwał się Niemiec, złotym pasem rycerskim opięty, w białej jubee, cały okryty zbroją, spod wielkiej chorągwi pruskiej, i puścił się na wzgórze, wprost na króla.

Siedział na dzielnym koniu bułanym, okrytym już pianą i pokrwawionym; schylił się na siodło, włócznię do boku wziął i pędził. Dopiero go nacierającego już niemal postrzeżono.

Owych szesnaście chorągwi stało nieopodal, patrząc, równie jak wojska, które bliżej były, i niebezpieczeństwo, w jakim król był, dojrawszy, boju nawet na chwilę poprzestały.

Jagiello włócznię też podniósł i stał niewzruszony naprzeciw, kazawszy swoim ustąpić, rad, że się nareszcie zmierzy z nieprzyjacielem.

Zbyszek z Oleśnicy stał właśnie z boku, ale, jako pisarz, bezbronny niemal, chwycił tylko kawał złamanego drzewca na pobojuwisku i to w rękę trzymał; ale nie mogąc dopuścić, ażeby na króla nędzny jakiś

ciura śmiał się porywać, gdy już miał kopią ugodzić Jagiellę, z boku go owym drzewcem z całych sił uderzył i zwałił z siodła. Spadła z czoła przyłbica od szysaka, gdy się staczał, a Jagiello, włócznią w samą głowę go ugodziwszy, zranił, nie chcąc dobijać.

Lecz nim miał czas zawołać, aby go życiem udarowano, straż nadbiegła i w mgnieniu oka zuchwalec na śmierć zasiękała.

Odciagnęły piesze ciury trupa, aby go na boku obedrzeć ze zbroi i odzieży.

Zbyszek stał skromnie z boku, choć królowi życie ocalił, jakby nic nie uczyniwszy, i wstydząc się swej gorącości tylko, gdy drudzy z orszaku poczęli go sławić i wynosić.

Jagiello, który go zawsze wielce lubił i od dawna przy sobie miał, odezwał się też, uśmiechając:

— Należy się wam pas rycerski, a Bóg widzi i coś więcej ode mnie, o czym nie zapomnę!

Ale Zbyszek się sklonił i rzekł:

— Najjaśniejszy panie! ja do żołnierzy chrystusowych należeć chcę, nie do tych, co za świeckich walczą panów.

— Lepszą część obrałeś sobie, — odezwał się Jagiello — ale gdziekolwiek cię znajde, pamiętać o was będę.

Zaledwie ów napastnik legł, który na króla godził, owe szesnaście chorągwi, stojących z boku, postrzegłszy klęskę swoich w dolinie i śmierć tego, który się wyrwał z szeregów, poruszyły się do odwrotu. Dowódcy, który na białym koniu siedział, począł kopią dawać znaki i wołać: *Herum! herum!*

Ze stanowiska Jagielly nie tylko widać, ale słyszeć ich było można, tak blisko już byli. Stała w prawo chorągiew wielka królewska, wracająca z boju po złamaniu nieprzyjaciela, właśnie gdy owi nacierali ku

tej stronie; a że się tu już świeżych sił krzyżackich nie spodziewano, nie poznano idących, tym bardziej, że mieli, miasto ciężkich kopij, którymi wszyscy prawie Niemcy byli zbrojni, lekkie włócznie do rzutu, *sulice* takie, jakie nosili Litwini.

Wzięto ich więc za Litwę i wahano się, czy uderzyć.

Niemcy! — wołali jedni.

Litwa — zaręczali drudzy.

Poczynano się spierać, a tymczasem stali wszyscy, dopuszczając ich coraz bliżej. Dopiero Dobiesław z Oleśnicy, aby mitręgi nie było, kopię przyparłszy do boku, puścił się ku nim sam jeden.

Widok był prawdziwie rycerskiego popisu, gdy Dobek z takim sercem na hare wystąpił.

Był ledwie w pół drogi, a tuż z szeregów niemieckich jeden z dowódców puścił się, konia spiąwszy, przeciwko niemu i lekką swą włócznią podbiwszy mu kopię, przez głowę ją przerzucił. Gdyby nie to, cięższa ale dłuższa Dobkowa włócznia byłaby krzyżakowi w szyszak trafiła: szczęściem głowy uchylił.

Kopię straciwszy, Dobiesław musiał sam przeciw kilkuset za słabym będąc, konia zawrócić i do swoich biec nazad. Gonil go jeszcze Krzyżak, póki konia kopią nie uderzył i nie okrwawil, po czym do swoich się cofnął. Nie było już wątpliwości, kogo przeciw sobie miały polskie chorągwie, ruszyły więc, choć znużone, na świeżych z okrzykiem i ochotą.

Pod oczyma królewskimi powtórzyła się bitwa raz jeszcze, równie zawzięta i krwawa. Stały zrazu jak mur chorągwie nie napoczęte i świeże, długo cisnęły je i parli, póki złamać zdołali, Zawisza, Maszkowski i przednie owo rycerstwo. Nie dostał i ten ostatni, sztyk, a wszyscy niemal nie chcąc uchodzić, walcząc do tchu ostatka, jak stali w miejscu, pozabijając się

dali. Zmniejszał się ten hufiec, malal, rosła kupa trupów pod nogami, w ostatku i ci, co najmężniej walczyli z rozpaczą, padli.

Reszta chorągwi, które się były rozpierzchy, uciekla w lasy i na pobojuwisku zostali tylko jęczący ranni i ci, co już nigdy powstać nie mieli. To pole, z rana jeszcze świeżym i męznym ludem zarosłe, przedstawiało jak najokropniejszy widok zniszczenia, jaki oko ludzkie i serce mógł dotknąć. Pomimo okrzyków dogorywających rycerzy i zwycięzców, ciszą nazwać było można tę chwilę po rannym grzmocie i huku.

Z wyżyny, na której stał król, obraz ten triumfem się wydawał; w dolinę zszedłszy, okropnością był i zgroza.

Nikt jeszcze rozmiarów odniesionego triumfu rozliczyć nie umiał, otrzymano plac, zmuszono wroga do ucieczki, lecz zwycięstwo nie wydawało się zrazu tak zupełne, tak stanowcze, jak się później okazało. Jagiello Bogu dziękował, coraz się o czymś dowiadując nowym a niespodzianym.

Kopidlowski Drio przyprowadził Jagiellę owego Jerzego Gersdorfa, który chorągiew św. Jerzego krzyżacką, we czterdziestu z nią zostawszy, oddał, rzuciwszy się na kolana przed nim, o życie prosząc. Czech Jost z Saleu przywiódł pojmanego Konrada, księcia oleśnickiego; Skarbek — księcia Kazimierza szczecińskiego. Co chwila ciągniono kogoś, a tłum wielki w obozie i wozach pruskich plądrował, zabierając łup niezmierny.

Ks. Jan, przez cały czas owej utarczki modłać się z podniesionymi rękami, jak arcykapłan, ze łzami do Boga wołał, aby zwycięstwo dał dobrej sprawie; wreszcie znużony samym widokiem tym, padł, jako stał, na ziemię bezsilny i niemal bezprzytomny.

Ani mógł na powierzoną mu Ofkę zważać, ni też.

by ją powstrzymał, gdy po odejściu Czechów do jeńców krzyżackich spod Dąbrowna pobięła.

Stary żołnierz, co nad nią miał dozór, wpatrzywszy się w pobojuwisko, tak się walką tą, którą przed oczyma miał, przejął i rozgorączkował, że choć ranny, do najbliższej uszedł chorągwi, w miejscu nie mogąc ustać. Pod koniec zwłaszcza tych zapasów śmiertelnych wszystkich opanowała owa wściekłość bojowa, dla której człek w końcu o sobie, o życiu i o wszystkim zapomina.

Ciury i czeladź bezbronna z kijami i drągami, bez mieczów i zbroi, cisnęła się na plac i napadła rycerzy niemieckich, których już męstwo i duch był odbiegł, z jakim rano występowali.

I jako króla samego Jagiellę, ledwie drogę mu zaparłszy, wstrzymać mogli dworzanie jego i bratanekowie, tak innych nie powściągnęło nic od udziału w bitwie.

Na wszystkie strony ścigano uciekających, których jasne zbroje, świecące przy zachodzącego słońca promieniach, zdradzały. Na wszystkie strony widać było hufce pierzchające i gonitwy za nimi.

Ogromna moc ludu w taborze i wozach pruskich gospodarowała.

W tym zamęcie, gdy się późno obejrzał ks. Jan i Ofkę chciał znaleźć, na próżno o nią pytał i o strażnika jej, nikogo już w swym miejscu, ani wieści o nich nie mogąc dostać. Sądząc więc, że ucieczka byłaby niepodobną i że skuszona ciekawością zabiegła może gdzie dla patrzenia na to straszne widowisko, pozostał w miejscu, czekając co los zdarzy.

Król jeszcze był ze wzgórza nie zjechał ani też ruszyć mógł, co chwila nowych jeńców i wiadomości otrzymując. Niesiono i wieziono chorągwie, kładąc mu je pod nogi. Nieopodal od pobojuwiska w Kru-

czym lesie, kedy, czekając na trupa, moc wielka czarnego ptactwa wszystkie drzewa była obsiadła, jakby z dalekich ziem na żer dażyła wcześniej poczuły, znalaziono siedem chorągwi krzyżackich w ziemię wetkniętych, przy których, oprócz kruków, innej straży nie było.

W obozie wielką moc beczek z winem zrazu wojsko znużone odbiwszy, kto czym miał czerpiąc, kołpakami, rękawicami, helmami, pilo, gdy Zyndram Maszkowski, obawiając się, aby wojsko upojone, siły straciwszy, nie rozprzegło się, beczki wszystkie rozbić i wino wytoczyć kazał. Działo się to na wzgórzu nad pobojo-wiskiem, tak, że rzeka owego wina, płynąc po krwawych trupach, ze krwią zmieszana, wylała się jak potok samej krwi na łąki Tannenbergu i powieść stąd między ludźmi urosła, iż tu krew poległych strumieniami się toczyła.

Słońce już było nad zachodem, gdy po raz pierwszy od rana i od owej ucieczki sromotnej, którą odbił tak srodze, nadbiegł Witold, winszując Jagielle wygranej tak wielkiej.

— Bogu dziękujmy — rzekł król — nie nasza to sprawa, a Jego.

Witold ledwie mówić już mógł ze znużenia, a Jagiellę, który od ciągłego krzyku ochrypl zupełnie, ledwie posłyszec było można. Kazano zwolywać rycerstwo, lecz rozhukanego żołnierza od ścigania i od plądrowania wśród poległych trudno było odciągnąć.

— Zwycięstwo wielkie — zawołał Witold — ale dla mnie ono tym większe, że dwóch moich zaciętych wrogów w ręce dostał: Salzbacha i Schumberga, dwóch psów niegodziwych, którzy na owym zjeździe nad Niemnem u Kowna niepocziwymi językami mnie i matkę moją znieważyli. Moją bym urazę przebaczył, matczynej nie mogę, a lby ich paść muszą.

To była pierwsza myśl Witoldowa po zwycięstwie — zemście dogodzić, ale mu Jagiello nie dopuścił tego.

— Nie pozwolę — rzekł — pastwić się nad zwyciężonymi, dosyć za swe mają. Drugi raz ich pokonajmy ludzkością i łaskawością. Dość Bożej kary i chłosty nad nimi.

Nie odpowiedział nic Witold, ale mu oczy gniewem nabrzmiały.

Z pogoni wreszcie wojsko wracało i ruszać kazano, jak kto stał, zabrawszy z obozów zdobytych, co się dało ocalić, opuszczając pobojo-wisko trupem stutysięcznym usłane. Skwar, który jeszcze dopiekał, widok tych ciał bez pogrzebu leżących, a nie mogących być pogrzebionymi, zmuszał dalej ku Malborgowi na noclegowisko się posunąć. Lecz daleko tak znużonego żołnierza wieść nie było podobna, tak że o ćwierć mili zatknęto obóz nowy.

Cały ten dzień na upale, wichrze, w znoju i boju nikt nie miał w ustach, aż po zachodzie słońca dopiero zaczęto sobie radzić, by głód doskwierający zaspokoić.

A tuż chmury, które słońce było rozbilo u zachodu, zebrały się znowu i puścił się deszcz ulewny, który i na pobojo-wisku rannych resztę podobiał, bo ich ratować nie było można, a po skwarze nastąpił dojmujący chłód, przejmujące wichrzysko zimne. Rozbijano co żywiej płótna, aby schronić się pod nie od ulewy, ogni nawet dla zwarzenia jadła trudno było zrazu rozpalić. Lecz w sercach pociecha wielka z tego zwycięstwa za wszystko stała.

W królewskim namiocie mieniali się całą noc ludzie i opowiadania; każdy przynosił swoją przygodę, każdy miał coś do historii dnia tego dodać. Widzieli niektórzy zjawiska w powietrzu nad wojskiem i jakby

unoszące się nad nim postacie: drudzy cudownie życie ocalili, inni na nieprzyjaciela znaleźli bogate łupy. Kto co przedniejszego dostał, królowi niósł i składał, ale najprzedniejszym darem były niezliczone banderia, chorągwie i proporce krwią pobroczone, które ziemię u namiotu zalegały. W zaciętości, jaka po walce długo w sercach wrzała, wielu poległym zakonnikom długie ich brody mieczami porzezano i powiązano nimi jak sznurami chorągwie.

Pogoń, co ścigała uchodzący oddział krzyżacki pod Wilgnowo i która go tam rozbiwszy, dowódcę pojmała, przyniosła głowę jego, bo mąż zdawał się znaczny, i chciano wiedzieć, kto by był.

Gdy za brodę czarną ujawszy ją, niósł Dobek do królewskiego namiotu ten ohydny znak zwycięstwa, napotkał na drodze ks. Jana, któremu ją okazał.

Poznał w niej staruszek tego komtura, który mu w bramie malborskiego zamku nogę skrwawiwszy, plazem, a później groszem go nagrodził. Był to ów Schwelborn, co dwa miecze nosić przed sobą kazał, odgrając się, że ich do pochew nie złoży, dopóki krwi się nie napija. Wargi jego zbroczone teraz były, lecz własną.

Już późno w noc, gdy z pamięci liczono poległych, wszedł do namiotu Mszezuj Dunin ze Skrzynna, niosąc w ręku pektoral złoty z relikwiami świętych, na łańcuchu złotym.

— Najjaśniejszy panie! — rzekł, oddając mu go — większe zwycięstwo Bóg dał, niż śmieliśmy się spodziewać. Noszenie to zdjął Jurga, towarzysz mój, z zabitego rycerza, który innym być nie mógł, tylko wielkim mistrzem zakonu, Ulrykiem, bo są ludzie, co je u niego widzieli, a na płaszczu krzyż miał podwójny.

Słyszac to, Jagiello załamał ręce wzruszony i potoczyły mu się łzy z oczów. Wziął relikwie i długo niemy trzymał je przed sobą.

— Tak Bóg pysznych karze — odezwał się w końcu. — Padł więc ten, co wczoraj marzył, iż zawojuje ziemię i królestwa i że nas w pęta zwiąże. Cześć i chwała Panu na wysokościach! cześć Ci Boże, coś dumnych zgniótł i miłosierdzie swe nad nami a potęgę okazać raczyłeś. Imieniowi Bożemu niech będzie chwała!

— Amen! — szepnęli przytomni.

Malborski zamek znowu stał ozłocony promieniami zachodzącego słońca i krwawymi ścianami wznosił się, panując okolicy i miastu, ale dokoła niego panowała jakaś cisza złowroga. Nie był to spokój, co zwiastuje dni długie wesela, ale owo milczenie przed burzą, które jest śmierci przeczuciem. Puściej było niż kiedykolwiek: ani zakonnych plaszców, ani pacholców i knechtów; bramy pozamykane, w dziedzińcach starcy sami i kalecy. Wszystko się wyniosło na obromą granic, na wojnę, na zamki i strażę. Malborg zdawał się zostawiony sam sobie. Mała ledwie garść żołnierzy trzymała strażę po wrotach i murach. Kilku księży śpiewało w chórze godziny, kilku ze służby patrzyło z wież, ażali gdzie nie dojrzy gońca na szlaku.

Co chwila oczekiwano jakiejś wieści, a nigdy zwycięskiego zakonu bracia i służba nie trwożyli się tak i nie przeczuwali złego. Wiedzieli wszyscy, iż tam się ważyły losy dwóch krajów, lecz ileż to razy wszedł zakon zwycięsko z boju, albo go umiejętnie potrafił uniknąć? Nigdy taką trwogą nie były serca, jak teraz.

We wrotach pod kaplicą Świętej Anny stał stary knecht na straży. Sparł się na halabardzie i zadumał, patrząc przed siebie osłupiałymi oczyma. Siwa broda w pół mu się zwinęła na rękę, a źrenice bezmyślne, nieruchome, wlepione trzymał gdzieś w dal, której nie widział. Na najmniejszy szelest drgał i oglądał się. Zaczęto dzwonić na wieczorną godzinę w kościele, zamruczał jakąś modlitwę i roztopiła mu się wprędce na ustach — o czym innym myślał.

Wtem, wlokąc się wzdłuż muru o kiju, kulawy, zgarbiony, przysunął się żebrak i stanął przed nim. Nierychło go zobaczył strażnik, a ujrzawszy, nie zaraz przemówił.

— Słyszales burzę nocną?

— A któż lepiej nade mnie, co śpię pod murem w dziurze? — odparł żebrak. — Całą noc szalone wyły wichry, piorun padał po piorunie, zdawało się, że ziemia spłonie i niebiosy się na nią obalą.

— Mury zamkowe drżały — rzekł strażnik — piorun padł w Gdańską wieżę i spłynął, jak potok ognia po murze; czarna smuga po nim została. To nie do brego nie wróży.

Strażnik wzdychał.

Z dala tętent posłyszeli i zwrócili się oba. Na nędznym koniu jechało bosa chłopię w koszuli, bez czapki, poganiające szkapę prętem. Zoczywszy strażnika w bramie, przychyliło się nisko z pokłonem i minęło. Nie był to posłaniec, był to pastuszek biedny, co z pola powracał.

— Żadnej wieści! — powtarzał machinalnie strażnik.

Wtem nadszedł mnich Krzyżak, z rękami założonymi pod szkaplerz, krokiem powolnym. Stanął przed strażnikiem.

— Przybył kto? — spytał.

— Nikogo nie było!

— Żadnej od naszych wieści?

— Nie ma nic: cicho.

— Czegoś niespokój ogarnia. Na oltarzu dziś świece gasły same, napróżno je zapalano: zły znak.

— Widziałem ogromne stada kruków ciągnące tam! — wskazał ręką — za naszymi: i to znak nie-dobry

— Niech Pan Bóg zle odwróci — szepnął mnich — modlić się trzeba.

Znowu tętent dał się słyszeć: obejrzeni się wszyscy. Na koniu pianą okrytym, z włosami rozpuszczonymi, bez okrycia na głowie, jechał młody chłopak szalonym pędem. Jechał i patrzył w niebo na chmury, jak nie-przytomny, a konia smagał; koń go niósł sam, nie kierowany, leciał do bramy i na wszystkie cztery nogi, chcąc się wstrzymać, padł przed nią. Chłopię młodziuchne, co siedziało na nim, zsunęło się z siodła i omdlałe padło.

Mnich, strażnik i żebrak podbiegli ratować. Znużony znać poseł ów leżał bez czucia na ziemi. Piękna twarz okryta była bladością śmiertelną.

Konia poznał zaraz po okryciu stróż, że należał do jednego z braci, co wyszli z wojskiem, chłopca nikt nie mógł poznać. Mnich długo się w niego wpatrywał, mruczał coś i zdziwiony i przestraszony stał pochyłony nad nim.

— Gdyby nie strój męski! — rzekł do siebie — powiedziałbym, że Noskowej córka: tak do niej podobny. Czysto kobieca twarz i włosy nie po męsku; ale cóżby robiła w tym stroju, na koniu, i...

Żebrak, zacierpnawszy wody, przyszedł twarz omdlałego pokropić, któremu krew ze skroni ciekła.

Strażnik dzwonił w bramie, aby kogo ze służby od infirmarii przywołać. Chłopak się ocucił, obejrzał westchnął, chciał porwać i upadł z jękiem znużony.

Wszyscy z trwogą jakąś i przeczuciem nań patrzyli, nikt się o nic nie śmiał zapytać. Domyślili się, że od wojska przybywał. Wreszcie się zerwał i zawołał:

— Kto starszym został na zamku? kto dowódca?

— A kimże tu kto ma dowodzić? — zapytał stary żołnierz — przecie ludzi nie ma, bo wszyscy wyszli.

Wskazał ręką.

Przybyły ręce załamał.

— Skąd jedziecie? — spytał strażnik.

— Skąd? nie wiem! skąd? stamtąd, gdzie pole trupami usłane, gdzie krew się leje potokiem, gdzie chorągwie krzyżackie leżą stosami, gdzie nieprzyjaciel się weseli, gdzie ostatnia dla nas wybiła godzina!

Krzyknęli wszyscy.

— Szalony! zmysły postradał.

Chłopiec jakby sam do siebie mówił ciągle:

— Cały dzień trwała walka zacięta, zabójcza, okropna; jak pioruny były młoty o zbroje, jak lwy bili się zakonni, jak stado wilków głodnych wpadli wrogowie, i jak burza zmiotli wszystkich. Nie ma wojsk krzyżowych, nie ma! Wybiła ostatnia godzina, wybiła!

Załamał ręce i płakał, potem się zerwał, chcąc iść, ale siły go opuściły i osunął się pod murem na ziemię.

Do kupki, która się wprzód była zebrała, przybywali coraz nowi słuchacze, ale nikt uszom wierzyć nie chciał: chłopca miano za obląkanego strachem boju.

Wtem na koniu rycerskim, lecz pokrwawionym i odartym, ukazał się jakby drugi poseł.

Był to wieśniak bosy, odarty, w koszuli i spodniach, podpasany słomianym sznurem. Twarz jego opalona, jeno promieniała dzikim szaleństwem, niby tłumioną radością. Białe zęby śmiały mu się w ustach

szeroko otwartych, ręką machał nad głową konia tak znużonego jak pierwszy.

Strażnik poznał rumaka brata Kuno ze Śląska i ręce załamał.

Wieśniak dopadł pod mur, stanął i z konia się zsunął, niby z rozpaczą bijąc w ręce, ale udanej tej żalości uragały się oczy jego i usta.

— Sądny dzień! — zawołał — wszyscy polegli, pobite pany nasze wielmożne, pogruchotane zbroje złote. Krucy się pasą na ciałach dostojnych! Sądny dzień Boży!

Przytomni, marszcząc brwi, słuchali i stali przerażeni, słowa nie mówiąc.

W bramie skupiało się coraz więcej ludu, aż ukazał się zakonnik na kiju sparty. Był to dawny komtur elbląski, mąż niegdyś sławny i dzielny, z jedną nogą uschłą. Należał on do rady, ale na wojnę nie chodził.

Stary komtur dał znak, aby rozeszli się ciekawi i zatrzymali się pośród dziedzińca, gdy on sam wieśniaka i chłopię do refektarza wielkiego wiodł z sobą.

Lecz nie doszli do drzwi, gdy znowu zatętniało w bramie i krzyk się dał słyszeć: starzec głowę podniósł i o kiju zawrócił nazad do bramy.

Tu widok był nowy.

Leżący, zwieszony, przypięty do konia, znać bezsilny jechał rycerz zakonnik; płaszcz miał we krwi cały pobroczony i podarty, krew ciekła mu po zbroi, krew uchodziła z obuwi: biały koń zbluzgany nią, niósł go, dobywając sił ostatka. U bramy stanął, zachwiał się i padłby, gdyby go strażnik za eugle nie chwycił.

Rycerz się nie ruszył. Zebrak do niego przypadł: podniesiono mu przyłbicę, twarz była blada i martwa, krew się jeszcze sączyła z ran, poza zbroją zadanych,

ale człowiek już nie żył. Żołnierz dojrzał dopiero, iż trup był do konia przywiązany.

Słowa już nikt rzec nie mógł, bo wszystko zwia-
stowało klęskę.

Zdjęto ciało z konia, który, chwiejąc się, sam szedł w podwórze; dwaj knechci ponieśli zwłoki i położyli je w krużganku. Stał nad nimi milczący komtur stary i wpatrzony, jakby życie i czucie postradał.

Chłopie, co pierwsze przybiegło, o mur oparte stało drżące. Po chwili sknął na nie zakonnik. Weszli do wielkiego refektarza, który stał pusty, ogromny stół długi zajmował środek jego, przy nim ciężkie ławy dębowe ciągnęły się z stron obu. Ze ścian patrzyły wizerunki świętych i napisy.

Kilka kroków od drzwi uszedłszy, zakonnik na krzesło padł; mimowolnie wychudłe ręce podniósł nad głowę i załamał je nad nią — milczał. Potem z wolna położył na piersiach znamię krzyża św. i odwróciwszy się do chłopca, spytał:

— Gdzie nasi? gdzie wojska? gdzie w. mistrz?

— Na polu leżą pod Grunwaldem.

— Klamiesz!

— Bóg świadek!

— Ten lud, tyle ludu, rycerzy??

— Tyle drugie było go ze strony Jagiellowej, ważyło się zwycięstwo i przechyliło na ich stronę. Sto tysięcy trupa leży na grunwaldzkim polu. Stosy białych ciał. Nie został nikt, oprócz niekzemnych, co uciekli.

— Wielki mistrz, Ulryk? — pytał zakonnik.

— Padł na ostatku, gdy już nie było do czynienia, tylko umierać.

Okrzyk stłumiony wyrwał się z piersi zakonnika.

— Wielki komtur? — pytał osłabionym głosem.

— Leży przy nim.

— Wielki marszałek? Wallenrod...

— Jest z nimi.

— Schwarzburg nasz szatny?

— Zginał śmiercią rycerską.

Zakonnik nie śmiał pytać, głowa mu opadła na piersi, wstał z siedzenia i padł na nie.

— Podskarbi Merheim?

— Zabity.

— Komturowie? komturowie? — począł, jakby li-
tości domagając się, wolać starzec. — Helfenstein...

— I on, i jego żołnierze wyginęli do ostatniego.

— Skąd-że ty wiesz?

— A! obchodziłem pobożowisko, patrzyłem, gdy odzieraną trupę.

— Ippenburg?

— Zabity.

— Wobecke?

— Zabity.

— Hatzfeld?...

— Zabity.

— Milcz! milcz! — krzyknął starzec i z krzesła padł na kolana, a potem twarzą się na ziemi położył, ręce rozkrzyżował i szlochał, wołając bezprzytomny:

— Boże! Boże! — cóżemy uczynili, czemeśmy za-
służyli, abyś nas dotknął tak srodo? Za co karzesz
dzieci swoje, za co w proch i błoto cisnąłeś krzyż swój
z nami.

Chłopie patrzyło na leżącego, gdy w dziedzińcach
rozruch powstał i wrzawa. Tętent nie jednego, ale kil-
kudziesięciu koni rozległ się w podwórzach. Nie to-
warzyszyły mu ani krzyki, ani wołania, ale milczenie
ponure.

Zakonnik podniósł głowę i dźwignął się z ziemi,
poszedł ku oknu. W dziedzińcach postrzegł braci za-

konnych i płaszcze białe i jakby ratunek ujrawszy. Bogu dziękować zaczął.

Wtem na salę wszedł z bladą twarzą, ale męską postacią, hrabia Henryk von Plauen, dawny komtur Świecia. Starzec, poznawszy go, ze złamanymi rękami, jak do modlitwy, pośpieszył ku niemu.

— Bracie! — zawołał — prawdą to jest, co nam przynoszą wieści... prawdą to jest?

— Wszystko jest prawdą, co złe, a złe przechodzi, co ludzki język powiedzieć może. Z potęgi Zakonu została garść niedobitków... my, kilku... Triumfuja, że Zakon w Prusiech zabili: jutro mogą być pod bramami! Ale Zakon żyje i żyć będzie, póki choć jeden z nas dech w piersi zatrzyma. Zakon żyje... do ostatniej kropli krwi bronić się będziemy.

To mówiąc, obejrzał się na drzwi, którymi wchodzili przybyli z nim od granicy zakonnicy.

Gdy w podwórzach jakiś slychać było i płacze, bo co chwila nowa wieść, nowy zbieg, nowej klęski przybywało potwierdzenie, w sali radnej ściągał już Plauen szczupłą garść pozostałej braci, co z nim przybyła. Objął sam władzę, nie pytając; czuł się zdolnym ją utrzymać.

Z posępną energią wskazał miejsca, wstał i począł mówić żywo:

— Z tych, co poszli, nikt nie wróci: ratunku musimy szukać w sobie. Zapowiedziano zagładę Zakonu, jeśli ten zamek wezmą; niemiecki zakon braci szpitalnej w Prusach istnieć przestał. Malbarga, stolicy naszej, bronić musimy.

— Z czym? z kim? — spytał jeden.

— Choćby z garścią, do ostatka! Malbarga nie zdobędą.

Zmarszczył brew.

— Obronimy go. Miasto należy spalić, niech płonie, lud zagnać na zamek, on bronić go będzie. Dopóki drogi wolne, dziś, zaraz po ludzi ślać na zamki i po zapasy.

— Ale Jagiello jutro tu będzie! — zawołał jeden — to próżne.

— Ani jutro, ani za trzy, ani za cztery dni — gwałtownie wybuchnął Plauen — wstrzymać go trzeba, musimy i wstrzymamy.

— Jakim sposobem?

Plauen zamilkł.

Nie rada to już była, ale pośpieszne rozkazy; dwóch starszych pozostawił przy sobie Plauen, resztę rozesłał.

W zamku, w mieście trwoga i popłoch były niewysłowione.

Nikt nie miał nadziei, aby ocalić się można, Plauen ją zachował jeden.

We trzech weszli do izby przyległej.

— Nie czas płakać i trwożyć się a rozpaczać. Rozpacz źle radzi, męskim sercem ratować się trzeba. Łoś Zakonu w rękach naszych.

— Lecz cóż postawim przeciwko tej zgrai spędzonej z całego świata, rozwścieczonej zwycięstwem, głodnej krwi naszej. Nie mamy wojska...

— Powinniśmy mieć rozum i przebiegłość — rzekł Plauen. — Jagiellę znamy wszyscy: pchnąć go trudno, a powstrzymać łatwo. Zabobonny jest lęk się, aby go poganinem nie zwano za to, że przeciw krzyżowi walczy. Poślemy do niego. Zwłokę trzeba wyjednać. Są przy nim ludzie, co nie bardzo wielkiemu zwycięstwu będą radzi. Witold tam jest. Księżna siostra nam sprzyja; mamy duchownych. Czasu tracić nie godzi się. Ojca Marcina przywołać... ojca Marcina...

Ksiądz Marcin z innymi kapelanami i duchowieństwem stał w radnej sali; przywieziono go natychmiast. Był on rodem z Pomeranii, a niegdyś począł żywot zakonny w klasztorze benedyktynów na Łysej Górze. Stąd później dał się naklonić na zmianę reguły i przywdzianie habitu z krzyżem. Niemłody był, mniszej postaci, pokorny, cichy, ale wpatrzywszy się w twarz jego zamkniętą wyrazem pokory i spokoju, postrzegł przez siedem pieczęci, którymi była zawarta, życie, co pod nimi krążyło. Oczy jego jasno, spokojnie, głęboko wciskały się w każdego, czytały, nie dając się wyczytać.

Sklonił się w progu z pokorą.

— Jestem — rzekł.

Plauen się doń zbliżył.

— Ojcie! Zakon konający doprasza się u ciebie ratunku.

Nie na to nie odpowiedział o. Marcin, powiódł oczyma i nie wymówiwszy słowa, dał zrozumieć, że sam na sam radzić pragnął.

Plauen wsunął się z nim do izdebki, wydawszy ostatnie rozkazy.

Siedli sam na sam.

— Nie mówcie mi, co mam czynić — odezwał się ksiądz Marcin. — Duch Święty mnie natchnie. Znam Mikołaja podkanclerzego, co jest przy królu, trafię do Witolda, do duchownych. Wiem i czuję, co do czynienia mam.

— Jedźcie, idźcie, śpieszcie! — mówił Plauen.

— Zmienię suknie, wdzieję świeckie, będę zbiegiem, zostanę na chwilę Polakiem; Bóg przebaczy w do brym celu użyty podstęp: niech zresztą spadnie to na sumienie moje.

— Na nas wszystkich — przerwał Plauen i zniżył głos. — Wóz, weźcie wóz, weźcie złota, ile chcecie; jeśli

— a sumienia sprzedajne, kupcie je; jeśli są trwożliwe, zastraszcicie; jeśli są zawistne, podnieście. Zasjejcie między nimi nieufność, obróćcie ich przeciwko sobie, zródcie niezgodę. Skazani jesteśmy, niestety, na użycie tych środków, gdy innych nie mamy.

Marcin słuchał.

— Mówić mi nie potrzebujecie, w ostateczności drogi ratunku są jasne; widzę je: są jedyne. Chytrzy być musimy jako węzowie, bo z chytrzejszymi od węzów do czynienia mamy.

— Zakon winien ci będzie wybawienie; wstrzymajcie pochód na Malborg: ocalicie nas. Dziś, natychmiast uciekajcie stąd. Osłońcie swą podróż ucieczką: mówcie z nimi przeciwko nam, abyście ich ufność zyskali, ale czyńcie za nami.

Ks. Marcin mówiacemu dłoń położył na rękę.

— Dość — rzekł — nie wszystko przez usta przechodzić powinno. Co czynić, natchnie mnie Duch Święty.

Wstał z siedzenia.

— Księżę po północy schodzi, przewodnika Polaka wiernego mi dajcie, wóz, konie: jade.

Zwrócił się od drzwi.

— Na zamku wiedzieć mają, żem do Torunia wysłany. Nikt, wy i ja w tajemnicy.

Plauen głową dał znak potwierdzający.

— Złota! — zawołał — weźcie złota, ile zabrać możecie. Niecni posłowie króla Zygmunta wzięli nam go wiele za te szmaty zdradliwe, które listy wypowiedniami nazwali. Nikczemni!! Śmiali się z nich, dając je nam, śmiano się, gdy je zanieśli Jagielle, a my wierzyliśmy w Zygmunta.

Ręce załamał. Ks. Marcin pokornie się skłonił i wyszedł. W godzinę potem, gdy się z celi swej wysunął w czarnej świeckiej sukni kapłańskiej, obwinie-

ty płaszczem grubym, niktby go był nie poznał, tak potrafił się zmienić.

Wóz z ludźmi dwoma czekał w podwórzu. Księżyc z za chmur białych wysuwał się powoli, gdy na gościńcu sunął już zaprząg wiozący ks. Marcina, małymi drożynami w stronę, w której się wojska króla Jagielly spotkać spodziewał.

Chłopak, co pierwszy z wieścią o klęsce wpadł na zamek, zaledwie nieco spoczawszy w nim, wśród tej wrzawy i zamętu wyszedł niepostrzeżony za bramy. Tu stanął zamyślony, osłabły, zbierając myśli i nie wiedząc, co czynić z sobą. To powracał ku wrotom, to się kierował ku miastu, oglądał się, ażali mu kto z radą i pomocą nie przyjdzie; lecz nikt nań już nie zważał.

Trwoga miotła całą ludnością Malborga: jedni już z miasta unosić chcieli życie i mienie, drudzy w rozpaczę latali bezprzytomnie. Coraz to nowe przynoszono szczegóły z pola bitwy, a coraz gorsze i smutniejsze.

Najrozmaitsze uczucia dzieliły lud i mieszkańców w części sprzyjających Krzyżakom, lub nienawidzących ich panowania. Potajemnie cieszyli się nie jedni, lecz jawnie trwożyli wszyscy. W wojnie winny i niewinny pada ofiarą.

Owo chłopię stało jeszcze u wrót, gdy ulicą pod zamkiem idące ukazały się dwie niewiasty. Była to żona burmistrza i niezameżna jej siostra, obie dobrze znane Noskowej, a przebrane to chłopię nie kim innym było, tylko zbiegłą z placu i rozszalałą z bólu i trwogi Ofką.

Ciekawe niewiasty ostrożnie naprzód zbliżyły się ku chłopcu, którego strój podróżny zdradzał, że niedawno przybyć musiał z daleka. Oprócz tego straż w bramie wskazała go im, aby się czegoś dowiedzieć mogły.

Burmistrzowa, sławetna pani Schütz, średnich lat niewiasta, pięknej tuszy, przedziwnie wykarmiona na białych bułkach, strojną była, jak na jej stan przystało. Skromniej nieco przybrana siostra Gizella sutą miała suknię, pasem na biodrach podciągniętą, aby się po ziemi nie wlokła.

Pani Schütz krzyknęła, wpatrzywszy się w chłopca:

— O, Jezu miłosierny! gdybym nie wiedziała, że zacna Noskowa więcej nad jedną córkę dzieci nie ma, lub gdybym ją posadzać miała, powiedziałabym, że to Ofki brat, lub, co się nie godzi, ona sama w męskiej sukni. Czy mnie oczy mylą!

Gizella ręce załamała, patrząc. Obie zdawały się tak strwożone, że przemówić nie śmiały, gdy nagle Ofka, odyskując męstwo, przybliżyła się do Schützowej.

— Nie dziwcie się i nie przestraszajcie — rzekła — okropne rzeczy się dzieją, okropne też widoki muszą znosić oczy. Zgroza to, żem w męskim ubraniu, sama!

— To Ofka! Ofka! — zawołały obie.

— Cicho, najlaskawsza pani Schützowa, a jeśli pozwolicie, pod opiekę się waszą oddaje.

— A matka wasza? o, dziecko moje!

— Matka daleko, daleko... Pozwólcie mi iść z sobą? Spocząć u was chwilę?

— Gdzież kto dziś potrafi spoczywać — przerwała burmistrzowa — chodź z nami, chodź.

Burmistrzowa, gorejąc ciekawością, wiodła z sobą Ofkę. Niedaleko ratusza stał dom pana Schütza. Pokażniejszy od innych, zbudowany był wszakże na sposób miejscowy z cegły i drzewa. Na murach jego w rozmaite linie przecinające się z sobą zarysował się szkielet drewniany budynku, którego górne pięterko nieco wyskakiwało w ulicę, a pod nim szerokie okna i drzwi zajęte były przez sklepy. Nad jednym z nich wisiały olbrzymie nożyce, oznaczające postrzy-

gacza sukna, nad drugim dwie mosiężne miednice, wypolerowane jak złoto, służyły za szyld balwierzowi.

U niego już paliło się światło i tłum ludzi rozprawał gwarnie, a przez pół otwarte okno buchaly głosne mowy i patetyczne narzekania.

Po schodach, których poręcze pięknie były rzeźbą i słupkami ozdobne, weszli do izb pani Schützowej. Ofka, zaledwie się tu dostała, upadła na pierwszym krześle, twarz tuląc w dłoniach.

— Dziecko moje, napij się cokolwiek, to cię orzeźwi — zawołała burmistrzowa, niosąc trochę wina w kubku. — Jakżeś bo porwać się mogła i dać przebrać tak niegodziwie.

— Miłościwa pani — rzekła Ofka, jakby przebudzona — już o tym mówić za późno, jak się to i dla czego stało. Ogarnął mnie szal jakiś, zapomniałam, że kobiecie miejsce u kądzieli, myślałam, że Zakonowi przydam się na co i służyć mu potrafię.

Kobiety stały przy niej oniemiale.

— Wzięto mnie jak w niewolę w obozie Jagielly, stryj książdz szukał zbiegłej i pochwycił. Wśród bitwy wyrwałam się im; pacholek, co był ze mną, podał mi konia. Chciałam, widząc tę klęskę straszną, pierwsza tu o niej oznajmić, polecałam sama, nie wiedząc, co czynię. Jeden sługa zdążył za mną, padł pod Malborgiem z koniem i nie wstał.

Mówiła i oczy się jej paliły.

— Słabe są niewiasty! tak, ręki do boju nie mamy, ale wytrwać możemy więcej, niż oni... głód, skwar, znój, męczarnie, gdy serce rozkazuje. Zakon ratować trzeba! Zakon ratować!

— W imię Ojca i Syna! Ofko moja! — przerwała burmistrzowa — aleć to nie nasza sprawa. Modlić się, bardzo dobrze, ale cóż więcej? tu żelaza trzeba i dłoni.

— A! nie! — krzyknęła Ofka — żelazo się skruszyło, dłonie ścierply na wieki: trzeba przebiegłości, rady, zdrady, chytrłości...

— W głowie się biedaczce pomieszało — mruknęła pani Schützowa.

Ofka przestała mówić.

— Pani moja — ozwała się po długim milczeniu, którego kobiety przerwać nie śmiały — gdybyś widziała ten bój, tę rzeź, ten ċmentarz, albo by ci serce pękło, lub by weszło taką złością, nienawiścią, zemstą, jak moje.

— Lecz możeż to być, jest-li podobna, aby wielki mistrz, jego wojsko tak potężne...

— Śladu po nim nie ma, — zawołała Ofka — padli rycerze mężni. Ostatni mistrz Ulryk wyjechał do boju ze swoimi, pragnąc paść i szukając śmierci. Wszyscy dali się wybić do nogi, nie pozostał nikt, a rannych dokłuli nieprzyjaciele.

Ofka oczy sobie zakryła, kobiety szlochać zaczęły; posypały się zapytania jedne po drugich, a każdej niemal odpowiedzi płacz towarzyszył.

Noc nadchodziła, w mieście nikt nie myślał o spoczynku. Schützowa w trwodze zaczynała być o męża, który z zamku nie wracał: zapalono światło. Ofka przechadzała się po izbie zadumana.

— Cóż ty teraz myślisz z sobą? — spytała pani Schützowa

— Nie wiem, dziś kątek mi dacie do spoczynku: pomyślę. Siedzieć u krosien nie mogę; któż wie, co pocznę jutro?

Jeszcze rozprawały, a noc była już późna, gdy do izby, zrazu nie zdejmując czapki, wtoczył się poważny Schütz.

— Niewiasty — zawołał — zbierajcie dopóki czas, co droższego macie, żegnajcie dom spokojny. Nie-

przyjacieli idzie, zamku bronić potrzeba... miasto-by mu za przysługę służyło, a tego nie możemy ocalić. Sam jutro pod własny dom podłożę pochodnię, niech z dymem idzie Bogu na chwałę.

Burmistrzowa krzyknęła z boleścią wielką. Gizella poczęła płakać. Ofka stała i patrzyła na Schütza, który lży już ocierał.

— Nie czas na lamenty! zbierać co można, na zamek musimy wszyscy. Żywa dusza nie pozostanie w mieście, gruz i popioły znajdą, niech się nimi karmią. Bogu na chwałę mienie nasze.

— Jakto? ratusz! kościół, miasto całe!

— Wszystko — powtórzył Schütz — czas wam daje do jutra... Noc! przez noc wiele zrobić można. Wozy zaprząć i ładować!

— Nasz dom! nasz dom! — wołała burmistrzowa — ja go już nie zobaczę. Nasz dom!

— Cicho! — tupiąc nogą, dodał Schütz — aby ludziom dodać serca, pierwszy węć ogień podłożę!

Po nocnej burzy i slocie wypogodziło się niebo i obmyte zaświeciło słońce nad pobożowiskiem wczorajszym.

Szerokie pole między Grunwaldem i Tannenbergiem, gdzie niegdzie zaroślami, krzakami i pojedynczymi drzewami okryte, nosiło na sobie ślady walki zaciętej, która się na nim odbyła.

Nie było prawie stopy ziemi nie zoranej kopytami końskimi, na którejby się złomek zbroi, skruszone i podruzgotane kopie, lub trupy nie wały.

Drzewa nawet ucierpiały w tym boju, kule pooblamywały gałęzie, które leżały na ziemi; krzaki zmięte i poduszone wbite były w nią, a słońce nocne.

która uniosła z sobą krwi ślady, mulem i piaskiem pokrywała ciała i szmaty odzieży.

Ciury od wojsk wlewały się jeszcze, szukając łupu i zbierając na pobożowisku, co się żywym na coś przydać mogło. Porozbijane hełmy, w których stała woda deszczowa, służyły wróblom za naczynie do napoju. Na bliskim lesie krążyło stado kruków, które odlatywało za zbliżeniem się ludzi i powracało na żer obfity.

Tymczasem z rozkazu Jagielly szukano ciał rycerzy poległych. Wybrani jeńcy, pod przewodnictwem chełmińskiego szlachcica Bolemińskiego, szli od jednej kupki ciał do drugiej, mistrza i komturów szukając.

Ciała ich nie były rozpięchłe po polach, lecz wale, jako stali, leżały w miejscach, gdzie walczyli.

Żołnierska czeladź już je była poodzierała ze zbroi kosztownych i odzieży; bo płaszcz mistrza królowi odniesiono w nocy, mógł więc tylko poznać z twarzy ten, kto znał za życia Krzyżaków.

Wkrótce też Bolemiński, schyliwszy się w gromadzie trupów, które go przykrywały sobą, poznał Ulryka, choć mu na znak i pamiątkę, jak innym, czeladź już brodę obciąła.

Leżał z rozbitym piersią i z raną na czole, znać po spadnięciu szyszaka otrzymaną. Nieopodal znalazły się zwłoki marszałka Wallenroda, komtura Liechtensteina i wielu innych przedniejszych, które obwinięte w całuny, poniesiono i położono przed królewskim namiotem.

Dzień to był uroczysty i dla rycerstwa całego świetny, ale nie wesół, bo wobec tych tysięcy poległych żaden się nie mógł nawet zwycięstwem, co tyle żywotów ludzkich kosztowało, radować, a kto pobożowisko widział, temu po nim wspomnienie na życie całe zostało.

Tyle tam było do czynienia naówczas, iż nie dziw, że na pobojuwisku zostać kilka dni postanowiono, choć Brochocki i wielu gorętszych domagało się na Malborg iść natychmiast, dopóki Krzyżacy nie opamiętali się po klęsce.

Gdy słońce wyżej się podniosło, już z ciałami pobitych uczyniono porządek i złożono je przystojnie, czekając pogrzebu. Król sam wniósł, aby ciało Ulryka, wielkiego marszałka i komtura do Malborga odesłać, i wóz na to, oraz sukno purpurowe do nakrycia przeznaczył.

Wiele do czynienia było z resztą trupów, które na pobojuwisku grzebać musiano, z rannymi i jeńcami. Krzyżackich i polskich rycerzy wspólny pogrzeb zarządzono przy kościółku w Timbargu, gdzie ks. Jan zajął się obrzędem i nabożeństwem.

Z Polaków, choć wielką liczbą padła, znacznie-szych rycerzy ledwie dwunastu zabrakło.

O świcie król kazał sobie podać konia i z ks. Witoldem a mazowieckimi, wspólnie z Zyndramem Maszkowskim, który rozповідаł o bitwie, objechali raz jeszcze pobojuwisko.

Stawali na nim często, bo ilość ciał i ogrom trupa w wielu miejscach przejazd trudnym czyniła, a i po nieprzyjacielskich trupach król, depeąc je, jechać nie chciał. Kołować więc musiano.

Gdy słońce się podniosło, namiot wielki kościelny ustawiono na wzgórzu, zewsząd, oprócz poza ołtarzem, podpiawszy ściany, aby otaczające wojsko Ofiarę świętą widzieć i w niej uczestniczyć mogło. U trzech ołtarzów razem odprawiały się msze, które czytali kapłani królewscy.

Wokoło kaplicy pozatykane drzewca z mnóstwem zdobytych chorągwi nieprzyjacielskich dziwnie piękny widok czyniły, lekkim wiatrem poruszane. U głów-

neg ołtarza podkancelerzy czytał mszę o Marii Pannie, drugą ks. Bartosz o Duchu Św., trzecią wtóry kapelan o Trójcy Przenajświętszej.

Pod mniejszymi namiotami na ustawionych mensach czytano msze żałobne za dusze poległych.

Rycerstwo po wczorajszym dniu, choć na wielu zbrojach znaki kopij widać było świeże, choć wiele tarczy pokaleczonych miało na rękach, choć nie jednemu helm się na głowie nie trzymał dobrze, wystąpiło jak na święto i do popisu, odczyściwszy żelastwo i dobywszy, co kto miał najlepszego: pasy złoczone, bindy farbiste, łańcuchy i miecze co najozdobniejsze.

Zaraz po ukończonym nabożeństwie, którego całe wojsko słuchało, wiódł król przedniejszych panów za sobą pod wielki namiot, w którym zastawione były stoły do uczyty. Ta choć królewską nazwać się mogła dla tych, co w niej uczestniczyli, przepychem się wcale nie odznaczała, a prostą raczej była i niewykwintną, acz krzyżackie wozy dostarczyłyby do niej wyszukanych zapasów. Pieczone mięsiwa, polewki, placki, piwo, miód i wino na stołach ustawiono. Brał, kto chciał i jak mógł. U osobnego stołu na podniesieniu siedział Jagiello, mając obok siebie Witolda, mazowieckich książąt i bratanków.

Resztę tego dnia nie poświęcono też odpoczynkowi, wielką bowiem ilość jeńców należało spisać i rozporządzić nimi, aby wojsku ciężarem nie byli.

Trudno ich w pętach było trzymać, lub wieść za sobą, więc odebrawszy oręż, musiano ich zobowiązać przysięgą, że się na św. Marcina w Krakowie stawia przed sędziami i na rycerskie słowo ich puścić niemal wszystkich. Marszałek Zbigniew z Brzezia i podkomorzy krakowski, Szafraniec, słowo od nich odbierali.

Gdy przyszło do tego stawiania jeńców, przywiódł też kupę swoich Andrzej Brochocki, a między innymi

i tego hr. Dienheima, który w tarczy godło jego nosił. młodego czleka, ale buty niezniernej i dzikiego. Tego, że nawet w niewoli się z nim wadził i umysłu był niepokonanego, a pan Andrzej cierpieć nie mógł, iżby kto nosa przed nim zadzierał, chciał sobie pan Brochocki zachować.

— N. panie! — rzekł — wszystkimi niewolnikami niech w. kr. miłość rozporządza, jako wola i laska, ale o tego jednego Niemczyka prosiłbym dla mojej pociechy.

— A cóż z nim poczniesz?

— Nie wiem, może mi zbroiczkę będzie czyścił, ale muszę pacholę nauczyć pokory. Przy tym nosi tarczę taką jak moja, musi być jakieś między nami powinowactwo.

Popatrzył król na chłopaka i ręką skinął, zaczęł go sobie Brochocki prowadzić osobno. A miał z nim kłopot nie mały, bo Niemiec słowa rycerskiego mu dać nie chciał.

Powiedział sobie, że go nie puści, aż spokornieje.

Miał tedy w namiocie na zalodzie dwie gęby niepotrzebne, bo ks. Jana zatrzymał przy sobie i jeńca. Przed wieczorem tego dnia, gdy ks. Jan z pogrzebu w Timbargu powrócił, a Brochocki pod namiotem spoczywał, wszczęła się rozmowa o zbiegłym chłopcu, naprawdę o nieszczęśliwej Ofce, której Dienheim się zrazu niebardzo przysłuchiwał. Dopiero, gdy parę razy i nazwisko Noskowej i imię Ofki wspomniano, począł ucha nastawiać.

Nie zaczęział wcale w rozmowie nikogo ów więzień i miledzał jak pień, chyba mu Brochocki gwałtem słowo z ust wyrwał, tym razem wszakże o Noskowa sam się zapytał ks. Jana.

— Albo ją znacie? — odparł stary.

— Bardzo dobrze, bom w Toruniu przy Saynie

długi czas wojował i przy jego poprzedniku, więc nie ma kamienicy i kąt, któryby mi był nieznany.

Przyznał się, jakby od niechcienia młody, że mu w domu ze starszym bratem na burgu w Dienheim ciasno było, bo i brat go ciemnił z prawa pierwszorzództwa i bratową miał złą sekutnicę, dla której tam żyć nie mógł; przeto zbroję wdziawszy, jak mówił, na pogany z krzyżem poszedł.

— Na jakież u licha pogany? — spytał p. Andrzej — gdzieś to ty ich widział i gdzie oni tu są? My tu ich nigdzie nie znamy, krom prawowiernych chrześcijan, jakimi my i lud cały jest.

— Przecież głosił Zakon i powiada po dziś dzień, że na pogan potrzebuje oręża.

— A wyście tak nieświadomi rzeczy, że temu wierzyecie? — dodał Brochocki. — Jeśli tu kto poganinem nazwać się mógł, to chyba ci sami, co nam to imię narzucili, bo pogańska to sprawa cudzą ziemię najeżdzać i cudze mienie łupić. Nosisz to samo godło na tarczy, co i ja... musisz u mnie pogościć.

Z tym go już w namiocie zostawił, sam do króla idąc, gdzie się znowu ceremonia piękna odbywała. Bo, gdy Jagiello, powróciwszy z pola, przed namiotem siadł spoczywać, poszli wszyscy z Witoldem i ks. mazowieckimi, i z ośmiu panami rady wojennej, i przedniejszym rycerstwem dziękować mu za owo odniesione zwycięstwo.

Do tego powodem był ks. Janusz mazowiecki na Czersku i Warszawie, któremu się Krzyżacy dali we znaki, najazdami, gwałtami i więzieniem, jakie u nich cierpiał, zmuszony dźwigać kajdany. Pierwszy więc on, na kolana padłszy, począł wielkim wołać głosem, dziękować Bogu i królowi za pomstę nad wiarołomnymi.

— Naddziad mój Konrad — mówił. — uwiedziony fałszywą ich pobożnością i udawaną pokorą, która w istocie była pogańską niecnotą, przyjął ich jak żebraków, przytułił, na to, aby te żmije, odegrzane na naszym łonie, spuściznę jego grabiły, a w dumę i potęgę się wzbiwszy, własnych dobroczyńców prześladowały.

Poczem ofiarował się ks. Janusz z pomocą i służbą wierną królowi, a za nim i drudzy, nogi Jagiellowe ściskając, dziękowali mu rozezuleniu.

Tak się ten dzień dokończył, a następny też w tym samym jeszcze miejscu się rozpoczął. Jak dzień, król wstawszy, ogromną moc ludu rozbrojonego, nieopatrznie na słowo puścił, odartych obdarzywszy odzieżą i żywnością na drogę, i cały ten tłum z przewodnikami poszedł ku Osterode, który później Krzyżacy, na słowo nie zważając — nazad do pulków pozaciągali.

Nazajutrz już wojsko ruszyło się, aby od pobożwiska i powietrza się oddalić ku zamkowi Wysoki Kamień, który, nie broniąc się poddał. Nie było też komu przeciw takiej liczbie go osłonić i spotkałby go los Gilgenburga. Otwarli więc bramy zastępca komtura i garść, jaka tam była, poddając się królowi.

Tu gdy już późnym wieczorem obóz zataczano, a Witold szedł do swojego namiotu na spoczynek, dało mu znać, iż ksiądz, który uchodził z niewoli od Krzyżaków, czy też z ich ziemi jechał. Polak rodem, mówić z nim pragnął.

Więc choć pora była spóźniona, do namiotu go przywieść kazal.

Człowiek był już niemłody, pokornej twarzy i układu, który poczał od tego, iż się opiece księcia oddawał i przypominał mu, jakoby go w Wilnie miał, lub w Trokach widzieć.

Ks. Witold wprowadził ani twarzy, ani człowieka nie pamiętał, lecz łaskawie go dosyć przyjął i pytać poczał, skąd i za czym jechał?

Przyznał się ks. Marcin, że uchodził od krzyżaków, skarżąc się, iż tam w ogóle świeckiemu i innemu zakonnemu duchowieństwu bardzo było ciężko żyć.

— Nie stanie ich tu wkrótce — odparł ks. Witold — i inne rządy muszą nastąpić. Król Jagiello wygna stąd zakon i sam te ziemie obejmie.

— Dalby to Bóg, — odparł ksiądz — chociaż nam, którzyśmy na ich potęgę patrzeć nawykli, wydaje się to trudnym wiele, nawet po zwyczajstwie, jakim Bóg królowi i w. ks. mości pobłogosławił.

— Mająż oni moc jaką jeszcze? Marienburg poddać się musi.

Ksiądz zamilkł.

— Nie wiem, — odparł po chwili — lecz zameczysko jest mocne, a bez ludzi nie pozostało.

— Wszystko się nam poddać musi, — dorzucił Witold — tak jak dziś Hohenstein, tylkośmy przyszli. A oto i biskup warmiński posły dziś do obozu wyprawił, o pokój prosząc i o oszczędzenie ziemi jego.

— I zapewne łaskę tę otrzymał? — spytał ks. Marcin spokojnie.

— Nie, — rzekł ksiądz — bo i poseł podejrzany, i słowa, które przyniósł; lecz jeśli biskup sam przybędzie do obozu i królowi się podda z ziemią swą...

Ksiądz podniósł ręce do góry, jakby Boga sławiąc.

— Nieodgadnione — rzekł — wyroki Pańskie. Potęga króla Jagielly rośnie, a nie jej już teraz obalić nie będzie mogło. Wszystkie te kraje ulec mu są zmuszone.

Tu poczał się rozszerzać nad wielkością Jagielly i mówił tak długo, aż na czoło ks. Witolda zmarszczkę wywołał, bo o nim ani wspominał. Zrećniej jeszcze

do niego się nie odnosząc, jako namiestnika królewskiego, prosił o wstawienie się.

Witoldowi twarz się zarumieniła

— Ja namiestnikiem nie jestem, a nie zapominajcie, że jestem bratem i nad moimi ziemiami taką mam moc, jak on nad krajem, w którym panuje.

Ks. Marcin posepnie zamilkł.

— Jeśli w. ks. mość nie jesteście namiestnikiem, przebaczenie mnichowi, który spraw świeckich nie zna i rozumu do nich nie ma: jeśli nie jesteście, to nim będziecie w przyszłości.

— Ja? — podchwycił Witold.

— A możeż to być, aby taka siła, jaką król Jagiello uzyska, gdy zakon obali i ziemie jego zabierze, dała się przy sobie ostać jakiej bądź innej? Wszyscy sąsiedzi namiestnikami zostaną, bo ich zawojuje, gdy zakonu nie starczy.

Witold się doń żywo obrócił.

— Więcej jest rozumu w twoich słowach, niż wy go sobie przyznajecie, — rzekł — ale pewnie nie z miłości ku mnie je wyrzekliście?

— W. ks. mość zrozumiesz je, jak zechcesz, jam biedny mnich, ubogi...

I skłonił się pokornie.

Ciągnęła się dalej rozmowa o Zakonie i o jego potęgę, po czym ks. Witold, zapewniwszy księdza Marcina o łasce swej i obdarzywszy go, odpuścił. Ponieważ pisarze królewscy jeszcze zajęci byli, bo król nowych gońców wyprawiał, po pierwszych z chorągwią św. Jerzego i listami do królowej wysłanych, wskazano księdzu namiot dworski, aby tam z innymi duchownymi mógł spocząć. Uczynił to ks. Marcin, a że po polsku mówił dobrze i dawnym się benedykty-nem z Łysej Góry opowiadał, mile go tu przyjęto.

Starając się ze wszystkimi poprzyjaźnić, ująć kogo mógł, poczynawszy od podkancelerzego, ofiarując też posługi swe do pióra, jeśli ludzi brakło, wnet się tu znalazł jak w domu i rozgościł. Nazajutrz już msze świętą odprawiał w kaplicy dworskiej i z księżmi, jakby od dawna znajomy, poufale obcował. Radzi mu zaś byli wszyscy, bo wiele umiał o Krzyżakach opowiadać i zdawał się ich z duszy serca nienawidzić.

Nazajutrz, gdy ten i ów dalsze ciągnięcie na Malborg doradzał i do pośpiechu naglił, ks. Marcin wymownie bardzo umiał dowieść, iż bynajmniej śpieszyć się czego nie było, bo nieprzyjacieli spłoszony i wylekły i za miesiąc nowych sił zebrać nie potrafi, a wojsku po zwycięstwie wczas i wypoczynek się należał.

A że to i innym dogadzało, słowa więc ks. Marcina rozeszły się po obozie i wielce się do tego przyczyniły, iż postanowiono wolnymi krokami, a małymi dniami iść, zabierając zameczki po drodze, które król rycerstwu swojemu oddawał.

Popłoch w kraju był taki, iż się najwarowniejsze grody, nawet nie broniąc i nie próbując ostać, jedno po drugich zdawały, niektóre naprzód wysyłały posłów swych, dobrowolnie klucze śląc i prosząc o załogi.

Nie wojna to już była, ale pochód zwycięski, który serca radował i podnosił.

Dawszy więc wojsku spocząć pod Wysokim Kamieniem, pociągnął Jagiello nad jeziorem Husteńskim, rozbiwszy obóz w niewielkim oddaleniu od Morąga. Ks. Marcin też, znając do czynienia nie mając nic, z pisarzami króla i kapelanami dalej ciągnął, przenosząc, jak mówił, bezpieczną tę podróż za obozem nad puszczenie się w drogę, po której rozproszonych jeńców, zbiegów i wszelkich ciurów, do napaści skłonnych, kupę się wszędzie włóczyły.

Tu pod Moragiem Witoldowy gniew się wywarł na jeńców krzyżackich.

Byli pomiędzy nimi dwaj starsi komturowie, Salzbach i Schumberg, którzy niegdyś na zjeździe pod Kownem niepocziwymi słowy matkę księcia zelżyli. Gdy ich na placu wzięto pod Grunwaldem, chciał książę zaraz ich dać poćcinać: Jagiello się oparł. Wraz z innymi znakomitszymi brańcami prowadzono ich za wojskiem. Tu pod Moragiem stojąc, Witold, gdy obozy objeżdżał, natrafił na siedzących na ziemi dwóch nieprzyjaciół swych i konia zatrzymawszy, a podniósłszy rękę, zawołał na Salzbacha:

— Widzisz, dumny mnichu jakiś, dostało ci się, na coś zasłużył: idziesz w moich pętach.

— Myślisz, że mnie to trwoży, albo odmieni? — odpowiedział Salzbach — prosić ci się dlatego i kłaniać nie będę! Co mnie dziś spotkało, jutro może spotkać ciebie. Jest na Marienburgu Witoldowa jama, może czeka na dawnego mieszkańca.

Ostryimi tymi słowy rozjątrzony, Witold pobiegł zaraz do króla, zaklinając się, iż przez odciagnię, jeśli dumi tych ludzi nie ukarze.

Jagiello zmilczał.

Tegoż wieczora, wyprowadzonych za obóz, Witold, zdala na koniu stojąc, obu ściąć kazał. Poszli na śmierć milczący i głowy ich padły.

Ks. Marcin, zdala na to patrząc, pobladał, ręce złożył, ale nie rzekł nic.

Następnego dnia zbliżył się obóz do miasteczka i zamku Moraga, który mógł się bronić, bo i mury miał bardzo mocne i dokoła przepaścistymi otoczony był błotami i bagnami.

Posłał Jagiello na rozpatrzenie położenia Andrzeja Brochockiego, który z sobą wziął garść żołnierza; lecz zaledwie na groble wiodącą ku zamkowi wjechali, nad

bramą ukazała się chorągiew biała i z wrót wyjechało kilku konnych, którzy zamek zdać ofiarowali. Tych zatrzymawszy, Brochocki zawrócił sam, aby wziąć u króla rozkazy. Król właśnie z konia miał zsiadać, gdy nadbiegl.

— Morąg się poddaje — zawołał pan Andrzej.

Lice się rozjaśniło Jagielle.

— To go wmość sobie węz i w nim siedź — rzekł — a trzymaj się, abys mi go nie puścił. Daję ci go w dzierżawę.

Skoczył pan Andrzej z konia, tą niespodzianą łaską uszczęśliwiony, aby nogi królewskie ucałować.

Nie był to pierwszy zamek w dzierżawę dany, gdyż Wysoki Kamień dostał się Dołędze Kretkowskiemu, a później inne Mroczkowi z Łopuchowa i Wielkopolskiemu, który w tarczy miał Laski.

Musiał, podziękowawszy panu, zawracać Brochocki zaraz, poczet swój cały z sobą zabrawszy, aby zamek objąć.

Nie zastał pan Andrzej w Moragu, jak później Mroczek w Pruszmorgu, klejnotów i kosztowności, ani takich zapasów jak w Dzierzgowie w kilka dni potem Jagiello; miał przecież czym lzy otrzeć, po towarzyszach swych płacząc, gdy nazajutrz wojsko dalej pociągnęło. Na zamku urządzone być wszystko po krzyżacku, z pozoru ubogo i mniszo, rzeczywiście wygodnie i dostatnio. Obejrząwszy się po kątach, wszystkiego było dosyć: żywności w śpięchach, choćby kilka miesięcy trzymać się przyszło, w składzie sukna dla żołnierzy pod dostatek, spiżarnia obficie uposażona, w lochu kilka beczek wina i miodu, sprzęt wszelki. Gdy nazajutrz po zamku jeszcze chodząc, a kąty opatrując.

świeżo zamazaną ścianę spostrzegł, i z zamurowania czegoś się domyślając odbić ją kazał, znaleziono też grosza niemało, srebra, złota i klejnotów, a łańcuchów pięknych, które się na podarki przydać mogły. Miasteczko też było niezgo i tegoż wieczora przyszła się starszyzna pokłonić, coś niosąc na misach. Tym pan Andrzej przez tłumacza zapowiedział, iż jak dla posłusznych i dobrych potrafi być ojcem, tak, gdyby w konszachty jakie z krzyżakami wdawać się, a do niepokoju jakiego mieszać się chcieli, ukarać surowo potrafi. Po czym ukazał im na murach działą i dodał, że nieprzyjaciela się nie spodziewa, lecz na miasteczko je obrócić każe, gdyby mu nieposłusznym być chciało.

Nikt tam o tym nie myślał naówczas, gdyż zamki z kolei ogolone z żołnierza, jedno po drugim się poddawały. Szło więc wszystko jak z płatka. Ludzie, których z sobą pan Andrzej wziął, choć ich garść była nie tak znaczna, dobrani byli, doświadczeni i mężni, a starczyli na obsadzenie zamku, który raz zajawszy i strażę ustawwszy, spać było można spokojnie.

Wziął też z sobą Dienheima Brochocki, a ks. Jan, znużony drogą i nie wiedząc, co czynić z sobą, zgodził się na to, by w Moragu odpocząć, póki by o Ofce jakiej nie powziął wiadomości. Dienheim się pewnie niemniej o nią i jej los nad staruszką kłopotał, lecz zdawało się niepodobieństwem dostać języka, chyba w Toruniu, do którego sam ks. Jan nie wiedział spełna, jak teraz mógł się przebrać.

Była to właśnie niedziela, gdy odciągające wojsko pożegnawszy, na zamek swój wrócił pan Brochocki. Poszedł więc do kaplicy, która przy zamku stała i pięknie była urządzona, choć szczupła, aby mszy świętej wysłuchać, bo z nią ks. Jan na niego czekał. Ludzie z załogi i Dienheim zebrał się też w kaplicy na nabożeństwo, a do odprawienia go nie brakło, bo nie

mieli czasu ruszyć zakrystii krzyżacy i wszystko było w pogotowiu.

Po nabożeństwie poszli znowu zamek oglądać, w którym, starym obyczajem, komórek, schówek, dziur, cel i różnych zatajonych izdebek było pełno. Wszędzie się jeszcze jakiś ślad życia znajdował i zamożności, a wiele rzeczy tajemniczych i niezrozumiałych, chociaż prawdopodobnie wywieziono i rozechwytało wiele, znalazło się i tak dosyć sprzętu, naczyń i broni.

Gdy, obszedłszy mury dokoła, mieli powracać na górę, gdzie były komnaty dawniej komtura i starszyzny, a dziś nowego dzierżawcy, Dienheim dostrzegł stojącego u dołu przy schodach człowieka, który się Brochockiemu do ziemi prawie kłaniał.

Gdy głowę podniósł, ujrzał taką poczwagę, że rycearz, co się nie zwykł był niezgo w świetle lękać, o mało się przed nią nie cofnął.

Była to jedyna żywa pozostałość po krzyżakach, człek mały bardzo, karłowaty, gruby, na krótkich nogach z ogromnymi stopami, z rękami długimi, nadzwyczajnych rozmiarów dłoni i palców, z głową nad zwykłą wielkość rozrosłą, okrytą szczecinowatym krótkim włosem.

Twarz jego żółta, z nosem dużym i szeroko rozwartą gębą, w części okryta była takim samym zarostem twardym jak głowa, uciętym też krótko i sterczącym ostro na brodzie, wąsach i policzkach. Odziany w kubał szary, pasem skórzanym obciągnięty i chodaki mając sznurami poprzywiązywane, znać wydobył się z popiołów i pieca, bo cały był jeszcze osmolony.

Zobaczwszy go, pan Brochocki zapytał, co by za jeden był.

Chociaż bardzo popsutym językiem, obżalowany powiedział, że był glockmeistrem przy zamku, że tu od dzieciństwa się wychował i że się zaczął, aby w nim

pozostać, i prosił, by mu wolno było nowym panom służyć, zwłaszcza, że nie z niemieckiego pochodził rodu.

— A możebym się na co i przydał. — dodał — bo ja tu wszystkie kąty znam i nieraz różne pełniłem obowiązki.

To mówiąc, śmiał się.

— Byłem backmeistrem i kornmeistrem, i fischmeistrem, choć nigdy do zakonu nie należałem i ani pól, ani ewieré bratem nie byłem.

Ruszał ramionami, kłaniał się ciągle i z ogromnej swej stopy jednej na drugą przechylał się, jakby na miejscu wytrwać nie mógł.

Brochocki, namyśliwszy się, zostać mu przy kuchni dozwolił, zlecając rąbanie drew i noszenie wody.

Poklonił mu się aż do stóp stary dzwonnik i dodał:

— Kiedy już w. miłość tak miłosierną jest, to się chcę odwdziaczyć. Czy w. miłość zna wycieczkę zamkową?

Wszystkie naówczas zamki, na wypadek ostatecznego niebezpieczeństwa, miewały urządzone, dobrze ukryte wycieczki, a właśnie tej na zamku Brochocki odkryć nie mógł: kazał ją sobie pokazać.

Ogromnymi krokami przodem poszedł dzwonnik do narożnej wieży, w której był skład broni. W izbie tej na pierwszy rzut oka nie widać nie było.

W podłodze pod ławą ciężką uchylała się posadzka i wąskie schodki wiodły stąd ciasnym przejściem aż do miasteczka, gdzie w ratuszowej izdebce schodami się ono kończyło.

Wkupiwszy się tym odkryciem, dzwonnik powlókł się jeszcze za Brochockim, różne rzeczy opowiadając, aż do schodów znowu. Tu mu się polecił, oznajmując, że go dawniej krzyżacy zwali Pilzem, bo jak grzyb wyrósł na murze zamków i rodziców swych nie znał,

a imię mu było Abel. Ukłoniwszy się do nóg, pozostał na dole.

Dienheimowi też nie chciało się w izbie zamykać i zatrzymał się dla rozmowy z tą dziwną figurą, w której się domyślał skrytego przyjaciela, a może szpiega krzyżaków.

Zawiazał więc z nim, albo raczej usiłował zacząć rozmowę, oznajmując naprzód, że był jeńcem wojennym.

Nieufny Abel nie miał ochoty wdawać się w żadne stosunki zrazu, udawał że mu spieszo drzewo do kuchni przysposabiać.

Tymczasem jednak pilnie się przypatrywał Dienheimowi i słuchał, co mu rozpowiadał, na większą część pytań jednakową zawsze dając odpowiedź, iż mało co, albo nie nie wie; znudziło to w końcu Dienheimowi, który na mury wszedł dla przechadzki i stamtąd miasteczku się przyglądał smutnie. Ocalone od pożaru i grabieży, którymby niechybnie uległo, gdyby zamek się był nie poddał, wydawało się stąd dosyć zamożnym i porządnym. Życia w nim jednak mało znać było, bo się mieszkańcy z obawy zalogi nowej pochowali i się dzieli, nie ukazując nawet w ulicach. Do studni w rynku, kiedy niekiedy wybiegłszy z domu, oglądając się dokoła, śpieszyła dziewczyna, zaczerpywała wody i uchodziła śpiesznie, drzwi zatraskując za sobą. Gdy się tak po murach przechadzał, dumał Dienheim, z miasta wyszły dwie zakwefione kobiety i droga, która szła pod wałami zamku, widać wyniść chciały za groblę, a może dalej w świat; ale żołnierz stojący na straży wstrzymał je i zawrócił, bo dnia tego jeszcze nikomu z miasta, ani kobiecie, ani mężczyźnie oddalać się nie pozwalano, aby do innych zamków krzyżackich nie dano znać o nadejściu wojsk królewskich.

Kobiety, jak z ubioru wnosić było można, mieszczanki z Morąga, chciały śpiesznie powrócić nazad, gdy żołnierz im stać kazał, grożąc, że strzeli, i czekać, ażby się z nimi wysłany kto nie rozmówił. Obawiano się, aby jakich listów nie niosły.

Chociaż kobiety miały zakwefione twarze, postać jednej z nich, młodszej jak się zdało, uderzyła mocno Dienheima. Głowę mając nabitą wspomnieniem Ofki, zdawał się w ruchach i postawie znajdować do niej jakieś podobieństwo. Właśnie dano znać o tym panu Brochockiemu, gdy i Dienheim nadszedł, ofiarując się sam kobiety wybadać i przynieść o nich wiadomość.

Niewielką przywiązując wagę do tego wypadku, pan Andrzej zgodził się posłać swojego jeńca.

— Najlepsza będzie rzecz — rzekł — przyprowadzić je tutaj, a ja się już sam z nich prawdy dowiem.

Kobiety niezmiernie przełękłe stały u murów, straż mając nad sobą z wymierzonym samopalem dla postrachu, gdy Dienheim nadbiegł.

Młodsza z nich odwróciła się nagle, zoczywszy go i nie chcąc mieszać się do rozmowy, a starsza sama podeszła, lamentując.

— Miłościwy panie, — rzekła — cóż słabe kobiety złego wam uczynić mogą? Szłyśmy niedaleko do cudownej figury się pomodlić za stawem.

Wskazała ręką. — Oto tam, gdzie te drzewa stoją.

— Iść dziś nikomu nie pozwolono — zawołał Dienheim, usiłując się ukrywającej przypatrzeć. Ale ta zwróciła się twarzą osłoniętą ku stawowi, a była tak w chusty obwinięta, iż oprócz oczu nie z pod nich widać nie było.

Jeszcze to więcej rozbudziło ciekawość Dienheima.

— Należałoby, — zawołał — abyście poszły się tłumaczyć do dzierżawcy na zamek.

Kobiety się pomieszały: spojrzały na siebie.

— Ja tam mówić z nim nie potrafię — rzekła starsza — a co ja mu mam powiedzieć?

— Takie jest przykazanie jego — odparł Dienheim — ale ja sam jeńcem, żał mi was, a tych, czyja siła, słuchać i szanować trzeba.

— No, to ja pójdę sama do niego; po cóż bym to dziewczę, córkę moją, między żołnierzy prowadzić miała? Ona sobie do miasta powróci.

Zrazu chciał się Dienheim upierać przy swoim, ale go starsza kobieta tak prosić zaczęła, że uległ i młodszą odejść dozwolił. Przypatrując się, jak żwawo nazad do miasta uchodziła, przypomniawszy sobie biegającą po Toruniu Ofkę i podejrzenie jego nie tylko się nie zmniejszyło, ale nawet urosło.

W czasie, gdy pod murem szli, a żołnierza wymięgli, Dienheim miał zręczność przybliżyć się do starszej kobiety i szepnąć jej:

— Jeżeli ta dziewczyna, co wam towarzyszyła, z Torunia jest, co mi się zdaje, a nazywa się Ofka Noskówna, powiedzcie jej, że wuj, czy stryj jej, ksiądz, który za nią goni, na zamku się znajduje; że w zamku dowodzi Brochocki; i że w niewoli jest ten, komu rok temu dała pierścioneł, a w miesiąc go potem odebrała.

— Ale co się wam śni, miły panie, — oparła się mieszcza — to córka moja Tekla, która nigdy w Toruniu nie bywała i nikomu pierścionków nie dawała.

Nie miał już czasu odpowiedzieć Dienheim, bo we wrota wchodził, gdzie straż polska stała, a w dziedzińcu na schodkach Brochocki.

Mieszcza weszła, kłaniając się i tłumacząc.

Ostrożny pan Andrzej kazał jej przysięgać, że papieru nie miała i do krzyżaków nie szła; zapowiedział groźnie, że do trzech dni z miasta nikt się oddalać nie ma prawa i wylekła odpuścił.

Wieczorem opatrzywszy mury i strażę, kazawszy podnieść most i spuścić brony, zabrawszy klucze, gdy ognie były powygaszane, poszedł spać dowódca i Dienheima do jego celi zapędził. Z dala na ciemnym niebie świeciły luno, nie dało to spać jeńcowi; paliło się gdzieś na siołach, które dy wojska ciągnęły.

Nazajutrz rano z nalogu dzwonnik na jutrznię wydzwonił, choć do chóru nie było komu iść. Wdzięczny za to tylko był może ks. Jan, który zaraz do kaplicy na modlitwy pośpieszył.

Nikt nie sprzeciwiał się staremu Ablowi, aby wedle zwyczaju godziny nabożeństwa wydzwaniał, śmiano się tylko z jego głupoty, iż tego rozumieć nie chciał, że to już wcale nie było potrzebnym, gdy na prymę, tercję, sekstę, nonę, nieszpór i kompletę nikt nie chodził.

Tak był znać nawykł do starego porządku, iż co chwila do niego powracał machinalnie, wzdychając tylko, gdy przypominał sobie, iż nie było nikogo z braci, co by regułę zachował.

Abel sam się ofiarował za sługę dla Dienheimu i z rana do celi jego zapukał, misę niosąc z wodą i dzban cynowy. Ustawiwszy to, sam w progu się wstrzymał, oglądając dokola, i chrząkał.

Spojrzał nań jeńiec i, zobaczył, że mrugał nań tajemniczo, śmiejąc się w sposób odrażający. Dał mu znak, ażeby przystąpił.

— Macie mi co powiedzieć?

— Nie, — mruknął Abel — tylko tak, ot tak.. od siebie. Jeżeli wam z zamku wychodzić wolno, czemu byście nie poszli na miasteczko, kiedy... hm.. naprzykład dziś po południu.

To mówiąc, ręce w tył założył.

— Ot tak, ręce w tył założywszy, aby chodzić. Miasteczko czyste, ładne. Mogłaby was wczorajsza matrona zobaczyć, to by was zaprosiła: miód mają dobry.

Zniżył głos, pokłonił się śpiesznie i, odpowiedzi nie czekając, oddalił się.

Dienheim zamyślił się; ciekawość go niezmierną paliła i już tylko czekał, prędko li się popołudniowej godziny dobieje. Ledwie słońce wschodziło! Dzień wydać mu się musiał długim do nieskończoności.

Ks. Jan domagał się u Brochockiego, aby go odpuścił, chciał iść pieszo; ale dowódca go wstrzymywał, raz, że duchownego mieć pragnął, powtóre, iż mu starca samego puszczać żal było. Ściągał więc, namawiając, by czekał, aliści wiadomości jakiej i języka nie dostaną.

Brochocki dowodził z pewnym doprawdy podobieństwem, iż dziewczę szalone, wmieszawszy się nieostrożnie w tłum walczący, polec w nim musiało.

Dzień upłynął dosyć nudnie, bo na zamku nie było co robić. Opatrywano broń w arsenale, która była cała dla knechtów przeznaczona, bo nie paradniejszego w zbrojowni nie zostało. Tę więc rozdawał pan Andrzej między swych ludzi, którzy lżej byli zbrojni.

Dienheim zażądał pozwolenia, aby mógł choć miasteczko obejrzeć, a że słowo był dał, Brochocki nie bronil.

— Proszę tylko waszmości — dodał — ani z mnichami, którzy tam może gdzie się jeszcze kryją, ani z babami mi się nie wdawaj: jedno i drugie niebezpieczne.

Dienheim ramionami ruszył.

Z południa tedy wyszedł z zamku i tą samą drogą, którą wczoraj kobiety przechodziły, rozglądając się powoli, niby dla rozrywki i przechadzki tylko, powlókł się ku środkowi miasteczka.

Porządne ono dosyć było i zamożne, a pod ten czas i ludniejsze niż zwykle, gdyż w nim z okolicznych wsi dużo się zbiegło wieśniaków, którzy się tu schronili.

W ulicach jednak mało kogo spotkać było można. Mały ratusz wznosił się przy rynku; przypatrywał mu się właśnie Dienheim, gdy okno otworzyło się w domu nieopodal i wczorajsza znajoma powitała go. Była to niewiasta lat statecznych, znać dostatnia, ubranazysto, we wdowim czepcu. Jeszcze się jej nie miał czasu odklonić, gdy skinęła, aby do niej zaszedł, uprzejmie ręką zapraszając.

Wstąpił tedy ku drzwiom i na schody, a tu już na górze czekała go jejmość i obiema rękami witała, wskazując izbę.

Wszedł tedy, pokłoniwszy się, jeniec.

Nie było to mieszkanie bogato przystrojone, ale też nie biedne. Izba malowana, ławy i stolki do siedzenia, stół na toczonych nogach, stolików kilka z poduszkami, a na oknie trochę zieloności.

Prosiła go zaraz siedzieć, wzdychając i poczynając od uzaleń nad ciężkimi czasami.

— Przeszliśmy — rzekła — z pod panowania zakonników pod żołnierskie. Nie wiem czy lepiej nam będzie. Z tamtymi się już człowiek obył i miał środki ulżenia sobie, a ci nowi, głodni, dadzą się we znaki; ale Bóg litościw, to niedługo potrwa.

Dienheim nie odpowiadał. Ciekawość go największa brała o wczorajszą tę unniemaną córkę jejmości, lecz o nią pytać nie śmiał. Oczyma więc rzucił tu i ówdzie: wdowa śledziła jego wejrzenie.

— I was wzięto w niewolę, — odezwała się — Pan Bóg wie, kiedy się z niej wydobędziecie. Słyszcie, naszych panów, nawet komturów, dużo pościnali. Nie może być, aby Pan Bóg za to nie wziął zemsty.

Westchnęła.

Już Dienheimowi na niecierpliwość się zbierało, gdy mieszcza, uśmiechając się, poczęła:

— Skądże to waszej miłości przyszło wczoraj o jakąś toruniankę mnie pytać? Czyście to pamięć tak wierną dla niej zachowali?

— Gdyby ona choć w dziesiątej części tak o mnie pamiętała, jak ja o niej, — zawołał Dienheim — ale to trzpiot dziewczyna. A gdzież córka wasza, Tekla? — dodał po chwili.

— Chcielibyście ją widzieć? a po co? — zapytała mieszcza. — Wy panowie grafowie, żaden z was mieszczańskiej córki nie weźmie, tylko byście je balamucili. Wszakże grafem jesteście?

— Tak, moja jejmość, — rzekł Dienheim — tylko grafstwo moje ani chleba mi nie da, ani mięsa: muszę go zarabiać mieczem i kopią w służbie.

Począł więc, widząc, że się tu więcej niczego nie doczeka, zbierać się do wyjścia, gdy drzwi boczne się otworzyły powoli... jakieś jedno oko przez szparę zaczęło badać izbę i po chwili w progu ukazała się Ofka.

Poznałby ją wszędzie Dienheim, bo był głowę dla niej postradał, ale stanął osłupiały, tak zmienione znalazł to śliczne i świeże dziewczę.

Świeciły się jeszcze oczy, blaskiem większym może, niż za dawnych swobodnych czasów, ale różowa twarzyczka pobladła, wpadły policzki, usta zsiniały. Patrzała nań smutnie. Weszła powoli z izdebki drugiej, kłaniając mu się z dala.

— Poznaliście mnie, panie grafie, — rzekła — a no nie wiem jak i po czym, bo i z odsłoniętą twarzą jam do siebie niepodobna. Patrzcieżno, patrzcie, co się stało ze mną! Ot, jakem zbiedzona i nędzna.

— Jeśli prawda, co mi opowiadano — odezwał się Dienheim, — to tylko dziw, żeście życiem nie przyplacili, bo w obozie was za zabłą miano.

Uśmiechnęła się Ofka.

— Prawda, — rzekła — puściłam się na szalone sprawy, ale jakże patrzeć było na to, co się działo i nie rozpalić się gniewem, a gniewem palając, z założonymi siedzieć rękami.

— A na cóż się to zdało, żeście siebie święcili, gdy daleko większe siły zakonu ratować nie mogli? Padł on pod Grunwaldem.

— Zakonnicy, nie zakon! — odezwiała się Ofka. — Zakon nie może paść! nie może i nie padnie! Wszystko się odmieni, zakon ma złoto i opiekunów. Węgrowie pojechali do Gdańska po to złoto, które Zygmunta kupi. Najedzie ziemie Jagielly, który na ratunek swojego kraju śpieszyć będzie musiał, a wówczas z całej Europy zbierzemy żołnierza, najdziemy jego ziemie i pomścimy się za naszych braci!

Dienheim słuchał, jak z coraz większym zapalem mówiła Ofka.

— Daj Boże, by tak było — rzekł — ale ja nie wiem, czy tak będzie: lada godzina Marienburg zabiorą.

— Nigdy! — odparła dziewczyna. — Plauen już tam jest ze swymi ludźmi z nad granicy. Są tam ci, co zbiegli tego dnia nieszczęśliwego. Jagiello się spóźni, i nie będzie go miał: nie będzie.

Nagle zwróciła się ku niemu.

— Mój wuj jest tu? — zapytała.

— Wstrzymuje go Brochocki.

— On na zamku panem?

— Król mu go dał dzierżawą.

Dziewczyna się zadumała.

— Musicie mi pomóc, abym się stąd wydobyła — rzekła. — Zakon potrzebuje usługi od sióstr równie jak od braci: ja tu pozostać nie chcę, nie mogę.

— O! — zawołał Dienheim, składając ręce — gdybym słowa rycerskiego nie dał, uciekłbym sam z wami.

— A komużecie je dali? — zapytała Ofka.

— Temu, co mnie wziął w niewolę.

— Oni słowa nie trzymają, — przerwała gorąco Ofka — im go też nie ma potrzeby dotrzymywać.

— Tak, ale słowo rycerskie sobie samemu zachować trzeba, kto się zniesławić nie chce.

Ofka popatrzyła nań i siadła, wskazując mu siedzenie. Mieszczka słuchała rozmowy z podziwem nad dziewczęciem i ustami otwartymi.

— Pomożecie mi do ucieczki? — spytała.

— Uczyniłbym to z serca, gdybym was, jak dawniej, nie miłował, — odezwał się Dienheim — nie mogę was wystawiać na daremne niebezpieczeństwo. Co myślicie? powiedzcie mi. Nie lepiejże byłoby oddać się wujowi i powrócić do matki?

Z siedzenia się porwawszy, dziewczę dłonie białe załamało, spuściwszy je.

— A! tak! tak... wrócić do matki, kadziel prząć i śpiewać piosenki, i zaplatać włosy, i uśmiechać się do mazowieckich niedźwiadków. A tak! tak — wołała — to by było najlepiej. Ale ja siostra, ja do zakonu należę, ja za niego krew dać powinnam.

— I cóż ta krew pomoże? — spytał Dienheim.

— Tam, gdzie sto tysięcy ludzi nie czyni, tam mały robak coś może, gdy wola Boża z nim.

Dienheim się rozśmiał, a Ofka oburzyła.

— Mnie teraz nie do matki, do Torunia potrzeba, oni na nasze miasto najdą i gotowi je zabrać także. Toruń nie ma tej co Marienburg obrony.

— Na miłego Boga — przerwała dotąd w milczeniu słuchająca mieszczka — co wam też w głowie? cóż wy potraficie, tam gdzie tyle i takich mężów, i taka mądrość, i siła.

Ofka nie zdawała się ani słuchać, ani zważać na słowa mieszczki: przechadzała się po izbie.

— Złapałam się tu jak mysz w pułapkę — rzekła zamyślona. — Jechałam z Malbarga do... nie wiem sama dokąd... ale miałam rozkazy, trzeba było uwolnić Salzbacha; byłabym go wyrwała z ich rąk... a tu mnie ta nawała na tym Morągu zachwyciła.

— Toć znak, że wam się wyrzec należy wszelkich myśli próżnych — odezwał się Dienheim — a wracać. Ofka tupnęła nóżką, by zamilkł.

Twarz jej posepna rozjaśniła się, uśmiechnęła, głos złagodniał.

— Grafie mój, — zawołała — dam ci znowu pierścionek: daj mi wolność.

— A z pierścionkiem sercem? — spytał Dienheim.

— U mnie z sercem i ręka chodzi! — rzekła w pół cicho — tyś graf.

— Będziesz żoną moją? — zawołał w zapale młody chłopak. — Nie mam z rodziny, tylko jednego brata. Wygnał mnie prawie z domu: ani posłuszeństwa, ani miłości mu nie winienem! Zbierzemy ludzi, zdobędziemy Dienheim; ja tam znam ścieżkę każdą: będziesz na Dienheimie królową.

— Z kądziółką w ręku, na pustym zamku! — roześmiała się Ofka. — Nie, ja tego nie chcę. Widzicie, wy koło pieprzu i szafranu nie wytrzymacie w Toruniu, zbroi się wam zachce i harców, a ja na Dienheimie nie wytrzymam ze stadem gołębi i gromadą kruków na wieży.

Stal Dienheim mileżący.

— Pół roku ty dla mnie, pół ja się będę męczył dla ciebie. Bóg świadek, ożenie się z tobą.

— Grafie mój! — zawołała Ofka — czy myślicie, że ja tak chcę być wielką panią, żeby mi kluto w oczy, żem prosta mieszcanka; żeby mi pan brat okazywał wzgardę, a pani bratowa nienawiść?

— Ależ ja was za wszystkich miłować będę — rzekł Dienheim.

Roześmiało się dziewczę, lecz bez czucia i radości.

— A! dobrze! ślubu dziś nie weźmiemy — poczęła żywo — a potem zobaczymy! Naprzód mnie stąd uwolnić potrzeba.

— Dokąd?

— Do Torunia do Torunia! — wołało dziewczę — ja tam być muszę.

— Lecz czy się tam dostaniemy? w tamtą stronę poszły wojska Jagiellowe.

— Przekraść się trzeba, by je wyprzedzić.

Dienheim przestał mówić, widząc, że nie przemoże szalejącego dziewczęcia.

Dziewczę w oczy mu popatrzało długo i, jakby wywarłszy swą potęgę nad nim, rzekło śmiało:

— Jak stąd uciekać? Droga jedyna prowadzi pod zamkiem, tamtędy nie można: schwytać nas mogą.

— Tak jest, tamtędy chodzić nie wolno.

— Przez błota i moczary? czólnem? wszak muszą być rybacy? wszak czólna się znajdują?

— A za moczarami i stawy? — zapytał Dienheim — tam kraj cały już Jagielle poddany; zamki w jego rękach: mogą nas pochwycić.

— Niech pochwycą — rzekła zamyślona — i to by nie było źle. Jagielleby mi przebaczył, wziąłby mnie znowu do dworu, bo mu pewno nie powiedzieli, kto jestem. Trzeciego dnia wpuściłabym mu kroplę do puharu i Malborg byłby wolny.

Dienheim i mieszcanka mileżeli z przerażenia, słysząc te wyrazy, które za szal brali. Ofka istotnie była jak nieprzytomna. Łamała ręce i chodziła po izbie.

— A! a! — rzekła — nierychło wróć nasze dobre czasy, gdy Zakon rósł i panował, i sławił się; gdyśmy

pod jego opieką siedzieli spokojnie, a n- gą jedną stali na piersi Jagielle, drugą na brata jego głowie. Wiltold nas słuchał, mazowieccy się nam klaniali: Ulryk wszystko zgubił!

— I sam zginął — rzekł Dienheim — lecz, miłościwa pani, rozkazuj prędko, bo mnie na zamek wracać trzeba.

— Musisz mi do ucieczki dopomóc: do Torunia potrzeba.

Zgadzaając się, sklonił głowę Dienheim.

— Ani dziś, ani jutro tego nie dokażę: trzeba szukać sposobów.

Mieszczka zbliżyła mu się nieznacznie do ucha.

— Abła się radźcie, wszak na zamku został: Abel poradzi.

Wielce zdziwiony Dienheim odwrócił się z uśmiechem niedowierzania; zdawało mu się szyderstwem, by człowieka, który na stworzenie bez mózgu wyglądał, miał się radzić.

— Ale to prosty i niemądry człek! — zawołał.

— On? niemądry? — głową w lewo i prawo rzucając, poczęła mieszcza — ależ to najmądrzy był z nich wszystkich na zamku, choć na najgłupszego wyglądał. On! niemądry? O, miłosierny Jezu! a któż nim będzie?..

— Tam go na zamku za Boże nie mają stworzenie — rzekł Dienheim.

— Tak potrzeba! — szepnęła mieszcza.

Chciał wychodzić, nawet dobrego nie dostawszy słowa, gdy Ofka pobiegła za nim ku drzwiom.

— Prędzej — rzekła — potrzeba przyspieszyć ucieczkę; wy ze mną, ale nie myślcie, byćcie sami byli: mam sługę. Wy będziecie mi obrońcą, broń dostaniecie na zamku.

Wraciwszy do zamku, Dienheim się skrył, żeby go Brochocki nie wziął zaraz na spowiedź, której się obawiał i unikał, bo i kłamać nie lubił, i prawdy powiedzieć sobie nie życzył. Chciał się namyśleć, co ma uczynić z sobą i z Ofką. Widok jej całą dawną miłość jego, trochę ostygłą, rozżarzył na nowo; gotów był dla niej na wszystko, a wając to, na co oszalałe dziewczę rzucić się chciało, obawiał się o nią. Myślał też, że oddając ją matce, laski jej sobie zaskarbi. Z drugiej znowu strony wiedział, że Ofka, która z niego jak z innych dworowała i szydziła, gotowa jest doń powziąć nienawiść, którejby już ani matka, ani w świecie nikt przemóc nie zdołał.

Siadłszy tak w oknie, dumal aż do wieczora, a że pan Andrzej miał wiele do czynienia na zamku, rozpatrując się w swej zdobyczy, bo mu król darował wszystko, nie nie przeszkadzało samotnemu rozmyślaniu.

Dopiero późnym wieczorem wszedł do izby Abel, niosąc mu coś do jedzenia na misie. Mileząc, postawił na stole i nie zaraz się oddalił. Sprzątał po izbie, choć nie było co porządkować. Przypomniał sobie Kuno Dienheim, że mu się z Ablem porozumieć radzono.

— Byłem w miasteczku — rzekł.

— He? — rozśmiał się, patrząc nań bystro, stary potwór i otwierając usta szeroko — piękne miasteczko, nieprawdaż? ale co to przeciw Malborga, Torunia i Elbląga! Wiem, żeście byli — dodał, przechylając się po swojemu z nogi na nogę, — i siedzieliście długo, bom widział, gdyście wyszli i wracali.

Kuno spojrzał mu w oczy.

— Wiecie, — rzekł — że jeńcem jestem i że biłem się dla zakonu, któremu od lat kilku służę.

— A jakże! poznałem zaraz, żeście nie z Polski. Oni inaczej mówią i na koniach siedzą — rzekł Abel, zbliżając się i podparł się na stole poufale.

— Mówiono mi, że z wami można się w złym razie poradzić, bo rozum macie.

— Kto wam mówił o mnie?

— Wdowa Matiaszowa w rynku.

— A coście wy robili u niej?

— Jest z nią moja dawna znajoma z Torunia.

— Wiem, — mruknął Abel — Noskówna. To wariatka, ledwie ją w drodze nie pochwytili Polacy. Schroniła się tu z deszczu pod rynną, i teraz ani naprzód, ani w tył. Niechże siedzi na pokucie.

— Właśnie, że siedzieć nie chce i nie może i wyrwać się pragnie.

Abel przystąpił bliżej.

— To nie sztuka wyrwać się, a cóż z tego? dokąd? Do Torunia? Toruń już się poddać musiał, zamki się wszystkie poddają, bo Malborka jednego bronić trzeba.

Mówiąc to, Abel nie zdawał się ani smucić, ani rozpaczać.

— Cóż to, koniec Zakonu! zguba ostatnia...

Grzyb kiwał głową, oczy wlepił w stół i zbierając po nim kruszynki, które machinalnie niósł do ust, mówił jakby sam do siebie, nie podnosząc wzroku:

— Nie bójcie się, zakon mocny jeszcze; ludzi zbierzemy, czasu potrzeba: zamki się wróć. Stracimy dużo, ale Bóg łaskaw, Bóg łaskaw; ja jeszcze na godziny dzwonić im będę. Polacy, ja ich znam: tak, naród bitny, ale stać w miejscu nie lubi.

Rozśmiał się dziwnie.

— Wina i chleba będą mieli dosyć, najedzą się, napiją, do żonek zateskną i pójdą precz! Uchowaj

Boże, głodu a biedy, tobyśmy byli w niebezpieczeństwie, bo oni źli są, gdy głodni i biją się jak lwy, kiedy boso i w utrapieniu na wojnę idą. A no my... — uderzył się w czoło — damy im jadła i napoju po uszy, rozmiękną i nie z tego nie będzie.

— W pierwszej godzinie strasznym, a potem! potem i dziecko im da radę. Niemiec ma naturę inną: jego powalić można, da się wziąć, a powoli siłę odzyska i zwyciężąc za kark weźmie.

Zaczął Abel rękami wywijać na wsze strony.

— Z pomocą Bożą wyzwolimy się.

Kuno, wstawszy, zbliżył się doń powoli.

— Pomożecie nam do ucieczki? — szepnął.

Odkroczył Grzyb, schwycił się, strzepnął.

— Ja? ja? niech Bóg uchwali! Komu trzeba pomagać, a sam sobie pomóc nie umie, tego ratować nie warto. Ja jestem prosty chłop, mówiłem wam, legam w piecu, z psami na podwórzu kości ogryzam, nie nie wiem; nie nie umiem.

Sklonił się i wyszedł szybko.

Niewiele się z tego było można spodziewać. Kuno siadł znowu, ale go zawołano do pana Andrzeja. Poszedł jako jeniec rozkazom posłuszny.

Siedzieli oba z ks. Janem w komturskiej izbie na rozmowie, a w progu zoczywszy Dienheim, pan Andrzej zawołał zaraz, czemu nie przyszedł doń opowiedzieć się, wróciwszy.

— Nie miałem z czym! — odparł kwaśno Kuno.

— A siedzieliście, do kataru, długo! gdzie? z kim? — poczał Brochocki.

— Wlóczyłem się, baki strzelając — rzekł hrabia Kuno.

Rozmowa zaczęta w tym tonie dla obu niedobrze wróżyła. Brochocki tęsknił za wojskiem i towarzyszami i zły był, Kuno Dienheim nielepszy; przypomnieli

sobie łacno, jak się zrazu klócili i koty darli. Poczęła się zwada z niczego. Od słowa do słowa Dienheim słowo rycerskie odebrał i oświadczył, że chce być strzeżonym i jak jeniec traktowanym, a o łaski nie prosi.

Brochocki zagroził mu, że go do lochu posadzi, albo nawet w żelaza zakuć każe, bo do tego miał prawo. Harde hrabiątko, drzwiami rzuciwszy, poszło. Na tym się tego dnia skończyło.

Nazajutrz posłał pan Andrzej do niego po słowo ks. Jana. Dienheim odmówił: kazano go do lochu wsadzić. Abel dostał polecenie wyszukać karceres i z kluczem w rękę przyszedł do jeńca, który, nie mówiąc nic, udał się za nim. Grzyb był zafrasowany wielce, ale w podwórze wyszedłszy, udawał stworzenie, które nie czuje, nie rozumie i czyni, co mu kazano. Brochocki na schodkach stał. Żal mu się zrobiło znać drapieżnego młokosa krzyknął więc na Abła: — Dać mu pokój! — a strażę tylko zlecił, aby go krokiem z zamku nie puszczała.

Dienheimowi tylko na miasteczko się gwałtem chciało, a wypraszać się nie mógł i dać poznać, że go tam coś ciągnie. Utrapienie było wielkie. Ofka mogła mu się wymknąć sama i z oczów stracić ją mógł na zawsze. Młoda myśl i serce w samotności rozgorzały. Trzeciego dnia wysunął się w podwórze. Brochocki żołnierzy swych męczył i mordował, nie mając kogo innego. Zoczywszy Dienheim, począł mu prawie morderały. Chłopak już milczał; to rozbroiło starego: zlagodniał.

— Chodź do mnie na kubek wina — rzekł — mamy go dosyć, a pić nie ma z kim. Chodź, to ci powiem coś, z czego będziesz rad.

Nie dla wina, bo mu go Abel dostarczał co dnia, ale dla ciekawości Dienheim poszedł.

Stary pan Andrzej był lepszym niż kiedykolwiek.

— Słuchaj wmość — rzekł, kubek mu podsuwając — za zdrowie wasze! Bądź ty sobie zły, jak chcesz, a między nami jest coś we krwi, bo czuję, że mam do ciebie słabość. Bileś się dobrze, nie winienieś, że mam ci silniejszy. Harda dusza w rycerzu powinna być, nie mam ci jej za złe. Wiesz co, daj mi ino słowo, że do Brochowic się przystawisz, choćby za pół roku i że krzyżakom służyć przez ten czas nie będziesz, puszcze cię wolno, czyń, co chcesz... Za pół roku wojna musi być skończona. Mnie podobno król chce oddać Sztum jeszcze. Gdzie ja cię będę za sobą włóczył? Daj słowo, oddam ci miecz, zbroję, tarczę, wszystko, gotowem ci nawet coś na drogę dać, abys bez grosza nie był.

Popatrzał mu w oczy, mówiąc. Kuno uczuł się ujętym jego dobrocią.

Podał mu rękę.

— Jeśli będę żyw — rzekł — słowo rycerskie daję: stawię się.

— Kto to jeszcze wie — dodał, śmiejąc się. Brochocki, — jak nie będę miał co robić, nazbieramy starych wyjadaczy i pójdziemy ci Dienheim zdobywać.

W ten sposób waśń się skończyła.

Uczuwszy się wolnym, tegoż dnia pobiegł Kuno do miasteczka. Ledwie się w rynku pokazał. Matiaszowa do niego ze schodów się spuściwszy, do drzwi wyszła, nawołując do siebie.

— Jest Noskówna? — zapytał.

— Jest, ale mi szaleje — odparła mieszcza — boję się z nią jakiejś biedy; po nocach się zrywa i chodzi senna, a bredzi. Utrzymać jej nie mogę.

Pędem wpadł na górę Dienheim. Znalazł Ofkę po izbie przechadzającą się z rozpuszczonymi włosami. Zaledwie się w progu ukazał, skoczyła doń, pytając, czy wszystko do drogi gotowe.

— Najważniejsza rzecz gotowa, to, żem ja wolny — rzekł Dienheim, — pożegnam dowódcę, który jest człowiek zaeny.

Ofka mu przerwała:

— Tak? już ich zaenymi zowiecie?

Chciała się odwrócić od niego, lecz, namysliwszy się, słuchała dalej.

— Konia dla siebie mam, jutro o szarym mroku jechać trzeba — dodał Kuno, — aby was nie poznano. Powiem, żem sobie dwóch ludzi zwerbował na służbę.

Ofka, nie odpowiadając nic, do drugiej izby wybiegła, natychmiast do drogi się sposobić. W chwili była nazad, wołając, aby jechać zaraz, dziś po noc.

— Dokąd? — spytał Kuno.

— Do Torunia — odparła żywo.

— Toruń się już bodaj poddał — rzekł Dienheim.

— To nie może być! — krzyknęła Ofka.

— Przekonacie się: pojedziemy.

Nie było rozmowy, dziewczę śpiewało, śmiało się, przeklinało i groziło, a nade wszystko śpieszyć chciało.

Napróżno o czulsze słowo i spojrzenie błagając. Kuno wreszcie przekonał się, iż tego dnia nie otrzyma nie i, przyrzekłszy przybyć o świcie, ruszył nazad do zamku. Tu musiał u wieczerzy siedzieć długo i zapowiedziawszy, że z miasta dwoje czeladzi sobie zamówił, a nazajutrz do dnia wyruszy, późno w noc pożegnał Brochockiego. Na wyjeździe, przypominając mu dane słowo, obdarzył go jeszcze pan Andrzej, zachęcając ostrożność, dawszy kartę od siebie, aby go po drodze kto nie pochwycił.

O brzasku, zbroję przywdziawszy, Dienheim na koń siadł i do miasteczka pobiegł. Przed kamienicą już stały też konie posiadlane, które w mroku dojrzał z dala, a nim się przybliżył, już na obu siedzieli jeźdźcy, którzy podbiegli ku niemu. Starszy, siwy już człek,

stał wraz z hrabią, a drugi jechał, jako pachole, z tyłu. Twarzy mu widać prawie nie było, bo płaszcz miał nasunięty, niby od ranego chłodu. Samotrzeci więc jechali w milezeniu drogą pod zamkiem, około samych bram, gdzie się hrabia dał poznać i swobodnie dalej gościńcem pokłusowali. Ofka nie mówiła słowa, nie odwróciła twarzy i dopiero po godzinie, koniowi dając folgę, zagadnęła, nie hrabiego, ale starego sługę, czy sądził, że drogi bezpieczne?...

Korzystając z tego, zbliżył się Kuno; popatrzała nań dziewczyna chłodno, roztargniona i konia pędziła dalej. Postrzegł się dopiero, jak niewiele zyskał, i że go dziewczę za narzędzie tylko użyło; lecz, więcej się spodziewając w przyszłości i nie chcąc jej opuścić, pociągnął dalej.

Kilka razy w ciągu podróży pośpiesznej przyłączali się do nich ludzie różni; stary dostawał języka, mówił po cichu z nimi; zdawał się znać wszystkich. Dienheim mógł się przekonać, że choć zamki się popoddały, choć polskie oddziały krążyły po kraju, tajemne panowanie nad nim zachowali krzyżacy. Głośno mówili wszyscy inaczej, inaczej po cichu.

Drugiego dnia przybyli do jakiejś zagrody. Był to folwark krzyżacki, skryty niedaleko od brzegów Wisły w takie gąszcza i zarośla, że się tam jeszcze obca nie dostała noga. Gospodarzyła w folwarku, nie zrzucając płaszcza białego, siostra zakonna, Niemka, kobieta w sile wieku, ogromnego wzrostu, jasnych włosów, twarzy świeżej, ale niemilej. Ta natychmiast wzięła Ofkę pod swoją opiekę; a gdy po kilku godzinach wypoczynku dziewczę wyszło z jej mieszkania, zdziwił się Dienheim, widząc ją w skromnej sukni kobiecej, z kapturkiem i zasłoną na głowie. Lecz, jak gdyby strój ten śmiałości jej dodawał, poczęła mówić swobodniej.

Pierwszą rzeczą, o której się od niej dowiedział Kuno, było, że konie musieli na folwarku porzucić.

— Znajdą się one w Toruniu — rzekła, uspokajając go. — Stąd popłyniemy czółnem, zbroje trzeba też zdjąć, a rybaczą odzież włożyć.

Spojrzała ku słońcu; miało się ku zachodowi. Wyszła też siostra Marta za nią i stary, co im towarzyszył. Drożyną między wierzbami, błotnistą, wijącą się wśród łóz i trzezin, poczęli iść ku rzece. Wprędce błysnęły szerokie wody i lawy piasku nad nimi.

U białego pala kołysało się dosyć szerokie czółno, w którym siedziało małe chłopię w nędznym przyodziewku. Jak spojrzeć, nadbrzeże puste stało... Z przeciwej strony pojono stada, rybaków kilku zwijało się po wodzie w maleńkich, jak liście, czółenkach, szubując pośpiesznie, a na plecach trzymając wiecierze.

Wyszedł naprzód stary rozpatrzyć się dokoła, a gdy dał znak, postąpiła za nim Ofka i Kuno. Chłopak ich wpuścił do czółna, nie mówiąc słowa, odwiązał sznur, oparł się wiosłem o brzeg i odbił. Stary towarzysz leżał już na spodzie czółna i dawał znak Dienheimowi, aby się także na dnie umieścił. Jedna Ofka na ławie siedząca została. Wieczór był eichy i piękny, wiosło niepotrzebne; chłopak zręcznie sterował, siadłszy bokiem i wcale się nie ciekawiąc na obcych.

Łódź pędem strzały leciała dalej. Słońce zaszło, mrok padać zaczął, na brzegach z dala widać było porożpalane ognie; w oknach chat świeciły łuczywa, na zamkach gdzie niegdzie błyszczały szyby czerwonymi ogniami z wnętrzów: czółno leciało a leciało samym środkiem rzeki, stroniąc od brzegów, jakby nie chciało być widzianym. Po nocy trzeba było wprawnego oka, aby je dostrzec mogło.

Ofka, wsparta na łokeiu, zadumana, oczyma tylko niekiedy badała brzegi i światła na nich. Mały chło-

pak, mimo ciemności, machinalnie, prawie nie patrząc, umiał znaleźć drogę.

Na rzece ukazała się łódka ze światłem. Byli to rybacy, co większe ryby na ogień brali. — Z ostrożnością zbliżono się do nich, stary stanął i zamamrotał niezrozumiale jakieś wyrazy. Z łodzi mu odpowiedziano. Obie zbliżyły się do siebie. Przy świetle płonącego łuczywa ujrzeli dwóch ludzi, ogorzałych i obdartałych, zdziwionych nocnym spotkaniem. Poczęła się rozmowa urywana, której Ofka przechylna słuchała. Z obojętnością ludzi, którzy się o los kraju wcale nie troszcza, rybacy opowiadali o zajętych zamkach.

— W Toruniu obcy król — rzekł jeden — a jakże! nowych panów mamy.

— Nam to wszystko jedno — śmiejąc się, dodał drugi — kto będzie rybę jadł, byle woda była niewielka, a ryby dużo!

W mileczeniu czółno znów skierowało się ku głębinie i pędziło z rzeki prądem. Wśród tej ciemności i ciszy noc się zdała wiekiem. Kuno czuł przy sobie Ofkę, która nań okiem nie rzuciwszy, siedziała w ponurym mileczeniu. Twarz jej na przód zwrócona zdawała się szukać i wyglądać tych murów, do których się przedrzeć chciała.

Jeszcze się na brzask nie brało, gdy w dali ukazały się mury ciemne i wieże na niebie zarysowujące się czarno. Gdzie niegdzie, jak gwiazda, błyszczało na nich okno i paskiem jasnym odbijało się na wodzie. Wysoki brzeg, zielenią i drzewy osłoniiony, powoli oczom się odkrywał. Łodzi zwolniono biegu. Ofka i stary jej towarzysz stanęli w czółnie, chcąc rozpoznać miejscowość. Zwracano cicho ku brzegowi, nareszcie na znak dany chłopcu, który sterował, przybito do brzegu i stary z łodzi wyskoczył.

W tejże chwili czółno odbiło i zatrzymało się, zakryte wierzbą, nad brzegiem zwieszoną.

Ofka, stojąc ciągle, patrzyła niespokojnie w ciemności. Czekali chwilę w krzakach, nieco opodał dał się słyszeć szelest rozginanych gałęzi i syknięcie. Na znak ten przybiła łódka. Ofka wyskoczyła z niej. Kuno za nią. Postrzegł Kuno, że się znajdowali w ogrodzie drzewy owocowymi zarosłym. Stary wiódł ostrożnie, po cichu, wskazując drogę i tak wspinając się ku górze, doszli do płotu i furtki. O kilkanaście kroków stał dom, w którego podwórzu psy gwałtownie ujadając zaczęły. Znowu więc Ofka musiała zostać, a przewodnik iść przodem. Korzystając z tej chwili bez świadka, Kuno chciał się zbliżyć do niej, lecz ledwie wymówił słowo, uczul na ustach cisnącą jej rękę, zmuszającą do mileżenia.

Starego długo nazad nie było. Psy podwoiły szczekanie i ucichły. Słabe światelko przemknęło się poza oknami domu, skrzypnęły drzwi. Ofka biegła już. Stara kobieta, otulając lampkę, czekała we drzwiach, a zaledwie przez nie weszli, zamknęła je za nimi. W sieni, w której się znaleźli, czekał stary przewodnik.

— Panów naszych na zamku nie ma! — odezwała się stara głosem zniżonym — ale w mieście spokojnie, krzywdy nikomu nie czynią. Król, słysząc, zabronił surowo! Kasztelana posadził na zamku i załogę. Oni tam siedzą, piją i jedzą, a na miasto tylko we dnie się wazą. Mieszczanie im dostarczają, co dusza zapragnie, aby cicho było licho.

Machnęła ręką matrona, otwierając drzwi drugiej sieni od ulicy.

— Traficie łatwo na rynek.

Ofka, drżąc, słuchała obojętnych wyrazów matrony z brwią namarszczoną. W ulicy już nie potrzebo-

wała przewodnika, nie oglądając się też na nikogo i biegła. Pusto i cicho było na mieście, a im się bardziej ku rynkowi zbliżali, tym Ofka biegła prędzej. Niekiedy oczyma zdawała się szukać zamku, to znowu wyglądać własnej kamienicy. Stary kroczył za nią zwolna; Kuno, zapomniany, śpieszył, aby go nie rzuceno samego w obcym miejscu i pod boki nieprzyjaciela.

W rynku, do którego małą weszli uliczką, taka była pustka, jak wszędzie. W dwóch domach tylko świeciło z otwartych okien, słychać było muzykę, hałas, wrzawę i śpiewy.

Cienie dziwne przemikały się na oświeconym tle komnaty. Ofka stanęła, łamiąc ręce; patrzyła gniewna i rzuciła się ku wnijściu zapartemu kamienicy „Pod jeleniem“.

Stuknięcie we drzwi, którego obawiano się powtarzać głośniejsze, aby strażnicy jakiej nie zbudzić, nie mogło nic. Z obawy nocej napaści nie otworzonoby im, choćby stokroć mocniej tłukli. Stary przewodnik namyśliwszy się, z wielką zręcznością i siłą na mur od podwórza się wdrapał i zuiął. Przyparta do drzwi Ofka czekała ze spuszczoną głową i ręką na klamce. Kroki we wnętrzu słyszeć się dały pośpieszne. Kluczyk okręcił się w zamku, drzwi uchyliły i dziewczę, jak pijane, wtoczyło się do znanego domu, o kilka kroków zaraz opierając się o ścianę, bo sił jej zabrakło. Stary Wolff w kożusku i czarnej czapeczce, dwie służki, przewodnik wreszcie, wszystko to stało, patrząc na nią zdumione. Kuno opodał pozostał w cieniu.

Wprędce Ofka przyszła do siebie, odwróciła się do Dienheima.

— Wolff wam da przy sobie mieszkanie — rzekła — dobranoc!

Oczy jej przeleciały po nim wejrzeniem zimnym i wspiąwszy się na schody, pobiegła.

Nie był znać rad gościowi milezący Wolff, który go do izby na tyłach zaprowadził i tłumacząc się nocą a potrzebą ostrożności, zostawił samego z lampką i twardym tapczanem.

Mimo znużenia, noc tę spędził, marząc i drzemiąc Kuno i nie zasnął, aż nad ranem, gdy już w kościele Św. Jana na pierwszą mszę dzwoniono.

Zbudziła go służąca, która mu gorącą polewkę winną przyniosła, ale w rozmowę żadną wciągnąć się nie dała. Spytana o panią, ruszyła ramionami i wyszła co prędzej.

Po dzwonach kościelnych mierząc czas, doczekał się tu Kuno południa, zakłopotany wielce, co z sobą uczyni, gdy mruczący Wolff zajrzał do izby i nie nie mówiąc, ręką schody mu na górę pokazał.

Przez nie wszedł Dienheim do znanego sobie mieszkanka, niegdyś tak wspaniale przybranego. Było ono teraz zmienionym wielce, gdyż nie zostawiono w nim tylko to, co się zabrać i sprzątnąć nie dało. Srebra, kosztowności, ozdoby znikły. Stoly i ławy nie pokryte wyglądały nago i smutnie.

Ofka chodziła po tej izbie, ubrana bardzo starannie i tak pięknie jak za dawnych czasów.

Oczy jej świeciły, twarz się zdawała uśmiechać; lecz coś ponurego, dzikiego kaziło tę wesołość przybraną.

— Nie jestem gościnną, ani wdzięczną! — zawołała do Dienheima — ale ja tu teraz matunię zastępować muszę i dużo mam na głowie. Jest co robić, Jagiellowi panowie na zamku, musimy tańcować przed nimi, służyć im i bawić. To pierwsza rzecz, niewolnicy jesteśmy. Gdym się tu znalazła znowu, zdaje mi się, że straszny sen prześniła.

Kuno czule ku niej spoglądał.

— Żal mi was, — rzekła — ja dla was będę złą gospodynią; trzeba sobie innej szukać gospody, ale ja wam Wolff znajdzie. Ja tu myślę...

— Wiecie co myślę? — dodała, zbliżając się doń, coraz cichszym głosem — będę panów polskich przyjmować, gościć, pić, bałamucić.

Kuno się zarumienił.

— Szczególniej starszyznę — dodała, — a któż winien, że czasem, przypadkiem, który z nich zachoruje. Oczy jej blysnęły.

— Trzeba się pozbyć tej szarańczy! — zawołała z wyrazem mściwym.

— Życzylbym naprzód matce dać znać o sobie — rzekł Kuno cicho.

— To się już stało — odpowiedziała Ofka spokojnie. — Matka ma glejt i powróci, a pomoże mi pewnie.

— Cóż mi pani więcej każe? — zapytał Dienheim. — Przybyliśmy szczęśliwie do Torunia: nie wiem, co tu będę robił!

— Wiesz pan co? — rzekła Ofka — poznaj się z tymi, co są na zamku, staraj się dowiedzieć, ilu ich jest, jak zbrojni, co robią, co zamyślają: baw się wesoło: zdaje mi się że więcej tu do roboty nie ma.

— Smutne by to było, — odparł Kuno — gdybym się miał tylko bawić.

— Niech to się nazywa zabawa — ciszej odezwała się Ofka — a może być z pożytkiem. Służyłeś zakonowi, orężem ci nie wolno mu teraz pomagać, ale ktoś zabroni inaczej? do zrobienia jest wiele.

To mówiąc, spojrzała w oczy Dienheimowi.

— Hrabio, — odezwała się — chcesz mi być miłym? nie będziesz inaczej, jak słuchając mnie i czyniąc to, co ja robię. Służmy Zakonowi, on i ja wdzięczni ci będziemy. Ja tu pozostać muszę... wy moglibyście do-

stać się do zamku w Malborgu i zanieść im potrzebne wieści. Chcecie to uczynić?

Zawahał się Kuno, Ofka rzuciła nań oczyma i z uśmiechem podała mu rękę białą.

— Musisz iść ze mną, inaczej się rozstaniemy, — zawołała — będziesz mi miłym!! dam ci pierścień, gdy zasłużysz.

Dienheim wahał się jeszcze, ale ona już się mu do ucha pochyliła i szeptała: twarz jego okryła się ru mieńcem.

— Zgoda, — zawołał — szyję stawię dla ciebie, uczynię, co każecie.

— Za dwie godziny — odparła Ofka żywo — przyjdźcie do mnie: znajdzie się ktoś, co wam da do zanieśienia słowo. Musicie się dostać do zamku. Wieczorem w drogę.

To mówiąc, podała mu rękę i ukloniła się nisko, przybierając postać zalotną; potem podniosła się żywo, uleciała i znikła.

Nie ma niebezpieczniejszej rzeczy dla człowieka, dla ludzi, nad pomyślność.

W przeciwnościach potęgują się siły, uchodzą w szczęściu. Zawraca się głowa, przychodzi upojenie, mięknie serce, niknie energia, baczność się traci.

Wojsko, które zwyciężyło pod Grunwaldem, już innym przybyło pod mury Malborga. Do zwycięstwa szło w surowej karności, przymierając głodem i cierpiąc w pochodzie, obciążone łupem, nakarmione obfitą żywnością, zdobytą po zamkach, które się z kolei poddawały, nie straciło męstwa, lecz zaufało szczęściu.

Jagiello, który szedł z pewną obawą przeciwko Zakonowi, niemal przerażony był zwycięstwem, mającym

się odbić w całej Europie skargami nań, aż przed tron papieża i cesarza. Wahać się zdawał, czy ma obalić tych dumnych mnichów, którzy odwoływali się do swych zasług, położonych w szczepieniu wiary i nawracaniu pogan.

W samym otoczeniu królewskim zdania były wielce podzielone. Przy Witoldzie bawił ks. Marcin i codziennie szeptał, iż Zakon gotów ustąpić mu Żmudzi, byle nie pomagał Jagielle.

Codziennie odważniejszy mnich powtarzał, że zwiększać potęgę, która ma go zgnieść, byłoby nierozumnym. Na książąt mazowieckich wpływała księżna Aleksandra, obawiająca się późniejszej zemsty Zakonu, a nie mogąca przypuścić, ażeby ta potęga runąć miała. Straszono już napadem Węgrów znowu. Tymczasem Jagiello, niejako zmuszony, znalazł się pod murami Malborga, który już miał czas jako tako się obwarować.

Nim nadszedł tu, Plauenowi nadciągnęły posiłki. Wszystko, co uszło z placu bitwy, tu się schroniło.

Zacieżne kupki Niemców zbierały się rozpierzchle. Gdańsk przysłał czterechset ludzi od statków, wpół zbrojnych, z toporami. Prawie cudem, cztery do pięciu tysięcy głów, mniej więcej zdalnych do boju, ściągnięło się w dni niewiele. Do napaści było to niczym, na obronę starczyło prawie.

Wyższy zamek główny dostał sam dwa tysiące załogi; na średnim drugie tyle umieszczono, a z tysiącem poszedł stryjeczny Plauena obraniać przedmieść pod murami, do których się mieszkańcy malborscy i siła ludzi z folwarków na nizinach schroniła.

Piętnastego lipca rozstrzygnął los walkę grunwaldzką, a dwudziestego szóstego dopiero część wojsk Jagiellowych ukazała się pod Malborgiem. W jedenaście dni wiele się rzeczy uczynić może. Zdawało się, że

ciągniono naumyślnie tak opieszale, aby dać czas wzmocnić się nieprzyjacielowi.

Plauen, który pochwyił w ręce wodze wypuszczone, więcej, niż jego poprzednik, Ulryk, stworzonym był do ciężkiej sprawy, w której i energii, i przebiegłości, i wytrwania cierpliwego było potrzeba.

Gorącego sierpniowego wieczora podróżny, odziany jak człowiek nie rycerski, z sakwami przytroczonymi do konia, z jednym mieczykiem u pasa, zbliżał się wolnym krokiem ku Malborgowi i przystanął na pagórku, z którego wszystkie trzy zamki i okolice widać było. Niedaleko już polski obóz i chorągwie stały rozłożone szeroko.

Miasteczko, które niegdyś otaczało zamek i przytykało do niego, smutny wystawiało widok murów i kominów okopconych, zgliszczów pożarem zniszczonych.

Trzema znaczniejszymi obozami leżały oblegające wojska pod murami, na których lud dosyć mnogi widać było. Na bramach też stali ludzie z toporami i spisami do obrony i czujność zdawała się wielka. Od południo-zachodu leżał król z rycerstwem swym całym, od południo-wschodu Witoldowe wojsko z Tatary kręciło się ponad wyschlým Nogatem, gdyż spieki letnie wszędzie go w bród przejść dawały.

W obozach zdawało się życie i ruch objawiać wielki; rycerze harcowali dokola murów; gromadki objężdżały je dokola; w niektórych namiotach poodslania nych, aby wiatr je przechłodził, widać było siedzących i uczujących wesoło.

Wozy ze zwierzyną, rybami, beczkami zajeżdżały pod dworskie namioty i wyladowywały zapasy obfite. Tam, gdzie na średnim zamku przystępniejsze były mury, polscy rycerze stali, słowy wyzywając krzyżackich, wzajem się lając i walcząc homerycznymi wykrzyki.

Czas to był rycerskich zapasów, gdy słowo ważyło i danego dotrzymywano nieprzyjacielowi, tak, że nie rzadkim było widzieć wyjeżdżającego na hare pojedynczo krzyżaka i patrzących nań sędziów rozprawy, gdy się z wyzwany potykał.

Podróżny długo patrzył na ten obraz, ozłocony promieniami słońca i zadumał się tak nad nim, iż się nie spostrzegł, jak go za ramię z cicha nadjeżdżający żołnierz pochwyił, krzycząc nań, by stał, a nie ruszał się, chce-li być żywy.

— Coś za jeden? skąd? po co? — począł wolać, jakby w pomoc sobie innych chciał ściągnąć.

Podróżny, wcale nie zmieszany, dobył kawałek papieru i pokazał go żołnierzowi, który weń dłonią uderzył z pogardą.

— Co mi tam po tej szmacie! — zawołał. — Coś za jeden? mów!

Z trudnością, łamanym językiem, począł się tłumaczyć młody człowiek, że jeńcem był na słowo puszczonego i że jako człek rycerskiego rzemiosła rad się przypatrzeć tak wielkiej wojnie.

Żołnierz ledwie go znać rozumiał.

— Czyimże byłeś jeńcem?

Podróżny wymienił Andrzeja z Brochocie, dzierżawcę na Moragu.

— Tym mi się nie wylżesz — rozśmiał się żołnierz; — Brochocki już siedzi na Sztumie, bo mu go król pan nasz miłościwy puścił i jest w obozie. Niechże poświadczy, żeś nie szpieg krzyżacki.

Zrazu zdawał się tym zmieszany podróżny, lecz wkrótce namyśliwszy się, uspokoił.

— Dobrze, — rzekł — niech mnie prowadzą do niego.

Żołnierz, który stał znać na straży, obejrzał się, złożył rękę w trąbę i huknął ku szalasom nieopodal stojącym. Na to hasło wybiegło kilku w półzbrojach

i popatrzawszy, skąd głos szedł, jeden na głowę włożył miskowaty helm lichy, do ręki wziął toporek i pobiegł. Podróżny stał nieporuszony.

— Wojtek! — zawołał żołnierz — patrz mi na tego oto przybłądę. Niemiec jest, cuchnie mi krzyżakiem: powiada i wyświadcza się papierem jakimś, że jeńcem jest p. Andrzeja z Brochocic. Owóż Brochocki tu jest, prowadź go i oddaj mu, niech z nim robi, co chce, abyś mi go tylko nie opuścił. Jeśli uciekać zechce, siekiera w łeb najbezpieczniejsza rzecz; żadnej z tym już biedy nie ma, tylko szaty zdjąć i kieszenie pomacać.

Poczęli się śmiać, a Wojtek konia podróżnego za uzdę wzięwszy, wiódł go do obozu, toporek na ramię założywszy, aby go pod ręką miał na potrzebę. A tu się już i namioty nade drogą poczynaly i rycerstwa snuło się mnóstwo.

Jedni jeszcze byli w zbrojach, tylko co wróciwszy z harców, drudzy w koszulach i pół-żupanikach, boso niektórzy, co konie pławili, inni w rynsztunku pełnym jadący na swą kolej. Gwar, wrzawa i dobra myśl panowały w obozie. Psów zgraje uwijały się za kośćmi, beczki z piwem stały otwarte i czerpał z nich, kto chciał.

Biskupi namiot był tak wspaniały, jak królewski, i tak koło niego ludno wyglądało, jakby się tam do majestatu cisnęli wszyscy. Rycerzy pięknie poubieranych stało przed nim kilkunastu, a w środku też ich było pełno.

Stoły z desek pozbijane we dwa rzędy i ławy, wspaniale okryte, dokoła obsiadali panowie. Na nich dzbanów srebrnych i pozłocistych widać było coniemiarą.

Mężczyzna w fioletowej czapeczce, do żołnierza więcej, niż do duchownego podobny, w butach z ostrogami i przykróconej pasem sukni, z twarzą wesolą i ru-

mianą, z małą bródką i wąsem do góry podkręconym, rozmawiał u wniścia do namiotu z kilku panami.

Tu już podróżny z konia zsiąść musiał, bo między nimi i pana Andrzeja dojrzał, który mu się przypatrywał z dala. Dopiero, gdy na kilka kroków zbliżył się, poznał go Brochocki i podszedł ku niemu.

— A ciebie tu, hrabiątko nieszczęśliwe, co znowu przyniosło? — zawołał, Dienheima zobaczywszy.

— Ciekawość — odparł Kuno, — ale mnie strażę przed obozem za kolnierz ujęły, a papier z pieczęcią waszą despektu doznał.

— Co żołnierzowi do karty! — rozśmiał się rubasznie p. Andrzej — mieli słuszość wielką, fałszywych i zdrażliwych papierów na świecie więcej, niż ludzi. Ale cóż ty robić myślisz? Wszak ci nie wojować z nami?

Dienheim się zarumienił.

— To choć patrzeć na wojnę.

— I tego ci bodaj nie dadzą — odparł sztumski dzierzawca, — —chybabym cię tu komu w opiekę dał, bo cię smutny los spotkać może. Rycerstwo butne, a Niemca widoku nie cierpi.

— Jeśli łaska wasza, dajcież mi opiekę — rzekł Kuno.

— Na dzisiejszą noc obaj u kujawskiego biskupa zostaniemy. Człek to jakich mało, bo krzyżaków cierpieć nie może, a nam pomaga czym i jak umie. Karmi, poi, płaci i obdarza. Patrz-że nań, czy nie rzekłbyś, że żołnierz sam i do kopii stworzony?

To mówiąc, wskazał na stojącego przed namiotem, który, palcem na zamki ukazując, coś rozprawiał i głośno dowodził.

Wziąwszy na swą rękę znowu jeńca, odpuścił Brochocki żołnierza, co go przywiódł. Tuż namiot stał gościnnie, który biskup dla pospolitego rycerstwa

wystawić kazał; więc go za stół z innymi posadził Brochocki, a konia do swoich wziąć polecił. Znalazł się Dienheim w pośród wesołego towarzystwa, które go po rycersku przyjęło. Ten i ów boczył się na Niemca, lecz zlego nie czyniono.

Tymczasem o zachodzie ostatnie kule jeszcze z wieży od świętego Jana leciały na zamki, a za każdym strzałem ci, co wyżej stali, szukali ich śladu i opowiadali, gdzie padły. Inne działa, poustawiane między Witoldowym obozem, przed murami i u tego miejsca, gdzie na Wiśle most był, co go krzyżacy spalili, rzadko się też odzywały.

Nazajutrz pan Andrzej do Sztumu wracać musiał, który mu król dał, aby się na zamku obwarować. Dienheima dla języka nie mógł komu innemu zlecić p. Andrzej, jak Ślązakom. Było ich dosyć razem z Czechami, pod Chorągwią Jaśka Sokoła, Czecha, ulubieńca królewskiego, rycerza prawego i czelaka wybornego, do którego też Dienheima zaprowadził opiekun.

Jaśko Sokół rycerz i wojak był z rzemiosła, stary, porębany, zbity, bo mało miał kości całych w ciele, przez tyle przygód przechodził. W polu i hareu zimnym męstwem celował, a wielką i sławną zręcznością; gdy zbroję zrzucił, łagodny był, dobry, miękki i z kieliszka na wszelki sposób czerpać lubił.

Jaśko wałęsał się po świecie, służąc to cesarzowi, to królowi, to różnym książątkom, a wiodąc życie ciężkie a pracowite, nie dziw, że je sobie osładzał. Gdy przyszło się bić, spełniał obowiązek pocziwie, ale odpoczywając, nie żałował też sobie uciechy. I, jak to za owych czasów trafiało się często, Jaśko nie rozmiłowywał się naprawdę w niczyjej sprawie; wszystko mu to niemal jedno było, kto weźmie górę, nie obrzydział się krzyża-

kami, nie kochał do zbytku Polaków, samego króla miłował za to, że był pan szczerobliwy i dobry.

Jaśkowi Sokołowi wszystko było jedno, z Niemcem, czy z jakim innym obcować człowiekiem. Brochockiemu zawdzięczał nieraz dobre słowo u króla, Dienheima więc, poufale po ramieniu poklepawszy, do namiotu i pod opiekę wziął.

U niego Kuno pozostał.

Pilno mu było spełnić to, z czym przybywał, a niełatwo.

Chodził pod murami, bo tego nie broniono, szukając zręczności dostania się do zamku, a znaleźć jej zrazu nie mógł. Widział wprawdzie niemal każdego dnia, jak oblegający, aż do zbytku rycersko się obchodząc z obleżonymi, wypuszczali starych, niewiasty, wpuszczali pod różnymi pozory przybywających, lecz się do nikogo jakoś przyplatać nie umiał.

Jaśko wieczorami, wróciwszy od murów, gdy do namiotu przyszedł, a wyciągnął się, ręce pod głowę założywszy i kufel sobie narządziwszy przy barłogu, chętnie z Dienheimem gadał i poufalej daleko, niż z innymi. Poznawszy go lepiej nieco, począł się nawet przed nim wywnętrzać.

— Oni tego zamku nie wezmą, — rzekł jednego wieczora cicho. — Bóg wie, czy i to, co pobrali, utrzymają. Król jest wielkiego i dobrego serca, ale słaby: czynią z nim, co chcą. Krzyżacy mędrsi od węzów, w obozie już gadają różnie. Większej części się chce do żon i domów powracać. Króla straszą i modlą się, król stęka, wojsko choruje.

Westchnął. Było takich skarg dosyć, których Kuno chęciwie słuchał.

Któregoś wieczora Jaśko, wróciwszy, oznajmił, że komtur Plauen, który na Malborgu dowodził, króla o posłuchanie prosił nazajutrz. Dwaj heroldowie nad

wieczór przybyli i dano im odpowiedź, iż nazajutrz król go na rozmowę oczekiwać będzie.

Śmiała myśl przyszła Dienheimowi z wypadku tego skorzystać. Pomyślał sobie, iż łatwo do orszaku komtura przyłączyć się może, ukazawszy znak, jaki miał i z nim dostanie się na zamek. Z niecierpliwością więc następnego dnia oczekiwał.

Jakoż z rana z dział ognia nie dawano i jakby rozjem był umówiony, wojsko, zbrojno stojąc, ku murom nie ruszało. Jagiello, nie chcąc daleko wpuszczać do obozu nieprzyjaciela, w towarzystwie księcia Witolda, mazowieckich i innych książąt i panów rady, gdy na bramie zatrąbiono, stanął naprzeciw w świetnym orszaku.

Otworzyła się też wprędce furta od wrót boczna i wyszedł nią Henryk Plauen w komtura płaszczu, wraz ze stryjecznym swym, kilku Czechami i Ślązakami i z kilku szlachty świeckiej, co do zamku się schroniła.

Z wielką uniżonością zbliżył się do Jagielly on i inni.

W tej chwili Kuno, który był z boku daleko zabiegł, uczynił zręczny zwrot, ażeby się mógł dostać za orszak krzyżacki, a że nikt nań bardzo nie zważał, bo wszyscy na komtura mieli oczy zwrócone, udało mu się szczęśliwie zejść i znak dać owemu orszakowi, iż potrzebuje wniknąć do nich. Domyślając się jakiegoś poselstwa tajemnego, rozstąpili się szeroko ci, co z tyłu szli, a Kuno wsunął się pomiędzy nich zręcznie, oczekując już tylko szczęśliwego do zamku powrotu.

Tymczasem sprawiał Plauen swe poselstwo, jak mówiono, uniżając się i prosząc króla, ażeby pomorską, chełmińską i michałowską ziemię wziął i jako należące do Polski zatrzymał, pruskie tylko kraje, na po-

ganach krwią i pracą Zakonu zdobyte, jemu zostawując.

Wysłuchał tej mowy Jagiello spokojnie, inni też ani przerywali mu, aż pierwszy Zbigniew z Brzezia, znać z rozkazu króla, zażądał, aby się nad tym naradzić mogli.

Stał już naumyślnie przyniesiony nieopodal namiot, do którego weszli krzyżacy, nimby rada się zebrała i coś postanowiła. Kilku ze starszych zostało przy Plauenie, reszta wszyscy zgromadzili się pod innym namiotem, który do Jana z Tarnowa należał, dla obradowania nad tą krzyżaków ofiarą.

Jagiello dosyć był chętnym i skłonnym do przyjęcia warunków, lecz zaraz inni występować zaczęli, odzywając się, iż w tym było więcej zdrady i podstępu, i chęci zyskania na czasie, niż szczerości.

— Przyjdzie do zawarcia umów — odezwał się Mikołaj z Michalowa, wojewoda sandomierski, — ciągnąć będą, a gdy porę upatrzą, zerwą je. Idzie im o to, by z Niemiec posiłki czas mieli ściągnąć.

Sędziwój Ostroróg twierdził, że gdy tak uciążliwe dla siebie podają warunki, znać jeszcze gorszych się lękają, które sam zwycięzca będzie dyktował, gdy Malborg siłą opanuje, co rychło nastąpić musi.

Potwierdzili to inni, że twierdza podda się lada dzień i że widząc to, krzyżacy tak pokornie się proszą

Krystyn z Ostrowa i marszałek Zbigniew byli tegoż zdania, a choć król milezący inne miał przekonanie, ustąpił. Witold, nierad się narażać rycerstwu polskiemu, zmilezał. Spytano go o zdanie, rzekł, że z królem trzyma i woli gliniany pokój, niż złotą wojnę, ale się przy swoim upierać nie będzie.

Żywe rozprawy skończyły się tym, iż marszałek Zbigniew z Brzezia poniósł imieniem króla odpowiedź Plauenowi, iż ofiara tego, co jest własnością Kró-

stwa, za żadną nie może się liczyć ofiarę, iż należało naprzód Malborg zdać, jak się poddały inne zamki, warunków nie dyktować, a na królewską wspaniałość się spuszczać, spodziewać, iż Zakon, jak inne państwa niemieckie uczyniły, szczerze opatrzy.

Plauen słuchał cierpliwie bardzo odpowiedzi, nie okazując ani zdumienia, ni gniewu, ni wzruszenia.

— Jest-że to ostatnie królewskie słowo? — zapytał cicho.

— Tak jest, — odparł Zbigniew — jeśli żądacie szczerze pokoju, dajcie takie warunki, jakie się zwyczajem należą.

Plauen pomilezał chwilę, skłonił nieco głowę.

— Miałem nadzieję, — rzekł — iż król nad losem srodze dotkniętego zlituje się Zakonu. Pokorą przebłagałem gniew niebios, a waszego nie mogłem. Bóg więc uczyni co wola Jego, a mnie nie pozostaje nic nad to, bym się do ostatniej krwi kropli bronił. Malborga nie zdam po dobrej woli, a ufam Bogu i Opiekunce Jego Matce Najświętszej, że mnie z niego nie wygnacie.

Dumniejszym, niż przyszedł, zawrócił Plauen nazad do wrót, a król dosyć smutny i przybity do swego namiotu.

W orszaku komtura szedł już osłonięty jego towarzyszami Kuno, tak, iż nikt tego nie spostrzegł. Serce mu wprawdzie biło, dopóki do furty nie doszli. Tu go popchnięto przodem i znalazł się w ciemnym przejściu, bezpieczny o siebie. Znać o nim nie wiedzano i nie strzeżono się, gdyż usłyszał rozmowę, która pewnie dlań nie była przeznaczoną.

Plauena zatrzymał stary komtur, idący za nim.

— Bracie Henryku, — rzekł głosem poruszonym — Bóg się zaopiekował nad nami, ale wy, wy, jakżeście mogli na sumienie wasze brzemie takie brać i ustępstwo chcieć takie czynić, na które, gdybyście już dostojność wielkiego mistrza piastowali, gdybyście z kapi-

tułą radzili, a jeden głos padł przeciwny, jużby ich czynić się nie godziło!

Plauen odwrócił się do starego z wielkim spokojem. — Bracie mój, — rzekł — wiedziecie, że im większą czyniłem ofiarę, tym pewniejszy być mogłem, że jej nie przyjmą. Dzisiaj mamy za sobą to, że oni ją odrzucili. Nie śmiałbym im takiego nieść pokoju, gdybym nie wiedział, że, w pychę się wzbiwszy, odepczną go.

Plauenowi dano znać, gdy wychodzili w podwórze, o pośle z Torunia.

Zabrał go więc natychmiast z sobą na poufną rozmowę.

Na zamku teraz porządek wojenny panował surowy, a ludu było mnóstwo. Znaczniejsza część mieszczan malborskich schroniła się i koczowała tu pod ścianami, lub po wielkich budynkach na składy przeznaczonych. Na mury wtaczano ciągle kamienie, które z posadzek, ze ścian, z rozebranych budowli ściągano. Ludzie z kolei mieniali się na blankowaniu i pilne mieli oko na wsze strony.

Daleko smutniejszym sobie stan wewnętrzny tego ostatniego niemal schronienia zakonu wystawiał Kuno, niżeli znalazł w istocie. Plauen był spokojnym i mężnym. Dienheim odniósł mu, co powiedzieć miał polecione.

— Nawzajem, jeśli Bóg dozwoli, byście się dostali do Torunia, lub do którego z tych zamków, co się jeszcze trzymają, powiedziecie naszym, iż wcale odwagi ani nadziei nie straciliśmy. Mistrz inflancki ciągnie ku granicy, chcąc się przedrzeć do nas; próżne to usiłowanie: oddacie mu listy, a jeśli by one przepadły, powiecie, by Witolda wyzwał na rozmowę. Oddamy mu Żmudź, niech króla opuści. Sprzedamy dobra w Czechach. Węgry napadną na granice polskie, bo Ścibora

ujęliśmy osobno. Nie zabraknie więc ani grosza, ani posiłków, ani nadziei. Wytrwać tylko należy, a my na zamku, choćby głodem mrąć, do ostatniego chleba bochenka dotrzynamy.

Wydobyć się napowrót z murów daleko było łatwiejszym, niż dostanie się do nich. Nocą straż blisko nie podchodziła ku zamkowi, otwartą więc na przekop furta tajemną wypuszczono Dienheim, a że go nikt wchodzącego nie widział, gdy z przekopu dobywszy się, ukazał późno w obozie i do namiotu Jaśka przyszedł, ledwie się go spytano, kędy bywał. Wojsko wezasu wielkiego zażywało i do późna, zwłaszcza u przedniejszych, nieraz się zabawiano przy kubkach, nietrudno więc było i jemu o powieść jakąś, której Jaśko uwierzył.

— Gdybym był królem, — rzekł — przyjąłbym od dawna ziemie; bodaj dzisiejszego dnia kiedy nie pożalowali.

Już choć nazajutrz rad się był dobyć stąd Kuno, pod pozorem, że o dwie mile do Sztumu do Brochockiego chce się dostać, nie było sposobu dnia tego ruszyć, gdyż zamęt był wielki. Szturmowano gwałtownie, a niezbyt szczęśliwie. Krzyżacy uzuchwaleni uczynili wycieczkę w biały dzień ku działom, przy których z kolei straż pełnili Wielunianie. Ci się jej wcale nie spodziewając, w koszulach prawie chodzili i orężę poodpasywali. Jak piorun wypadła kupka zbrojnych, która w mgnieniu oka zabrała dowódcę od dział, kilka ich zagwoździła i nasiekłszy tych, co zbroi wdziać nie mieli czasu, uciekli. Choć im zaraz na kark wsiedli drudzy, niewielka z tego była pociecha, bo ogon tylko wycieczki schwycili, a jeńca odbić nie mogli.

Drugiego dnia, gdy już Kuno z obozu się ruszał, kula, z zamku wypadłszy, trafiła w stojący niedogorzwały mur kamienicy na miejskich zgliszczach. Właś-

nie od słońca szukając osłony, siedzieli tam w cieniu żołnierze z chorągwi Janusza księcia mazowieckiego, których murów, padając, stłukł wielu na miazgę. Wszczyniały się też w obozie choroby, nie z niedostatku, ale ze zbytku pochodzące. Było żywności nadto, a miary u żołnierza nie ma, padali więc jak muchy z feber, i chorób wszelakich.

Kuno tego wszystkiego się napatrzywszy, sprawiwszy poselstwo, rad był się z obozu wydobyć, a że drogę miał ukazaną i ludzi, u których bezpieczny mógł znaleźć przytułek, miał więc nadzieję, że choć uśmiech od pięknej torunianki otrzyma w nagrodę.

Jaśko Sokół przeprowadził go za obozowisko, wzdychając.

— Jedźcie z Bogiem, — rzekł — żebyśmy i my mogli się prędzej spod tych murów wydobyć, a w pole pójść, nieprzyjaciela gnać, lub stawić mu czoło; dzieńbyśmy ten błogosławili i godzinę, kiedyby hasło dano. Cięższa to pono sprawa stać a patrzeć, nie ruszając się a coraz nowego próbując, świat przechodzić.

Ks. Jana już też nie było w obozie, gdy go Kuno opuszczał. Z dobrą myślą, na odpasionym koniu, bo na żywności nie zbywało, ruszył tedy dalej, wzdychając ku tej, dla której życie, a potrosze i sumienie ważył.

Wincenty z Granowa, kasztelan nakielski, siedział z ramienia królewskiego na zamku toruńskim, a miasto i mieszczenie silili się na zjednanie go sobie, ugoszczenie i przyjęcie. Słyszeły naówczas toruńskie panie i z wdzięku i ze śmiałości swej w obejściu, którą może panowaniu krzyżackiemu winne były.

Rycerstwo, które pan kasztelan przywiódł z sobą, równie jak on sam wczasu zażyć i dobrej myśli żądne było.

Na zamku, który Polacy zastali zaopatrzonym tak obficie, jak wszystkie inne krzyżackie, życie się wiodło wesołe. Od nieprzyjaciela nie było się czego obawiać, bo zwyczajnie wojska urok jeszcze miały za sobą siły, z którą tu przyszły, przed którą wszystko padało na twarz w pokorze. Lada chwilę oczekiwano poddania się Malborge, a Gdańsk przyrzekł uroczyście, że tegoż dnia, gdy zamek główny będzie wzięty i on swe bramy otworzy. Mało co pozostawało przy Zakonie. Można więc było spocząć po znoju rycerskim i popuścić pasa. Łupami ładowano wozy, dzielono je między czeladź obozową, obrazy, rzeźby, naczynia srebrne i złote wysyłano do Polski, a spiżarnie karmiły żołnierza aż do zbytku, aż do rozpieszczenia.

Życie tu więc upływało tak mile jak w raju, i mało kto do powrotu wdychał, chyba młodą żonę zostawił i dzieciaki drobne. Z toruńskich mieszkańców wszyscy niemal pozostali przy domach i godzili się z przeznaczeniem. Ci, którym panowanie krzyżackie nie było do smaku, kłaniali się nowym bogom. Na zamku szło wszystko aż do zbytku porządnie i pilne oko miano na ludzkie obroty.

Dwóch podejrzanych, przy których pisma jakieś znaleziono, pan kasztelan *brevi manu* powiesić kazał. Wydał potem ciała ich krzyżakowi wikariuszowi przy kościele Św. Jana i pochować je polecił przystojnie.

Obawiano się więc pana z Granowa, i może dlatego mu wspaniałe uczty sprawiano. Szczególniej na nie siłił się burmistrz Werder, któremu i o miasto szło, i o siebie, aby obojga mógł oszczędzić. Werderowska kamienica nie ustępowała domowi pani Noskowej.

Wprawdzie i tu zrazu przychowano kosztowności po lochach, gdy Toruń zajmowała załoga nowa, powoli jednak, gdy się przekonano, iż rabunek żaden nie groził, wychodziło to nazad na stoły i do szaf, bo się chciało przed szlachtą z zamożnością mieszczańską pochlubić.

Werder był zarazem kupcem, znaczny handel prowadzącym z Flandrią i Anglią suknam i wyroby tkanymi, których Zakonowi dostarczał. Poważny to był mąż na oko, szczery i otwarty z pozoru, lecz niezmiernie przebiegły. Oszukać go nie mógł nigdy nikt, a mało kogo on w pole nie wywiódł.

Twarz miał tak otwartą, śmiejącą się, jasną, słowo tak obfite, iż zdalo się każdemu, że wszystko, co w sobie ma, wypatrzy i wygada. Nigdy wszakże nie powiedział więcej niż chciał i był powinien. Werderowi Zakonem dogodnie było, szczerze też doń przywiązany w duszy, dla nowych panów zdawał się mimo to najszczerzszym sługą. Kasztelan nakielski lubił go i ufał mu wielce, bo rozkazy jego spełniał w mgnieniu oka, a oprócz tego grzecznościami obsypywał.

Każdego dnia Werder był na zamku, czasem i po dwa razy, a niekiedy się z rycerstwem zabawiał, *cum debita reverentia*. W domu sama jejmość, matrona poważna, i trzy córki w kwiecie wieku, świeże, silne i hoże, tak śpiewały, jak ojciec zagrał. Umiały być smutne i nie przystępne, gdy skinął lub miłe i wdzięczne się, gdy tego była potrzeba.

Nie chował ich wcale Werder, chodziły i do kościoła, i po ulicach, a pono nawet z ojcem i matką na zamku gościły. Uznał wreszcie burmistrz właściwym kasztelana mieć u siebie i ucztę mu sprawić, co przedniejszych jego towarzyszków zapraszając.

Z mieszczaństwa nie było nikogo, a z kobiet tylko domowe, które, się gospodarstwem zajmując, do stołu

nie siadały. Wybrano dzień niepostny, aby mięsiwem nakarmić razem i rybami.

Naprzeciw kasztelana i jego rycerzy wyszedł po pół rynku Werder, czapkę trzymając pod pachą, i wprowadził do wielkiej izby na dole, umyślnie przybranej, obwieszanej suknami, wysłanej od progu szkarłatem. Wedle obyczaju, dwóch błaznów, choć niemieckich, stało w progu, by, jeśli nie mowa, to ruchami szanownych gości rozśmieszać.

Stół był zastawiony choć na dwa razy tyle osób, misami jedna przy drugiej, a po tym pierwszym daniu jeszcze dwoje nastąpić miało. Konwi na stole z winami, miodami więcej było niż potrzeba. Zasiadło więc gwarno rycerstwo, a pan kasztelan na pierwszym miejscu. Dopiero nadeszła jejmość z córkami powitać go i zaprosić, aby jadł smaczno, co Bóg dał. Werder też, nie siadając, nad stołem czuwał.

Gdy chłopcy wodę i ręczniki obnieśli dokola, a ręce umyto, wszczął się szturm do mis okrutny, tak, że wkrótce gołe stały, a kości pod stołem (taki był obyczaj wówczas) leżało pod dostatkiem przy każdym.

Nalewano kubki, ochoczo zabawiali się wszyscy, ale gospodarz z tego mało co zrozumiał. Błaznowie wyprawiali trefne żarty na migi i miny stroili, aby gości rozśmieszać.

Przyszło drugie danie, potem i trzecie ze słodkimi potrawy, i owoce domowe i obce, a wina też nie skąpiono. Kiedy niekiedy z miską jaką w rękę, coś osobliwego zawierającą, albo Werderowa lub jedna z córek się zjawiała, a te oczyma przy stole siedzący jedli, emokając.

Panny były, prawda, rąk potężnych, kształtów dużych, rozrosłe silnie, ale świeże jak krew z mlekiem, a śmiejąc się, pokazywały rzędy zębów białych, jak

perły w malinowej ust oprawie. Przytomność ich rozweselała dziwnie rycerstwo.

Trwała biesiada do mroku niemal, lecz w ostatku już przy dzbanach tylko; trzy obrusy zdjęto z trzema daniami, ostatni, który został, szyty był misternie i najpiękniejszy. Na nim misy z migdałami, figami, rodzynkami i orzechy, z cukrem w kawalkach małych, imbirem i innymi łakociami, stały już tylko obok dzbanów i flasz. Rozweselone umysły odzywały się śmiechy i śpiewami.

Kasztelan zjadł i napil się tak obficie, iż trochę czuł potrzebę drzemki, ale ta go nigdy na długo nie napadała. Kilka razy oczy zmrużyć dosyć mu było.

W drugiej izbie siedziały panie, a była obszerna też i do niej wniknąć nikt nie bronił. Więc młodszy radzi tam byli zajrzeć, do trzech panien burmistrzówien. Kasztelanowi też myśl ta po drzemce przyszła i ruszył się z za stoła, a za nim kilku ochoczych, by pani Werderowej podziękować.

Już na próg wchodzili, gdy, jakby ich co olśniło, stanęli wszyscy, nie śmiejąc go przestąpić.

Pani Werderowa gospodarzyła jeszcze około dzbanków, wydając je służbie, trzy panny stały z boku, ale wydawały się teraz patrzącym na nie, jakby nagle po-brzydły i zgasły. W pośród nich stało strojne dziewczę, w sukni jedwabnej z grubej tkaniny, podpasanej złocistym paskiem sadzonym, u którego wisiała złotem też szyta torebka.

Suknia u góry wycięta, a bramowana bogato, obwiedziona była białym rąbków puchem. Na ślicznej szyjce wspaniały łańcuch dwa razy się zwił i spadał na piersi, ze zwieszoną przy nim balsamką rubinami sadzoną. Rozpuszczone włosy kręcone świeciły jak jedwab, a mocniej stokroć oczki figlarne i usta maluczkie, ściągnięte, z wyrazem dumy i szyderstwa.

Z pod rękawów rozciętych i zwieszonych sukni, białe, przezroczyste, drugie, pospinane sznurkami złotymi, wystawały, obejmując maluczką rączkę, całą w pierścienie okutą.

Strojne to dziewczę nie miało, a przynajmniej nie zdawało się mieć lat więcej nad kilkanaście, lecz śmiało patrzyło, nie zleknione, na wchodzących rycerzy, choć oni widokiem jego zdawali się rażeni. Pan z Granowa patrzył i patrzył, a nie miał odwagi iść dalej.

— Wygląda jak królowna! — rzekł do Dobka z Włoszowej, który przy nim stał — ale któż to jest? Czy czwartą dziewczka tego Werdera?

Sklonił się w tej chwili wysuwający się z drugiej izby burmistrz i tym językiem, jakim się był zwykł tłumaczyć, przedstawił *Illustrissimo et Excellentissimo Domino*... córkę kupcowej sąsiadki swej, znakomitej pani Barbary Noskowej, szczególnie sławiąc ją z tego, że językiem polskim mówić umiała.

Zaleciła się ona już nim otwarła usta, samą swą powierchownością rycerzom, którzy uwielbienia nie tając, jedni drugich do drzwi ciągnęli aby to cudo wszyscy mogli oglądać.

Ofka stała tak wystawiona na oczy ciekawe mężczyzn wcale nie pomieszana, uśmiechając się z pewną dumą.

— Prawdziwy ogród różany to wasze miasto Toruń — odezwał się kasztelan — takie u was kwitną kwiaty...

— A wy ten ogród nielitościwie depeziecie — przemówiła Ofka, zbliżając się z pokłonem do kasztelana.

— Uchowaj Boże! — rozśmiał się kasztelan — grzech by był i wina okrutna; przyszedłszy owszem oczy i serca nim nacieszyć. Z niewiastami wojować nie myślimy.

Urywana rozmowa, do której ten i ów rad się był słówkiem wmieszać poczęła się w małym kółku.

Ofka strzelała oczyma, a gdzie ten strzał padł, to do serca trafił. Werderówny podobały się tym, że według polskiej pogadanki, wyglądały „jak lanie“, ta znowu, że do królowej była podobna i pańską miała postać, a gdy usta otwarła, zdumiewała słowem swobodnym i rozumnym.

Oczarowani nią wszyscy, byliby stali, patrząc do jutra, gdyby piękny ten gość, ledwie się pożegnawszy, nie uciekł i nie schronił się gdzieś, w głąb domu. Pospały się pytania gradem, kto była i co za jedna. Werder rozповідаł szeroko o zamożności, bogobojności, dostojności pani Noskowej, stokroć więcej, niż sam o nich trzymał. A gdy po owej uczcie rozeszli się goście i pan kasztelan na zamek powrócił, unieśli z niej wspomnienie najżywsze owego niespodziewanego zjawiska.

Wielu się nadaremnie pozawracają głowy.

Było to w przeddzień powrotu pani Barbary Noskowej, która, na drodze się z ks. Janem spotkawszy, dowiedziała się o córce, i brata też wzięwszy z sobą, szczęśliwie znowu „Pod jelenia“ zawinęła.

Matka i córka długo się w objęciach trzymały, pierwsza nie miała siły wyrzutów czynić, druga czuła, że nigdy jej do macierzy tak, jak teraz, serce nie biło. Popłakały się obie. Poczciwy ksiądz wyprosił się zaraz i uszedł dla modlitwy i spoczynku. Z nim też obu jejmościom nie na rękę było. Żadne mniej nie rozumiało się i nie godziło rodzeństwo. Ks. Jan krzyżaków nie lubił, surowego był obyczaju mąż i cały w Bogu; Noskowa i córka jej kochały Zakon jak siostry i na wszystko dlań były gotowe.

Matka nie ustępowała w tym córce, mniej tylko miała odwagi.

Przy ks. Janie szczerze się nawet rozmówić nie śmiały, lecz, gdy odszedł, nie mogły sobie nawzajem dość naopowiadać o wszystkim. Noskowa płakała nad losem Zakonu, mając go za zgubiony; Ofka żyła nadzieją. Trwały szept i narady do północy, aż się rozeszły w zgodzie, a córka, jak zawsze, nawróciła matkę i wpoila jej co chciała, nade wszystko to, że Polaków zdradą tylko i chytrącią podejść można.

Doniosła też o Dienheimie, za którym matka była zawsze. Uśmiechało się jej owe grafstwo, choć się do tego przyznać nie chciała, choć niby nim pogardzała.

— Tyle dobrego, — szepnęła Ofka — że teraz mi służyć musi, a jeśli głowę całą wyniesie, a wojna się skończy, znajdzie się czym go odprawić, lub... zobaczymy. Śpieszyć się nie ma czego.

Kilka dni upłynęło; jednego wieczora zapukano do drzwi, Kuno na górze się zjawił, ale zastał matkę samą. Pani Barbara chłopca dosyć lubiła, a nawet oczyma doń strzelała, choć on tego nie zdawał się rozumieć.

Kazała mu przy sobie siąść i wina przynieść. Ofka też, dowiedziawszy się o nim, zeszła z góry, nie zadawała sobie pracy przybrać się dla niego.

Porwał się Dienheim, zobaczywszy ją: przyjęła go zimno.

— Byliście w Malborgu?

— Tak jest — odezwał się Kuno — i w obozie królewskim i na zamku w Sztumie.

— Cóżście przynieśli?

— Zlecono mi wiele, nie darmom głowę niósł, to dosyć.

Ofka się zarumieniła.

— Myślicie tu siedzieć?

— Gdy powrócę od mistrza inflanckiego, do którego jutro ruszę.

— Malborg się nie podda?

— Ani się podda, ani go zdobędą... w obozie choroby, Rycerstwo powracać rade, król znużony.

Śluchały kobiety, a Kuno szeroko opowiadał po swojemu. Dorabiał się w ten sposób łask dziewczęcia, które o czym innym myślało. Noskowa wychwalała Dienheim, Ofka milczała. Próżno się o dobre słowo przymawiała.

— Śpieszcież do mistrza, jeśli doń poselstwo macie, — dodała w końcu — wypoczywać długo nie potrzebujecie. Teraz i godzina znaczy.

Chciał Kuno odwiedzić ks. Jana, Ofka za wychodzącym wybiegła, palce trzymając na ustach,

— Lepiejbyś go nie widział, — rzekła — lepiejby nie widział was, Jego serce w polskim obozie. To święty człowiek, ale nie nasz.

Odprawiono więc hrabiego na dół, pod opiekę Wolffa, a nazajutrz dostarczono mu przewodnika tego samego starego czлека, który Ofce towarzyszył, i z rana Kuno puścił się w drogę.

W kilka dni potem w domu pani Noskowej takie same czyniono przygotowania, jak u Werderów. Trochę kobiecej próżności było w tym, aby gorzej się nie pokazać od burmistrza; więc między strachem wydawania się z bogaćtwy, któreby łakomstwo obudzały, a dumą kupcowej, aby domowi honor uczynić, środek wybrano. Kasztelan nakielski przyjął zaproszenie z ochotą.

Przybrano dom, w co tylko było można, choć Wolff się obawiał i, mruczając, przeciwiał. Noskowa sama przywdziała strój najbogatszy i wszystkie swe najcięższe łańcuchy, najdroższe manele, tak, że z trudnością pod ciężarem tych klejnotów poruszać się mogła. Chciała być piękna, i istotnie byłaby zgasiła inne mieszczy, gdyby nie córka. Ofka na ten dzień przy-

brała się skromniej, lecz z przemyśłem wielkim. Stała u zwierciadeł, próbując, co jej najlepiej było do twarzy, zmieniała przybory, dodawała, darła. wreszcie, gdy wyszła z wianuszkami różanym na skroni, matka się sama z radości i zazdrości razem zapłoniła.

— Ja będę dziś podczaszyną, — zawołała — ja kasztelanowi nalewam! Wzrok jej zaiskrzył się, oczy błysnęły i padły na balsamkę, zawieszoną u szyi. Matka tych słów nie zrozumiała i pocałowała ją w czoło.

Uczyły się zwykle owych czasów o południu poczynaly, więc nim wydzwoniono u św. Jana godzinę, kasztelan już z zamku jechał z drużyną, wszyscy strojni w co kto miał najlepszego.

Noskowa w jedwabkach i łańcuchach, z czołkiem perłami szytym na głowie, czekała we drzwiach z córką i prowadziła gości na schody.

Pierwszego dnia dziwiono się Ofce, teraz poszaleli wszyscy, pierwszy pan z Granowa, który oczów od niej oderwać nie mógł, a ona mu się też sama wzięła słuzżyć, kaski podawać i kubek nalewać. Inni szczęśliwi byli z wejrzenia Noskowej, której wdzięki też niepoślednie czyniły wrażenie na młodzieży.

Gdy u Werderów lekkie wino zrazu nalewano i głowy długo były swobodne, tu starym sektem uraczono tak gości, że przy pierwszym daniu sobie podchmielić musieli. Ochocho też niezmiernie biesiadowano, dziwując się tylko wielkiej zamożności i panów kupców toruńskich i wyszukanych przyprawom zamorskim, których drudzy domatorowie i z imienia nie znali.

Ofka służyła z pilnością wielką kasztelanowi, który sarninę i ryby tak żarłocznie zjadał, iż, gdyby nie wino, na najlepsze kaski pod koniec jużby mu sił nie stało. A przy każdej misie naglono do picia i wino było tak przednie, iż się samo do ust prosiło.

Pod koniec rycerskie pieśni chórem śpiewać zaczęto. Kasztelan, zmordowany, czerwony, pot z czoła uznójonego ocierał i rad był, gdy ostatnie danie z obrusem zdjęto, a pod spodem na podziw gości ukazał się jedwabny, którego brzeg perłami był oszty.

Rycerstwo, patrząc nań, szemrało, że chyba do kościola się godził.

Kubek po kubku wychylał z rąk Ofki kasztelan, bo go po korzennych przyprawach pragnienie okrutne paliło. Już pod wieczór uczuł się z niepomiernego ucztowania jakoś koło serca niedobrze, pożegnał więc gospodynię i całe z nim rycerstwo na zamek pociągnęło.

Aż do drzwi i za wrota nawet sama Noskowa odprowadzała, dziękując za cześć domowi jej wyznaczoną.

Tak wszystko szczęśliwie się skończyło, z niemalą zazdrością Werderów, którzy w wystąpieniu Noskowej chęć zaścieniania siebie upatrywali, a wkradnięcia się w łaski pana kasztelana.

Nazajutrz rano Ofka niespokojna, oka nie zmrzywszy w nocy, po tych hałasach i zmęczeniu, wstała wprzód niż matka i chodziła po domu, wyglądając jednym, to drugim oknem w ulicę, ku zamkowej stronie.

Kilku konnych przebiegło rynek, kilku pieszych z zamku i na zamek śpieszyło, z jakimś pomieszanem.

Gromadki mieszczan poczęły się tu i owdzie zbierać, a ktoby był pilno na nie zważył, dostrzegłby łatwo, że ku oknom kamienicy Noskowej ostrożnie wskazywali palcami. Lecz, jak skoro kto z załogi ukazał się z dala, pierzchało wszystko. Cisza jakaś złowroga panowała w mieście.

Ofka widziała, jak Werder pobiegł do zamku.

Rynek się wreszcie przywożącymi na targ zboże ludźmi i stojącymi około wagi i miary miejskiej wypełniać zaczynał Ks. Jan wyszedł ze mszą do kościoła. Ofka została w domu, udając spokój, ale widocznie pomieszana i wzruszona.

Okolo dziesiątej Werder się ukazał w rynku, idący od zamku z spuszczoną głową. Spojrzał na kamienicę, zawahał się, oglądał i wpadł do niej, Ofka chwyciła chustkę, której już od kilku miesięcy nie szyla, i siadła jak do roboty.

Drzwi się otworzyły; wszedł Werder, ale z głową spuszczoną i posepny.

Stał w pośrodku, jakby nie wiedział, co pocnie: włosy gładził i wzdychał. Ofka, rzuciwszy chustkę, podstaąpiła ku niemu.

— Niestety się stało — rzekł zeicha.

Dziewczę pobladło.

— Kasztelan obżartuch.., kto go wie, nadto jadł pewnie: coście mu wczoraj dawali? Zachorował; nieby nie było, ale księdza już sprowadzał; czuje, że nie wyżyje, tak go we wnętrznościach pali.

Spojrzał na Ofkę, której blade lice pokrył rumieniec.

— Jadł dużo, pił wiele — rzekła obojętnie — przecież drudzy to co i on jedli i pili, a zdrowi chodzą? Któż winien?

— Kto mu wino nalewał? — cicho odezwał się Werder — ciągle woła w chorobie, że go w winie otruto!

Ofka uderzyła w dłonie i brwi zmarszczyła strasznie.

— Ja samam mu wino nalewała! nie zapieram — rzekła.

Na te słowa nadbiegła Noskowa z rękami załamanyymi.

— Niepoczeiwi ludzie gloszą, żeśmy wczoraj struli kasztelana! — krzyknęła z lamentem wielkim — niepoczeiwi ludzie!

— Z nimi ani się klócić, ani się całować — szepnął Werder — i tak źle, i tak niedobrze. Rady nie ma. Kasztelan niezły był człowiek; kto wie, kogo po nim dadzą.

Jeszcze wyrazów tych nie dokończył, gdy we dwu-ny uderzono u św. Jana i wszysej zamilkli osłupieni. Poznać było łatwo, iż dzwoniono po umarłym.

Ofce zrobiło się słabo; ujęła poręcz krzesła, zatoczyła się i usiadła.

Werder podstaąpił do okna.

W rynku stała kupa ludzi z głowami ponachylanymi; opowiadali jedni, słuchali drudzy. Środkiem konnych kilku we zbrojach jechało zwolna do zamku z podniesionymi przyłbicami, spod których twarze wi- dać było posepne i groźne.

— Kasztelan musiał umrzeć — szepnął Werder.

— Czy wy płakać po nim będziecie? — ozwała się Ofka. — Miły panie! a toż cieszyć się chyba, że ich ubywa.

Przestraszona Noskowa, łamiąc ręce, chodziła po izbie. Wtem, z kościoła wracający, w progu ukazał się ksiądz Jan, blade i zmieszany wielce.

— Niestety wielkie! — zawołał — i po cóż to na nasz dom spada! Pan kasztelan umarł nagle, wołając ciągle, że został otruty. Wczoraj tu był na biesiadzie. o Boże mój! taka plama na nas! na dom ten!

— Szczęściem — odezwała się Ofka — nie on przecież sam u nas biesiadował, byli z nim drudzy, a żyją.

Ksiądz załamał ręce w milczeniu. Werder stał osłupiały, Noskowa drżała, jedna Ofka, odzyskawszy już przytomność, z twarzą zaognioną, zdawała się raczej rada temu, co się stało, niż strapiona.

— Wysłano już do króla — zawołał ks. Jan — na zamku poploch niewypowiedziany. Jedni się odgrają, trwożą drudzy: cóż my pocniemy?

— Nikt nie będzie śmiał na nas rzec słowa — odezwała się Ofka — byleśmy my sami, trwając się do zbytku, nie dali im powodu. Co dzień umierają ludzie, a przy biesiadzie śmierć za ławami chodzi.

I głową potrząsa obojętnie.

Szumiały gaj osłaniał nad brzegiem rzeki rozłożone naprędce obozowisko. Z wetkniętych u namiotów chorągwi obliczyć było łatwo, iż ich więcej nad dwanaście nie było, ale uzbrojeniem swym wydawały, że je wybrano z najcenniejszych, które pod Zyndramem u Grunwaldu walczyły. Żołnierz to był stary, wywieszony i tak okuty żelazem, że cudzoziemskim i krzyżackim zaciągom mógł stawić czoło.

Pod innymi walczył lud równie mężny, ale pośledniej opatrzonej w oręż, o który naówczas nie było łatwo. Płatnerze domowi kuli wprawdzie ciężkie zbroje, lecz one i ramionom były do dźwigania niełatwe, i nie każdemu oparły się ciosowi. Przedni rycerz sposobił się za ostatni grosz w zbroję lekką a twardą, co się cięcia i pchnięcia nie lękała. Takimi właśnie okryci byli ci, co u brzegu rzeki pod drzewy spoczywali, wysłani przez króla, pod dowództwem Witoldowym, aby przeciąć drogę mistrzowi inflanckiemu, Henrykowi, który z kilkuset przedniejszych braćmi w pomoc oblężonemu śpieszył.

Witoldowe wojsko za słabe było, ażeby temu dobrowolnemu Inflanckiemu skutecznego opór stawić mogło. Szły więc Zyndramowe chorągwie, ciesząc się walką z wczasu.

Namiet ks. Witolda stał opodal na wzgórzu, a obok niego, w wykopanym dole, naniecono ogień i czeladź obracała przed nim pieczeń sarnią na stół pański, aż z lasu ukazał się herold. Wojsko, które odpoczywało, gdy na skraju ujrano konnego posła, powiewającego chustą, całe niemal się zerwało, bo nikt w bliskości nieprzyjaciela się nie spodziewał, a herold zdawał się go zwiastować. Na tarczy miał jakieś godła niemieckie rogate i szachowane, których nikt nie znał. Konia zatrzymał, podbiegł do niego od obozu starszy i długo czekano, nim nakoniec poprowadzono go do Witoldowego namiotu.

Samemu księciu wcześniej dano znać, stał więc w pogotowiu na przyjęcie.

Tu i owdzie w obozie odzywały się głosy niechętnie, żeby zamiast bitwy nie przyszło do jakich układów. Szemrano, że kawał drogi na próżno odbyły chorągwie, gdy nie spotkawszy się z nieprzyjacielem, na heroldów trafiło. Zły to był znak.

Herold przed namiotem miał rozmowę z Witoldem, lecz jej nikt słyszeć nie mógł. Dano potem posłowi przewodnika, aby sobie spokojnie nazad szedł, co też nie nie znaczyło dobrego.

Ledwie skosztowawszy, co mu jeść podał, książę o konie wołał, żadnego z dowódców polskich z sobą nie wziął, tylko dwóch swoich i czeladzi kilku i w las jechał.

To już było najgorszym ze wszystkich znaków. Po wojsku chodziła wieść, że na rozmowę był wezwany książę od mistrza Hermana, który z Inflant ciągnął, a przeciw któremu wojsko było wysłane.

W istocie, o godzinę drogi, w miejscu odludnym, czekał orszak krzyżaków na ks. Witolda. Nie był on liczny. Wielki mistrz, dwóch komturów, jeden duchowny, czeladzi i knechtów kilku.

Pozsiadawszy z koni, siedzieli pod dębami, oczekując, gdy Witold się ukazał. Mistrz Herman pierwszy wstał. Mnich to był więcej, niż żołnierz, mężczyzna słuszny, cienki, nieco pogarbiony, z twarzą i oczyma przebiegłości pełnymi. Gdy w gaju ukazał się Witold, który konia wstrzymał i zbierał się zsiąść z niego, wielki mistrz pośpieszył ku niemu, wyprzedzając i nadążył, gdy jeszcze jedną nogę miał w strzemieniu.

Z pokorą wielką skłonił głowę. Książe dumnie witał, lecz uprzejmie. Znali się z widzenia i ze sławy, i z sąsiedztwa nie zawsze przyjaznego.

— Wasza miłość i ja — odezwał się Herman — nie potrzebujemy świadków, ani słuchaczów rozmowy. Odejdźmy nieco, abyśmy swobodniejsi byli, spodziewam się, że długą nie będzie.

— Słucham was, — rzekł Witold — choć nie wiem, czy już rozmowa na dobie, gdy oręż z sobą mówić począł.

— Na dobre słowa czas jest zawsze — mówił mistrz z wielką łagodnością i przymileniem. — Zaprzysięgłście więc zgubę Zakonu?

— Radzibyśmy być w zgodzie, ale... — począł Witold.

— Nie marnujemy słów, — ciągnął mistrz — króla Jagielly sprawa a wasza, dwie są oddzielne, po co je łączycie? Mówię dla w. miłości, nie dla króla. Mnożycie jego potęgę, aby wam więcej ciążyła? Pomagacie jemu, gdy winniście myśleć o sobie? Kto wam zapłaci straconych ludzi, wylaną krew? Gdy Zakonu nie stanie, król znajdzie powód obrócić się na was. Czyż tak nie bywało?

— Ale dziś jest inaczej — odezwał się Witold.

— A! do czasu! — mówił łagodnie mistrz — jam się tu zbliżył umyślnie, nie dla wojny, pokój niosę i wam.

i królowi nawet. Chcemy go szczerze. Złamaliście nas, potrzebujemy czasu, aby kłeski jak rany się pogoili.

— Czegóż chcecie? co dajecie nam? — rzekł Witold.

— Ja wam przynoszę Żmudź waszą, oddajemy ją, nie królowi, ale wam, za to tylko, abyście od Jagielly odeszli i nie pomagali do zupełnej zagłady chrześcijańskiego, szpitalnego zakonu.

Witold uśmiechnął się trochę szydersko.

— Szpitale dziś przemieniły się w śpichrze, a Zakon w pulki.

— Któż nas zmusił do tego? Niesiemy światło, tamujecie nam drogi.

— Cóż więcej? — spytał Witold nieco niecierpliwie — co więcej?

— Oto tam stoi człowiek, wysłany do mnie z Malborka.

W orszaku mistrza był Kuno Dienheim.

— Dajemy wam Żmudź, ofiarujemy wam przymierze stałe, przyjaźń i wdzięczność wieczną.

Witold się zadumał; spostrzegłszy wahanie, Krzyżak mówił dalej coraz natęczywiej.

— W. miłość nie odrzucaj tak mojej ofiary, jak król Jagiello odepchnął Plauena: bogdajbyście tego nie żalowali. Pomóżcie mi do króla się dostać, dojść do Plauena, a i z Jagiellą pokój stanie.

Rozmowa tak poczęta, przerwana na chwilę, kilka razy zawiązywana na nowo skończyła się po dwóch godzinach szepty cichymi: Witold milczał, mistrz mówił, nacierał, dowodził i z weselszą twarzą nareszcie księcia pożegnał.

Oba orszaki potem rozjechały się szybko, każdy w swoją stronę, a Witold biegł do obozu, do którego wrócił przed wieczorem. Oczekiwano go tu z niecierpliwością wielką. U namiotu stał Krystyn z Ostrowa

i kilku starszyny, których Witold, jakby pomieszany skinięciem głowy powitał.

Znano go, że mówić długo nie lubił, ani się był zwykł ze swych czynności tłumaczyć. Nie rozwodząc się nad tym, dlaczego tak postanowił, oznajmił, iż jutro mistrza inflanckiego sam przywiedzie do króla.

— A chorągwie tu pozostaną? — zapytał Krystyn, rzucając okiem ciekawym na księcia.

Witold odparł, jakby zmuszony:

— Wyrobiłem to na mistrzu, iż wojsko swe odeśle do Balgi i Brandenburga, sam tylko w pięćdziesiąt koni jedzie ze mną. Chorągwie do obozu wracają.

Krystyn skłonił głowę, nie rzekł nic, a ks. Witold wszedł do namiotu.

Nazajutrz rano, przez swego herolda poprzedzany, w. mistrz zjawił się nad Passarga. Obóz zwijano niechętnie. Wyprzedzał go ks. Witold z mistrzem Hermanem.

Pod Malborgiem dziwnie się szczęściło i nie powodziło naprzemiennie. W wojsku opowiadano różne sprawy nie do wiary, które potrosze ducha odejmowały. Zdawało, na wysokim zamku, na ścianie kaplicy św. Anny, widny był całemu obozowi olbrzymi ów obraz Matki Boskiej, na tle złocistym. Gdy w tę stronę, na zamek, kierowano działa, mówili ludzie, że pękały.

W wojsku szerzyły się wieści, że ten obraz sam zamek obraniał i że on nie może być zdobytym, póki go ta patronka broni.

Przedłużone obleżenie wszystkich zarówno nękało, najgorzej pono Ślązaków i Czechów zacieźnych, których na zamku dość było. Niemala ich też i w polskim znajdowało się obozie. Często, w godziny odpoczynku, trafiało się obyczajem ówczesnym, że jedni pod murami stojąc, drudzy na murach, rzucali ku sobie słowami i wojowali żartami i łajaniem; nieraz też poznawano

się wzajemnie, bo ci, co przed rokiem walczyli w jednej chorągwi, ramię z ramieniem u króla Zygmunta, znajdowali się teraz przeciwko sobie jako nieprzyjaciele.

Tymczasem, gdy ze strony Zyndrama i rady wojennej Jagielly postępowano wspaniałomyślnie, Krzyżacy przekupywali ludzi, wysyłali gońców, używali wszelkich środków godziwych i niegodziwych i śmiali się z tej prostoduszności rycerstwa polskiego.

Można już było przewidzieć koniec tam, gdzie jeden z przeciwników przebierał w sposobach walczenia, a drugi wszystko miał za dobre, co do celu go wiodło.

Szło już o istnienie samo Zakonu, któremu śmiertelny cios zadano, a dobić go owa szlachetność nie dopuszczała.

Jagiello znużony, byłby już przyjął pierwsze warunki, jakie mu wprzód podawali Krzyżacy; oni zaś, spodziewając się posiłków z Niemiec i ufając w Zygmunta, przyjąć ich teraz nie chcieli.

W takiej chwili Witold przybył z mistrzem inflanckim, Hermanem, do obozu. Droga i obcowanie z Witoldem dłuższe starczyły na pozyskanie go zupełnie Herman łagodnymi słowy wciąż bezustanku wystawiał Witoldowi jego własny interes, który zawsze najlepiej do serca przemawia. Gdy do Malborka przybyli, nie ulegało wątpliwości, iż Inflanctzyk na swoim postawi.

Sam Witold przedstawił go Jagielle, oddając mu nadzwyczajne pochwały i ręcząc za jego pojednawcze usposobienie. Mistrz Herman przybywał, jak mówił, jedynie dla widzenia się z Plauenem, aby nań wpłynąć do zgody. Dopraszał się wpuszczenia do zamku na rozmowę, któraby rychlejszy koniec wojny miała na celu.

Gdy Inflanctzycy znaleźli się na zamku, i oni sami, i Plauen rzeczywistości niemal wierzyć nie chcieli. Nieprzyjaciół sam dopomagał przeciwko sobie. Mistrz

inflancki miał kilka dni do rozmowy i narady. Zgodzono się na to, jak zdobyte zamki odzyskiwać, jak dobra w Czechach sprzedawać, aby mieć co najwięcej pieniędzy, do kogo w Niemczech zgłosić się o pomoc i listy wysyłać, jak przemówić do Zygmunta, ażeby swych obietnic dotrzymał.

Jagiello czekał z nadzieją na powrót mistrza inflanckiego, gdy ten knuł zdradę przeciwko niemu.

Naostatek, po kilku dniach wystąpił herold, a za nim mistrz Herman, z poczem swoim. Za nim na wozie jechał chory, jęczący staruszek, proboszcz gdański, którego wypuszczono przez litość. W wozie, na którym leżał, ukryto trzydzieści tysięcy dukatów, mających służyć dla komturów w Gdańsku, Człuchowie i Świeciu!

Mistrz wyraził wymownymi słowy boleść swą przed królem, iż Plauena nakłonić nie mógł do natychmiastowego poddania. Przysięgał, że go namawiał, że zaklinał i miał nadzieję, że się namyśli.

Dano mu odjechać, a oblężenie dalej się ciągnęło, ale już coraz leniwiej. Witold był chmurny, znękanym i w kilka dni potem zaczął się dopraszać, aby mu z ludźmi odejść było wolno.

— Ludzie moi — mówił — giną, jak muchy, setkami; zbytek i rozpusta ich zabija: całe wojsko stracę.

Opierał się Jagiello długo, przyrzekał mu, co chciał tylko: Witold stał uporczywie przy swoim. Trzeba mu było dać odciągnąć, a co gorzej, dla uchronienia go w drodze od napadu, któremu by się oprzeć nie mógł, dać jeszcze kilka chorągwi na zasłonę.

Odejście Witolda nie tyle osłabiło potęgę Jagiellową, jak na duch wojsk wpłynęło. Było to oznajmieniem, przepowiednią zakończenia wojny. Połowa pańów polskich rwała się do domów; zakochany Jędrzej z Tęczyna, kasztelan wojnicki, wzdychając do swej

Hanny, co dzień kładł w ucho królowi, że im czas do Polski powracać; że Zakon i tak złamany, już się podźwignąć nie może: dość będzie po zamkach zostawić załogi.

Wkrótce po Witoldzie książęta mazowieccy jeli się prosić z ludem na spoczynek. Tak długo byli już w polu!

Król i rycerstwo, jeśli się bez Witolda obejść mogli, tym łatwiej bez garści ich ludu.

Z murów malborskiego zamku widać było odciągające oddziały i coraz zmniejszające się zastępy Jagiellów. Na zamku zaczynało braknąć chleba, a ludowi zaciężnemu cierpliwości; ale mistrz ciągnął od dnia do dnia, wiedząc przez swych szpiegów, jakie są w obozie usposobienia.

Jagiello nie był już owym zwycięskim panem, który nazajutrz po bitwie promieniał radością pobożną; niepokoił się i gniewał. Krzyżackie oddziały na prowincji, jak z pod ziemi wychodząc, rosły.

W samym otoczeniu króla zdania były podzielone: jedni namawiali, ażeby zajętego stanowiska nie opuszczać; drudzy, znękani, odkładali resztę na następną wyprawę.

Napróżno Jan z Tarnowa i Zyndram Maszkowski dowodzili, że Zakon jest hydrą, której jedną zostawisz głowę, wkrótce jej wszystkie odrosną: że dając czas, da się Krzyżakom sposób uratowania się; inni wołali, że Zakon zabity jest i że europejskie mocarstwa podniosą wielką wrzawę na króla i naród, jeżeli z okrucieństwem zakon krzyżowy nękać zechce.

Piętnastego września rano król znużony radę zwołać kazał. Domyślano się o co szło, więc ci, co do niego należeli i kiedykolwiek przypuszczeni byli, do namiotu pańskiego się zbiegli. Młodzież pod dowództwem Ję-

drzeja z Tęczyna, kasztelana wojnickiego, starsi pod przewodem Mikołaja podkanclerzego.

Tu także stoczyć się miała bitwa walna, mająca stanowić o losie Malborka i rycerstwa.

Jagiello, ze zwykłą swą powagą i chłodem, zasiadł niby widz i słuchacz. Otoczyli go panowie rady. Wyrwał się pierwszy w imieniu wielkiej większości rycerstwa, między którym rej wodził, Jędrzej z Tęczyna, gwałtownie nalegając na króla, aby rycerstwu swojemu dał folg i spoczynek, że i tak dosyć uczyniono dla sławy oręża i dla osłabienia Zakonu. Poparli go inni wołaniem i pokłonami:

— Miłościwy panie! i wam, i nam do domów czas. Wróćmy i dobijemy nieprzyjaciela, zostawimy załogi po zamkach. Odeciągnął ks. Witold, poszli Mazury; dla czegoż na nasze barki cały ciężar ma spadać?

Gwar powstał wielki, gdyż starsi na wstyd i hańbę wołać poczęli, a drudzy wyzywać, aż król musiał się kazać uciszyć, a ks. Mikołajowi dał głos. Ten już z oblicza pańskiego widział, że napół go zmiękczył Jędrzej z Tęczyna i owo głośnie wołanie i prośby.

— Miłościwy królu — rzekł — lepiej było nie poczynać, jeśli się miało nie kończyć. Na sławie stracimy, a wszystka krew wylana pójdzie marnie. Zamek ostatkami goni i poddać się musi. Stójmy a trwajmy. Jeśli, odstępując, przyznamy się do słabości, Zakon podniesie głowę, wpadną w jego ręce znowu wszystkie zamki i dzierżawy. Nie uczyniliśmy nic.

To mówiąc, ks. podkanclerzy rzucił się królowi do nóg i ze łzami błagać go począł, aby nie czynił swemu imieniu i rycerstwu krzywdy największej, a nie podawał się w pośmiewisko.

Przemówili inni za podkanclerzym, ale kasztelan wojnicki wyrwał się też z głosem zaraz, wiedząc, że u króla wrzawą i gwałtownością wszystkiego dokonać

można. Nie odstępował więc, prosząc ze swej strony i ręcząc, że rycerstwo pójdzie z królem znowu, wyczerpując i dzieła poczętego dokona.

A że król i przez Witolda już był wprzód na pół ujęty, i tajemnie przez Tęczyńskiego napastowany cięgle, gdy uciszono się, aby posłyszeć wyrok jego, przemówił za ustąpieniem.

Poparci więc ci, co tego pragnęli, górę wzięli, a podkanclerzy ze swoimi musiał ustąpić. Król radby był pogodzić przeciwników i środek znaleźć jakiś, lecz środka na to nie było.

Stało więc na tym, ażeby odchodzić, ale przykazano zarazem, aby o postanowieniu nikt w obozie mówić nie śmiał, bo cokolwiek tu rozpowiadano, wnet szpiegi na zamek donosili. Mimo to, nad wieczorem, szeptali uradowani jedni drugim na ucho, że już odeciągnąć postanowiono, dalej mówiono o tym półgłosem, a w godzin kilka głośno ten i ów tłumoki i sakwy gotował i na Żuławy gdzie się konie pasły, posyłał po swoje. Wnet wieść na zamek dobiegła: Plauen uczul się ocalonym.

Dziewiętnastego września z rana podpalono obozy, na mury wybiegło co żyło patrzeć: dymy te zapowiadały wyswobodzenie. Zwijano namioty, chorągwie się ścigały, król smutny wyszedł z namiotu.

Widok tych chorągwi weale był inny, niż gdy z pod Grunwaldu nadeciągały. Ludzie i konie spaśli się, wozów ładownych łupami moc się wlekła niezmierna, ale to nie było owo rycerstwo natchnione, rozgorzałe i do walki skore: obleżenie je znękało gorzej boju.

Tak ciągnęły chorągwie pod Sztum, kędy z Brochockim pozostali załogą Bartosz z Trębawli, Kagnimir z Tuchowca, Pakosz Bystrzonowski i kilku innych. Wiedzieli oni wszyscy, co ich tu po odejściu króla czekało od Krzyżaków, że ani dnia, ani nocy spokojnej

mieć nie będą, ale na to się święcili i harce te mile im były. Wyprowadziwszy króla do bram, p. Andrzej ścisnął go za nogi i prosił o błogosławieństwo, a gdy wojsko odciagało, wrota zamknął, zwody podniósł i stał, patrząc już tylko, rychło go zaczepią. Nie czekał też długo.

W Kwidzynie Jagiello zwiedził celę pobożnej i świątobliwej Doroty, modlił się i stąd jeszcze do Sztumu żywność posłał. Z rana, drugiego dnia, stanęło rycerstwo pod Radzynem, który od bitwy grunwaldzkiej aż do tego dnia nadaremnie oblegano. Krzyżacy trzymali się zamku, choć miasto się już poddało. Złożono radę: czy dobywać taki gród mocny. Znowu tedy ci, którym śpieszno było, wołali, by mu dać pokój, kiedy go przez tak długi czas nie zmożono. Odłożono do jutra postanowienie.

Piękny to był i świetny dzień znowu dla owych rycerzy, co rozkazu nie czekając, jak lwy niezdobytą twierdzę napadli. Można powiedzieć, że czterech lub pięciu dzielniejszych poprowadzili za sobą wszystkich: Dobek z Oleśnicy, Piotr Chelmski, Florek z Korytnicy i Piotr z Oleśnicy, łowczy sandomierski.

Jak mrowie obsiadło mury co żyło. Dobek podpadł pod bramę sam i kazawszy wrota rąbać, choć mu tarczę, którą robotnika zasłaniał, podziurawiono strzałami, nie ustąpił. On i jego ludzie wdarli się do niższego zamku. Na wyższy w tej samej chwili wpadli, albo się raczej wdrapali drudzy. Florian z Korytnicy, który już stał na murze, spotkał się tu oko w oko z wiekomtorem, Niemcem jak wół silnym i odważnym. Starli się i schwycili za barki, aż komtur musiał się cofnąć. Na przedmurzu Piotr z Oleśnicy już był ze swymi, choć ranny w nogę i tarczą się tylko zasłaniając.

Gdy ich ujrzała załoga, bojąc się, aby jej rozjątrzone rycerstwo w pień nie wycięło, poddała się.

Jagiello na nieszpór wjechał do zdobytego zamku. Piętnastu krzyżaków stało, powiązanych sznurami, czekając śmierci. Darowano im życie.

Z kaplicy szedł król do skarbcza, który strzeżono, aby się czeladź doń nie wdarła. Stanęli kołem panowie, a król klejnoty, pieniądze, łańcuchy, sprzęt kosztowny rzucał i rozdawał najprzód tym, co zamek zdobywali, potem innym, kto się nastreczył...

Jagiello był tak hojnym zawsze, iż ostatni płaszczyk z siebie zdjąć był gotów, byle go kto poprosił.

Jagiello jeszcze Wisłą z niewielką liczbą statków popłynął z Raciąża do Torunia, więcej, aby miasto obejrzeć i wczasu zażyć, niżeli z potrzeby. Wiele mu o bogactwach i piękności jego mówiono. Ludzie lacono zapomnieli, że tam się nie bardzo rycerzom wiodło, bo nie wojując z nikim, jak kasztelan nakielski, wymierali, lecz czasu wojny nikt grobów nie liczy.

Z rana, w sam dzień św. Wacława, oznajmionym mieli torunianie o spodziewanym królewskim przybyciu. Całe niemal miasto wysypało się na brzegi i wzgórze okryte było świątecznie poprzybieranymi mieszczkami, paniami i panami, między którymi i trzy piękne Werderówny niepoślednie zajmowały miejsce.

Wyszła z innymi i Noskowa, ale Ofka została w domu i Kuno, który tu przesiadywał znowu, nie bardzo się rad był pokazywać.

U brzegu, kędy statki przybić miały, i szkarłatnym suknem przystań była wysłana, stanęło duchowieństwo całe w uroczystych ubiorach, z chorągwiami, śpiewając:

Tua est potentia, tuum regnum Domine!

Proboszcz, krzyżak, staruszek, rad nierad, innym przewodniczył.

Jagiello, z procesją wiedziony, udał się od brzegu do kościoła św. Jana, gdzie mszy wysłuchawszy, jechał na zamek, kędy dlań obiad przygotowano.

Część dworu i rycerstwa podejmowano na zamku, mnogich zaś, co się z innych grodów zbiegli dla widzenia króla, pobrali do siebie dla ugoszczenia mieszczanie.

Kuno, który stał w rynku, gdy się tłum ów rozdzielał właśnie, nie spostrzegł się, jak go stary znajomy, ulubieniec królewski, świeżo osadzony w Radzynie, Jaśko Sokoł, po ramieniu uderzył, wesóło się śmiejąc.

— A tu to jesteś, zbiegu, — zawołał — przecieżem cię złapał.

Kuno zmieszał się trochę; stali właśnie nieopodal od kamienicy Noskowej, a Ofka na nich oknem patrzyła. Jaśko aż węża pomuskał, spojrzawszy na to cacko w oknie.

Dziwnie bo strojna wyglądała dziewczyna: blada, z brwią namarszczoną, z gniewem tłumionym w duszy, usiłująca się uśmiechać i ukryć, co czuła. Matki jeszcze z powrotem nie było.

Jaśko, nie słuchając już odpowiedzi Dienheim, oczy wlepił i cudował się dziewczęciu.

— Hej! hej! — zawołał głośno — gdyby choć godzinę w życiu w te oczy popatrzeć.

Kuno chciał go zagadać, nie udało mu się to. Jaśko z okna nie spuszczał wzroku.

Z wysoka spadło słowo.

— Hrabio Dienheimie, proścież swojego przyjaciela do nas! Innych już wszystkich nasi panowie mieszczańscy rozebrali między siebie: dla nas nikt nie pozostał.

Kuno pobladł; przez tych dni kilka, które spędził z nim pod namiotem, poznał dobrze starego żołnierza i polubił go wielce. Nierad był go do Nosków prowa-

dzić. Sam zakochany w dziewczynie, doświadczał przy niej dziwnego uczucia trwogi. Mówiono jeszcze o uczucie pana z Granowa: dziwne przychodziły myśli i podejrzenia.

Ofka z okna zawołała raz drugi, uśmiechając się Jaśkowi i ręką go wzywając do domu.

— Chodźcie, proszę, i przyjmijcie u nas gościnę.

Rzucił się Jaśko ku drzwiom cheiwie, a Kuno za nim. Zdawało mu się, że, nie zdradzając się, potrafi Sokoła odciągnąć gdzie indziej: znał nienawiść dziewczyny dla nieprzyjaciół Zakonu.

— Starosto miły — rzekł, wchodząc — nie idźmy my tu; dziewczę piękne, ale bałamutne. Szczerze mam rzec, niebardzo w gościnę ochotną wierzę. Nadto tu Krzyżaków kochają, aby tym, co dla Jagielly służą, radzi być mogli.

Jaśko się rozśmiał i lekko go ręką odtrącił.

— Co mi za obawy! — zawołał — rycerska sprawa i niewieście fochy zwyciężać. Przecież prosi, a prosi tak piękna dziewczka, że dla niej i w piekle gorzeć warto.

— To najbogatsza dziedziczka w mieście — dodał Kuno, lękając się, aby Jaśko nie wziął jej za płochą zalotnicę.

— Tymci lepiej, będzie miała nas czym ugościć.

Noskowa wchodziła we drzwi z drugą jejmością, gdy się właśnie u schodów spierali. Spojrzała na urzędnika, choć nie młodego rycerza i uśmiechnęła mu się. Po rysach poznała w niej Jaśko matkę. Ona sądziła, że Kuno go prowadził.

— Chodźcie, radzi wam będziemy — rzekła. — Wszyscy w Toruniu dziś gości mają, tyłkom ja, wdowa nieszczęśliwa, skazana na to, by jeść samotnie.

— Pan starosta królewski z Radzynia. Jaśko Sokół — odezwał się Kuno — a mój dobry i laskawy opiekun czasu pobytu w obozie.

Weszli tedy na górę, kędy ich Ofka czekała z jakąś niecierpliwością w progu. Teraz z bladej twarzy jej stała się rumiana; oddech był przyśpieszony: szatański uśmieszek błakał się po ustach. W białej rączce trzymała balsamkę złotą, zawieszoną na łańcuchu.

Sokół nie wiedział już między dwiema: powabną matką a uroczą córką, na którą patrzeć i którą po żołniersku ukochać na dwie godziny, póki na koń nie zabiją.

Znać się Noskowa na przyjęcie gości gotowała, gdyż stół spory był w jadalnej izbie nakryty. Prosto tam szli, bo godzina późna była. Ofka skinęła na Kuna, który był jej służką posłusznym.

— Któż to jest ten stary gach, co tak do młodych oczyma strzela, myśląc, że już i kobiety zawojowane muszą przed ich siwymi padać wasami.

— To Czech, Jaśko Sokół, starosta z ramienia króla na zdobytym Radzynie.

— Wiem, tam gdzie stary Stein poległ mężnie na murach. To on pewnie zabił Steina?

— Nie wiem, ale człek dobry.

— Wszyscy oni dobrzy, — rozśmiała się Ofka — oni! ależ my! my! jakie my jesteśmy dobre. Wczoraj byliśmy siostrami Zakonu, jutro gotowaliśmy być diabła siostrami, gdyby do Torunia zajechał.

Spojrzała z rodzajem pogardy na Kuna: ten stał pomieszany. W drugiej izbie Jaśko dworował Noskowej i śmiał się. Usłyszawszy śmiech, Ofka drgnęła i po ustach jej przeleciało coś jak wyraz zajadłego gniewu. W tejże chwili wbiegła do izby i siadła naprzeciw Jaśka, który z matki przeniósł wzrok na córkę.

W tem miśy zaczęto przynosić.

Żołnierz się zdumiał srebrom, puharom i dostatkiem, choć wszystko to gasło przy blasku oczów matki i córki. Wkrótce jednak Ofka odciągnęła go od niej zupełnie; po drugim kubku wina Sokół dopominał się całować białe ręce. Dano mu jedną, a była tak drżąca z gniewu, iż mogła się wydać drżąca jakimś uczuciem innym.

Z izby, w której jedli, po kilku schodach było wnieście do wystawki oszklonej, wiszącej nad ulicą. Stały tam ławy dokoła, z których, otwarłszy okna, wygodnie patrzeć było można w ulicę.

Od stołu, przy którym goście jedli, nie można było dojrzeć wnętrza, tylko jeden Kuno siedział tak w rogu, iż oko jego głębiej sięgało. Nagle Ofka zaczęła się bardzo krzątać około kubków i wina.

Jaśko chwalił sekt przedziwny.

— A! nie będzie on smaczny, aż ja go wam z cukrem i korzeniami przyprawię — zawołała, wstając.

Kuno drgnął; dziewczę nie zważało na niego. Pobiegło po schodkach na wystawkę i Dienheim widział, jak dobyło z za rąbków pektoralik, otwarło go, w mgnieniu oka parę kropel w kubek wpuszczając. Chciał się zerwać i biec, gdy Ofka, spostrzegłszy go, zmarszczoną brwią, okiem nakazującym w miejscu go przykuła. Kuno struchlał. Dziewczę nalewało sekt, rzucało cukier i miałko utarte przyprawy.

Białuśka rączka kubek niosła żołnierzowi, który ze szczęścia, z tej rozkoszy, lzy miał w oczach.

— A! królowo ty moja! pewnie żaden napój w życiu tak mi jak ten nie smakował — zawołał przejęty, kubek trzymając w ręku — ale chcesz, by mi nad wszystkie balsamy wydał się słodszy, przytknij do niego usteczka twoje, wypij kropel kilka...

Ofka się rozśmiała, oczy jej błysły.

— Jam się zarzekła, nigdy nie prócz wody nie piję — odpowiedziała, śmiejąc się — tego uczynić nie mogę.

Matka chciała ją namawiać, nie wiedząc o niczym: spojrziała na nią groźnie. Wtem Kuno, w którym serce było, wstał, chciał podejść do Sokoła, aby mu choć przypadkiem kubek wytrącić; lecz nim doszedł do niego, stary już wychylił go do dna i przewrócił na znak, że próżny.

Wróciwszy na swe miejsce, Kuno ani jedzenia, ani napoju nie tykając, dotrwał do końca, ciągle tylko patrząc na Jaśka. Ale na nim wcale żadnych skutków złych znać nie było, owszem, stał się jeszcze śmielszym i weselszym i wino dobyło z niego wspomnienia przeszłości.

— O! moje jasne gwiazdy — mówił do kobiet, uśmiechając się — i ja to kiedyś byłem taki szczęśliwy, że miał młodą, hożą i kochaną u boku niewiastę. Pan Bóg mi ją wziął. Zostawiła mi tylko po sobie dwóch chłopaków złotowłosych. Toż to będzie radość, gdy mojego Mikołajka i Jaroszka znowu na kolanach posadzę i będę im prawić, jak my się tu w Prusach bili tego i jakie piękne widzieliśmy panie.

Ofka, słuchając, nieco pobladła: zamyślona sparła się na łokciu.

— Powiedzieć im — dodała po cichu — jakieście wy, chrześcijanie, tłukli tych starców, co z krzyżami na piersi szli przeciwko wam... jakieście tu skarby zabrali i jak pięknie płonęły wioski, przyświecając wam po nocach do puharów i pieśni.

Jaśko spojrział na nią zdziwiony.

Wtem przestraszona Noskowa poczęła już o czym innym mówić, usiłując to w żart obrócić.

Wtem na rynku trąbić zaczęto. — „Król! król“ — wołano.

W istocie Jegiello tegoż wieczora odpływał do Nieszawy; prowadzili go duchowieństwo i mieszczenie, i panowie rady, i rycerstwo.

W pośrodku rynku, na królewskiej drodze, stała wielka kobiet gromada; postrojone, pobielone, a ciękawie i cisnące się, by Jagiellę zobaczyć mogły.

Król był dobrej myśli dnia tego.

Ubrał się nawet lepiej niż zwykle i włożył płaszcz swój aksamitny na kożuszek i żupanik, a na głowę kolpak soboli. Zobaczywszy to niewiast kółko, przystanął i uśmiechać się począł do nich. Śmielsze z pokłonami przybliżyły się ku niemu.

— Cóż tu was tak wiele? — spytał Jegiello — a bodaj i od mężczyzn więcej.

— Wyście to temu winni — odechwycała śmielsza jedna — wszystkich nam mężów wybiliście i braci. Sameśmy sieroty zostały i kłaniamy ci się, miłościwy panie, abyś nam dał mężów i opiekunów.

— O, toć dla takich jasnych twarzy nie będzie trudno — rzekł król, śmiejąc się, któremu całe rycerstwo wtórowało.

Obstąpiły tedy Jagiellę dokoła, szezebiocąc, a choć się bał i czarów niewieścich i oczu dziewczęcych, rozochocony zapominał o tym i chwilę pogwarzył.

Gdy się ruszył ku brzegowi, poszły za nim, chustkami miotając i oczyma goniąc długo *).

Gdy od stołu ruszyli się, a Jaśko żegnał śpiesznie gospodynię, aby do króla podążyć i jeszcze go zobaczyć,

*) Cała ta scena i obydwie otrucia w Toruniu — historyczne (Długosz).

bo po to był do Torunia przyjechał, kobiety do okna zbiegły patrzeć, jak w rynku króla obstępiono.

Ofka, drżąc, spoglądała na to widowisko, a każdy śmiech głośniejszy kobiet odbijał się na niej drżeniem konwulsyjnym. Wtem ujrzała Jaśka, który wychodził z kamienicy, slaniając się. Kuno go podtrzymywał; blady był, sparł się o mur na chwilę, potem rzucił się dalej iś i przeciskać przez tłum, lecz chwiał się na nogach. Pomimo to dobił się do króla i wyciągnął rękę do jego dłoni, chcąc pocałować, gdy się na bruk obalił.

Odkoczył Jagiello na krok, nadbiegli drudzy ratować: podniesiono go z ziemi. Sądzone zrazu, że zbyt sobie podochocił, lecz biedny Sokół jęczał, skarżąc się na boleści wielkie, a że nie posadzał nikogo, na rybe, której wiele zjadł, to zrzuceł.

Rycerstwu zaraz przypomniała się choroba pana z Granowa, poczęli go pytać, kędy jadł. Wskazał na dom. Nie już nie powiedziano mu, lecz wszczęły się szepty i spojrzenia złowrogie ku oknom.

Kuno stał nieco opodał osłupiały.

Gdy cały lud toczył się już ku brzegowi rzeki, za królem, Jaśka na rękach wzięto do gospody. Kuno już za nim iść nie śmiał. Spojrzał w okna kamienicy Noskovej: nikogo w nich nie było.

Płochy i niewiele myślący chłopak pierwszy raz w życiu surowiej pomyślał o ludziach, o świecie i o kobiecie. To, co widział, przeraziło go; poczuł wstręt i trwogę razem do tej, ku której go ciągnęła namiętność. Jak pijany zawrócił się parę razy na rynku.

Potem na jakąś odwagę się zebrał i wszedł do kamienicy

Na dole miał trochę węzełków swoich, naprzód do izby się udał i śpiesznie gotował się do drogi.

Gdy wszystko zgromadził, a pasa wziął, na górę poszedł.

Noskowa płakała, siedząc w krześle, i powtarzała jeden wyraz:

— Nieszczęście.

Dienheim, nie chcąc o tym zagajać rozmowy, szepnął tylko, że jechać musi, bo mu czas przychodzi stawić się na słowie.

Wstała Noskowa z czułością go pożegnać i pragnąc powstrzymać.

— Radbym został, Bóg widzi: nie mogę — odparł cicho.

Obejrzał się dokoła. Ofki nie było: wskazała mu matka drugą izbę: w niej dziewczę, w tej wystawce właśnie na ławie siedząc, w miasto patrzyło takimi oczyma, co nie nie widziały.

Gdy się Kuno przybliżył, drgnęła, spojrzała nań i nie nie mówiąc, ręką na ławę wskazała.

Potem, znowu nie mówiąc słowa, odwróciła głowę i wlepiła oczy w mury.

— Pożegnać was muszę — odezwał się Kuno.

— Jedziecie? — spytała — dokąd?

— Jestem jeńcem puszczonego na słowo i stawić się muszę.

— Zlekliście się Jaśka losu, nieprawdaż? Mnie samej go szkoda. Ale po cóż im służy? My nie mamy innego oręża.

Kuno zmilezał.

— Podpatrzyliście mnie? O niech mnie na stos prowadzą, ja się nie zaprę. Wiem, kto mi to dał i co mi mówił przy tym. Jednej rzeczy żałuję, że ich więcej na winie moim nie było.

Oczy miała obłąkane. Kuno spoglądał, była tak piękną, że na chwilę zapomniał o zbrodni; zląkł się więc samego siebie i wstał, by odejść.

— Nie pytam was, czy powrócicie — odezwała się Ofka — nie wróćciecie pewnie? Bo też ja bym dla was

nie była żoną, ani wy mężem dla mnie... ja męża nie chcę, bo panować nad sobą nie dam. U mnie jedynym panem — krzyż-zakon.

— I dla niego wy... — poczynął Kuno.

— Dla niego — podchwyciła Ofka — wszystko: jam siostra w zakonie i serce moje tam.

Dienheim nie chciał już ciągnąć rozmowy, pokłonił się, nie prosił o rękę do pocałowania. Ofka się rozśmiała smutnie, spoglądając na dłoń swą.

— Lękacie się, czy tam jaka kropla nie przylgnęła?

Skinęła mu główką dumnie i usiadła znów, patrząc w okno. Kuno, choć go ciągnęło do dziewczęcia, zwyciężył się: odszedł. Nie był jeszcze w progu drugiej izby, gdy suknia za nim zaszeleściła. Ofka biegła...

— Czekaj! — zawołała — stój! Nie jesteś wolnym, bo ja cię nie uwalniam od słowa i służby. Lękasz się mnie? Ja tak samo kochać umiem i nienawidzić. Wy walczyście z nieprzyjacielem waszą, ja moją bronią niewieścią: podejściem i zdradą.

— My, my walczymy — rzekł Kuno — bronią przeciw broni, orężem przeciw orężowi, życiem przeciwko życiu.

— Ja także życie stawie, — przerwała Ofka — lecz po cóż się mam tłumaczyć? Spełniam rozkazy i czynię, co mi zlecono. Hrabio Kunonie, nie chcecie mnie znać więcej? mówcie?

Spojrzała na niego wyzywająco, wlepila oczy śmiało, patrzyła nań; choć zmieszany odwrócił wzrok, i gdy znowu spojrzał, znalazł oczy jej w sobie utkwione. Potęgą tych oczów i uśmiechu zwyciężyła go: zawahał się. Była tak dziwnie, piękną, tak strasznie silną i pewną siebie, iż on uczuł się złamanym.

Ofka zdjęła z palca pierścioneł i trzymając go w ręku, bawiła się nim, spoglądając na hrabiego.

— Nie chcecie więc pierścienia? odpychacie rękę? — zapytała. — Rzucę go w ulicę: niech go kruk sobie na gniazdo poniesie.

Łzy zakręciły się jej w oczach.

Nie wiedział, jak pogodzić tę czulość z okrucieństwem, w głowie mu się pomieszało, powiedział sobie:

— Zginę, ale będzie moja.

I wyciągnął rękę, milcząc, po pierścień. Ofka go z lekka cofnęła.

— Dam go rzekła — ale służyć mi musisz... jeszcze raz. Zaniędziesz poselstwo do Michała Kochmeistra, wójta Nowej Marchii, ażeby śpieszył pod Koronowo; dasz znać, że Osterod, Niedborg i Działdów odebrane, Morąg się nie utrzyma, Sztum musi się poddać; Koronowo niech idą i odbiorą: siła jest mała.

Wszystko to wypowiedziała z pośpiechem, szybko. z oczyma iskrzącymi się zapalem. Pierś jej podnosiła się żywo.

— Trzeba iść, — dodała — trzeba iść żywo. Niech się cieszą zwycięstw i usypiają. My po jednemu podbieramy grody nasze.

To mówiąc, obejrzała się i pobiegła do szafeczki ukrytej w murze, dobyła z niej dwa małe zwitki i wręczyła je Dienheimowi, który jedną rękę wyciągnął po nie, drugą po pierścień. Ofka, patrząc mu w oczy, obrączkę oddała i uśmiechnęła się, jakby z politowaniem.

— Jedź! — rzekła — wracaj: gdy do Torunia komtury powrócą, ja pójdę z tobą do ołtarza.

Za wychodzącym hrabią przestąpiła próg do pokoju, w którym siedziała matka.

— Matuniu — rzekła — to mój narzeczon: dала mu pierścień i słowo.

Lekkim okrzykiem, wesołym prawie, przyjęła tę nowinę Noskowa i podbiegła uścisnąć Dienheima, który

stał zmieszany więcej, niż szczęśliwy niespodzianą dola swoją.

Nie dało mu długo zatrzymać się despotyczne dziewczę.

— Trzeba, żeby jechał teraz — dodała — a gdy powróci...

Podawała mu rękę i z dziwnym uczuciem, raczej miłosierdzia niż przywiązania, zakryta drzwiami, pocałowała go w czoło. Kuno wyciągnął rękę, by ją pochwycić, lecz drzwi się zatrzasnęły i dziewczę uciekło.

Gdy z kamienicy wyszedł w rynek Kuno, w głowie mu się zawracało i długo oprzytomnieć nie mógł. Siadł wreszcie na konia, którego trzymał stary przewodnik i puściwszy go przodem, zatopiony w myślach wyjechał z miasta, które jeszcze wrzało i poruszało się świeżymi wypadkami, wyrwane ze zwykłego trybu życia.

Rad był z tego, że przynajmniej sam podróżą swoją kierować nie potrzebował, całe staranie zdawszy na mileżącego przewodnika, który na zapytania skinieniem tylko głowy znać mu dawał, ażeby był spokojnym.

Zaledwie z miasta wyruszywszy, stary okiem rzucił po okolicy i, gościniec wymijając, przez pola i zarośla, puścił się małymi ścieżkami.

Po wyjściu Dienheima Ofka przypadła do nóg matce, kryjąc głowę na jej kolanach: nie mówiły do siebie słowa. Obie nadto, choć różnie były wzruszone. Wśród tego mileżenia, które każdy szelest, co je przerywał, czynił strasznym dla Ofki, zwolna otworzyły się drzwi. W progu ukazał się ks. Jan, nie jak zwykle odziany, ale w starej sukni swej podróżnej, z sakwą przewieszoną przez plecy i kijem w ręku. Powstająca na widok jego Noskowa zdziwiła się pełnemu znaczenia ubiorowi brata, więcej jeszcze twarzy, wyrażającej wzruszenie i kapłańską powagę.

On i siostra, która mu należny dla duchownego okazywała szacunek, nigdy się dobrze zrozumieć nie mogli. Ks. Jan był dawnym sługą Jagielly, kobiety gorliwymi siostrami Zakonu. Cichy kapłan, nie mogąc ich nawrócić, mileżeć wołał, niż rozdrażniać.

Ksiądz Jan smutne ale uroczyste miał oblicze. Wszedł do środka izby, stanął, podparł się na kij i, rękę wyciągnawszy ku Noskowej, rzekł:

— Bądźcie zdrowi, mnie wracać potrzeba: niech Bóg ulituje się nad wami.

— Jakto? chcecie nas opuścić? — zawołała, rzucając się ku niemu Noskowa — dlaczego?

— Nie jestem tu potrzebny, — odpowiedział, wzdychając — pójdę się modlić w kościółku moim.

— Lecz, bracie, dlaczego ten pośpiech? — spytała kupcowa.

— Dziś czy jutro, wszystko to jedno; odejść potrzeba: niech Bóg ulituje się nad wami.

— Nie mówisz mi szczerze, — przerwała Noskowa — chyba cię co odpycha od domu mojego?

Staruszek zamyślił się.

— Tak jest, — rzekł — odpycha mnie to, że trzymacie z ludźmi, z którymi ja trzymać nie mogę. Wyście siostry krzyżackie, a ja, ja proszę Boga, aby się ulitował nad nimi, jak nad wami, bo to nie są ani zakonnicy, ani żołnierze Chrystusowi, ale dzieci Baala, ale rozbójnicy i szalbierze.

Oczyrna moimi patrzałem na ich czyny, przeszedłem ziemie te podbite, nasłuchiłem się o ich życiu i sprawach, — mówił dalej ks. Jan — sam Bóg kierował ręką Jagielly, by złamał ich potęgę.

Siostro moja, — czulej odezwał się ks. Jan — jedna krew w nas obojgu płynie, więc choć wszystkich ludzi miłuję równo, ale więcej ciebie nad innych bliźnich. Siostro moja, nie chcę opuścić domu tego, bym ci nie

rzekł: Pokutuj i ty, i nawróć się, ty i dziecię twoje. Chrystusowi służcie.

Zamilkł na chwilę ksiądz, a gdy Noskowa, zaniósłszy się od płaczu, nie odpowiadała, ciągnął dalej:

— Matko, źle wychowałeś dziecko, będziesz mieć na sumieniu zgubę jego.

Ofka zbliżyła się na kilka kroków zuchwale.

— Co mi macie do zarzucenia?

— Wszelaką rozpustę i swawolę,—odparł ks. Jan—prze-
stałeś być niewiastą, stałeś się dzikim zwierzęciem.

Ofka roześmiała się urągliwie, a matka, usłyszawszy to, porwała gniewna.

— Bratem mi jesteście, — zawołała — ale nie po bratersku karcicie.

— Owszem, po ojcowsku, bom duchowny; po bratersku, bom nie przestał być bratem waszym, dopóki nie tracę nadziei nawrócenia.

Matka i córka nieporuszone stały w miejscu. Noskowa wstyd ogarnął jakiś, gdy brata ujrzała już biorącego za kłamekę.

— Nie idźcie ode mnie z gniewem, — rzekła, doganiając go — proszę was.

— Nie z gniewem idę, ale ze smutkiem, — szepnął ks. Jan — prawdę rzekł, obowiązek spełniłem, wszystko skończone.

Noskowa stała, oparłszy się o mur, nie śmiejąc go już napastować, on, nie oglądając się, szedł zamyślony ku wyjściu i rynkowi, a spostrzegłszy drzwi kościelne otwarte jeszcze, zawrócił do św. Jana, aby przed podróżą się pomodlić.

Nad wieczorem, spytawszy o wielki gościniec, rozpoczął podróż.

Dnia 10 października, w dzień piątkowy, św. Gerona, liczne rycerstwo polskie, zbierające się w mia-

steczku Koronowie, właśnie do postnego zasiadało obiadu. Wesóło było pod szalasami i szopami, w których zastawiono lada jakie stoły na beczkach i pali-
kach, po większej części z wydartych tym samym szopom drzwi i wrót złożonych. Nie było tam obrusów wykwinnych, a mało kto ręcznik z sobą miał, by ręce otrzeć. Zastawa też nie była wykwinna wcale, bo strawę czeladź przynosiła w czarnych garnkach, a polewane miseczki niewielkie nie wszyscy mogli dostać i ręce też posługiwać musiały; lecz przy dobrej ochocie ci, co w domu na srebrze jadal, radzi byli glinie.

Rycerstwa zastęp był niewielki, lecz dobór najpiękniejszy. Co gnuśniejszego powróciło do domów, co przedniejszego zostało. Wszystko to szło pod jedną tylko chorągwią, którą niósł Toporeczyk Piotr Ryterz, z dwoma krzyżami szkarłatnymi w polu białem. Trudno wszystko policzyć, trudniej wybrać celniejszych, bo to było czoło same, ale z imion rycerskich, — niepoślednie miejsce zajmowały: Sędziwoja z Ostroroga, wojewody poznańskiego, Nałęcz. Wojciecha Małskiego tegoż herbu, Toporeczyków kilku, Łabędzi, Habdanków, Ostojów, Różyków.

Starostą i dowódcą był Toporeczyk Piotr, Niedźwiedziem zwany, silny jak niedźwiedź i zarosły. Jeden Rej z Nagłowic, Brochocki Andrzej, Skarbek, Zaklika znani byli z pod Grunwaldu jeszcze. Wszyscy ci przedniejsi rycerze niedarmo to imię i pas nosili, nie tylko imieniem, ale wprawą, nauką i męstwem się sławiąc. Było naówczas tak zwane rycerskie rzemiosło sztuką, której się od młodości uczyć było potrzeba, a miało nie tylko reguły dla oręża, ale zakon dla serca. Nie był rycerzem, kto z mieczem i z uczciwem słowem obchodzić się nie umiał, kto czei swej nie sza-

nował, kto bezbronny napadł, kto ze zdrady korzystał, kto się czemkolwiek splamiał.

Siedzieli pospolu rycerze, gdzie indziej młodzież, co pasów jeszcze się nie dosłużyła, i czeladź, i pachol-kowie, i żołnierz zaciężny. Misy z rybami, o które w Brdzie nie trudno było, szły na stół i dzbany zaczęto nachylać, gdy pan Andrzej Brochocki zawołał do Jana Naszana z Ostrowiec Toporeczyka:

— Jaśku, serce moje, wszystko mi się widzi, że rychło przyjdzie do rąbaniny... dłonie mi czegoś świerzbią.

— Bogdajbyś, panie starosto, był prawdziwym prokiem: żołnierz, który stoi, psuje się, tyje, cięższe i rozpieszczą.

— Nie bój się, — mówił Brochocki — nie da ci Plauen, ani Kochmeister do tuszy przyjść: ino ich nie widać. Niemcy im zaciężnego ludu nasłali siłą, bo bitwa grunwaldzka popłoch wielki uczyniła aż do Renu, a gorszy wstyd. Sprzedali ziemię w Czechach i miły druh Zygmunt Węgrzynków im podesłał... Pilno im to poodbierać, co się samo pooddawało nam i co za Malbork stracimy.

— Nie wspominaj wasze Malbarga — wtrącił Sędziwój z Ostroroga, który w końcu stołu z Niedźwiedziem siedział. — Serce się kraje, gdy pomyślimy żeśmy go mieć byli powinni.

— Krzyżacy idą! Krzyżacy!

Rozległ się odgłos. Ale Niedźwiedź ruszywszy z pieńka, na którym siedział, przez złożoną dłoń zawołał:

— Cicho! cicho, a do zbroi i koni! Cicho!

Poszło tedy hasło — „cicho“ — i szmer już tylko słyhać było, a rycerstwo, rzuciwszy garnki i misy, niektórzy w prędkości poobalawszy stoły, wyruszyło, wyprzedzając się co żywiej ku klasztorowi nad rzeczką, kędy stały konie i większa część tam swoje zbroje

poskładała. Taka była ochota wielka a serce do boju, iż zdyszani wszyscy dobiegli siodła kłaść, kopie chwycić, zbroje nakładać.

Tu u góry zarośla, które osłaniały nieco, dozwoliły stanąć w bojowym szyku i zastęp cały zebrać; aż gdy Niedźwiedź wszystkich oczyma zliczył, wskazał ręką, Piotr Toporeczyk podniósł proporzec z dwoma krzyżami i z za gaszczy wystąpiło rycerstwo niespodzianie, jak z pod ziemi.

Krzyżacy o kilkoro stali, nie widząc i nie słysząc nikogo, a mając wiadomość o słabej załodze w Koronowie, posiadali byli z koni i rozpatrywali się właśnie, gdy im tuż zbroje błysły i czerwone kopje na oczach stały.

Tak byli nie gotowido boju, iż dopiero po konie puszczane zaczęli biec, otrąbiać się i dosiadać i puścili się cwałem nazad. Walki śnać tak niespodzianie przyjąć nie mogli, a i miejsce do niej było dla nich niedogodne.

Puścił się tedy Niedźwiedź i łucznicy królewscy w pogoń. Chorągiew szła w porządku za nimi. Strzały leciały gęsto i trafiały wielu, ludzie i konie padali. Na łuczników coraz to się w pędzie odwracali Krzyżacy, a ci cofali się ku swej chorągwi; lecz ledwie nazad poczęli umykać, znowu im na karkach siedzieli.

Miała czas i reszta rycerstwa nadażyć, bo ten harc godzinę niemal trwał.

Czuli wszyscy, że to dopiero przekąska, a sama uczta przyjść musi, gdy się ku sobie zwróca.

Dwa zastępy gnały się tak aż pod Łącko wioseczkę na górze położoną, nad którą, wzniosłe miejsce obrawszy, Krzyżacy postanowili przyjąć bitwę, zaufawszy w to, że przeciwnik w dole się usadowi i że całym pędem nań rzuciwszy się, szyk łatwiej złamają.

Ale mieli do czynienia z Sędziwojem, Niedźwiedziem i Brochockim, ludźmi rycerskiej sprawy, którzy też rachować umieli.

Niedźwiedź przypadł do chorągwi i w prawo z wojskiem ruszył ku wzgórzu także, aby nieprzyjacielowi korzyść odebrać.

Mogli się dobrze przyjrzeć jedni drugim i porachować, bo stali blisko i każdy swego wybierał. Tu dopiero okazała się prawda tego, co Toporezyk zawczasu zwiastował: niemiecka siła i znaczna była i dobrana. Rycerz w rycerza w pełnej zbroi, tarcze żelazne lśniące, helmy kryte, miecze u boków i młoty, i toporki. Ludzie w pierwszym szeregu jak mur stali: ramię do ramienia, rosłe, krzepkie, ogromne. Kopie długie przed nimi, jak las, sterczały.

Lżejszy był z drugiej strony rynsztunek, a nie posłedniejszy wcale, tylko żelastwa mniej, kaftany bite i szyte i koszul żelaznych a misiurek z czepcami siła.

Stali tak przeciw sobie chwilę, gdy z przeciwnych szeregów, jak to było obyczajem, wyjechał Ślązak, Konrad Niemcem zwany, rycerz ze dworu króla Zygmunta, zawołany do turnieju i wybrany do boju na rękę.

Gdy się wysforował naprzód Ślązak, wywijając kopią i głośnie wyzywając, spojrzeli po sobie niektórzy, bo tu się wiele ważyło. Serca nie brakło nikomu, ale siły i zrzeczności było trzeba. A stał z brzegu Szczycki Doliwa, który był z takich harców sławny, i gdy ruszył, uradowali się wszyscy. Ponieważ Ślązak był przystanął, a ciężko zbrojny konia nierychło ścisnął, Doliwczyk, nań natarłszy, kopią go z siłą wielką pechnął, tak, że się zachwiał, i własna mu z ręki na ziemię padła. Ponieważ Szczyckiego włócznia nie strzaskała się, dźwignął ją raz jeszcze, ugodził w pierś i Ślązaka już ruszonego z siodła na ziemię obalił.

Huknęło całe wojsko z jednej strony. Koń Niemca poleciał wierzgając, a Krzyżacy, nie czekając już dłużej, kopie do boków wzięwszy, puścili się. Z drugiej strony też szereg cały dźwignął się ku nim.

Lomot tylko druzgoczących się kopij i okrzyki słychać było.

Po pierwszym starciu Brochocki krzyknął do Naszana Toporezyka:

— Gorąco będzie!

Jakoż długo nie można było wcale odgadnąć, na czyją się stronę szala pochyli. Niemcy stali mocno i bili się dzielnie. Pierwszy szereg tak był dobrany, że go złamać silono się na próżno. Tylko kto w nim, albo z koniem, lub z konia się obalił, ten się już nie podniósł, bo zbyt ciężkie zbroje o swej sile wstać nie dawały, a swoje i nieprzyjacielskie konie tratowały leżących.

Trzeba było widzieć, gdy się po dwóch ścierali najdzielniejsi, jak przyłbice brzęczały i helmy trzaskały, jak dziurawiły się tarcze i pękały miecze.

Trwał ten bój tak długo, a tak zacięty i nierozstrzygnięty, iż w jednej chwili wszyscy znużeni, poczęli walczyć o rozejm z obu stron.

Poodciągano na bok rannych i odniesiono za szeregi, pacholkom kazano konie sprzątnąć, a po pół godziny siedli wszyscy znowu, z okrzykami i odgrózkami. Ustawiły się szeregi, zanućono pieśń. Rzuciły się na siebie dwa wojska jeszcze zajadlej, lecz z tym samym co pierwszej skutkiem.

Było dobrze z południa, gdy po dwugodzinnym boju zawołano o rozejm raz drugi i każdy mu rad był, bo siły ustawały.

Znowu tedy z koni zsiadli.

Rozmowy pierwsze szły teraz jeszcze żwawiej. Wyzywano się do przyszłej walki. Niemcy z wozów przynosili baryłki z winem i krzepili się.

Ocierano pot z czoła, przewiązywano rany; ale słońce zniżalo się ku zachodowi. Młodszy a niecierpliwsi zaklinali się głośno:

— Już tego dosyć! Żartowaliśmy cały boży dzień, trzeba zacząć robotę.

To starcie miało w istocie stanowić o losie walki, i każdy teraz, siadając na konia, żegnał się krzyżem św., bo nie wiedział, czy z niego zsiędzie.

Brochocki, Niedźwiedź, Naszan stanęli teraz tak, ażeby przeciwko chorągwi krzyżackiej miejsce im wypadło. Gdy po raz trzeci zwarli się, jeszcze żadna strona nie uległa, miecze się szczerbiły... nadaremnie, tu i owdzie krew po zbroi ciekła, nie jednemu z pod hełmu szła struga, ale trzymali się wszyscy. Wtem Naszan, pochwyciwszy chwilę, gdy właśnie na przeciw siebie dostał Henryka Franka, który niósł chorągiew krzyżacką, wpadł nań, pchnął go drzewem silnie i tuż za płótno chwyciwszy, zręcznie je około siodła okrecił. Rzucili się na krzyżaków odbierać, ale go zasłonięto. Stał się popłoch. Szereg niemiecki ugiął się. Pierwszy chorągiew krzyżacki z placu zaczął uchodzić, co drugich za sobą pociągnęło.

Puściła się za nim pogoń Toporezyków i Okrzyców. Zamęt coraz był większy, a Niedźwiedź głośno zaczął wolać:

— Kto w Boga wierzy, siecz a bij!

Już uchodzili z placu, co żyło siadło im na karki.

— Siecz a bij! — wrzało dokoła.

Rej z Nagłowic i inni chwycili samego wodza Michała Kochmeistra wójta; dostał się do niewoli Niemców, co taką złą wróżbą bitwę rozpoczął, a z nim dworzani króla Zygmunta wielu. Ci znali do turnieju w szrankach na podwórzu dobrzy byli, ale w polu nie tędy.

Rozstali się więc w Bydgoszczy jak najlepiej, a że Kuno, dawszy słowo rycerskie, powróci, o tym starosta wcale nie wątpił. O przewodnika nie było trudno, puścił się więc hrabia samotrzeć ku Toruniowi, dobrze konie podkuwszy, bo mrozy już ścisnąć zaczynały i gruda była ostra.

W drodze kilka razy to go polskie oddziały chwytaly, to krzyżackie; lecz się wykazywał papierem, że jeńcem był na słowie, a takiemu nie czyniono z jednej, ni z drugiej strony; chyba, gdyby go Polacy z bronią byli w walce ujęli: w takim razie odsadzony od czi, dalby na placu głowę.

W Toruniu w istocie wróciło było już panowanie Zakonu, który, wracając zemstą bezsilną, sposobił się do odwetu. Wszyscy, na których podejrzenie padało, że królowi nie tylko służyli, ale mu zbyt byli powolni, srogą teraz kaźń cierpieć musieli.

Plauen, obrany wielkim mistrzem, z nadzwyczajną gorliwością krzątał się dla przywrócenia sił utraconych Zakonowi; lecz straty były ogromne, kraj wycieńczony, ludzie rozpierzehli, zamki poogalacane, a owa wieża dukatów pełna, o której rozpowiadano między pospółstwem, musiała się opróżnić wielce. Wprawdzie ze sprzedaży ziemi w Czechach wpłynęły sumy znaczne, ale na zaciągi nowe ogromnych też było potrzeba.

Chmurnym rankiem dostał się Kuno do Torunia, nieustannie po drodze i w bramach pytany, wodzony i badany, ktoby był i z czym jechał — obawiano się bowiem zdrady.

Zostawiwszy konie w gospodzie i przystojnie się odziewszy, poszedł do kamienicy pani Noskowej. Stały drzwi otworem, na górze też, gdy zapukał, wniósł mu kazano. W znanej izbie, znowu tak samo przybranej jak była, siedziała Noskowa w krześle, ręce założy-

szy, a obok niej, młody jeszcze, zdrów i przystojny mężczyzna, z wąsem i brodą, pół-rycersko ubrany, tak, że poznać było trudno czy mieszczaninem był, czy żołnierzem. Postawa, w jakiej siedział, oznajmywała, że tu był jak w domu; pochylony nieco ku wdowie, z nogą na nogę założoną, jedną ręką wasa podkręcał, a drugą w bok się trzymał. Noskowa ku niemu słodkie oczy zwracała, gdy w progu Dienheim się ukazał. Zjawienie się jego widocznie ją zmieszało: poruszyła się nieco i ręce złożyła zdziwiona.

— Powracacie nam jakby z drugiego świata, grafie Dienheim — zawołała — świadczyli ludzie i wszyseśmy już byli pewni, że pod Koronowem zabito was; znajdowali się nawet tacy, co ciało widzieli.

— A no, przecie żywy przed wami stoję — rzekł Dienheim.

— Podziękujcie Bogu, bo tam, slysze, wojsko Jagielly nabiło wiele rycerstwa naszego.

— Byłem świadkiem tego rycerskiego dzieła — wdychając i oglądając się, dodał Dienheim.

W czasie tej krótkiej rozmowy siedzący mężczyzna mierzył go oczyma. Wdowa wskazała nań ręką.

— Sprzykrzyło mi się wdowieństwo i sieroctwo — odezwiała się — a oto widzicie męża mojego, pana Pawła Tentscha, rycerskiego człowieka, któremu już od kilku tygodni zaślubiona jestem.

Poczęła się rozwodzić na tym, jak się Wolff zesta-rzał, jaki się nielad wkradł i ile strat poniosła przez wojnę. Dienheim napróżno oczekiwał jakiej wzmianki o Ofce i na wszystkie strony szukając jej, oglądał się. Dostrzegłszy to, poczęła coś na ucho szeptać mężowi pani Pawłowa, a ten, rad nierad, wstał i zakręciwszy się po izbie, wyszedł.

— Gdzież córka wasza? — zapytał niecierpliwie Dienheim.

— Siadaj i słuchaj — poczęła wdowa — to niewdzięczne dziecko.

I poczęła popłakiwać, więcej jednak dla przyzwoitości może, niż z wielkiego żalu.

— Trafił mi się ten człowiek stateczny — mówiła dalej — ale jak tylko okazał mi miłość swoją i zamiary, Ofka zakrzyknęła, że ojczyma nie ścierpi. Zakłęła się na wszystko święte. Bunt mi podniosła w domu. Stary Wolff wziął jej stronę. Szcześciem, że to mężczyzna stateczny, bardzo stateczny i ma swoją wolę i nie dał mnie sieroty pokrzywdzić przez własne dziecko. Poszłam więc do ślubu, choć się rozbijała; ale nazajutrz...

Tu głosu zabrakło pani Pawłowej.

— Nazajutrz, gdy się Paweł wniósł do kamienicy, Ofki już nie było.

— A cóż się stało? gdzie jest? — zawołał Dienheim.

Wdowa poczęła suknię na sobie poprawiać i oczy wywracać.

— Wiecie, panie grafie, że my wszystkie tu półsiostrami jesteśmy, ale nie zakonnicami: Ofce się w głowie przewróciło. Uciekłszy z domu, dała się w Elblągu postrzyc i oblec i została siostrą szpitalną.

— A mój pierścień? słowo? przyrzeczenie?

Kuno stał osłupiały.

— Usiądź-no, panie grafie, i uspokój się: ja wcale temu nie jestem winną — mówiła Pawłowa. — Dziecko było zawsze krnąbrne i samowolne. Omałośmy życiem nie zapłaciły za pierwszego starostę i za tego Czecha, któregoście tu wy przyprowadzili, bo i ten później w Brześciu zmarł, a na nas rzucił podejrzenie trucizny. Zmieszała się, mówiąc to, spuściła oczy i zniżyła głos.

— Kto to może wiedzieć, co ta szalona czyniła; ja życia mojego Pawelka kochanego nie byłabym pewną,

gdyby ona z nami w domu mieszkała, bo się z tym nie
taila, że go nienawidziła.

Zamilkła gospodyni, mileżał i Dienheim, ale bu-
rzył się.

— Przecie słowo coś znaczy, gdy raz dane było,
a jam od niego nie uwolnił, pierścień na palcu mam!
Jeździłem, gdzie mi kazała, czynilem, co poleciła, wró-
ciłem wedle jej woli i dla niej. To nie może być!

Dienheim się rzucił.

— Gdym jej mówiła o was, śmiała się tylko i ru-
szała ramionami i nazywała was, wiecie jak? wiecie,
co o was mówiła? To mój knecht, a królowie za knech-
tów zamaż nie wychodzą.

Krew uderzyła do twarzy Dienheimowi, wstał, miar-
kując się, ażeby nie wybuchnąć, ściał usta silnie —
z pod powiek przymrużonych białka mu świeciły.

— Gdzież jest córka wasza? — spytał.

Pani Pawłowa zdawała się namyślać i wahać.

— Ja nie wiem dobrze: przy szpitalu w Elblągu,
albo w Malborgu może, lub gdzie już ją na wieś wy-
ślali.

Sklonił się hrabia Kuno.

— Szczęścia wam życzę w małżeństwie nowym i by-
waj mi pani zdrową — rzekł.

Cheiała się zegnać czulej gospodyni, ale, na twarzy
tak srodze zawiedzionego gniew spostrzegłszy, zatrzy-
mała się.

Dienheim drzwi za sobą zatrzasnął i poszedł nazad
do gospody.

Tu wprost do stajni się udał i konie siodłać kazał.
Do siodła przywiązany miecz opatrzył i popróbował go,
ludzi zaczął pędzić, ażeby rychlej się do drogi gotowali
i z miasta zaraz wyjechał.

Chociaż pani Pawłowa rozgniewaną była na córkę,
zostało jej przywiązanie do dziecięcia.

Wychodzący z gniewem widocznym Dienheim prze-
straszył ją. Posłała więc natychmiast po Pawelka, któ-
ry w dolnej izbie już przy korzeniach zaprawnym
winie siedział.

W progu przyjęła go jejmość, załamując ręce.

— Nic dobrego nie wróżę — odezwała się — po tym
człowieku. Gotów nie wiem co uczynić, bo się szalenie
kochał w tej głupiej dziewczce. Trzeba go śledzić, co on
myśli i co pocznie.

Urodziwy młody mąż nie bardzo rad był ruszać
z domu i wygodny odpoczynek mieniać na podróż bez
celu. Opierał się długo, lecz zobaczywszy łzy, poszedł.

Dienheima już w mieście nie było. Jechać za nią i za
Dienheimem nie miał ochoty wysłany.

Wolał, towarzyszków dobrych znalazłszy, zasiąść
z nimi za stół i do kości; zbiegł tydzień cały na zabawie
w gospodzie, gdy jednego dnia przyniesiono do niej
wiadomość, że w Moragu stał się wypadek dziwny. Nie-
znajomy jakiś rycerz wkradł się pod szpital nocą
i gwałtem porwał siostrę zakonną, którą uwiózł z sobą.
Nie prędko się spostrzeżono i uganiało się za gwałtow-
nikiem dni kilka, ale dognać go nie było podobna. Jed-
nak znać, czując pogoń, rzucił po drodze zakonnicę,
którą osłabłą i w gorączce przywieziono na wozie do
szpitala. Sprawcy tego napadu pochwycić nie było
podobna.

Wiadomość ta zdała się niedorzeczną Hentschowi,
lecz sprawdzić ją chcąc, musiał, towarzyszków porzu-
ciwszy, na koń siąść i przerzynać się na miejsce.

Już po drodze potwierdziło się z różnych ust opo-
wiadanie, tak że o nim wątpić nie było podobna. Do-
biwszy się do miasteczka, dowiedział się na pewno pan
Paweł, iż zakonnica porwaną została, że jej przez dni
kilka nie było, że pogoń odyskała ją chorą i zblakłą
w lesie, gdy się jej uciec udało; że potem chora jeszcze

leżała w szpitalu; lecz teraz już była zdrową i około rannych chodziła jak przedtem.

Nielatwo mu przyszło do szpitala się wprosić, a trudniej jeszcze mówić z siostrą Magdalena, gdyż to imię w zakonie przybrała Ofka. Do celi jej przy szpitalu wszedłszy, gdy go poznała, myślał, iż go natychmiast wypędzi.

Zmienioną ją znalazł, ale nie lepszą jak była.

— Czego wy chcecie ode mnie? — zawołała.

— Przychodzę od matki.

— Ja nie mam matki — odparła Ofka.

— Nie ze złem przecież do was idę, ale żebym jej przyniósł wiadomość.

— Jaką wiadomość? — podchwyciła — że mnie zbójca pochwycił, aby mi wstyd uczynił, żem mu się potrafiła wyrwać, powrócić, coś więcej? nie mam wam powiedzieć nic.

I odwróciła się od niego.

Musiał więc Paweł powrócić do Torunia i uspokoić żonę, połowę tylko prawdy jej powiedziawszy. Wkrótce też ucichło o tym wypadku, bo o nim mówić zakazano. Paweł, miodowe miesiące spędziwszy z żoną, wcale nie spodzianie zaciągnął się znowu pod chorągiew, mimo jej oporu, i znudziwszy się znać w domu, życie dawne rozpoczął z zaciężnymi z całego świata, zbieranymi na Zakonu obronę.

W owych czasach, których sięga opowiadanie nasze, kraj zupełnie inną miał postać. Większą jego część stare, jeszcze nie trzebione zalegały bory i puszcze, łączące się z sobą i stanowiące nieprzebyte kryjówki dla zwierza i ludzi, a niewyczerpaną skarbnicę.

Z nich wówczas szły dochody szlacheica, z nich

w większej części żył włościanin; była to komora i spiżarnia, w której ludzie i wilcy gospodarowali. Wydzierano półka powoli, karczowano już lasy, ale znaczniejsze obszary zajmowały zarośla i puszcze.

Drogi po kraju stanowiły rzeki i wyjeżdżone, a wydeptane ścieżyny, które deszcz wymywał.

Im dalej od miast i ognisk życia, do których nowy, obcy osadnik przybywał, gdzie się zbieg chronił, tym ciszej było i puszcz.

Dwa i trzy dni drogi po niektórych okolicach zrobić było można, nie spotkawszy ani żadnej wsi, ani chaty. Obozowano po lasach, nocowano przy ogniskach, węgle i doły znaczyły dla przyszłych podróżnych miejsca spoczynku, w których bliskości wodę znaleźć było można i leśne dla koni wypasy.

Inaczej też wyglądały naówczas dwór i osady szlacheckie, niżeli w późniejszych wiekach. Brochocice pana Andrzeja, w których żonę i dziatki zostawił, leżały wśród wielkich lasów, obejmujących je dokoła.

Coś pół wydartych przy dworze i wiosce, złożonej z dworskich ludzi służebnych, okrażało budynki.

Wieś i dwór stanowiły jedno i życiem jednym tętniły, które ze dworu od pana płynęło. Stara osada możnego człowieka, któraby się dziś wydała nam bardzo niepozorną, na owe czasy pańską się zwać mogła.

Na wzgórzu zbudowany był ów dworzec, na kamiennym podmurowaniu, cały z kłoców dębowych olbrzymich, o dwóch gankach ze słupami rzeźbionymi, z wysokim dachem, kominami grubymi i dwiema chorągiewkami herbowymi. Po stronach ciągnęły się podsienia, na misternych też słupkach oparte. Z głównych drzwi sień obszerna przerzynała dwór na przestrzał. W niej wielki komin dwudziestu ludzi mógł objąć pod gzymsami i ogrzać zimą, gdy służba gościnną na panów swoich tu oczekiwała.

W prawo były izby dla czeladzi, spiżarnie i schowanka a alkierze i fraucymer jejmości; w lewo komnata dla przyjęcia gości i druga ze stolami do jedzenia i mieszkania państwa, i izba pana, i bokówki dla dzieci.

Izby na górze pod dachem mieściły część izb dworskich.

Tuż stał folwark, gdzie mieszkał wódarz i podstarości, z drugiej strony stajnie obszerne, które pańskiego wymagały oka. W rogu piętrzył się lamus murywany, jak baszta, któremu naprzeciw odpowiadała z krzyżkiem kaplica.

Wszystko to okalał podwórzec obszerny, w pośrodku którego był słup do przywiązywania koni, gdzie też harcowano, biegano, rzucając dziuryty i sprawiano sobie pod dobry humor małe rycerskie turnieje.

Wysokie parkany i tyny otaczały dziedzińce, budynki i ogrody, bo i od zwierza zimą, i od ludzi po wszystek czas trzeba się było mieć na ostrożności, a nocą chodzili stróże z grzechotkami, aby nigdy czujność nie ustawała.

Z wielką prostotą urządzone było wnętrze domu w Brochocicach, ale z pod niej widać było starą pańską zamożność. Na prostej z tarcie podłodze leżały kobierce wschodnie; na kominach gliną lepionych stały puchary i konwie srebrne, i naczynia złote. Mało kto miał piec kaflowy, bo drogocenne kafle trzeba było na kopy z Niemiec sprowadzać. Większą część izb ogrzewały ceglane i gliniane ogromne piece, do których z sieni rzucano kłody całe, co się dzień i noc paliły, a stróż ich, drzemiąc, pilnował.

Wieś miała rzemieślników własnych i obchodziła się nimi. Byli tacy nawet, co na raz dwa rzemiosła sprawowali i celowali w obu.

Po długiej i niepewnej jesieni, która się z wilgocią przeciągnęła do grudnia, w wigilię Bożego Narodzenia niebo się wyjaśniło i silny mróz pochwycił.

Z radością powitano błądy lazur, słońca trochę i drogi rozkisłe steżały, a kałuże szklaną pokryły się powłoką. Zbierało się na ponowę, bo, mimo mrozu, czuć było śnieg w powietrzu, i lasy czarno z daleka wyglądały, co było znakiem jeśli nie deszczu, to śniegu.

Starościna Brochocka z dwiema dorastającymi córkami siedziała w swojej izbie, przepatrując bieliznę stołową, którą z ogromnych skrzyń dobywano, przejęta ziół wonnych zapachami. Pani Hanna była jeszcze w sile wieku, twarzy miłej, tuszy wspaniałej, a domowy niewykwintny strój bardzo jej był do twarzy. Obyczajem onego czasu miała na głowie czepiec biały jak śnieg, zawinięty tak, iż całą jej twarz świeża i różową okalał i końcami szerokimi spadał na ramiona. Ciemna suknia obramowana szkarłatną wstęgą, w szerokich fałdach, układała się na kształtnej jej postaci. Dzień to był powszedni i starościna żadnych, oprócz grubego, ślubnego pierścienia, nie miała klejnotów. Dwie jej córeczki, które się prawie jednolatkami wydawały, choć jedna od drugiej o rok przeszło starszą była, Hela i Ofka, ubrane jednakowo, stały skromnie przy pani matce, podając jej i odbierając od niej beliznę świeżą.

Obie miały główki jasnowłose, nie pokryte niczym, a splecione kosy obfite zwieszały się ze wstążkami w nie wmieszanymi na białe dziewczątek ramiona. Sukienki ich były ciaśniejsze, rękawy ich długie, część paleów nawet okrywały.

Oprócz dwóch córek, dwóch synów jeszcze miał starosta, ale ci już z bakałarzem do Krakowa byli wysłani. Nie spodziewano się ich nawet na święta tego roku, bo i drogi złe, i nauka w podróż się wybrać nie dozwalały.

Powróciwszy z wyprawy, w której pod koniec wiele doznał przykrości, bo mu ludzie zazdrośni w poprzek drogi stawiali, Brochocki szukał oczyma dzieci w progu i musiał się tymi cieszyć, które zastał.

Serdeczne to było powitanie, choć nie bez łez na oczach jejmości, a córki ojcu do kolan przypadły. Brał je w silne ręce wojak, podnosił do góry i w białe czoła całował.

Dziwił się i cieszył, bo mu przez tych kilka miesięcy dziewczęta porosły.

Wnet, choć je konno wyprzedził niespokojny, zaczęły nadciągać w dziedzińce: dwór, wozy, konie i ludzie. A było tego daleko więcej, niż z domu wyszło. Koni pędzono niemal całe stado, a były między nimi i godne siodła, i woźniki doskonałe.

Wozy pookrywane skórami mieściły w sobie wojenne lupy z wyprawy, wcale nie małe: gotowy grosz znaleziony na zamkach krzyżackich, naczynia srebrne, klejnoty i przepyszne zbroje, a co najwyżej ceniono, relikwiarze z kośćmi świętych, krzyże i sprzęty kościelne. Tych Krzyżacy mieli po zamkach pod dostatkiem; nie potrzebowano z nich kaplic odzierać, bo wszędzie, jak w Moragu tak i w Sztumie, dostarczyły skarbee i zakrystie. Jagiello wiele nimi w Polsce obdarował kościółów, na pamiątkę zwycięstwa swojego.

Wnet się czeladź zajęła znoszeniem tych zdobyczy do lamusa i do dworu, a gawiedzi nabiegło mnóstwo, przypatrującej się ze zdumieniem bogactwu pańskiemu. Sam Brochocki rozporządził co miało iść na skład, do zbrojowni, do skarbee, co do dworu, do sypialni i do skrzyń jejmościny, lub na podarki i ofiary. Dostała się dziesięcina parafialnemu kościółowi i niejednemu z krewniaków i sąsiadów. Cały wóz poszedł do Rostkowa do p. Jakuba Kostki, rodzica jejmości, który zwłaszcza jedną zbroją szmelcowaną nacieszyć się nie mógł

Dziewczętom też coś przybywało do przyszłej wyprawy; dostała każda po łańcuchu pancernym, po dwa pierścienie i po sztuce jedwabnicy. Jejmość już się kłopotala, że chyba nową skrzynię trzeba było na to sprowadzić, co dla niej przyszło; kochali się krzyżacy w wymyślnych porządkach i obfitych zapasach, więc gdzie przyszli zwycięzcy, mieli co zabierać.

Teraz już siedział pan Andrzej w swojej izbie u komina, piwo z grzanki stało przed nim, a opowiadaniom nie było końca.

Słuchały ich z upodobaniem niewiasty, słuchał stary Mszczuj ze Szczawina, krewny pana Andrzeja, który w jego domu dożywał spokojnie lat sobie wyznaczonych, wioskę swoją oddawszy Brochockim. A gdy się starosta głośno rozgadał, a wszyscy zasłuchali, służba też podkradała się pode drzwi, żeby coś pochwycić.

Na folwarku tak samo i po dworach: ci, co na wyprawie panu towarzyszyli, mieli co opowiadać o wojnie, a widzieli i oni wiele takich rzeczy, których oprócz nich mało kto mógł dojrzeć. W czasie bitwy grunwaldzkiej, gdy rycerstwo się potykało, służba w obłokach kurzawy i dymu widziała postać świętego biskupa nad polskimi unoszącą się zastępy; widziała też owej nocy, co poprzedziła walkę, postacie mnicha i króla na księżycu; ich oczom najjaśniej błyszczała Panna Maria na złotej ścianie malborskiej kaplicy, która broniła amku, bo by go żadna ludzka siła nie osłoniła, gdyby nie ten wizerunek święty, co gniazdo grzeszników jak tarczę okrywał, aby im dać czas do poprawy.

Mszczuj ze Szczawina, którego Brochocki dziadusiem zwał, człowiekiem był w wieku już bardzo podeszłym, ale po budowie jego poznać było można, że i on niegdyś tak dzielny, jak pan Andrzej, musiał być żołnierzem. Teraz mu się nieco przygarbiły plecy i zgięły w kablak ramiona, ale wychudłe kości olbrzymich były

rozmiarów. Twarz też długa z wąsami rozrosłymi, z krzaczastymi brwiami, z obnażoną czaszką, na której szable popisały blizny chwalebne, wrażała poszanowanie i grozę.

Czasu niebytności starosty on miał jakby urząd wojskiego w dobrach pana Andrzeja, i, choć stary, nie zasypiał, doglądając wszystkiego, a ludzi w tak surowej trzymał ryzie, że go się jak ognia obawiali. Głodu w domu, ani na wsi nie dopuścił, ale robota musiała iść żwawo; o drugich kurach wstawiał i nocą stróża dopatrywał.

Małe szyby, w olów oprawne, pozamarzyły tego dnia we wszystkich oknach, skrząc się, gdy na nie światło padało i błyszcząc jak drogim kamieniem sadzone. W kominie płonęły kłody olchowe. Mszczuj ze starostą siedzieli naprzeciw siebie, popijając piwo: wczesny wieczór zimowy nadchodził.

Zamknęła więc i starościna skrzynie, zabrała córki i poszła do izby męża, w której zwykle na podanie wczesnej wieczerzy oczekiwała.

Gwarzyli po cichu, gdy starościna weszła.

Krzesło dla niej naprzeciw komina stało przygotowane: siadła na nim, dziewczęta się umieściły z obu stron, przy wysokiej poręczy.

— Ha! no — rzekł pan Andrzej — chyba albo gdzie zginął, albo słowo złamał, a musi mi się przed Nowym Rokiem mój jeniec stawić, żeby albo wykup dać, lub na moją łaskę czekać.

— Eh! eh — jęknął Mszczuj — szukaj wiatru w polu, gdyś Niemca na słowo puścił.

— I ja tak myślę — dodała jejmość. — Krzyżacy go gdzieś obalamucą, albo i siłą wstrzymają. Nam też tam nie po nim; chłopak pono ubogi, tyle tylko, że zbroję miał piękną, ale w mieszkaniu pustki.

— Prawda, moja panno, prawda — mówił starosta —

Pospolitego ludu Franków, Ślązaków, Bawarów, Turyngów, Czechów i wszelkiego niemieckiego plemienia nabrano mnóstwo wielkie.

Już późną nocą dopiero skończyła się pogoń i wracający z łupem i niewolnikami legli przy ogniach na pobojuwisku.

Dopieroż chórem śpiewać a weselić się poczęto, dopiero opowiadać i trefne stroić żarty.

Na pobojuwisku pobrawszy zbroje i sakwy, i konie, i oręż, i co łupem było, powiązawszy jeńców, wreszcie łuczywa pozapalawszy, poszli wszyscy z pieśnią pobożną jak należało do miasta, naprzód pod klasztor dawny cysterski, gdzie składy były, a potem do namiotów i stołów.

Gdy wozy krzyżackie przyszło zabierać, Brochocki o mało nie osłupiał, postrzegłszy siedzącego między wozami Dienheima. Bez zbroi, bez miecza, w odzieży prostej, już związany pół leżał, pół siedział.

— Kuno, a wy tu co robicie? a słowo? — zakrzyczał Brochocki.

— Nie білем się — odparł zarumieniony Dienheim — wzięli mnie Krzyżacy w drodze.

Brochocki podszedł i, dobywszy nóż, sznury zaraz porozcinał.

Zabrawszy z sobą Dienheima, poszedł pan Andrzej też do miasta, bo każdemu spoczynek był potrzebny.

Na pobojuwisku, że noc była ciemna, strażę tylko zostawiono.

Z pola zaraz Zaklika z Korzkwi do króla do Inowrocławia pojechał z oznajmieniem o zwycięstwie.

Nazajutrz co się tym rycerzom obojej strony należało, poszły wozy po ciała ich, zarówno Polaków jak Niemców, aby z uczciwością pogrzebione były przy kościele koronowskim.

Z pod Koronowa wojsko ruszyło do Bydgoszczy, gdzie trzy dni stało, i tu, zwyczajem ówczesnym, zniesiono łupy wszystkie dla podziału między zwycięzców.

Tu Jagiello nadesłał sześćdziesiąt wozów pod jeńców znakomitszych i rannych, a sam czekał nadchodzącej chorągwi z wielką wdzięcznością i rad a wesół jak od Grunwaldu go nie widziano.

W Inowrocławiu dla rycerstwa i jeńców, bo dla tych szczególne zawsze miał względy, kazał król nagotować wieczerzę i służbę do niej naznaczyć ze swego dworu, dla rannych wcześniej opatrzone mieszkania i opiekę.

Ten pochód do Inowrocławia i wjazd prawdziwie był uroczysty: wojsko ochocze, pokrwawione, lecz wesołe, jeńców tłumy, wozy pełne białych płaszców krzyżackich, dalej lud pieszy, rycerstwo konne, łupy, konie.

Miało się pod noc, gdy to wszystko nadeignęło do miasta. Król stał na koniu i witał a poznawał.

Jagiello, wedle zwyczaju, prawie wszystkich jeńców, krom Krzyżaków, powypuszczał potem na słowo i obdarzyć jeszcze kazał, aby z głodu nie marli.

Potem, choć już noc była, jeszcze się kazał z pochodniami prowadzić po kwaterach, gdzie ranni leżeli, aby im podziękować i obdarzyć.

Radość była wielka wszędzie, a choć który ledwie zwlec się mógł z łóżka, wstawał na przyjęcie takiego gościa.

Wieczór to był dla wszystkich pamiętny, bo nigdy Jagielly nie widzieli weselszym i dobrotliwszym jak tego dnia.

Krzyżacy swoim sposobem, zdradą i wycieczkami, zamki napowrót odzyskiwali.

Polskie załogi dotrzymać nie mogły w pośród kraju zewsząd przez nich zajętego, w którym krzyżowały się niewidoczne sieci, a tych uniknąć było niepodobna. Załogi co słabsze dobrowolnie więc grody opuszczały, pobrawszy z nich, co się tylko zabrać dało. W Mora-gu, z pomocą tego Abła, co w popiele legal, a niby z psami kości ogryzał, tak Krzyżacy podkradali się i naciskali, że w końcu go musiał Brochocki porzucić, tym więcej Sztum, który żywności nie miał, a narażonym był więcej jeszcze.

Z dozwolenia też królewskiego, do domu, dzieci i żony chciał dojechać, aby spoczął, bo przez cały ten czas nikogo nadeń czynniejszego nie było i szablą i głową, a gdzie najciężej, tam albo się on sam prosił, albo go pewno posłano. Wprawdzie się to wynagrodziło sowitym łupem, lecz zapłaciło zdrowiem.

Znalazłszy Dienheima w Koronowie, już go pan Andrzej puścić nie chciał, a Kuno też, choć pierścień miał na palcu, jakoś do Torunia nie śpieszył. Dopiero, gdy wieść gruchnęła, że w Toruniu znowu panowanie krzyżackie wróciło, jął się niepokoić Kuno i jednego rana poszedł do pana Andrzeja sam. Było to już na drodze, właśnie w czasie pochodu do Inowrocławia, w Bydgoszczy. Wybrał sobie taką chwilę, gdy pan Andrzej dobrego był humoru, choć mu nigdy na nim nie zbywało. Wiązano sakwy, opony różne i naczynia, których po zamkach nabranych król wiele rozdaro-wał.

— Panie starosto — odezwał się Dienheim — choć zrazu ostroście się obchodzili ze mną, alem miał dużo powodów waszej łaskawości dla mnie i dobrego serca. Pozwólcież mi się do niego odezwać jeszcze.

— Cheesz, bym cię bez okupu wypuścił? — spytał Brochocki.

— Jak mnie dziś widziecie — rzekł Dienheim — żadnego za siebie dać nie mogę, a do brata ślać daremna rzecz.

— Więc musicie choć rok u mnie w Brochocicach konie najeżdżać — począł, śmiejąc się, starosta. — Nie mam już ani jednego jeńca, aby go w domu pokazać, choć, choć grafiatkiem z nad Renu się pochlubię.

— Jam przyszedł was prosić o folgę, — rzekł Kuno — mam dziewczkę bogatą kupcową, która mi słowo i pierścień dała, dozwólcie mi jeszcze raz pójść się o nią upomnieć. Jeśli dotrzyma słowa, może i okup zapłacimy.

— Tym-ci lepiej! rycerskie słowo — podchwycił Brochocki — stawicie się za cztery tygodnie w Brochocicach. Okupu ci wielkiego nie naznaczę, ale waszmość wiesz, my nie bierzemy żoldu, służym o własnym koszcie: okup i łup to cała zapłata za potłuczone kości i doznaną biedę.

Począł się starosta dowiadywać jak daleko było i co za jedna swatała mu się dziewczka i od słowa do słowa dowiedział się w końcu wszystkiego, aż śmiechem parsknął.

— Szatan nie dziewczyna — rzekł — patrzeć na nią pewnie miło, a żenić się nieprzyjacielowibym nie życzył; ale kto w czym smakuje, radzić trudno. Znać z was rycerz mężny, kiedy się na to porywacie. Więc jedźcie i wracajcie.

Było naówczas między wszystkimi orężnymi ludźmi, choćby z obozów nieprzyjacielskich, braterstwo takie, iż Brochocki, jeńca puszczając, pożałował go, że odarty był i nie mógł się przystojnie stawić przed mieszczką. Dał mu więc i koni dobrych parę krzyżackich i siodło jedno piękne i delię szytą i odzieży co było potrzeba, czym sobie ujął serce Dienheima.

ubogie to było, ale rodu dobrego i w herbie ma nasze godło. Butny zrazu był, potem się uchodził: natura znać poczeiwa, krew zdrowa, tylko w głowie jeszcze pstro. Mnie ta jego tarcza najwięcej ciągnęła. Nie darmo nasze godło nosi, coś to z dawnych czasów nas łączy. A przyznam się — dodał — żal mi się go też zrobiło, gdy swoją historię z bratem i bratową opowiedział. Pokrzywdzili chudzinę. Puszczę go bez wykupu, ale mi się więcej chce: pomógłbym mu do ojcowizny... toby się przy tym trochę Niemców natłukło, a to miła sprawa. Z chłopca też, gdyby go na nasze kopyto przerobić, mogłoby coś być.

— Ale, ale — przerwał Mszczuj — łatani ludzie, jak buty łatane: zawsze potem przemakają, niewiele to warto. Z Niemca tylko skóra na bęben dobra, więcej nie.

— Jeżeli nie wróci — rzekł Brochocki — a zawiodłem się na jego słowie, niechże mi się w życiu drugi raz nie nawija, bo go ściąć każe jak niepoczeiwa.

— Może i nie żyje — odezwała się starościna.

— I to być może, — kończył starosta — chociaż zginąć by nie powinien. Podobalo mi się to w nim, że sobie rady umiał dawać w najgorszych razach; a no go może dziewczka tak trzyma, którą zaswatał, co już najniebezpieczniejsza rzecz.

I tu się śmiać począł, ku jejmości spoglądając. Ona też spojrziała na męża. Chciał coś mówić dalej, ale nagle zamilkł, widząc, że dziewczęta stały, przy których o owej Ofce mówić nie chciał, aby ich tą powieścią nie gorszyć.

Jejmość była ciekawą; domyśliła się łatwo powodów nagłego milczenia i zwróciwszy się do córek, posłała je do kobiet, aby motki liczyły, póki wieczery nie podadzą. Dopiero, gdy wyszły dziewczęta, Brochocki znowu w śmiech i opowiedział po raz pierwszy, jak dziewczy-

nę do pocztu swego przyjąć musiał i co się z tą szalona później stało.

Starościna słuchała z brwią namarszczoną, widocznie zgorzszona bardzo. Stary Mszczuj wesa kręcił a prychał, wytrzymać nie mogąc; patrzył na Brochockiego jak w tęczę i z podziwu się zęgnął.

— Zajadle wojny tylko legną takie potwory — rzekł — niech tam sobie będzie, jak chce, ale żeby chłopak szlacheckiego rodu o taką drapieżną istotę dobrowolnie się dobijał i na zgubę oczywistą szedł, to osobliwa rzecz. Takie szalenice nie na żony stworzone.

Mówili o tym długo, pani Brochocka najmniej, potrzasała głową i za pleć własną wstyd jej znać było. Nareszcie do wieczery znać dano, skromnej bardzo, z krupniku i kaszy złożonej, bo i na pańskich stołach naówczas w powszednich dniach rzadko co innego dawano, a na króla Jagielly dworze za przysmak służyły kiszzone ogórki i kapusta. Potem jejmość poszła pilnować placów na wigilię przeznaczonych, które po dziś dzień zachowały kształt swój, przypominający dziecię zawinięte w pieluszki, dla uczczenia dnia Narodzin Zbawiciela.

Naówczas też także w tej postaci kołacz na gody stawiano; na każdym stole piekły go wszystkie gospodynie.

Brochocki od okna do okna chodził, wyglądając ponow, aby nazajutrz jeszcze łowów spróbować, a nużby dzika się udało dostać na święta, ale śniegu jeszcze widać nie było.

Wigilię godów wszyscy aż do gwiazd surowym obchodzili postem, nie do ust nie biorąc. Byli tacy, co i wody kropli tknąć nie śmieli, póki się na niebie gwiazda nie ukazała.

Mróz tego dnia powiększył się jeszcze, ponowa nie przyszła, tylko szron drzewa brylantami okrył; pan

Andrzej u komina siedział, gdy około południa chłopak mu znać dał, że Niemiec jakiś przybył i do jegomości się prosi.

W sieniach stał zziębły Dienheim, a chuda szkapa jego przywiązana do pala w dziedzińcu ze lbem zwieszonym, z sakwami przy siodle, bokami robiła. Jeden rzut oka starczył na przekonanie się, że nadziei okupu z sobą nie przywiózł, ale się stawiał w słowie.

— Otóż o wilku mowa, a wilk zza płota! — zawołał śmiejąc się, zoczywszy go, starosta i rękę doń wyciągnął.

— No, słowny wmość jesteś, to pięknie, a cóż, czy go kosmato mam witać?

Nie zrozumiał Kuno, chociaż się domyślał, że go o powodzenie konkurów pytano.

— Cóż się z waszą dziewczką stało? — dodał Brochocki, patrząc mu w oczy.

Chłopak głowę spuścił, westchnął i nie odpowiedział nic. Nie było co więcej pytać.

— Dziękuj Panu Bogu, — rzekł Brochocki — tymczasem nim co będzie, izbę ci każę ciepłą dać, spoczniej sobie, rozmówimy się, co dalej poczniemy.

Niespodziany ten gość, przybyły na samą wigilię Bożego Narodzenia, we wszystkich wielką obudzał ciekawość, poczynawszy od czeladzi, aż do gospodyni i jej córek. Gdy się potem zjawił wieczorem dość ubogo przyodziany w izbie, w której już wszyscy byli zgromadzeni, ubrani jak na gody przystało, niemal litość obudził, nawet w tych, co się każdym Niemcem brzydzili. Wyglądał biednie a pokornie.

Nad wyraz smutnym się wydał wszystkim, a jako jeniec trzymał się na uboczu i z językiem też mało będąc oswojonym, więcej oczyma, niż usty rozmawiał.

Znać obyczaj niemiecki inaczej dzień ten święcić musiał, gdyż jeniec i sianu na stole, i snopowi w kacie,

i potrawom osobliwym dnia tego pilno się przypatrywał, a zabawy wiejskie, wieczorowi temu towarzyszące, koledy, śpiewy, ludzie za zwierzęta poprzebierani, obsypywanie ziarnem, gwiazda, z którą klecha z organistą przywędrował — wszystko to w wielkie zdumienie go wprawiało.

Gdy późno jeszcze siedziano, zabawiając się z kufkami, u próżnego sianem zaslanego stołu, Dienheim, któremu było obco i przykro, znikł, wyniosłszy się do izby swojej.

Nazajutrz Kuno się nie pokazywał, aż go do stołu zawezwano, siadł w końcu, choć dla grafostwa wyżej go sadzić chciano. Nie mówił nic, a jadł niewiele. Posępna jego postać, wejrzenie ponure, cierpienie widoczne obudzały litość.

Chłopak był przytem bardzo urodziwy, a coś szlachetnego miał w sobie. Mimo przymusowej pokory, rycerską godność znać na nim było.

Aż do Nowego Roku trzymał go tak Brochocki w niepewności, nie mówiąc, on też o swój los pytać nie śmiał, a nieźle mu się działo. Nawet, jak to młodym właściwa, prędko na twarzy poprawiać się zaczął.

Z rana, na sam Nowy Rok, kazał piękniejszą zbroję, którą był zdobył na Dienheimie, tarczę i cały rynsztunek spod Grunwaldu do tego dołożywszy, co brakło na wyprawę zanieść do izby, w której stał Kuno, sam przed pacholkiem poszedłszy.

Zastał jeńca swojego na kładce, przed kominem siedzącego, łokieć na kolanach, głowa w dłoniach... Miał na sobie ino łosiowy kaftan, przesywany, stary, od zbroi poczerniały i powycierany, który mu służył za przyodziewek, czechczery ładajakie skórzane też, a na nogach buty podarte.

Mimo tej nędzy postawę miał żołnierską, a bujny włos, rozrzucony na ramionach, pięknym go czynił.

Gdy za panem Brochockim ów rynsztunek wnosić poczęto, zdumiał się i zerwał ze swego siedzenia Kuno, oczyma pożerając starą pamiątkową straconą własność. Chłopak, to wszystko poukładawszy, wyszedł.

— Jest u nas obyczaj, — odezwał się Brochocki — że się ludzie na Nowe Lato obdarzają czym kto może. Ja też w imię Chrystusa, którego dzień dziś obchodzimy, przynoszę ci naprzód swobodę, a potem na co mnie stało, a co ci miłym być może. Jednego tylko po was żądam, abyście kamieniem nie ciskali na tych, co radzi chlebem rzucają, i żebyście przeciw nam nie podnosili zwróconego oręża.

Zrazu Kuno niedobrze to zrozumiał, potem się zarumienił z radości i poszedł, nie wstydząc się, za kolana ścisnąć pana starostę, jak ojca. Trochę mu się w oczach jaśniej zrobiło.

— Nie mogę inaczej rzec, po ojcowsku postąpiłiscie ze mną, — odezwał się rozczulony — radźcież mi teraz, gdzie mam iść i co z sobą poczynąć? Nad Ren do Dienheimu nie mam po co, do krzyżaków mi nie wolno: gdzież mam służyć szukać?

— Dopóki król Zygmunt nie waleczy z nami, u niego wam najłatwiej znaleźć służbę — rzekł pan Andrzej. — Mielibyście ją i u nas, ale my nie dziś, to jutro naprzeciw tych łotrów krzyżaków pójść znowu będziemy musieli, a to wam nie przystało, tak samo, jak się z nami bić. Pierwsza rzecz, spoczniście u mnie teraz jak gość, gdyście jeńcem być przestali. Herbowym mi wmość jesteście, więc w domu jak u powinowatego, wywczasuj się swobodnie. Z wyprawy, dziękować Bogu, nie wróciłismy z gołymi rękami: jest co dać na drogę; dalej już sami sobie radźcie, bo najlepszy człowieka przyjaciel, to on sam.

Położył starosta spory mieczek na stole w dodatku do rynsztunku i nie chcąc, by mu dziękowano, wyszedł.

Zjawił się ku obiadowi Kuno jakby innym człowiekiem, bo mu się twarz rozpogodziła i duch w niego wstąpił.

Z jeńca stał się wolnym, równym innym i mógł teraz śmiało w oczy patrzeć każdemu. Była naówczas hańba ucieczka z pola bitwy, jak po wszystkie czasy, ale niewola czei nie odbierała. Ta i najmężniejszego spotkać mogła, przy przemagającej sile. Odzyskując swobodę, rycerz swój pas i cześć miał przywrócić.

Obejście się pana Andrzeja z nim takie poszanowanie i miłość ku niemu w Dienheimie wzbudziły że tegoż dnia poprzysiął głośno, iż w jego obronie życie stawić gotów.

Od tego dnia też hrabia Kuno lepiej widziany przez wszystkich, sercem do rodziny przystał. Nie bardzo mu się też i wyjeżdżać stąd chciało, bo go już, jako młodego, oczy pięknych dziewczątek wabiły. Choć to tam przystęp był trudny, rozmowa niełatwa, ale wzrok ma swą mowę i sięga daleko.

Z dnia na dzień odjazd odwlekając, gdy Brochocki też więcej wstrzymywał, niż namawiał do zimowej podróży, zwłaszcza, iż w tym roku ciężka była zima, choć spóźniona, pozostał tak Kuno aż do Wielkiej Nocy.

Stał się niemal domowym, bo na łowy ustawicznie razem jeździli i pan Andrzej go jak przyjaciela zażywał, a Dienheim miał czas i języka się nauczyć.

Przed Wielką Nocą przecież, pochwyciła go do jazdy tęsknica i pożegnawszy się jak z ojcem i matką z Brochockimi, o kwietnej niedzieli ruszył, nie spowiadając się jak i dokąd. Wszyscy go w domu żalowali, bo już był jak swój, wesół i usłużny, a jakoś do niego nawykli, choć hrabią Niemcem go zwali. Nawet stary Mszczuj, który najtrudniejszym był i tym Niemcem najgęściej szafował, pogodził się z nim wreszcie, a gdy wyjeżdżał, pobłogosławił go na drogę.

Dziewczęta obie długo za nim przez okna patrzyły. Po odjeździe pusto się jakoś w domu zrobiło. I Brochockiemu jakby czegoś brakło, ale dawszy raz wolność, wstrzymywać go nie mógł.

Dwa lata potem ani słyhu o nim nie było. Starosta tymczasem wojował i gospodarzył, dziewczęta rosły, chłopcy już byli przy chorągwiach.

Starszą córkę zaswatano i wyposażona poszła do zameczku, z błogosławieństwem rodzicielskim. Ofka przy matce została i nieradzi byli ostatniego ptaszka dać z klatki, bo by pustką stała smutną.

Późną jesienią tego roku, gdy znowu do domu powrócił starosta, a wybierał się właśnie na łowy, bo mu o niedźwiedziu szkodniku znać dano, na grobli naprzeciw dworu ludzie postrzegli orszak z kilkunastu koni złożony, który wprost do Brochowie ciągnął.

Zadnych się natenczas gości nie spodziewając, starosta trochę się tym zdumiał, tym bardziej, że orszak okazały wcale niepospolitego zwiastował.

Dano wnet jejmości znać, ruszyły się sługi. Starosta do ganku wyszedł, sądząc, że odgadnie, kogo Pan Bóg prowadził.

Tymczasem jezdni się ku dworowi zbliżali, a była ich gromada i bardzo pokaźna i z cudzoziemska to wyglądało, a świetnie.

Jechał jeden z pańska ubrany na koniu dzielnym, za nim dwóch sług zbrojnych, na których stał świeciła jak srebro; dalej pacholków dobrze przyodzianych i orężnych sześciu, wóz podróżny zagranicznym sposobem zbudowany i para koni podwodnych. Starosta, narzucając na siebie kożuszek z kun, stał, patrząc, w ganku, a właśnie w tej chwili ten co przodem jechał, podbiegłszy żywo, wierzchowca osadził.

Krzyknął z podziwem Brochocki, poznając Dienheima, który wesół z konia skoczył i z poszanowaniem

zbliżył się ku niemu. Pańsko było teraz około dawnego jeńca, dzień z aksamitu i sznurów złocistych, na szyi łańcuch, pas piękny sadzony, miecz w pochwach złoconych, na głowie czapka z piórem.

Twarcz też rumiana, jasna, tchnęła jakąś radością i swobodą.

— Bogu dziękuję, że cię tak widzę pięknie wyposażonym i żeś o mnie nie zapomniiał.

Wprowadził go zaraz do izby, gdzie starościna i Ofka z równą go uprzejmością przyjęły. Posłano po Mszczuja, który spoczywał, i ten się, stukając toporkiem, przywłókl witać. Zgrzano zaraz wina i posadzono gościa, pytając o jego przygody, bo się łatwo domyslić było, iż mu się powiodło szczęśliwie.

Począł je zaraz opowiadać Dienheim.

Z Brochocina wyjechawszy, w istocie, jak mu radzono, na dwór cesarski się udał, dla służby i dla uzalenia się na brata, który go z ojcowizny wyrzucił i nie mu dać nie chciał.

Pozwany został starszy brat przed trybunał cesarski, ale się nie stawił. Tymczasem, gdy się nań zbierano, aby siłą krzywdę pomścić, zwadziwszy się z sąsiadem ów brat, w zasadzce nocnej zabity został. Wdowa po nim, choć dzieci nie było, dobrawszy sobie szlachcica, który za życia męża koniuszym u nich był, z zamku i posiadłości wyrugować się dać nie chciała. Rościła do nich pretensje za sumy jakieś, które wniosła, ale o nich tylko pargaminy podejrzane świadczyły, bo w istocie, ubogą będąc, grosza nie miała. Przyszło tedy Dienheim zdobywać siłą, a że Kuno sobie przyjaciół na dworze cesarskim zjednał, a na zamku miał swoich dawnych, udało się podstępem wdrzeć i wdowę z jej nowym małżonkiem uchwyciwszy, pozbyć się ich na zawsze.

Do swojej posiadłości ojcowskiej powróciwszy, so-

wicie przy tym nagrodzony przez cesarza za rycerskie usługi, Dienheim był teraz możnym panem, który już nikomu, oprócz cesarzowi, służyć nie potrzebował.

Na przyjęcie osobliwego gościa sprosił zaraz starosta sąsiadów, wyprawił łowy i dawnego jeńca podejmował z gościnnością szczerą.

Gościna się jakoś przeciągnęła długo, bo to czas był samych łowów, a zwierza mnóstwo.

Szły tygodnie za tygodniami, o wyjeździe nie było słyhu. Co się Kuno niby zbierać poczynił do powrotu, Brochocki wstrzymywał i jechali w puszcę, i siedzieli u komina, i opowiadali sobie rycerskie dzieła, którym kobiety się przysłuchiwały rade.

Aż starościna raz do męża zafrasowana przysła, szepecząc mu w ucho; że coś Ofka na hrabiego, a on na nią zbyt często patrzył i że po kątach z sobą szeptali.

Starosta ramionami ruszył, przecząc, aby co podobnego na myśl przyjść mogło dziewczęciu i gościowi.

Ciągnęło się tak znowu, tylko starosta pilniej na dziecko uważał, a zachmurzył się, dostrzegłszy, iż w istocie coś było. Nie rzekł nic, ale pomyślał, że gdy Kuno jechać zechce, wstrzymywać go nie będzie.

Pół żartem, pół naprawdę wszczęła się u komina rozmowa o różnych małżeństwach. Stała i Ofka za krzeselkiem jejmości i słuchała.

Starosta głośnie i dobitnie rzekł, że córki by nie dał nikomu, choćby królewiczem był, tylko własnemu rodakowi: obcemu za nic.

Nie spostrzegli jak dziewczę i hrabia ukradkiem ku sobie spojrzeli i rozmowa przerwana została.

Pochmurniał Kuno, przy wieczerzy był mileczący, o wyjeździe coś począł, nie proszono go już — i to coś znaczyć miało. Poczęto więc nazajutrz do podróży się sposobić.

Starościna spostrzegła nazajutrz na oczach córki

ślady lez wodą zimną zamytych; dziewczę się tłumaczyło, iż z komina dymiło i dym piękne oczki wygryzał.

Trzeciego dnia o świcie, gdy jeszcze starosta spał, wbiegli go zbudzić ze straszną wieścią, że hrabiego nie stało, a z nim córka uciekła.

Co żyło na koń siadło do pogoni. Matka we łzach ręce łamała na progu. Mszczuj, kijem w podłogę bijąc. Ni-nca przeklinał, Brochocki krzyczał, iż żmiję odgrał na piersiach.

Nie pomogły pogonie. Przyszły w tydzień listy, iż się hrabia z Ofką ożenił w Krakowie i o przebaczenie błagał.

Nie było już co innego do czynienia, tylko błogosławić. Tak się też stało. Wysłano, aby wracali. Padli oboje w ganku do stóp rodzicom, którzy się popłakali.

— Co się stało, odstać się nie może — rzekł Brochocki. — Przeznaczonym znać było, żeby się te rody z sobą łączyły: dziej się wola Boża.

Mszczuj tylko na to nastawał, aby i kropla krwi polskiej nie wsiąkla w niemiecką, żeby do nazwiska Dienneimów dodać Brochockich, i żeby znad Renu się wynieśli, a bliżej rodziców mieszkali. I puścił im później starosta dobra znaczne, a ów zameczek nad Renem powoli upadał, i wnuki pono już się go pozbyły, bo tam oprócz ptastwa i kun nikt już mieszkać nie mógł. Stoi to jeszcze dziś malowniczą ruiną, a o złej bratowej rybacy opowiadają przerobioną powieść, do której co pół wieku coś przybywa... jak na drzewie starym coraz nowa gałąź wyrasta.

K O N I E C

Muzeum
JIK
ROMAN
178

18
21361